

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM
METRO
2033

ROBERT J. SZMIDT

WIEŻA



ROBERT J. SZMIDT

WIEŻA

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2016

Copyright © Robert J. Sznidt, 2016

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033 © Dmitry Glukhovsky, 2009

Projekt okładki

Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii

Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Redakcja

Urszula Gardner

Redakcja i korekta

Pracownia12A

Plan postapokaliptycznego Wrocławia

Design Partners, www.designpartners.pl

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65315-58-8

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

Świat jest padłem nieszczęść i płaczu.
ARTHUR Schopenhauer (1788–1860)

Prolog

Ruszyli z Kozanowskiej ciasnym przejściem pomiędzy dwoma wypalonymi jedenastopiętrowymi blokami. Było ich pięcioro, jak zawsze. Na czoło wysforowała się od razu dziewczyna, wysoka, ciemnowłosa, o bardzo pociągłej twarzy, wydatnych kościach policzkowych i wąskich, niemal skośnych oczach. Dragon nie znał jej imienia, dołączyła do pozostałych tuż przed wyjściem na powierzchnię i od tamtej pory nie wypowiedziała nawet słowa. Tuż za nią biegł Prysycz. Nabity, jak każdy kark, ogolony na łyso, z płaską ospowatą gębą buldoga. Był niższy o pół głowy od prowadzącej małolaty. W środku stawki trzymało się dwóch kolejnych chłopaków, znacznie drobniejszych od wyprzedzającego ich Dresy, ale także nieźle wyżyłowanych. Dużo ćwiczyli, co dawało się zobaczyć choćby po doskonałej koordynacji ruchów. Dragon – najwyższy z całej piątki, prawie dwumetrowy brodaty blondyn o posturze atlety – biegł ostatni. Był starszy od reszty o niemal dziesięć lat i lekko licząc, kilkanaście kilogramów cięższy od dziobatego osiłka. Skóra na jego szyi i jednym policzku miała dziwną, szarawą barwę, wyglądała jak wyschnięta, łuszczyła się też płatami. Zdarzało się, że ludzie z innych dzielnic uciekali na ten widok, zwłaszcza ci, którzy pamiętali szarą zarazę, ale tutaj, na Kozanowie, wszyscy wiedzieli, czym są spowodowane te zmiany.

Ktoś tak wielki i ciężki nie miał szans z młodymi biegaczami, jednakże Dragon nie przejmował się zbytnio tym, że szybko zostawili go w tyle. On jeden z całej piątki znał bowiem tę trasę, i to nie tylko dlatego, że pokonał ją już wielokrotnie, czego pozostali na pewno nie mogli o sobie powiedzieć. Obejrzenie jej wcześniej z bezpiecznego dystansu nie mogło się równać z osobistym, do tego wielokrotnym pokonywaniem przeszkód. Nie, nie. To było jego terytorium. Jego dzielnica. Tutaj się urodził i tutaj umarł po raz pierwszy, razem ze starym światem. Miał zaledwie sześć lat, gdy zawyły syreny. Wciąż jednak pamiętał potworny chaos, mrok, smród i przytulającą go ze wszystkich sił matkę. Drząc razem z nią w cuchnącym odchodami kanale, usłyszał narastający głuchy pomruk, a potem... Potem ziemia zdrząła w posadach. Zatrzęsła się tak gwałtownie, jakby ona także konała w konwulsjach. Albo jakby chciała wypluć gnieźdzących się pod jej skórą ludzi.

Kozanów znajdował się prawie pięć kilometrów od punktu zero, skutki Ataku nie były więc

tutaj aż tak bardzo odczuwalne jak w centrum miasta, lecz stare, budowane jeszcze za socjalizmu bloki z wielkiej płyty okazały się mniej wytrzymałe niż niemal stuletnie ponemieckie kamienice. To, czego nie zdołała dokonać słabnąca fala uderzeniowa, a po niej termiczna, stało się za sprawą drgań zrytej atomem ziemi. Żelbetowe giganty poskładały się w wielu miejscach jak domki z kart, a gaz z rozszechniętych instalacji dokończył dzieła zniszczenia. Pół osiedla legło w gruzach, choć ukryty za zakolami murów obronnych blokowiska pięciokondygnacyjny budynek – ten sam, który musieli dzisiaj obieć – przetrwał wybuch stuklotonowej głowicy w niemal nienaruszonym stanie.

Dwieście pięćdziesiąt metrów. Naprawdę niewiele, choć na tej ćwiartce kilometra zginęło więcej ludzi niż podczas niejednej wojny między Pasami i Dresami.

Już za moment Smułka – tak Dragon nazwał w myślach biegnącą kilka kroków przed nim dziewczynę – zobaczy bielejące kości tych, którym nie udało się dotrzeć do schronienia.

Lekkie odbicie w lewo, gdzie runęły dwie klatki jedenastopiętrowca. Czterdziestka i czterdziestka dwójka, a może trzydziestka ósemka? Po dwudziestu latach takie szczegóły umykały pamięci.

Wielkie betonowe płyty pokruszyły się, tworząc wysokie na kilka metrów osypisko. To była pierwsza przeszkoda. Tempo biegu spadło błyskawicznie. Dziewczyna zawahała się, przystanęła tylko na moment, ale to wystarczyło, by Pryszc odtrącił ją barkiem, posyłając na gruz. Dragon zignorował jej wrzaski i jego chrapliwy śmiech. Odbił lekko na prawo, gdzie przyzma gruzu było bardziej stroma, ale zarazem stabilniejsza. Duże kawałki płyt nie chwiały się pod stopami i nie osypywały jak drobnica, mógł więc wspinać się na nie szybciej, tak szybko, jak poruszał rękami i nogami. Jeden z chudych chłopaków, ten z wielkim nosem i zmierzwionymi czarnymi włosami, nie był wcale taki głupi, na jakiego wyglądał. Ominął wyzywającą się wciąż parę i ścigającego ją rudzielca, po czym bez zastanowienia ruszył śladem Dragona. Dobrze to sobie wykombinował. Jako mniejszy, lżejszy i zwinniejszy, bez trudu wyprzedził wielkoluda, który w dodatku zwolnił tuż przed szczytem.

Baran. Zamiast sprawdzić, co się kryje za betonową granią, posłał kpiące spojrzenie zdyszanemu rywalowi. Nawet się nie zorientował, kiedy przeszły go długie na pół metra zębate szpony pilaka. Klucze smukłego drapieczy, bardziej rośliny niż zwierzęcia, wystrzeliło z mrocznej szpary pomiędzy stojącymi niemal pionowo płytami betonu. Zaskoczony Dragon minął wrzeszczącego przeraźliwie chłopaka, zanim ten został rozerwany na strzępy. Skowyt konającego ucichł równie nagle, jak się rozległ.

Nie było czasu na rozpamiętywanie. Dragon podniósł kawał gruzu i cisnął nim w dół osypiska, zanim pozostała trójka dotarła do szczytu przeszkody. Ruszył w ślad za lawiną, zbiegając sobie znanym szlakiem, by jak najszybciej oddalić się od pożerającego ofiarę monstrum. Tego stworzenia lepiej nie mieć tuż za plecami, nawet jeśli upolowało już tak soczysty kąsek.

Kawał gruzu odbił się po raz kolejny od rumowiska, ale zanim zdążył ponownie opaść, został zdmuchnięty przez siatkowatą mackę sarlaka. Gigantyczna roślina zdrząła, unosząc zdobycz w kierunku niewidocznej z tego miejsca paszczy. Ludzie patrzyli jednak w inną stronę. W dwóch

miejskach kamyki poruszyły się, a nad rumowiskiem zawirowały obłoczki pyłu. Niepohamowany ruch myśliwego zdradził położenie reszty pułapek.

Przeskakując nad nimi, Dragon pomyślał o zasadzce, w którą o mały włos sam by wpadł. Niewykluczone, że wielkonosy szczeniak, którego imię przed kwadransem usłyszał i natychmiast zapomniał, ocalił mu właśnie życie, ale... Zaklął pod nosem na myśl o pilaku, który pojawił się dzisiaj w tak nietypowym miejscu. Nigdy jeszcze żaden drapieżca nie zaatakował tak wcześnie. W dodatku znajdował się tuż przed sarlakiem. Mógł odwrócić uwagę biegnących, zdeorientować ich na okamgnienie...

Uważaj, człowieku, napomniiał się w myślach. Skup się. Tym razem będzie inaczej!

Moment rozprężenia wystarczył, by pozostała trójka go dogoniła. Na długiej prostej – do kolejnego dużego osy piska mieli całe pięćdziesiąt metrów – lżejsi i młodszy od niego ludzie musieli być szybsi, mimo że to on dysponował najdłuższymi nogami w tym towarzystwie. Z tym się jednak liczył, nie poczuł więc zawodu, gdy w połowie dystansu wyprzedził go zdyszany łark. Teraz, siny na gębie i zaśliniony, jeszcze bardziej przypominał buldoga. Prymitywne małe oczka zaślniły złowieszco pod masywnymi brwiami, kiedy zerknął przez ramię, taksując uważnym spojrzeniem Dragona. Doskonale wiedział, z kim tańczy, a akcja z dziewczyną pokazała, że jest gotów posunąć się dalej niż reszta.

Druga przeszkoda była bardziej pochyła i o wiele groźniejsza. W tym miejscu przed Atakiem znajdowało się przejście między blokami, podobne do tego, z którego wyruszyli. Wybuch gazu, który zniszczył ostatnią klatkę wieżowca, zasypał je całkowicie, uszkadzając przy okazji ścianę sąsiedniego bloku. Spiętrzone zwaly gruzu sięgały wysokości trzeciej kondygnacji niższego budynku, który także zawałił się pod naciskiem mas żelbetu.

Biegacze zwolnili, musieli wybrać jedną z dwu dostępnych tras. Jedna prowadziła w górę, druga – szparą pomiędzy dwiema gigantycznymi, lekko tylko nadkruszonymi płytami – w głąb przy sypanego, niegdyś parterowego pawilonu handlowego, który chyba cudem oparł się lawinie gruzu. Nawet Dragon się zawahał. Wkroczenie w mrok groziło wpadnięciem na cieniaka. Po zdarzeniu na pierwszej przeszkodzie był niemal pewien, że z pozoru łatwiejsza trasa stanie się dzisiaj czymś grobem. Wolał więc zaryzykować bardziej czasochłonną wspinaczkę, choć tamci pójdą pewnie na żywioł i w trójkę zaryzykują przeprawę przez mrok, licząc, że bestia pochwyty tylko jedną ofiarę – zresztą gdyby się okazało, że jest tam i drugi cieniak, ostatni ze śmiałków wy dostałby się z matni, uzyskując ogromną przewagę.

Dragon nie czekał, aż pozostali dokonają wyboru. Wskoczył na chybliwą płytę, przebiegł po niej do miejsca, gdzie z rumowiska wystawały pręty zbrojenia. Dotychczas wspiął się tą drogą kilka razy, omijając zawsze szczeliny i zagłębienia, w których mogły się czać inne bestie.

Kark warknął coś, wyszarpnął noże zza paska i zanurkował między płyty. Dziewczyna zakłęła i zrobiła to samo. Rudy zatrzymał się. Wodził wzrokiem od wspinającego się mężczyzny do wejścia do pawilonu i z powrotem. Ruszył dopiero wtedy, gdy spod gruzów dobiegł krzyk. Wysoki, przenikliwy, babski. Dragon, przeskakując na kolejną płytę zwałowiska, uśmiechnął się pod nosem. Drogę przez ciemność było kilka; wyglądało na to, że Dres miał więcej szczęścia przy wyborze.

Rzucił okiem w dół. Rudy zniknął właśnie między płytami. Zwlekając, paradoksalnie zwiększył swoje szanse na przeżywanie.

Gdy z dołu dobiegł kolejny wrzask, wspinaczkowi zostały do szczytu rumowiska jeszcze trzy, najwyżej cztery metry. Nie był w stanie stwierdzić, kto tym razem nadział się na niewidzialnego zabójcę. Było mu to jednak obojętne. Po raz pierwszy od bardzo dawna zaczął się bać. Pod gruzami na pewno nie było aż trzech bestii, lada moment więc zostanie z tyłu. I to jeszcze przed ostatnim zakrętem, za którym będzie musiał pokonać ponad siedemdziesiąt metrów odkrytego terenu. A na prostej każdy z tych szczyli okaże się szybszy od niego.

Wspiął się na szczyt sterty gruzu najkrótszą drogą, nie przejmując się potencjalnymi pułapkami. Teraz wszystko straciło znaczenie. W dół także zamierzał zejść najłatwiejszą trasą. Przecinająca rumowisko sieć glizdawca wydawała się z tej odległości gęsta jak tkanina, ale Dragon liczył na to, że impet, z jakim na nią wpadnie, pozwoli mu się przebić. Nabierając pędu, mierzył w najbardziej prześwitujące miejsce. Wielki robał wypełzał właśnie z kłonu. Skurwiel wyczuwał najłżejsze wibracje, a wielki mężczyzna zdążył już poruszyć całą lawinę skruszonego betonu.

Dragon sięgnął po ulubioną broń. Przecięte na pół ostrze piły tarczowej z dorobionym uchwytem ekspandera leżało idealnie w dłoniach. Ale czy ostra stal zdoła przeciąć taką masę klejących włókien, gdyby sam impet nie wystarczył, by przedrzeć się przez sieć?

Skoczył, podciągając nogi i biorąc równocześnie szeroki zamach. Wpadł w płataninę pokrytych lepką substancją nici, zadając dwa szybkie cięcia. Pierwsze ostrze zniknęło z jego ręki w połowie ruchu, jakby wyrwano je z ogromną siłą, drugie zdołał jakimś cudem utrzymać. Poczł jednak, że coś wyhamowuje jego pęd. Naprężone elastyczne włókna wpiły mu się boleśnie w golenie, twarz i barki. Wziął więc drugi zamach, od dołu ku górze, i tak stracił ostatnie ostrze. Ale zanim zdążył pomyśleć, że to najmniejszy z jego problemów, coś trzasnęło. Zawył, gdy poczuł piekący ból i gorąco na policzku i brodzie. Zdezorientowany uderzył kolanami w coś twardego i... zaczął się toczyć.

Dalem radę, ucieszył się, zapominając o bólu. Ledwie dotarł do podnóża rumowiska, zerwał się na równe nogi. Glizdawiec chwiał się na poły uniesiony. Otaczające jego jamę trawiącą czułki poruszały się frenetycznie, badając rozerwaną sieć. Musiał być nie mniej zdumiony niż człowiek, który cudem wymknął się z pułapki.

Dragon odwrócił głowę – kilka metrów na prawo od niego w głębi mrocznej szczeliny coś głośno szeleściło. Ktokolwiek przeżył wyprawę przez pawilon, właśnie docierał do wyjścia.

Naroznik znajdował się pięć metrów dalej, za nim zaczynała się ostatnia prosta, na której końcu Dragon zobaczył pięć wybitych w ścianie otworów i wiszące nad nimi kraty. To był cel, do którego zmierzał. Musiał dotrzeć tam pierwszy. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwe. I nie chodziło wcale o ból w mocno poranionych podczas upadku nogach. Na razie miał sporą przewagę nad... dziewczyną? Zerkał przez ramię, dostrzegł pomiędzy żelbetowymi płytami szopę przyprószoną pyłem, długich i czarniejszych od mroku włosów. *To kark piszczał w ostatnich chwilach jak dziewczynka*, zaśmiał się pod nosem, przyśpieszając.

Przed sobą miał tylko – albo aż – sześćdziesiąt metrów podwórza i... Rozejrzał się uważnie na wszystkie strony, szukając ostatniej pułapki.

Tam. Na osypisku daleko po prawej, za stopioną zjeżdżalnią, wypatrył jakiś ruch. Trzy kuliste, pokryte błyszczącą łuską kształty staczały się po gruzach bloku oddzielającego to miejsce od ulicy Pałuckiej. Sunęły w dół gruzowiska podobnie jak on przed chwilą. Podobnie, lecz na pewno kilkakrotnie szybciej. Obejrzał się za siebie. Smułka biegła za nim, ślaniając się na nogach, a ze szczeliny prowadzącej do pawilonu wynurzał się... zakrwawiony jak patroszony szarik Pryszc.

Dragon nie miał czasu na zastanawianie się, jakim cudem kark przeżył spotkanie z cieniem. Teraz jego – ich wszystkich – problemem będą te trzy kulczaki. Ścierwa wyczuły krew, na pewno więc nie odpuszczą, dopóki nie zatopią w zdobyczy jadowego dzioba i kłów.

Pięćdziesiąt metrów do celu, a w płucach zaczyna brakować tchu.

Brodaty wielkolud zwolnił, wiedział, że teraz, kiedy stracił broń, musi polegać raczej na sprycie niż szybkości. Początkowo zaczął zbaczać w lewo, aby goniąca go dziewczyna, która także dostrzegła nowe zagrożenie, i depczący jej po piętach Dres, znaleźli się pomiędzy nim a drapieżcami. Wykonując ten manewr, zauważył kątem oka ruch przy jednej z klatek schodowych w głębi placu. Zdębiał i zmylił krok, gdy na podwórzu wypadły dwa młode szariki.

Trafił między młot i kowadło, a jedyna na broń, jaką dysponował, została w pułapce glizdawca. Wiele razy przemierzał to miejsce, wiedział więc, że nie ma co kombinować. Jeśli chce przeżyć, musi porzucić fortele i gnać ile sił w nogach. Czterdzieści metrów. Pięć, może sześć sekund, tyle będzie potrzebował na dotarcie do najbliższej kraty. Jego rywale, którym nierozważnie pozwilił się dogonić, już nabierali tempa. Szariki gnały prosto na niego, na szczęście były jeszcze zbyt głupie, by rozumieć, że lepiej odciąć drogę ofierze. Kulczakami na razie się nie przejmował. Miały dwa bliższe cele, przy odrobinie szczęścia pozagryzają się wzajemnie, walcząc o Smułkę albo Pryszc.

Adrenalina zrobiła swoje. Wyrwał do przodu, przebijając nogami tak szybko, że jego mózg nie był w stanie za nimi nadążyć. To nie mogło skończyć się dobrze, ale nie miał innego wyjścia. Wóz albo przewóz, o to przecież chodziło w tym wszystkim.

Nie obrócił się, gdy któryś z kulczaków dopadł dziewczyny. Jej skowyt był tak przejmujący, że skóra momentalnie ścierpła mu na karku. Dwadzieścia metrów. Szariki w końcu zrozumiały, że lepiej biec po prostej niż po łuku. Piętnaście. Pryszc zakwaczał. Krótko, pewnie załatwiły go jadem. Dziesięć. Ciemność za kratą rosła w oczach. Na cztery kroki przed zbawieniem Dragonowi powinięła się noga.

Padając na splekany asfalt, instynktownie skulił ramiona. Zanim dotknął ziemi barkiem, spostrzegł nad sobą przemykający szybko cień. Pierwszy szarik złapał łdami powietrze, tam gdzie powinna znajdować się w tym momencie głowa człowieka. Po przewrocie Dragon nie próbował wstać, po prostu toczył się dalej. Druga bestia skoczyła i... zaskowyczała z bólu, gdy opadająca ciężka kratka przyszpiliła ją do betonu.

Dragon leżał metr od szarika, dysząc ciężko, niezdolny do najlżejszego ruchu. Za kratą kręcił

się drugi zmutowany pies, nieco dalej dwa kulczaki walczyły nad zwłokami Prysacza, rozszarpując je przy ołazji na strzępy. Trzeci pożerał żywcem konającą dziewczynę. Nie sparaliżował jej nawet jadem, wciąż próbowała odepchnąć go zakrwawionymi rękami.

Gdzieś z góry słychać było śmiechy, złorzeczenia i wiwaty. Wyścig został zakończony, ktoś wygrał, ktoś przegrał, ale wszyscy mieli dobrą zabawę.

– Dałeś czadu, człowieku – zza jego pleców dobiegł znajomy głos. – Nie pamiętam tak ekscytującej gonitwy, a robię w tej branży już od pięciu lat. Coś czuję, że obaj zarobiliśmy dziś krocie.

* * *

– Twoja działka. – Na stole obok barługu Dragona wylądowały cztery skrzynki pełne flaszek samogonu, synek z szarika, szczerzych tuszek, pożółdłych gazet i woreczków zielska, które zastąpiło tytoń. Było tam także sporo innego badziewia, którego nie chciało mu się teraz przeglądać.

– Co to niby było? – warknął brodacz, omiółszy spojrzeniem zdobyte dobra.

Było ich trzy razy więcej niż zwykle.

– O czym mówisz? – zapytał otyły mężczyzna około trzydziestki, opadając ciężko na fotel.

Z twarzy przypominał Prysacza, taki sam tępy ryj ozdobiony bulwą nosa, neandertalskim czołem i świńskimi oczkami. Gdyby Dragon nie znał Bosego tak dobrze, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą ojca dopiero co pożartego karka.

– Pilak na podejściu do pierwszej przeszkody – wycharczał, krzywiąc się mocno, gdy pokryta liszajami owróżdzeń dziwka zaczęła zszywać najdłuższe rozcięcie na jego lewej nodze.

Grubas, niekwestionowany król hazardu i właściciel tego osiedla, pochylił się w jego kierunku.

– Każda zabawa może w końcu się przejeść – rzucił, nie tracąc humoru. – Ile zgarnąłeś za ostatni wyścig? Ćwiartkę tego co normalnie?

– Mniej więcej – odburknął Dragon, układając się wygodniej.

– I zjebałeś mnie jak szczerbatą kurwę, że to dla ciebie za mało, pamiętasz? – przypomniał mu Bosy.

Ludzie tak go ochrzcili, bo pochodził z miejscowej biedoty. Jego starych nie było stać nawet na jedną parę porządnych butów dla syna. Ale odkuł się skurwiel, tego nie można mu było odmówić, w pięć lat stworzył autentyczne imperium. Teraz miał na nogach prawdziwe kowbojki. Nie jakieś podrabiane gówno, tylko buty nie do zdarcia z najgrubszej skóry.

– Pamiętam.

Grubas odchylił się na oparcie fotela.

– Ja też zauważyłem, że nasze przedstawienie znudziło ludzi, dlatego postanowiłem, że od tej pory będziemy szli na całość. No i mamy kumulację.

– My? – zdziwił się Dragon.

– My. Ja i moi ludzie – odparł Bosy. – Nie ty, bracie. Jesteś najlepszym biegaczem, jakiego w ży ciu widziałem, ale... – Zawahał się.

– Ale co?

– Znamy się od tak dawna, że nie będę ci ściemniał. To jest biznes. A ty stałeś się za bardzo przewidywalny – dokończył grubas. – Wygrywasz każdy wyścig, do którego stajesz, więc stali bywalcy obstawiają cię jak pewniaka, a o nowe twarze w tej branży coraz trudniej, zwłaszcza teraz, gdy Dresowie mają taką kosę z Pasami.

– I dlatego postanowiłeś się mnie pozbyć?

Dragon nie ruszył się z miejsca, wystarczył ton jego głosu, by Bosy wysunął przed siebie obie ręce w znaczącym geście.

– Co ty mówisz, przyjacielu! – zachnął się. – Ja tylko podniosłem stawkę. Sprawilem, że rozgrywka znów stała się nieprzewidywalna.

– Na jedno wychodzi. – Dragon sięgnął do najbliższej skrzynki po flaszkę wypełnioną mętną cieczą.

– Zostaw to gównu – poprosił grubas, kiwając na drugą z obecnych w piwnicy kobiet. – Dzisiaj napijemy się prawdziwego przedwojennego szajsu.

Dziwka zniknęła za drzwiami bezszelestnie jak cień.

– Ty stawiasz? – zdumiał się jedyny ocalały zawodnik

– Nie chcę, żebyś żywił do mnie urazę – wyjaśnił Bosy. – Gdybym poinformował cię o tych nowinkach, klienci zauważyliby zmianę w twoim zachowaniu i mogliby pomyśleć, że ustawiamy gonitwy. Wyszędlibym w ich oczach na oszusta. Co ja mówię, obaj wyszlibyśmy na krętaczy, a tego byś chyba nie chciał...

Dragon nie skomentował jego słów. Bosy mógł mieć rację, choć z drugiej strony ktoś taki jak on miał głęboko w dupie, co zwykli ludzie o nim mówią. Nikt inny w tym mieście, a przy najmniej na zachód od strefy zakazanej, nie urządził podobnych zawodów. Pracowali dla niego najwięksi twardziele i najbardziej łebscy cwaniacy. Jak inaczej zdołałby zapanować nad najgroźniejszymi mutantami? Jak inaczej stworzyliby to widowisko, na które ściągali ludzie z całej dzielnicy, a czasami nawet z samego Miasta?

Kozanów, jak większość przedmieść Wrocławia, nie ucierpiał tak bardzo jak centrum. Śkażenie było tu nieco mniejsze nawet w pierwszych latach po wojnie, po Ataku więc okolica wyglądała normalniej niż tereny przy pograniczu albo nad enklawami Miasta. Ta laba skończyła się jednak bezpowrotnie, gdy najpierw z Odry, a potem ze strefy zakazanej zaczęło wypełzać coraz więcej plugastwa. Kilka lat wystarczyło, by względnie bezpieczna okolica zamieniła się w piekło, a jej mieszkańcy zostali zmuszeni do porzucenia marzeń o ponownym zapanowaniu nad powierzchnią.

Zaskrzybiały zawiasy. Zamiast dziwki wysłanej po wódkę w półmroku rozjaśnianym kilkoma świecami i dwiema lampami łojowymi pojawił się mężczyzna, na którego widok Bosy wstał z fotela. Dragon także odepchnął beczceremonialnie kobietę obmywającą mu kolejną ranę.

– Znikaj. – Jedno machnięcie dłoni grubasa wywiało ją z piwnicy.

– Ty też – rzucił przybyły, nie patrząc nawet w kierunku lokalnego bossa.

– Coś po...? – zaczął pytać Boso.

– Won! – warknął obcy, wyglądający przy właścicielu tego przybytku jak słomka.

Plomyki świec zamigotały, gdy drzwi piwnicy zamknęły się z trzaskiem. Zostali sami. Dragon nadal leżał na barłogu. On w odróżnieniu od grubasa nie bał się tego człowieka. Pracował dla niego, to prawda, lecz nie miał w zwyczaju płaszczyć się przed byle zbiorem. A ten facet mimo roztażanej aury niesamowitości był tylko czyimś popychadłem.

– Gratulacje – rzucił przybysz, siadając w fotelu Bosego.

Miał na sobie wyprasowane na kant spodnie, które wyglądały na prawie nowe, wciąż niemal białą koszulę i lekko tylko wytarty skórzany płaszcz. Przed wojną mógłby być klientem pierwszego z brzegu lumpeksu, dzisiaj zadawał szyku na dzielnicy. Nikt nie wiedział, kim jest ani jakim cudem posiada wciąż amunicję do noszonego ostentacyjnie glocka. Pierwszy cwaniak, który chciał sprawdzić, czy to nie ściema, zatruł się śmiertelnie ołowiem. Następnych chętnych nie było.

Przybysz pojawiał się na Kozanowie od dwóch lat, załatwiał, co trzeba, a potem zniknął w kanałach jak duch aż do kolejnej, zazwyczaj niespodziewanej wizyty. Gdy ktoś pytał, jak się do niego zwracać, odpowiadał krótko: „To nieistotne”, dlatego Dragon tak właśnie postanowił go nazywać: Nieistotny.

– Dzięki – odburknął. – Przyszedłeś tu tylko po to, żeby mi pogratulować zwycięstwa?

– Ależ skąd – odparł przybysz, uśmiechając się półgębkiem jak to on. – Robotę mam, ale... – zawiesił na moment głos, przyglądając się wciąż krwawiącym rozcięciom –
...pozwól najpierw, że o coś zapytam.

– Nie mam ochoty na pieprzenie o byle czym.

Tym razem na okrągłej, lekko tylko zarośniętej twarzy Nieistotnego pojawił się grymas z grubsza tylko przyominający uśmiech.

– Jeśli masz się za byle co, przyjacielu... – zaczął, ale nie dane mu było skończyć.

– Tutaj nawet najtańsza dziwka Bosego nigdy nie uzna cię za przyjaciela, więc daruj sobie te gadki.

– Skoro tak mówisz. I tak wolę, żeby się mnie bali, niż lubili.

– Oni boją się wszystkiego.

– Nie o nich chciałem rozmawiać. Dziwi mnie, dlaczego babrasz się w tym gównie. Za to, co od nas dostajesz, mógłbyś żyć całe lata, i to na niezłym poziomie. Obstawiać wyścigi, zamiast brać w nich udział. Ta tłusta świnią wystawiła cię dzisiaj, wiesz o tym. Gdyby nie odrobina szczęścia, byłbyś karmą dla jego mutków.

– A co ciebie to obchodzi?

– W sumie wisi mi, czy zdechniesz na torze, czy prędzej zeżre cię nasz towar – przyznał Nieistotny, wyciągając z kieszeni małą, niegdyś czerwoną foliówkę z ledwie czytelnym logo Media Marktu. Wypełnione kryształkami i obwiązane sznurkiem opakowanie wylądowało na barłogu pomiędzy nogami Dragona. – To zaliczka. Drugie tyle dostaniesz po robocie.

Brodaty sięgnął po pakiecik, zważył go w dłoni, potem wrzucił do najbliższej skrzynki.

– Kto ty m razem?

Nieistotny sięgnął do drugiej kieszeni płaszcza, z której wyjął kopertę. Żółtą, wymiętaloną i brudną. Jego szefowie, podobnie jak on sam, próbowali chyba zrobić wrażenie. Pozowali na kogoś, kim na pewno nie byli. Koperta wylądowała tam, gdzie wcześniej paczka.

Dragon otworzył ją. W środku znalazł... zdjęcie. Nie jakieś wyblakłe czy pożółkłe przedwojenne gówno, ale porządną fotografię przedstawiającą twarz starszego mężczyzny z dziwnym tatuażem wokół oka. Przeniósł wolno wzrok na siedzącego naprzeciw posłańca.

– To jakiś żart? – zapytał.

– Nie. To prezent. Od przyjaciół. Z tego, co mi wiadomo, masz okazję zaszlachtować ostatniego z Czarnych Skorpionów. – Sprawiało mu frajdę patrzeć na niepewną minę największego zabijaki, z jakim kontaktował się na powierzchni. Pozostali jego podopieczni nie dorastali do pięt brodaczeni. Dlatego szefostwo wybrało do tej roboty właśnie jego. Tej roboty nie wolno było spieprzyć, a on jeszcze nigdy nie zawiodł.

– Jeśli to prawda, odpalę go za darmo – zadeklarował Dragon. – Możesz zabrać te prochy – dodał, sięgając po foliówkę, w której znajdowało się tyle narkotyków, że nawet Bosy miałyby problemy z kupieniem ich w całości. Trącona przy okazji koperta upadła na podłogę.

– Upiecz dwie pieczenie przy jednym ogniu – zaśmiał się Nieistotny, ignorując hojną propozycję, jakby jego przełożeni nie dbali o dobra materialne. – Tutaj masz wszystkie potrzebne informacje. – Zerwał się z fotela, podszedł do barłogu i podniósł kopertę z posadzki.

Wyciągnął rękę do leżącego brodacza. Ten nie raczył nawet spojrzeć na niego.

– Zapamiętaj i spal – rzucił Nieistotny.

– Zostaw i spierdalać – odwrócił Dragon, wpatrując się uważnie w zdjęcie.

1 | Otchłań

Miesiąc wcześniej

Remer raz jeszcze spojrział w lustro. Lustro! Nie jakiś miniaturowy ułomek większej całości, nie wypolerowany na błysk kawał metalu, tylko prawdziwą tafłę szkła pokrytego od spodniej strony aluminium. Stał przed tym zwierciadłem jak wmurowany, nie mogąc oderwać oczu. Od lat nie widział dobrze swojej twarzy, a od chwili, gdy został Nauczycielem, nie miał na sobie tak porządných czystých łachów. Jakby tego było mało, pozwolono mu brać prysznicę – bardzo długie i naprawdę gorące. Nic dziwnego, że czuł się teraz jak młody bóg.

– Długo jeszcze, poruczniku? – usłyszał dobiegający zza drzwi łazienki zniecierpliwiony głos Bondarczuk

– Sekundkę. Już wychodzę – odpowiedział niezbyt składnie, strącony nagle na ziemię.

Po raz ostatni obrzucił się krytycznym wrokiem. Odpiął jeden z guzików, potem poprawił kołnierzyk flanelowej koszuli. Przebywając w kanałach, nie zastanawiał się, jak widzą go ludzie – czy to z enklawy Innego, czy obcy. Tak samo nie dbał o to, że oni chodzą brudni i obdarci. Z czasem stało mu się to obojętne, jak zresztą wszystkim ocalonym. Enklawa Innego... Dla niego taką właśnie nazwę nosiła i będzie nosić. Ruszając w kierunku drzwi, przypomniał sobie wydarzenia ze Ślepego Toru. *Ciekawe, kto przejął schedę po zabitym albinosie*, zastanowił się. *Pewnie sędzia, w końcu wydawał się naturalnym kandydatem.*

Bondarczuk także przyjrzała mu się krytycznie, jakby opuścił przed momentem przymierzalnię w ekskluzywnym butik. Z marsa na jej czole wywnioskował, że nie wygląda najlepiej. W odniesieniu do tutejszych standardów, rzecz jasna. Nie przeszkadzało mu to jednak. Buszując po przepastnym magazynie, wybrał rzeczy, w których czuł się komfortowo jak chyba nigdy dotąd. Reszta nie miała więc żadnego znaczenia – przy najmniej dla niego.

Katarzyna opuściła jego kwaterę bez słowa komentarza, za co był jej wdzięczny.

– Zanim dotrzemy do centrum dowodzenia, pokażę panu, dlaczego to miejsce nazwano Otchłanią – rzuciła, gdy ruszyli wąskim korytarzem w kierunku grodzi oddzielającej główny tunel od bunkra mieszczącego skromne identyczne sypialnie.

To musiała być najstarsza, jeszcze poniemiecka część kompleksu. Na poznaczonym szalunkami betonie wciąż dało się odczytać pisane gotykiem hasła.

– My ślalem, że to oczywiste – odpowiedział zaskoczony tą nagłą propozycją.

– Zdziwi się pan.

Usłyszał jej śmiech. Chichotała jak mała dziewczynka.

Główna arteria podziemnego miasta miała imponujące rozmiary. Nawet najszersze burzowce nie mogły się z nią równać. Tutaj także, jak w przypadku bocznych odnóg, ściany były proste, betonowe, poznaczone śladami po szalunkach. Praktyczni do bólu Niemcy nie zamierzali mnożyć kosztów tynkowaniem tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. Nowi władarze Otchłani również nie widzieli sensu w wydawaniu na to pieniędzy. Dzięki ich decyzji, a raczej jej braku, zbudowany przez nazistów kompleks zachował historyczny klimat... Można by nawet powiedzieć, że żył duszę.

Środkiem szerokiego na osiem metrów tunelu biegły dwa tory ułożone na dębowych podkładach, węższe jednak i to znacznie, od znanych z powierzchni tramwajowych i kolejowych. Znajdujące się na nich trzecie szyny sugerowały czytelnie, jaki napęd mają jeżdżące tą trasą składy. W górze, pod tonącym w półmroku prostym sklepieniem, w regularnych odstępach wisiały wielkie cylindryczne kłosze tłoczone z aluminium. Przed dziewięćdziesięciu laty kryły się pod nimi mocne lampy sodowe. Ten typ oświetlenia był jednak bardzo energochłonny, nic więc dziwnego, że ludzie Bondarczuk porzucili go na rzecz nowocześniejszych rozwiązań. Ledy dawały mniej naturalne, białe światło, były też bez porównania słabsze, ale pozwalały na zaoszczędzenie gigantycznych ilości prądu, co zwłaszcza ostatnimi czasy miało wielką wagę. Oczywiście nie należało też zapominać o ich legendarnej trwałości.

Paweł szedł, słuchając obszernych wyjaśnień do chwili, gdy Katarzyna stanęła przed wylotem bocznego korytarza, którego surowe ściany wyglądały tak jakby zostały wykute w litym betonie. Wewnątrz było o wiele ciemniej i ciasniej. Paweł musiał schylać głowę, by nie zawadzać co rusz za stalowe żebrowania podtrzymujące łukowate sklepienie. Przejście to, na jego szczęście, okazało się bardzo krótkie. Tak przy najmniej pomyślał, widząc, że kończy się kilkanaście kroków dalej nowocześnie wyglądającymi pancernymi drzwiami. Bondarczuk przyłożyła kartę chipową do umieszczonego na ścianie czytnika, a potem wpisała sześciocyfrowy kod, korzystając ze znajdującej się poniżej klawiatury.

Po dwudziestu kolejnych metrach, pokonanych jeszcze bardziej klaustrofobicznym korytarzem, trafili na drugą, identyczną gródź. Za nią dopiero znajdował się cel ich wyprawy: ogromna, sklepiona kopułowo pieczara, a raczej komora, która także musiała być dziełem rąk hitlerowców. Wskazywały na to choćby napisy pokrywające dolną część obłej ściany. Tutaj były o wiele wyraźniejsze niż w tunelach, całkiem jakby czas się ich nie miał. Paweł znał kiedyś niemiecki, może nie za dobrze, ale w sam raz, by podczas nielicznych wypadów za zachodnią granicę porozumieć się w sklepach, restauracjach i na ulicy. Teraz jednak, po dwudziestu latach, z trudem odszyfrowywał znaczenie pisanych gotykiem słów. Zrozumiał tylko tyle, że ma do czynienia z ostrzeżeniami. Przed czym, tego już niestety nie wiedział.

Rozejrzał się uważnie wokół, nie kryjąc zaciekawienia. Górna część łukowatego stropu niknęła w ciemnościach. Światło rozrzuconych w równych odstępach lamp nie sięgało tak wysoko. Za to podłoże było doskonale widoczne. Na samym środku pustej hali tkwiła mocno pordzewiała konstrukcja – prosty stalowy trójnóg z podwieszonym bloczkiem, przez który biegła lina kończąca się z jednej strony przy stalowej płycie pokrywającej część podłoża, a z drugiej na bębnie stojącej opodal elektrycznej wyciągarki. W ścianie naprzeciw wejścia Remer dostrzegł też nieco większą przerwę pomiędzy lampami, a w niej ciemny krąg przypominający wylot tunelu.

– Co to za miejsce? – zapytał, odwracając się do Katarzyny.

– Nie wiemy – odparła, ruszając w kierunku szerokiego na prawie dziesięć metrów, okrągłego, stalowego podestu, na którym ustawiono konstrukcję.

Zdziwiła go tak szczerą, a zarazem nieoczekiwaną odpowiedzią.

– Jak możecie tego nie wiedzieć?

– Najnormalniej w świecie, poruczniku. – Podeszła do jednej z nóg, otworzyła drzwiczki umieszczonej na niej skrzynki rozdzielczej i nacisnęła największy klawisz. W oddali zasumiał uruchamiany generator. Kolejny ruch ręki i stalowa płyta pod stopami Pawła zadrzęła. – Spokojnie, poruczniku, to tylko Otchłań – dodała z rozbawieniem w głosie, widząc jego nerwową reakcję.

Nie usłuchał jej. Cofnął się o kilka kroków aż na kamienne podłoże, nie spuszczać oka z sunących wolno w górę skrzydeł włazu. Odczekał, aż silnik wyciągarki zamilknie, wrócił na środek komnaty i zajrzał ostrożnie w głąb odsłoniętego otworu. Z początku niewiele widział prócz ciemności, dlatego Bondarczuk włączyła reflektory umieszczone gdzieś pod krawędzią stalowej płyty, na której stał. W snopach silnego światła ujrzał szeroki na trzy metry skalny komin o wygładzonych, niemal lśniących ścianach biegnących pionowo w dół aż do miejsca, którego nawet tak silne szperacze nie były w stanie oświetlić.

– Niesamowite – mruknął, prostując w końcu plecy. – To dzieło człowieka czy natury?

– Kiedy zesliśmy po raz pierwszy do Otchłani – Katarzyna zaczęła opowiadać beznamiętnym tonem przewodniczki muzealnej – nie mieliśmy pojęcia o istnieniu tej komnaty. Niemcy tuż przed opuszczeniem podziemi zalali prowadzący do niej korytarz betonem, i to na całą długości. Na szczęście... nasze rzecz jasna... Szwaby nie pomyślały o jednym drobnym szczególe. Kończąc robotę od strony głównego tunelu, położyli szalunek, ale nie zadbali o to, by spasować go dokładnie z istniejącymi odciskami. Niby duperela, lecz wystarczył rzut oka, by jeden z naszych techników zrozumiał, że coś tu jest nie tak. Zaczęliśmy więc kuc i szybko pojęliśmy, że mamy do czynienia z czymś, co poprzedni właściciele próbowali ukryć. Metr za metrem przebijaliśmy się przez skałę, tylko przez lity beton. W trzecim dniu prac trafiliśmy na pierwszą gródź, stalową, grubą na pół metra. Patrząc na nią, moi przełożeni byli przekonani, że za tą przeszkodą znajdą wszystkie zaginione skarby. Wie pan, zawartość Złotego Pociągu, Bursztynową Komnatę... Jednym słowem, święcie wierzyli, że kryje się tam naprawdę wielki majątek. Może pan sobie wyobrazić ich miny, gdy po rozpruciu drugiej przegrody zobaczyli to, co pan ogląda teraz. Pustą komnatę i... tę dziurę.

– Jak głęboki jest ten komin? – zapytał Remer, ponownie pochylając się nad otchłanią.

– Kilometr, dwa, pięć, dziesięć – odparła enigmatycznie Katarzyna.

Słyszając jej słowa, cofnął się odruchowo.

– Nie zmierzyliscie go?

– Nie zdążyliśmy... – Westchnęła ciężko, jakby przypomniała sobie o czymś przykrym. –

Trafiliśmy na to miejsce tydzień przed Atakiem – dodała tonem wyjaśnienia. – Jak pan rozumie, nie mieliśmy potem głowy do prowadzenia dokładniejszych badań. A później... Powiem tak najdłuższa lina, jaką udało nam się powiązać, miała osiemset pięćdziesiąt metrów. Spuściliśmy na niej kamerę, ale pokazała to, co widzi pan tutaj. Pionowe ściany biegnące gdzieś w dół.

– Niesamowite.

– Jeszcze bardziej niesamowita jest historia tego miejsca – zapewniła go, włączając mechanizm zamykający właz. – To odkrycie kazało nam przyjrzeć się uważniej reszcie kompleksu. Po latach drobiazgowych analiz odkryliśmy jeszcze kilka zamurowanych pomieszczeń. W jednym znaleźliśmy prawdziwe skarby Trzeciej Rzeszy. Żadne tam złoto, tylko dokumenty. Całe skrzynie tajnych papierów. Plany, projekty, meldunki; te ostatnie oczywiście zaszyfrowane, ale dzięki komputerom zdołaliśmy złamać klucz i odczytać część zapisów. Stąd wiemy tak dużo o historii Otchłani. Podziemne miasto budowano cztery lata. W absolutnej tajemnicy. Nawet ówcześni wóldarze miasta nie wiedzieli, że głęboko pod ich stopami powstaje rozległy kompleks bunkrów. W projekt zaangażowano tylko kilku wojskowych z tutejszego dowództwa i specjalnie ściągniętych do Wrocławia esesmanów z Czarnego Słońca. Kojarzy pan tę nazwę?

– Nie.

– To była jedna z najbardziej utajnionych grup wpływów w Trzeciej Rzeszy. Elita SS, wywodząca się z towarzystwa Thule.

– Przepraszam, ale te nazwy nic mi nie mówią.

– Nieważne – machnęła ręką. – Projekt był tak tajny, jak to tylko możliwe. Budowę zaczęto od wydrążenia kilkusetmetrowej sztolni, ale nie tutaj, tylko za Odrą, za Karłowicami, na terenach zamkniętej jednostki wojskowej, która dysponowała własną bocznicą. Tą drogą sprowadzano w sekrecie siłę roboczą i pozbywano się urobku, a także zwłok tych, którzy zginęli przy niewolniczej pracy. Gdy ryjący sztolnię sowieccy jeńcy dotarli na zakładaną głębokość, czyli około sześćdziesiąt metrów licząc w pionie, rozpoczęto drążenie właściwego tunelu. W szczytowym okresie, który przypadał na lata czterdzieści trzy i czterdzieści cztery, pod ziemią pracowało aż sześć tysięcy Rosjan.

– Sporo – przyznał Paweł.

– Gdyby znał się pan na tego typu robotach, wiedziałby pan, że nawet taka ogromna masa ludzi nie byłaby w stanie zbudować tego wszystkiego. – Zatoczyła ręką szeroki łuk – Faszystom pomógł wypadek. Któregoś dnia, już po przekopaniu się na zachodni brzeg Odry, natrafili na istniejący tunel, taki jak ten, który widzi pan po tamtej stronie komory – wskazała ciemny wylot, zauważony wcześniej przez Remera. – I ten, który przed momentem panu pokazałam. – Jej wzrok

powędrował na zamknięty właz. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim po chwilowym wstrzymaniu prac Himmler, który osobiście zapoznał się z odkryciem, kazał podwładnym wykorzystać ten naturalny, jak podówczas sądzono, fenomen. Jedno trzeba Niemcom przyznać, myśleli szybko i praktycznie. Gdy zrozumieli, jak bardzo sprzyja im szczęście, nie zasypiali gruszek w popiele. Sprowadzili kolejne transporty jeńców i dokonali inwestycję dwutorowo. Połowa Rosjan drążyła właściwy tunel prowadzący do Leśnicy, a reszta poszerzała odkryte korytarze. Dzięki temu w kwietniu czterdziestego piątego, na kilka tygodni przed kapitulacją Festung Breslau, Niemcy dotarli aż pod masy w Ślęży. Nie na wiele im się to zdało, jak pan wie, ale co ciekawe, dranie nie myśleli wtedy o przegranej jak o końcu swojego świata. Ten i inne podobne ośrodki miały czekać na powrót rasy panów, po tym, jak cywilizacja Zachodu zetrze się i wyniszczy wzajemnie z sowiecką zarazą. To słowa samego Reichsführera. Nie uwierzy pan, ale on i jego świta ukryli się tutaj po upadku miasta i przeczekali najgorsze.

– Przecież Himmler został złapany i popełnił samobójstwo, jeśli dobrze pamiętam – zdziwił się Paweł.

– Ja mówię o Hanke.

– Kto to był Hanke?

– Gauleiter Dolnego Śląska, a po dezercji Himmlera ostatni Reichsführer SS – wyjaśniła zwięźle. – Ten, który niby uciekł z oblężonego Wrocławia awionetką.

– Coś chyba kolarzę...

– To wszystko bujdy. Hanke wysłał tym samolotem sobowtóra, aby zmylić sowiecką agenturę, a sam z resztą zwyrodnialców schronił się w tym kompleksie. Trzy lata tutaj siedzieli, czekając na cud. W jednym z zamurowanych pomieszczeń znaleźliśmy gabinet, jeśli można tak powiedzieć, a w nim osobisty dziennik ostatniego Reichsführera. Dzięki skrupulatności tego łotra dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy. Na przykład tego, że stoimy teraz w miejscu kaźni prawie piętnastu tysięcy jeńców.

– Mówiła pani, że pracowało ich tu tylko kilka tysięcy.

– Mówiłam, że tyłu pracowało ich tutaj naraz. Tych, którzy umierali z wycieńczenia, zastępowano kolejnymi, a przy tej robocie ludzie padali jak muchy, może mi pan wierzyć. Po dokładniejszym zbadaniu komina Niemcy uznali, że będzie idealnym miejscem na pozbycie się zwłok. W tamtym okresie nie mogli ich już wywieźć przez sztolnię na przedmieściach, ponieważ zdążyli ją wysadzić, aby zbliżający się do miasta czerwonarmiści nie odkryli przypadkiem głównego wejścia do kompleksu. Zaraz po przerwaniu prac pozbyli się masowo wszystkich świadków, żeby nikt nie zdradził tajemnicy Otchłani. Zaplanowali tę zbrodnię do ostatniego szczegółu, skubani pedanci. Hanke wszystko opisał, wychwalając pomysłowość podwładnych z Czarnego Słońca. – Policzki jej zapłonęły z emocji, gdy ciągnęła opowieść. Mimowolnie podniosła też głos. – Zamknięci w tych podziemiach hitlerowcy bali się, że jeńcy podniosą bunt, jeśli zauważą szukające się masowe egzekucje. A proszę nie zapominać, poruczniku, że na jednego esesmana przypadało stu Rosjan. Takim zryw mógł się różnie skończyć, dlatego Niemcy postanowili uderzyć z zaskoczenia. Pewnego ranka jeńcom wydano narzędzia jak każdego dnia

pracy, a potem zawieziono ich kolejką do odległej sekcji głównego tunelu. Tam wmaszerowali w zastawioną na nich pułapkę sami, można powiedzieć, że ze śpiewem na ustach. Gdy dotarli na miejsce kaźni, Niemcy po prostu zamknęli grodzie przeciwpożarowe i wyłączyli wentylatory. Kilka godzin później zrobiono to samo na innym odcinku tunelu z jeńcami pracującymi na drugą zmianę. Żaden z nich nie zorientował się, że idzie na śmierć... – Zamilkła na moment, jakby ktoś ścisnął ją za gardło. – Podobno... Podobno uwięzieni Rosjanie pozabijali się wzajemnie gołymi rękami, kilofami i młotami, licząc na to, że garstce ocalałych powietrza wystarczy na dłużej. Hitlerowcy przewidzieli jednak i to. Odczekali całe dwie doby, zanim ponownie otworzyli tunel. Ostatnich stu jeńców, wyselekcjonowanych wcześniej przez SS najgorszych kolaborantów i donosicieli, którymi od pewnego czasu wysługiwali się Niemcy, przewoziło zwłoki do tej komnaty i powrzucało je do szybu. Zdraycy mieli nadzieję, że tym sposobem wykupią się od pewnej śmierci. To właśnie obiecano im tamtego ranka. Ajyczycy nie mieli jednak zamiaru dotrzymać słowa danego podludziom. Wszyscy świadkowie musieli zamilknąć na wieki.

Remer słuchał tych słów ze spuszczoną głową, czując na plecach pałący wzrok Katarzyny. Zerkał w jej kierunku od czasu do czasu, wiedział więc, że to nie przypadkowe wrażenie. Mówiąc o wydarzeniach sprzed niemal stu lat, obserwowała go bacznie, jakby to miał być jakiś test. Może na resztki człowieczeństwa?

Ta opowieść powinna podnieść mu ciśnienie, ścisnąć krtań. Bondarczuk liczyła zapewne, że tak właśnie będzie, i – sądząc z uśmiešku, jaki przemknął w pewnym momencie po jej twarzy – chyba była zadowolona z efektu. Problem jednak w tym, że Paweł stał nad masowym grobem cichy i ponury jak chmura gradowa wcale nie dlatego, że poruszył go los tysięcy zamordowanych jeńców. W ciągu ostatnich dwudziestu lat napatrzył się na taki ogrom śmierci, krzywd i cierpienia, że nie był już w stanie się wzruszyć okrutną egzekucją obcych mu ludzi. Nawet jeśli były ich tysiące. Nawet jeśli zginęli wszyscy jednego dnia, zdradzeni, doprowadzeni do ostateczności. Miasto znajdujące się gdzieś tam nad jego głową zapłaciło sto razy większą daninę krwi podczas Ataku, a potem... Potem było jeszcze gorzej i dlatego nie umiał wykręsać z siebie ani jednej iskry współczucia.

Posmutniał wyłącznie dlatego, że stojąc tutaj, w miejscu kaźni, i spoglądając obojętnie na zamknięty właz, zrozumiał w końcu, że nie ma w nim już grama empatii. Dopiero teraz dotarło do niego z pełną mocą, jakim wrakiem emocjonalnym uczyniła go dwudziestoletnia egzystencja w kanałach.

– To... nieludzkie – rzucił w końcu, raczej by sprawić jej satysfakcję, niż z potrzeby serca.

– Owszem – przyznała. – Im więcej wiem o tym kompleksie, tym bardziej go nienawidzę.

Ciekawe, co byś powiedziała, gdybyś po Ataku musiała zamieszkać w którejś z enklaw Pasów albo Dresów, pomyślał Paweł, podchodząc bliżej wskazanego przez nią chwilę wcześniej mrocznego wylotu.

– Dokąd prowadzi ten tunel? – zapytał.

– Donikąd – odparła beznamiętnym tonem. – Niemcy wysadzili ponad stumetrowy odcinek grzebiąc żywcem kolaborantów, którzy przenosili zwłoki. Jak wspomniałam, zaplanowali wszy stko

do ostatniego szczegółu.

– Nie próbowaliście się przełopać? – zapytał, stając przy przeciwległej ścianie.

Z tej odległości dostrzegł więcej szczegółów, w tym drzwi bardzo podobne do tych, które oddzielały komorę od głównego tunelu.

– Nie widzieliśmy sensu – odparła, podnosząc lekko głos, by dobrze ją słyszał. – Ponoć i tak kończył się kilka kilometrów dalej identycznym, bezdennym szybem. Tak przy najmniej wynikało z dziennika Hankego.

2 | Narada

Dawne centrum dowodzenia, do którego zaprowadzono Remera, nadal budziło respekt. Największe, dwupoziomowe pomieszczenie głównego bunkra najmłodszej części kompleksu na pierwszy rzut oka przypominało zaadaptowaną do nowych potrzeb salę kinową. Taką tradycyjną, z pochylą widownią i wiszącym nad jej tylną częścią balkonem. Pod „ekranem”, którego funkcję pełniła ściana gigantycznych monitorów, znajdowało się kilka rzędów stanowisk komputerowych. Obsługujący je żołnierze – w czasach gdy ten sprzęt jeszcze działał – mogli stąd obserwować i nadzorować sytuację na powierzchni. W tylnej części „widowni”, pomiędzy sześcioma filarami wspierającymi górny poziom, umieszczono hermetycznie zamykaną serwerownię, zaplecze techniczne i pomieszczenia socjalne. Tam też mieściło się jedyne wejście do C3S. Natomiast na „balkonie”, dokąd prowadziły szerokie metalowe schody, znajdowało się serce centrum dowodzenia – czyli sala konferencyjna, którą odgrodzono od dolnego poziomu wielkimi taflami pancernego szkła. To tutaj zapadały kiedyś wszystkie decyzje. I właśnie tu, przy wielkim podświetlanym stole z białego tworzywa, Paweł miał okazję poznać resztę władarzy Otchłani.

Ku jego niemałemu zdziwieniu było ich tylko dwoje. Postawny mężczyzna w mundurze majora wojsk specjalnych, lekko już znoszonym, ale wciąż trzymającym fason, nazywał się Maciej Wydrzycki. To on odpowiadał za wszystko, co wiązało się z obroną i operacjami wojskowymi Czystych. Był bardzo błydy, jak każdy, kogo Paweł spotkał w tych tunelach. Miał krótko ścięte, kruczoczarne włosy, owalną twarz o bardzo regularnych rysach i odrobinę za duże piwne oczy, które nadawały jego obliczu wyraz wiecznego zdziwienia. Oprócz niego i Bondarczuk w odprawie brała udział jeszcze jedna kobieta – główny kwatermistrz Otchłani, Izabela Mędrecka. Była krępa, dużo niższa od pozostałych członków tego triumwiratu, ale za to chorobliwie otyła. Jej włosy, niegdyś rude, przedwcześnie nabrały odcienia stalowej szarości, przez co idealnie zgrywały się barwą z wodnistymi oczami. To jej właśnie Katarzyna powierzała wszystko, co wiązało się z funkcjonowaniem cywilnej części tego kompleksu.

Co ciekawe, oboje nie przekroczyli jeszcze trzydziestki, zaliczali się więc do pokolenia ocalonych, ale na pewno nie pamiętających. Niewykuczone, że mieli jakie takie wyobrażenie o świecie sprzed wojny, lecz z pewnością nie rozumieli rządzących nim zasad.

Katarzyna na przedstawiła mu ich kolejno, po czym wskazała miejsca przy stole. Remer usiadł naprzeciw niej, plecami do jedynych, metalowych drzwi. Po prawej miał Wydrzyckiego, a po lewej Mędrecką. Pomiedzy nimi na mlecznobiałym podświetlanym blacie leżał plan Wrocławia. Bardzo uproszczony, wyrysowany albo wydrukowany na arkuszu sztywnej folii, którą przytrzymywały w rogach cztery walcowate przyciski ze stali. Poza mapą na stole znalazła się tylko woda. Przed każdym z uczestników tego spotkania stała kafełka pełna klarownej cieczy i kryształowa szklanka. *Francja-elegancja*, pomyślał Remer, przyglądając się szczególnie sterylnego wnętrza. Im dłużej jednak patrzył, tym więcej rys dostrzegał na tym idyllicznym obrazku. Drobiazgów świadczących o przemijającej potędze Otchłani. Uśmiechnął się pod nosem, gdy zauważył, że nawet rżnięte szklanki są mniej lub bardziej wyszczerbione.

– Moi współpracownicy zostali już wprowadzeni w sytuację, więc nie będę się powtarzać – zagaiła Bondarczuk, ledwie zajęli miejsca. Widać było, że nie lubi czczego gadania. – Niestety warunki na górze znowu uległy drastycznej zmianie – dodała.

– To znaczy? – zapytał ostrożnie Remer.

– To znaczy, że musimy zmienić plany – odparła nieco enigmatycznie, ale za to bez wahania, co mogło świadczyć o pełnej szczerości.

Paweł zmierzył ją uważniejszym spojrzeniem.

– Daje mi pani do zrozumienia, że nasza umowa przestała obowiązywać? – rzucił, zachowując pokerową minę, choć czuł narastający niepokój.

– Nic takiego nie powiedziałam – zastrzegła się natychmiast Bondarczuk – Myślałam raczej o tym, że wspólnie musimy znaleźć nowe, bardziej pasujące rozwiązanie.

Ta odpowiedź uspokoiła Remera, ale nie do końca.

– Może ja wprowadzę porucznika w aktualną sytuację – zaproponował Wydrzycki, wykorzystując moment ciszy.

Katarzyna skinęła głową.

– Śmiało, majorze. Pan zna się na tym lepiej niż ja.

Major uśmiechnął się, słysząc te słowa, ale kiedy się odezwał, po niedawnym rozbawieniu nie został nawet ślad.

– Ogłoszenie Świętej Wojny okazało się bardzo nieprzemysłanym krokiem. Dzisiaj, niespełna tydzień od wydania edyktu, połowa podziemi Nowego Watykanu świeci pustkami. A ludzie nadal uciekają do Wolnych Enklaw, ponieważ to jedyne miejsce, w którym chwilowo mogą się czuć bezpiecznie. Pan tego jeszcze nie wie, poruczniku Remer, ale według naszych informatorów żaden z przywódców tamtejszych społeczności nie zamierza respektować zapisów traktatu z roku dwudziestego drugiego, co lada godzina zostanie powiedziane, i to wprost, wysłannikom nadpapieża. W tej sytuacji mamy bardziej palący problem niż pokonanie lekerytów...

Nie musiał mówić nic więcej. Wolne Enklawy i tak już ledwie zipsyły, a szła przecież kolejna zima, której mimo postępującego wciąż globalnego ocieplenia nie da się przetrzymać w kanałach bez odpowiedniej ilości opału i jedzenia. A tych z pewnością wkrótce zabraknie, jeśli z terytorium Nowego Watykanu uciek na te tereny choćby co czwarty mieszkaniec. Nie wspominając już

o tym, że nieufni ocaleni z pewnością nie przyjmą tłumy obcych z otwartymi rękami.

– Chcecie, żeby m skłonił nadpapieża do...

– Nie – przerwała mu Bondarczuk – Nasi ludzie już tego próbowali. On nie daruje lektery tom zabicia ulubionego męża. To teraz sprawa osobista.

– Nie będzie tak źle, jak się obawiacie – zapewnił ją Paweł. – W kryptach mieszka wystarczająco wielu rozgarniętych hierarchów. Zrobią, co trzeba, jeśli zobaczą, że nowy pasterz wie dzie ich stado ku zatraceniu. Tę tradycję wiary akurat przejęli od poprzedników, możecie mi wierzyć.

Katarzyna westchnęła ciężko.

– Do dzisiaj mieliśmy nadzieję, że tak właśnie się stanie – powiedziała.

– Ale?... – Paweł przeniósł wzrok na majora.

– Ale wygląda na to, że nowy nadpapież postanowił uprzedzić fakty i minionej nocy pozbył się każdego, kto mógłby go zastąpić.

Na stole wyładowała zmięta kartka pokryta gęstym odręcznym pismem.

– To meldunek naszego obecnie najlepszego agenta z Ostrowa – rzuciła znacząco Bondarczuk, gdy Paweł wyciągał rękę.

– A to skurwiel... – mruknął Remer, przeczytawszy kilkanaście linii zbitego tekstu.

Poprzedniego wieczora wszyscy ważniejsi biskupi – prócz czwórki należącej do haremu nadpapieża – zbrali się w sekrecie na wyspie Piasek, w krypcie kościoła Najświętszej Marii Panny, by tam z dala od wścibskich oczu i uszu opracować plan zgładzenia oszalałej z rozpacz głowy Kościoła. Sprawa była tak ważna, że żaden z decydentów nie wymigał się od osobistego stawiennictwa. A gdy znaleźli się już w odizolowanym miejscu... Podsumowując, nikt nie wiedział, co wydarzyło się minionej nocy, ale jedno było pewne: nie przeżył nikt, kto w najbliższej przyszłości mógłby zagrozić panu na Katedrze.

Jedno tylko wydało się Remerowi dziwne, a nawet podejrzane – ruiny wspomnianej świątyni nie mieściły się pod pograniczem Strefy Zakazanej. Dotarcie tam powierzchnią, po zniszczeniu mostów, było praktycznie niemożliwe, zwłaszcza w przypadku utuczonych nad miarę, nieruchawych biskupów, a on nigdy nie słyisał o podziemnych tunelach biegnących pod korytem Odry. To właśnie powiedział pozostałej trójce.

– Pod kościołem, jak i stojącym w jego sąsiedztwie klasztorem znajdują się prastare wielopoziomowe krypty. Mamy ich dokładne plany – odparł ze spokojem Wydrzycki. – Wiemy także o co najmniej dwóch tunelach łączących wyspę z budowlami sakralnymi w głębi Ostrowa Tumskiego. Tak, poruczniku, to nie są miejskie legendy, tylko fakty. Pierwszy tunel liczy sobie już ponad czterysta lat. Drugi został przekopany przez kanoników pod koniec osiemnastego wieku. Oba, z tego, co ustaliliśmy wcześniej, przetrwały Atak w całkiem niezłym stanie.

– Z tego, co ustaliliście? – Paweł spojrzał na niego z rosnącym zainteresowaniem.

– Do wczoraj mieliśmy w tamtejszej hierarchii bardzo wysoko postawionego agenta – wyjaśniła Bondarczuk, widząc, że major nie kwapi się do udzielenia gościowi dokładniejszych wyjaśnień.

To miało sens. Czyści zinfiltrowali wszystkie pozostałe frakcje, dlaczego więc mieliby zrezygnować z możliwości przeniknięcia do struktur jednej z najbardziej odizolowanych, ale i najludniejszych frakcji powojennego Wrocławia? Tym bardziej że wielu ocalonych sprzedałoby sąsiada, przyjaciela... ba, oddałoby na pewną śmierć nie tylko swoje matki, ale i dzieci... gdyby ktoś zaproponował im odrobinę przedwojennych luksusów – a przecież Otchłań w pierwszych latach po Ataku dysponowała niewyczerpanym albo prawie niewyczerpanym źródłem dobrego alkoholu, wojskowych racji żywnościowych i innych dóbr niedostępnych na powierzchni. Ułatwienie kariery swojemu człowiekowi poprzez umiejętnie podsuwane łapówki było więc znacznie łatwiejsze niż przed wojną. Zwłaszcza gdy trafiało się na pozbawionych sumienia ludzi o bardzo lepkich rękach. Kowal był tego najlepszym przykładem...

– Rozumiem. – Remer opadł na oparcie fotela. – Skoro przewrót nie wchodzi już w grę, potrzebujecie kogoś, kto... usunie przeszkodę i zakończy wojnę. Uprzedzam lojalnie – zastrzegł – to nie będzie łatwe i musi potrwać, ale przy odrobinie szczęścia da się zrobić... – Wszyscy troje popatrzyli na niego ze zgrozą w oczach. Zaskoczony ich reakcją obejrzał się nawet, by sprawdzić, czy ktoś nie stanął za jego plecami. – Powiedziałem coś nie tak? – zapytał, gdy zrozumiał, że nadal są sami.

– To nie tak poruczniku – pierwsza odezwała się Mędrecka.

– Nie chcemy potęgować chaosu – dodała Bondarczuk – A usunięcie nadpapieża, zwłaszcza teraz, gdy pozbył się wszystkich ważniejszych konkurentów, na pewno nie uspokoi sytuacji. Płotki natychmiast wyuczają okazywać łatwego zdobycia władzy, skoczą sobie do gardeł i...

– ...zamiast ustabilizować sytuację, doprowadzimy do jej eskalacji, a to będzie oznaczać kolejną falę uciekinierów i pogłębienie kryzysu – dokończyła za nią major.

– Do czego w takim razie mnie potrzebujecie? – zapytał zdezorientowany Remer, wracając myślami do Białego i osieroconej przez niego enklawy, w której także mogło już dojść do walki o schedę po zaginionym przywódcy. – I jaki macie plan?

Na moment zapadła grobowa cisza.

– Pozwoli pan, że zacznę od wyjaśnienia drugiej kwestii – zaproponowała Katarzyna, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia z pozostałymi. – Chcielibyśmy przerzucić jak najwięcej uciekinierów na północny zachód...

– Chcecie przeflancować uciekinierów z Nowego Watykanu na terytoria rządzone przez Dresów i Pasów?! – Paweł nie wierzył własnym uszom.

– Ależ skąd – zaprzeczyła natychmiast. – Wiemy, że trafiliby z deszczu pod przysłowiową rynną. Albo jeszcze gorzej. Nie pozwolił mi pan dokończyć, a zamierzałam powiedzieć, że tamtędy przeprowadzilibyśmy ich do Miasta.

– Pasowie nigdy na to nie pójdą – zachnął się Remer, czując, że podrażniona skóra na ręce zaczyna go piec. Natarte tłuszczem rany goiły się na nim jak na przysłowiowym psie, ale tak długie i miejscami głębokie nacięcia potrzebowały czasu na zabliznienie. A pot, którym właśnie się oblał z nerwów, na pewno nie wspomogło tego procesu. – To kute na cztery nogi skurwysyny bez krzty sumienia – wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Wiemy, kim są – przyznała Bondarczuk – I właśnie dlatego potrzebujemy do tej roboty kogoś takiego jak pan. Kogoś, kto był jednym z nich, kto wie, jak z nimi rozmawiać...
- Z dwójga złego wolę ich zabijać – mruknął, szokując zebranych po raz kolejny.
- Nie wątpię. My jednak od lat robimy wszystko, by ograniczyć rozlew krwi na powierzchni – wtrąciła roztrzęsiona Mędrecka.

Nie miałabyś wielkich szans na przetrwanie, gdybyś zaraz po Ataku nie trafiła do tych podziemi, uznał Paweł, obserwując jej gwałtowne reakcje na każde mocniejsze słowo.

– Ci ludzie, choć to słowo jest wielkim eufemizmem w ich przypadku, wyróżniliby was wszystkich bez mrugnienia powieką, gdyby dowiedzieli się o tym miejscu – powiedział, nie spuszczając wzroku z twarzy przerażonej Izy. Gdy przeniósł spojrzenie na Wydrzyckiego, zauważył, że okrągłe oczy majora zrobiły się jeszcze większe. Ci ludzie panicznie się bali myśli o walce. Truchleli na każdą wzmiankę o zabijaniu. To mogło znaczyć tylko jedno: mieszkańcy tych bunkrów byli skńczonymi tchórzami. Remer uśmiechnął się w duchu: tymi, którzy boją się własnego cienia, najłatwiej sterować. Zanim otworzył ponownie usta, skupił uwagę na Katarzynie i... poczucie zadowolenia momentalnie prysło jak bańka mydlana. Miał przed sobą kobietę o kamiennej twarzy i groźnym spojrzeniu. Nagle przestał się dziwić, dlaczego to ona stoi na czele władz Otchłani. – Nie czarujmy się... Jeśli chcecie powstrzymać lekterytów, musi dojść do zabijania, i to najprawdopodobniej na dużą skalę. To prosta zależność: albo my, albo oni. Mnie też się to nie podoba, możecie mi wierzyć, ale jestem realistą. I jeszcze jedna uwaga... Im prędzej to zrozumiecie, im bardziej będziecie zdecydowani i brutalni, tym mniej ofiar pochłonie nadchodząca wojna.

– Zapomina pan, poruczniku... – zaczął major, ale Remer natychmiast wpadł mu w słowo:

– Za co otrzymał pan awans na tak wysoki stopień oficerski? – zapytał wprost, jednakże bez cienia złośliwości czy ironii.

Wydrzycki spojrział na niego, nie kryjąc zaskoczenia, potem zerknął w kierunku Bondarczuk

– Ja...

– Brał pan udział w prawdziwej walce? – nie odpuszczał Paweł. – Nosi pan pistolet, z tego co zauważyłem. Ile razy pan z niego wystrzelił?

– Wystarczająco wiele, by ...

– A poza strzelnicą? Wymierzył pan kiedyś w głowę innego człowieka i pociągnął za spust?

Major spuścił wzrok. Remer nie mylił się – Wydrzycki nie tylko nie zabił nikogo, ale w ogóle nie widział prawdziwej walki.

– Jakie to ma znaczenie? – dzwoniącą w uszach ciszę przerwała dopiero Katarzyna.

– Takie – wypalił w odpowiedzi Remer – że teorie z najlepszych podręczników nijak nie przystają do nowej rzeczy wistosci. Przeczytałem uważnie wszystkie dokumenty, które przekazała mi pani w wczorajszym spotkaniu. – Wstał tak raptownie, że zaskoczona Mędrecka pisnęła, a przestraszony Wydrzycki podskoczył w fotelu. – Jeśli chcecie ocalić ludzi, którzy wciąż egzystują w kanałach, musicie iść na całość.

– Proponuje pan kolejną wojnę? – prychnął sploniony major.

– I tu pana zdziwię, ale nie. – Remer pochylił się nad mapą, odszukał właściwe miejsce i postukał w palec. – Proponuję uciąć łeb tej hydrze.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że wspomnianemu potworowi na miejsce odciętej odrastały dwie nowe głowy? – zapytała z kpiącym uśmiechem Bondarczuk.

Touche. Trafiła go bezbłędnie, klasycznym nokautującym sierpem w szczękę, ale mimo to nie odpuścił, posłał jej tylko jedno z tych spojrzeń, po których dzieciaki w szkole natychmiast milkły. Ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że i jej mina zrzedła.

– Może to rzeczywiście nie była najszcześniejsza analogia, co nie zmienia faktu, że mam rację. – Raz jeszcze postukał palcem w mapę, tam gdzie zdołał ją krótki napis: Wieża. – Pozwólcie mi zebrać oddział uderzeniowy i przedostać się do ruin Sky Towera. Wystarczy mi dziesięciu ludzi uzbrojonych w karabiny szturmowe, pistolety i granaty. Jeśli odbijemy Wieżę z rąk lekterytów, likwidując przy okazji wszystkich przywódców tamtejszych społeczności, doprowadzimy do rozpadu ich imperium. Jedno uderzenie wymierzone z chirurgiczną precyzją i na całe lata zapomniny o toczeniu wojen.

– Skąd pewność, że gdzie indziej nie pojawi się natychmiast nowy ośrodek władzy? – zapytała nieco zbyt kłśliwym tonem Katarzyna.

– Stąd, że stosowaliśmy w przeszłości tę taktykę i zawsze skutkowało. Otwórzcie oczy. To życie, nie film akcji ani gra komputerowa, gdzie trup ściele się gęsto, a wróg wciąż nie ustępuje. Nasi przeciwnicy nie będą ginąć setkami w obronie przegranej sprawy. Damy im popalić, okażemy większą determinację, a szybko znikną nam z oczu.

Wiedział, co mówi. Tak właśnie działały Czarne Skorpiony podczas walk z gangami dresiarzy. Uderzano celnie i silnie, bezpośrednio w ośrodki władzy, a potem zajmowano podległe im tereny, nie napotykając większego oporu.

Gdyby nie ta pieprzona epidemia, dzisiaj całe miasto wyglądałoby inaczej, pomyślał.

– Jak chce się pan dostać do Wieży?

Bondarczuk zaskoczyła go tym pytaniem. Nie spodziewał się tak szybkiego zakończenia tematu. Jej rzeczowość zaczynała mu się podobać.

– Skorzystamy z waszego głównego tunelu – wyjaśnił. – Dotrzemy nim tutaj – przesunął palec w okolice dawnej siedziby radia i telewizji, gdzie znajdowało się jedno z pięciu zamaskowanych wejść do Otchłani.

– To kawał drogi od celu – zauważyła. – Znacznie bliżej byłoby z bunkra Tesli.

– Owszem, ale w takim wypadku musielibyśmy forsować granicę, a z tego, co wyczytałem, jest ona obecnie szczelnie zamknięta i broniona z obu stron. Startując z Partynic, nie będziemy musieli wychodzić na powierzchnię. Wystarczy, że ukryjemy broń i wmiszamy się w tłum miejscowych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewa się ataku od tamtej strony.

– Tego nie może pan wiedzieć.

– Przecież to logiczne – wzruszył ramionami Paweł.

Spojrzała na majora, a on szybko przytaknął. Po niedawnej kompromitacji chciał odzyskać twarz. Tak przy najmniej odczytywał to Remer.

– Ile czasu potrzebuje pan na przygotowanie i przeprowadzenie takiej akcji? – Kolejne, równie rzeczowe pytanie spodobało się Pawłowi. Tak powinna wyglądać ta rozmowa od początku.

– Potrzebuję czterdziestu ośmiu godzin na zebranie odpowiednich ludzi. W ciągu kolejnej doby przeprowadzę ich do Miasta. Dotarcie z Partynic do Wieży, jeśli nie natrafimy na nieprzewidywane przeszkody, to kolejny dzień. Licząc z marginesem bezpieczeństwa, wykonamy to zadanie w ciągu tygodnia.

– Świetnie, poruczniku, a teraz proszę mi odpowiedzieć na proste pytanie. Jak wtedy będzie wyglądała sytuacja w Wolnych Enklawach?

Spojrzał na nią, jakby mówiła w nieznanym mu języku.

– Nie bardzo rozumiem, co...

Przesunęła w jego kierunku teczkę z jakimiś dokumentami.

– Według naszych agentów mamy najwyżej trzy dni. Potem dojdzie tam do rzezi. Nastroje obu stron szybko się radykalizują. Pańscy ziomkowie pozamykali się w enklawach. Nie zamierzają brać udziału w Świętej Wojnie, ale nie chcą też widzieć u siebie nikogo obcego. A uciekinierom z Nowego Watykanu wkrótce skończy się zabrana na drogę żywność. Z tego, co słyszałam, już doszło do prób ominięcia przygranicznych sadyb. Oczywiście górą. Nie muszę chyba nadmieniać, że nie obyło się bez ofiar.

Paweł zaczerpnął tchu, jakby szykował się do długiej i wyczerpującej odpowiedzi, ale nie otworzył tym razem ust. Sięgnął za to po karafkę i nalał sobie pełną szklankę wody. Wypił ją dwoma haustami. Była chłodna i smakowała zapomnianą przeszłością.

Zamilkł, ponieważ nawet bez zaglądania w te papierki wiedział, że Bondarczuk ma rację. Za dobrze znał sytuację własnej enklawy i jej stosunki z sąsiadami, by uwierzyć w to, że wolni ludzie wpuszczą chętnie przybyszy. Nawet w tak kryzysowej sytuacji.

– Jak pan słusznie zauważył – wtrącił Wydrzycki, korzystając z chwili ciszy – dysponujemy najlepszą bronią, ale nasi żołnierze nigdy jeszcze nie używali jej w warunkach bojowych. Z tego właśnie powodu tak desperacko potrzebowaliśmy kogoś z pańskim doświadczeniem, poruczniku.

– I dlatego teraz, kiedy już do was dołączyłem, nie chcecie mnie słuchać? – zakpił Remer.

– Myli się pan, poruczniku – zapewniła go Bondarczuk – Z ogromną uwagą wysłuchaliśmy pańskiego wywodu, ale jak sam pan stwierdził, na froncie, albo jak kto woli, na granicy, panuje teraz spokój. Nic też nie wskazuje, by ten stan rzeczy miał ulec zmianie w ciągu najbliższych kilku dni. Dlatego postanowiliśmy zmienić priorytety. Ocalenie setek uciekinierów z Nowego Watykanu jest teraz najważniejsze.

– Rozumiem, ale jak sami doskonale wiecie, nie jestem najodpowiedniejszym człowiekiem do tej roboty. – Mimowolnie dotknął piekącej ręki. – Poza tym oni naprawdę nie pójdą na żadne układy.

– Zapomina pan, poruczniku, że możemy im zaoferować coś, czego desperacko pragną – powiedział major, wyciągając rękę z kieszeni i wysypując na blat garść naboju, które potoczyły się z głośnym brzękiem na wszystkie strony.

Paweł zatrzymał jeden z nich opuszką palca. Podniósł go, obejrzał uważnie. To na pewno nie

była atrapa. Mosiężna, lśniąca łuska obejmowała stożkowaty pocisk barwy czystej miedzi. Na spodniej stronie kryzy odcisnięto odpowiedni, z tego, co pamiętał, napis. Waga także się zgadzała, na tyle, na ile mógł to wy czuć.

– Mamy ich wciąż wystarczająco dużo, by skusić drani – zapewniła go Bondarczuk
Remer się zamyślił.

– Ktoś tu przed chwilą mówił o minimalizowaniu strat na powierzchni – mruknął w końcu z wyczuwalnym wahaniem w głosie. – Dając Dresom i Pasom amunicję, rozpętaacie tam, na górze, kolejne piekło. Ocalicie uciekinierów kosztem ludzi, którzy zginą w następnej wojnie między tymi zjebami.

Kolejne zaskoczenie. Bondarczuknie zareagowała na przekleństwo.

– W tym już pańska głowa, poruczniku, żeby nie chcieli więcej naboji, niż będzie trzeba do załatwienia wewnętrznych porachunków – oznajmiła zdecydowanym tonem.

Paweł pokręcił głową.

– Myślę, że przecenia pani moje zdolności negocjacyjne.

– Tylko pan może się dogadać z Pasami i przekonać swoich do przepuszczenia uciekinierów. Nikt inny nie zdoła wykonać tego zadania w takkrótkim czasie – wyznał major, nie kryjąc zawodu pasywną postawą Remera.

– Messiego rozegrał pan koncertowo. – Iza przypomniała niedawną sytuację na arenie. – Może...

– Improvizowałem – przerwał jej bezceremonialnie. – Poza tym to bardziej zasługa Iskry niż moja.

Tak wyglądała prawda. Dziewczyna uratowała im wtedy życie, podpowiadając w ostatnim momencie najrozsądniejsze rozwiązanie. Tylko dlatego nie uduślił jej potem gołymi rękami za to, że wcześniej wpakowała jego i Kubę w takie szambo.

– W takim razie pójdziecie na tę misję razem – zadecydowała Bondarczuk

– O nie!

Własna żywiołowa reakcja zaskoczyła go nawet bardziej niż ich. Jednakże Katarzyna też wyglądała na poruszoną. Skrzywiła się mocno, jakby nieświadomie rozgryzła cytrynę.

– Ona zna teren, pan nie.

– Dam sobie radę. Pamiętam jeszcze co nieco, mimo że minęło kilkanaście lat.

– Ja nie mówię o kanałach i enklawach, tylko o naszej infrastrukturze. Ta dziewczyna zna każde tajne przejście na niższe poziomy, wie też, jak dostać się do starych burzowców biegnących pod Strefą Zakazaną. Jeśli ta operacja ma się powieść, musicie współpracować.

– Nie. – Paweł pokręcił głową. – Nie ma takiej opcji. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą idiotką.

Był pewien, że dopnie swego, ale wtedy stało się coś, czego nie przewidział. Bondarczuk przeszła do kontrataku.

– To nie podlega dyskusji, poruczniku! – Tym słowom Katarzyny towarzyszyło walnięcie dłonią w stół, tak silne, że naboje ponownie zagrzecotały. – Zgadając się na współpracę z nami,

wrócił pan do czynnej służby w Wojsku Polskim. Nawet jeśli nie chce pan słuchać mnie, ponieważ jestem tylko cywilem i do tego kobietą, to przypominam, że obecny tu major Wydrzycki został pańskim bezpośrednim przełożonym. Kimś, kto wydaje podwładnym rozkazy. Rozumiemy się?

Teraz to Remer wyglądał jak ktoś zmuszony do przełknięcia wyjątkowo gorzkiej pigułki.

– Tak jest – odpowiedział regulaminowo przez zaciśnięte zęby.

– Świetnie – mruknęła zadowolona Katarzyna.

– Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem. Tam, na górze, ja dowodzę. Ona zachowuje się i robi, co jej każę, albo wypad.

3 | Przewodnik

Remer z ogromną ulgą wracał do swego prawdziwego wcielenia. Wsiadając do klatki prymitywnej windy, stał się na powrót tym, kim uczyniło go życie – na powierzchni mógł być tylko Nauczycielem.

Czyści odstawili go tam, skąd został zabrany, czyli do bunkra Tesli. Tym razem jednak był całkowicie przytomny i... bezgranicznie wściekły. Rozumiał, dlaczego musi wyruszyć na tę akcję teraz, natychmiast, ale i tak nie mógł odżalować, że poprzedniego dnia wybrał sen i odpoczynek, zamiast poświęcić trochę czasu synowi. Tak, synowi. Niemota, cokolwiek o nim mówiono, był mu bliższy niż własne dziecko, którego nie...

Wznosząc się wolno w nieprzeniknionych ciemnościach, uwięziony pomiędzy zardzewiałymi prętami rozchobotanej, trzeszczącej przeraźliwie klatki, przypomniał sobie, jak niewiele brakowało, by stał się zupełnie innym człowiekiem. Gdyby wówczas Anansie nie zginęła w Katedrze...

Gdyby nie doszło do tej tragedii, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Była to tajemnica, o której nie mogli wiedzieć nawet Czyści. Sekret, o którym nawet on sam nie chciał pamiętać. Że Anansie była w ciąży, dowiedział się kilka dni po katastrofie, i to przypadkiem, kiedy akuszerka z enklawy Innego składała mu kondolencje. Wypierał tamte chwile tak mocno i od tak dawna, że nie pamiętał już nawet twarzy tej staruszki.

To był jeden z niewielu kluczowych momentów jego życia. Ileż to razy zastanawiał się, co by było, gdyby jego wybranka otrzymała od losu jeszcze jedną szansę i urodziła syna – nadal był święcie przekonany, że nie mogła powić dziewczynki. Czy Niemota poszedłby w odstawkę? Czy więzy krwi okazałyby się silniejsze od poczucia winy? Pewnie tak Porzuciłby Kubę prędzej czy później, przelewając wszystkie uczucia na prawdziwego potomka. To nie był już świat, w którym skalę człowieczeństwa oceniano miarą litości albo współczucia.

Za każdym razem, gdy dręczony powracającym koszmarem zrywał się w środku nocy, siadał na posłaniu, ocierał pot z łarku, zapalał lampę i wsłuchiwał się w dobiegające z półmroku ciche chrapanie. Obserwując majaczące zarysy ludzkiej sylwetki, cieszył się jak głupek, że nie został całkiem sam... Równie często łkał bezgłośnie na samą myśl o tym, co stracił. A im większą

pustkę czuł w sercu, tym bardziej wypełniał je miłością do przygarbionego z poczucia winy dzieciaka. To właśnie powinien był powiedzieć Bondarczuk, gdy zapytała go o Kubę pierwszego wieczora, zaraz po przebudzeniu w Otchłani. Jednakże nie zrobił tego – nie przyznałby się nawet wtedy, gdyby Czyści łamali go kółem. Była to jedyna tajemnica, jaką zamierzał zabrać ze sobą do grobu.

Klatka zatrzymała się w końcu. Nauczyciel rozejrzał się, potem zrobił krok w kierunku lśniącej złotawym blaskiem linii. Przez wążiutką szparę w drzwiach szybu windy ciągnęło chłodem. Kiedy unosił rękę, by zastukać w metalową przegrodę, poczuł na twarzy ożywczy powiew.

* * *

Tesla od razu zauważył, że jego gość nie ma ochoty na pogaduszki. Szeroki uśmiech nie zniknął jednak z jego nieogolonej twarzy. Naukowiec poprawił tylko okulary i zszedł z drogi zmierzającemu ku wyjściu przybyszowi, którego jeszcze przed chwilą chciał kordialnie powitać i zaprosić na górę. Pamiętający minął go obojętnie, nie mrugnawszy nawet okiem.

Wartownik otworzył przed nim ciężkie metalowe drzwi. Jego brodaty kompan zasalutował sprężyste, gdy ponury jak noc Nauczyciel przekraczał próg. Kilka sekund później za plecami opuszczającego bunkier człowieka rozległ się suchy trzask zamykanego wejścia i łoskot opadającej belki blokującej.

Pamiętający przeszedł jeszcze kilka kroków, zmiierzając prosto ku schodom prowadzącym do pobliskiego przejścia podziemnego. Maską została w chlebaku – wiedział, że kilka minut oddychania skażonym powietrzem nie zrobi większej różnicy, a dłużej nie zamierzał tu zostać. Sięgając po maczetę, spojrzął w dół ciągu szerokich stopni. Korciło go, by zejść w panujący tam nieprzenikniony mrok, jednakże przeniósł wzrok na powierzchnię. Ołowiane chmury kłębiły się nad ogromnym pustym placem. Na jego przeciwległym krańcu widać było kiluty wypalonych drzew i piętrzące się za nimi ruiny bloków z wielkiej płyty. Dalej, w perspektywie szerokiej ulicy Legnickiej, ciągnęło się morze zgłiszcz. Od krateru wyrytego przez głowicę nuklearną dzielił go kilometr z niewielkim okładem. Patrząc na ten krajobraz, zastanawiał się, czy nocami nadal widać zielonkawą poświatę unoszącą się nad zeszkłą ziemią w punkcie zero.

– Tutaj, szefie... – gdzieś z prawej dobiegł cichy syk

Zerknął w tamtym kierunku. Przy murze, tuż za kolumnadą wejścia, stał chudy niski mężczyzna w workowatych spodniach i połatanym czarnym polarze. Widząc, że Nauczyciel na niego patrzy, machnął ponagląco ręką.

– Zaraz – odwarknął Pamiętający.

Zanim zjedzie do kanałów, musi się odstresować.

– Życie ci niemile? – mruknął wysłany po niego przewodnik, rozglądając się lękliwie na wszystkie strony.

Widać było, że marzy o zniknięciu z powierzchni i ukryciu się pod ziemią. Jak robał,

w którego się zamienił, jak wszyscy ocaleni po dwudziestu latach egzystencji w kanałach.

– Zaraz! – powtórzył Nauczyciel jeszcze dobitniej.

Mężczyzna skulił się, słysząc podniesiony głos. Raz jeszcze rozejrzał się wokół.

Niech czeka, niech się boi. Bijący od niego odór strachu tłumił wściekłość Pamiętającego.

– Szefie, tam! – Nieznajomy wskazał palcem na tarasującą dawny trawnik przewróconą lokomotywę.

Pamiętający nie zwrócił na nią wcześniej uwagi. Gdy biegł do bunkra, było już ciemno, poza tym miał ją cały czas za plecami. Teraz zobaczył ją wyraźnie, choć za diabła nie wiedział, skąd mogła się tu wziąć. To jednak nie było teraz najważniejsze. Na zgniecionym kotle długiego czarnego parowozu pojawiły się znajome kształty. Szariki. Wielkie, stare, owrzodzone jakszlag.

Przewodnik zniknął za załomem ściany. Mądry człowiek. Nie zamierzał tracić życia z powodu chwili czyjejś słabości albo szaleństwa. Nauczyciel też ochłonął, widząc, że mutanty zaczynają węszyć. Jeszcze go nie dostrzegły, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Adrenalina popłynęła do żył, gdy zrywał się do biegu. Miał do pokonania około dziesięciu metrów, bestie jakieś pięć razy więcej, ale przecież były szybsze od człowieka.

Na jego szczęście ruszyły sekundę później, niż powinny, dzięki czemu zyskał kolejne dwa kroki przewagi i pewność, że tym razem go nie dopadną. Wysłany po niego przewodnik schodził właśnie do studzienki – tej samej, z której Pamiętający wyszedł cztery dni temu. Zanim pazury wyjących potępieńczo zmutowanych psów porysowały skraj wyasfaltowanej powierzchni okalającego bunkier chodnika, obaj mężczyźni znaleźli się poza ich zasięgiem. Pchnięty dłonią pręt zniknął z pola widzenia sunącego nogami do przodu Nauczyciela. Pozbawiona podparcia pokrywa włazu opadła na kryzę z głośnym łoskotem. Pamiętający chwycił się klamer i wpasował ją jednym pociągnięciem, a moment później, gdy wysłany mu naprzeciw mężczyzna zawisł na linie, dociążając żeliwną płytę, zasunął pośpiesznie oba bolce blokady.

– Masz coś z głową, szefie? – wycharczał przewodnik, zerkając bojaźliwie w górę, skąd wciąż dobiegały głośne skowyty i drapanie.

Pamiętający pokręcił korbką latarki, by rozpędzić dzielący ich mrok. Pod kapturem grubego polaru krył się kompletnie łysy, brodaty mężczyzna o zrytej bruzdami zmarszczek twarzy, złamanym w dwóch miejscach nosie i krzaczastych brwiach. Nadal cuchnął strachem i czymś jeszcze – ulotnym, ledwie wyczuwalnym i bardzo trudnym do opisanego. Poruszał mięsistymi wargami, jakby przeżuwał każde słowo, które zamierzał wypowiedzieć. W białym ledowym świetle wyglądał jeszcze dziwniej niż na powierzchni.

– Nie – odparł zwięźle Nauczyciel, ruszając za nim w dół.

Kilka sekund zagrożenia oczyściło mu umysł i całkowicie wyzuło go z wściekłości. Gdy znaleźli się w kanale, podniósł upuszczoną w czasie ucieczki maczetę. Oczyścił ją dokładnie szmatką, obejrzał uważnie, sprawdzając, czy nie wyszczerbił ostrza, i dopiero potem schował cenną broń do pochwy. Tym, że mogła zranić chudzielca, w ogóle się nie przejmował.

Przewodnik nie zamierzał mu jednak odpuścić.

– Gdybym wiedział, że profesorek wzywa mnie do pieprzonego samobójcy, tobym mu kazał

pocałować się w sam środek chudej dupy, zamiast drałować tu przez pół Miasta... – Zamilkł na moment. – Chyba... Chyba że nie po ciebie, szefie, tutaj lażem.

– Po mnie. – Nauczyciel spojrział na niego z góry. Choć sam nie był przesadnie wysoki, przewodnik sięgał mu tylko do nosa. – Powiedz mi dokładnie, jakie instrukcje dostałeś.

Mężczyzna w polarze skrzywił się, mrużąc lekko lewe oko, jakby go coś zabolalo. Pewnie nie lubił, gdy ktoś go sprawdzał.

– Tesla wezwał mnie dziś rano i powiedział, żebym czekał przy studziencie na starszego faceta z dziwną dziarą na twarzy, którego nazywają Nauczycielem. Kazał mi zaprowadzić go do Iskry. Potem, już w trójkę, mamy się udać na Bazar, gdzie ustawiłem spotkanie z nowym liderem Pasów.

– Świetnie – ucieszył się Pamiętający. – Z tym że będzie mała zmiana planów. Najpierw idziemy na spotkanie, potem powadzisz mnie do Iskry.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Tak wygląda aktualna marszruta. Nie wiem, czy Tesla o tym wspominał, ale ostateczna decyzja o tym, co robimy, należy do mnie.

Chuderlawy mruknął coś niezrozumiale, potem skinął głową i przepchnął się pomiędzy Nauczycielem a obłą ścianą. Podniósł z ziemi ledwie tłącą się lampę, podkręcił knot i ruszył pewnym krokiem w głąb kanału.

– Sajgon, szefie – rzucił po chwili przez ramię.

– Bez przesady – odparł Nauczyciel, sądząc, że to komentarz do niedawnych wydarzeń z powierzchni.

– Na mnie tak mówią – zarechotał rozbawiony jego uwagą przewodnik

– Ciekawe, nie wyglądasz na Wietnamczyka – zauważył Pamiętający.

– Nie wyglądam – przyznał tamten, skręcając na pobliskim rozwidleniu w prawo.

– Skąd więc ta ksywka?

– Miałem cztery lata, gdy zesłaliśmy pod ziemię – zaczął wyjaśniać przewodnik, nie zwalniając tempa marszu. – Na początku nie było nawet tak źle, ale potem, gdy zaczęło wchodzić brakować, trafiliśmy w niezłe gówno...

– Jak my wszyscy – mruknął Nauczyciel, poirytowany nieco faktem, że zamiast prostej odpowiedzi musi teraz wysłuchać historii życia Sajgona.

Wojny oczyszczały społeczeństwa z najgorszego elementu. Tak było zawsze i tak powinno być teraz. W walkach ginęli najbardziej zacięci i nienawistni, ponieważ to oni najbardziej rwali się do zabijania i szli w pierwszym szeregu. Wśród tych, którym dane było przeżyć, dominowali ludzie spokojniejsi, odreagowujący traumę. To oni zazwyczaj nadawali ton nowym czasom. Tym razem jednak – wbrew temu, co głosiło pewne znane powiedzenie – wojna wyglądała zupełnie inaczej. Nie było linii frontu, maszerujących na siebie armii, pół krwawych bitew, zwycięzców i pokonanych. Nikt nie szedł na bagnety. Nikt nie musiał szturmować wrogich szańców. Wątpliwe, by ktokolwiek widział albo choćby poznał wroga. Ocaleni nie mieli błędnego pojęcia, kto spuścił im na głowy atomówkę.

Tak więc ludzie, w których podbudowywana przez politruków frustracja i agresja narastała od lat, nie mogli wyładować ich na zniechęconym przeciwniku. Nie ginęli też masowo chwalebłą śmiercią bohaterów, oddając przysługę całej reszcie społeczeństwa. A skoro przetrwali najgorsze, zajęli się tym, co umieli najlepiej, czyli gnębieniem pozostałych ocalonych. Zamiast doznać odkupienia, przetrzebiona atomowym ogniem cywilizacja stoczyła się jeszcze bardziej, w koszmar kolejnych, niekończących się wojenek.

Sajgon zwolnił nieco, choć nie musiał. Tunel przed nimi był prosty jak strzała, pusty i szeroki.

– Moi rodzice, rozumiesz, szefie, tułali się bez końca w poszukiwaniu lepszego miejsca do życia. Nigdzie nie zagrzali długo miejsca, ciągle marudzili, więc wszędzie traktowano ich jak przybłądy. Słabowici byli, jak to przedwojenni intelektualści, więc szybko pomarli – wyznał obojętnym tonem, jakby rozmawiali o zwykłych sprawach. – Gdzieś w piętnastym, najpóźniej w szesnastym. Ktoś musiał się mną zająć, ale chętni, jak słusznie kombinujesz, szefie, nie ustawiali się w kolejce. Dla większości ludzi z enklawy byłem nikim... Kolejną gębą do wykarmienia w czasach, gdy żeniono kosę pod żebro za puszkę konserw. Sąsiedzi powiedzieli mi to prosto w oczy, kiedy przyszli rozkraść rzeczy należące do mojej matki chwilę po tym, jak zmarła. Tego dnia wyładowałem w... – zaśmiał się na głos – ...w głębokiej dupie, bo w rynsztoku to wszyscy siedzieliśmy od kilku ładnych lat.

– Celne spostrzeżenie – przyznał Nauczyciel.

Nie uciszał prowadzącego go człowieka, choć przysłuchiwał się jego opowieści tylko jednym uchem. Nie było w niej bowiem niczego niezwykłego. W kanałach tak właśnie wyglądała proza życia. Silniejszy mógł przetrwać kosztem słabszego, wszyscy więc walczyli o swoje i nie przejmowali się nikim innym. Nawet jeśli chodziło o dzieci.

– Gdyby nie Wietnamczycy z tamtej enklawy, pewnie już dawno bym nie żył – opowiadał dalej przewodnik, biorąc milczenie kompana za zainteresowanie. – Ale oni też nie mieli lekko u karków.

– Mieszkałeś na terytoriach Pasów? – zapytał Pamiętający, nadstawiając ucha.

Gdzieś tam, w przeszłości, ich ścieżki mogły się skrzyżować. A po tym, jak zareagowali na jego widok młodzi Pasowie, wolał dmuchać na zimne.

– I tak i nie, szefie. Nowy Dwór kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, zanim wypieprzyliśmy stamtąd na dobre. Jedno ci powiem, szefie, rasa panów popluwa się pewnie do dzisiaj, żrąc pozbawioną smaku szcurzynę, bo takich rarytasów, jakie przyrządzali z niej moi skośnoocy ziomale, to nikt tam już nigdy nie zrobi – Zarechotał tak głośno, że aż się rozkaszłał.

Nauczyciel też się uśmiechnął, choć jego myśli krążyły wokół zupełnie innego tematu. Sajgon nie zareagował na widok tatuażu, co mogło znaczyć, że jest za młody, by pamiętać coś więcej niż tylko legendy o Czarnych Skorpionach. Jego osiedle także leżało wystarczająco daleko od centrum, zatem raczej nie miał szans natknąć się osobiście na byłych żołnierzy, zanim...

– Długo mieszkasz w Mieście? – zapytał Pamiętający, próbując zmienić temat.

– Nie.

– Nie?

– Najpierw wynieśliśmy się na Krzyki. Na terytorium Republiki Kupieckiej. – Przewodnik zatrzymał się nagle. Zaskoczony Pamiętający z trudem wyhamował. Mało brakowało, a przewróciłby mikro brodacza.

– Wybacz – mruknął, odsuwając się od niego.

– To były czasy, szefie... – Sajgon nie zwrócił uwagi na przeprosiny. Na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech. – Tam dopiero poczułem, że żyję. Przez siedem lat chodziłem z karawanami. Na początku, jeszcze jako łepiek, robiłem za kuriera, a potem awansowałem na tragarza. Piąłem się po kolejnych szczeblach kariery, aż dołączyłem do grona kupców. Wtedy zaczął się raj. Handlowałem z ludźmi na Biskupinie, Rakowcu, Pilczycach, Muchoborze. Nikt mi nie chce dzisiaj uwierzyć, ale to moja karawana dotarła pierwsza na Psie Pole. – Oczy mu zalśniły, wyglądał, jakby wpadł w trans. – Siedem lat, szefuńciu. Na własne oczy widziałem, jak świat zaczyna wracać do dawnej świetności, a potem... Potem wszystko poszło w pizdu.

– Jak doszło do upadku Republiki? – zainteresował się Nauczyciel.

Do tej pory słyszał tylko plotki na ten temat, a każda z nich była bardziej fantastyczna od poprzedniej.

– Normalnie. W dwudziestym piątym znudziło mi się łażenie, a że byłem wtedy szycią, przeniesiono mnie na jedną z faktorii, tu niedaleko, na Grabiszynie. To taki jakby tymczasowy magazyn na zbiegu ważniejszych szlaków. Żeby karawany obsługujące zewnętrzne dzielnice nie musiały zapieprzać za każdym razem aż do Wieży. Jeśli kupcy potrzebowali towarów, których nie mieliśmy akurat na składzie, posyłałiśmy do Republiki umyślnego i dostarczano nam je w kilka godzin. Przez wiele miesięcy wszystko hulało, jak trzeba, a potem nagle... – Zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. – Którejś niedzieli nie dostaliśmy regularnego zaopatrzenia. Wysłałem więc pomocnika, żeby sprawdził, o co biega. Wrócił po kilku godzinach, mówiąc, że Miasto zamknęło granicę z Republiką. Podobno jakaś epidemia wybuchła, więc na wszelki wypadek ogłosili kwarantannę.

– Epidemia? Szara zaraza?

– Nie, szefie. Coś innego, ale równie wrednego. Ludzie nagle gorączki dostawali, jakiejś wysypki, srali pod siebie i rzygali krwią. Jak kogoś dopadło, męczył się przez tydzień, a potem szedł do piachu. Cholerstwo błyskawicznie się rozprzestrzeniało. Jeden dzień wystarczył, by ludzie zaczęli chorować nawet w pasie przy granicznym.

Pamiętający zrobił wielkie oczy. Gorączka krwotoczna? Objawy pasowały jak ulał, ale skąd ebola wzięła się w europejskim mieście, i to odciętym od świata przez tyle lat? Czyżby jakiś inny syf zmutował w Strefie Zakazanej i przeniósł się na ludzi? Zastanawiając się nad tą kwestią, zauważył jeszcze inną nieścisłość.

– Czekał. Grabiszyn nie leży przecież na terenie Miasta, więc...

– Wtedy leżał – wyjaśnił Sajgon. – Miasto było potęgą. Otaczało Republikę od wschodu i zachodu. Bez zgody Burmistrza i stosownego myta żadna karawana nie mogła przejść przez jego enklawy. Ale między nami nigdy nie było kasy, szefie. Zawsze ształa. Biznes wspólnie robiliśmy i bogaciłiśmy się wzajemnie.

– Rozumiem. Niemniej odcięli się od was, jak ty lko zrobiło się gorąco.

– A co mieli zrobić? – W spojrzeniu przewodnika widać było zdumienie. – Z początku szli naszym z pomocą, ale jak sami zaczęli się zarażać... – pokręcił głową ze smutkiem. – Oni tak naprawdę nie zamknęli granicy z Republiką, tylko utworzyli nową, odcinając przy okazji część swojego terytorium, żeby zaraza nie rozlała się po całym Mieście.

Nauczyciel przytaknął tym słowom. To także nie było dla niego niczym niezwykłym. Taki sam los spotkał przecież enklawy Czarnych Skorpionów. Budowane z wielkim mozolem imperium byłych żołnierzy legło w gruzach na przestrzeni dni, gdy w kilkunastu najważniejszych sadybach ludzie zaczęli padać jak muchy. Szara zaraza dawała się ocalonym we znaki także później, choć już nie na tak wielką skalę. Wystarczał jednak cień podejrzenia, by ocaleni z okolicznych sadyb zaczęli się izolować od potencjalnie skażonego terenu i mieszkających na nim ludzi. Enklawę Fryzjera zamknięto na przykład dwanaście lat temu i choć od tamtej pory minął szmat czasu, nadal nikt nie miał ochoty zapuścić się za blokadę. *Ze Ślepym Torem będzie podobnie*, uznał Pamiętający. *Przesądni ludzie już wymazali to miejsce z map, jakby nigdy nie istniało.*

– Doszłście kiedykolwiek do tego, co było przyczyną zarazy? – zapytał, gdy podjęli wędrówkę.

Sajgon nie odpowiedział od razu.

– Niby tak – odezwał się w końcu. – Wszystkiemu była winna kompania, dla której pracowałem, ta, co przetarła szlaki na Psie Pole. To stamtąd przywleczono wirusa czy co to tam było. Doszliśmy do tego dużo później, gdy opadły emocje. Dzień przed zanotowaniem pierwszych zachorowań z trasy wróciła bardzo duża karawana. Czterdziestu sześciu tragarzy, do tego tuzin pomocników i czterech kupców. Witano ich jak bohaterów, bo zaszli naprawdę daleko i otworzyli dla nas zupełnie nowe rynki. Cały wieczór fetowano ich sukcesy w podziemiach Wieży, potem wszyscy rozeszli się do domów. A że mieszkali w wielu różnych enklawach, zaraza mogła pojawić się równocześnie w niemal całej Republice.

– Skąd pewność, że to oni roznieśli wirusa?

– Pewności nadal nikt nie ma – przyznał po chwili zastanowienia przewodnik – ale to chyba jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Ci ludzie przemierzali wcześniej cały Wrocław – zauważył Nauczyciel. – Zatrzymywali się na popas w prawie każdej enklawie na szlaku. Handlowali na Karłowicach, u nas i w Nowym Watykanie. W Mieście pewnie też. Dlaczego więc nie pozarazali nikogo po drodze? – drążył.

– Mnie o to szef pyta? – zakpił Sajgon. – Czy ja wyglądam jak ktoś szkolony na medyka?

– Tak ty lko zastanawiam się na głos – mruknął Pamiętający.

– Ktoś mi kiedyś powiedział – podjął po chwili przewodnik – że okres inkubatorowy... dobrze mówię?

– Może inkubacyjny – odpowiedział Nauczyciel.

– Tak, właśnie tak. Ten okres mógł być tak długi, że zaraza wylęgła się dopiero po tym, jak wrócili.

– Niemożliwe. To tak nie działa. U tych, których zarażali, symptomy występowały przecież

niemal natychmiast.

– Sam szef widzi. Do całej prawdy nigdy nie dojdziemy, więc po co rozgrzebywać stare rany. Takie rzeczy po prostu się zdarzają. Nie nas pierwszych dotknęła podobna zaraza. Nawet przed Atakiem były różne epidemie. Weźmy czarną śmierć...

Nauczyciel przyjrzał mu się uważnie. Ten chuderlak nie był taki głupi, na jakiego pozował. Człowiek bezmózgi nie awansowałby przecież tak wysoko w kupieckiej korporacji, ponieważ tam liczyła się przede wszystkim efektywność i spryt. To nasunęło Pamiętającemu pewną myśl.

– Masz rację – potaknął. – Piętnaście lat temu sam przeżyłem inną epidemię, u nas, na Popowicach.

– I też pewnie do dzisiaj szef nie wie, co tak naprawdę was wybiło – podsumował celnie przewodnik

– To fakt.

– Dlatego nie zagłębialiśmy się przesadnie w szukanie przyczyn. A teoria z Psim Polem była najrozsądniejsza ze wszystkich, jakie wtedy wysnuło. Nie wierzy szef chyba, że to robota Czystych? – Sajgon profilaktycznie zerknął przez ramię.

Pamiętający nie miał pewności, ile może wiedzieć jego przewodnik. Większość agentów zwerbowanych przez mieszkańców Otchłani była święcie przekonana, że pracuje dla przeróżnych układów władzy, tyle że zrodzonych w tych samych kanałach. Jedynie nieliczni wtajemniczeni – tacy jak Iskra albo Tesla – mieli dostęp do mniejszej lub większej części prawdy. Tak było bezpieczniej dla obu stron.

– Na Czystych zwała się wszystko, i to odłąd pamiętam – odpowiedział ostrożnie.

– Święte słowa, szefuńciu – zarechotał Sajgon, szczerząc zbrązowiałe zęby. – Ludzie zawsze próbują znaleźć winnego poza własnym kręgiem, nawet jeśli to całkiem niedorzeczne. Czyści... Gdyby istnieli, pewnie zarykiwaliby się ze śmiechu, słuchając naszych bajdurzeń.

Nauczyciel zmilczał. Słowa przewodnika wiele wyjaśniały. Ten człowiek z pewnością nie należał do kręgu wtajemniczonych. Pracował dla Tesli, ale nie wpuszczano go nawet do bunkra. To dlatego musiał czekać przy studziennie.

– Powiedz mi jedno, Sajgon, dlaczego ty, niegdy siejszy kupiec, robisz teraz za posłańca?

Chudzielec parsknął głośno, trudno jednak było powiedzieć, czy to śmiech, czy raczej zachnięcie.

– Niewielu nas, mówię o mieszkańcach Republiki, przetrwało zarazę – wyjaśnił niechętnie, jakby wstydził się tego, co miał powiedzieć. – Chłopcy, którzy byli w terenie – wyliczył – tacy ludzie jak ja, obsady faktorii, prócz tego garstka innych, którzy przeszli przez kwarantannę bądź osiedlili się wcześniej po tej stronie granicy. Gdy upadła Republika, handel zamarł, a my musieliśmy znaleźć sobie nowe zajęcie. Nie wszystkim to się jednak udało. Ja na przykład byłbym nieźle ustawiony, może nawet do końca życia, ponieważ zarządzałem ogromnym bogactwem. Gdy wybuchła zaraza, miałem u siebie na składzie całą masę cennych towarów, ale... – zawahał się. – Nie ma co owijać w bawełnę, szefie. Lepszy ze mnie handlarz niż żołnierz. Za miękki byłem, za strachliwy. Kiedy traktaty przestały obowiązywać, miejscowi wycyckali

mnie do czysta.

– Nie masz im tego za złe?

– Kiedyś miałem. Teraz już nie. Biznes jest biznes, sami to w kółko powtarzaliśmy, krojąc każdego frajera, który się nawinął. Poza tym nie jestem mściwy i wiem jedno: noszenie w sercu urazy prędzej zabije ciebie niż tych, którzy są jej powodem.

Szli przez chwilę w milczeniu. Pamiętający wspominał własną ucieczkę przez Strefę Zakazaną, przewodnik mierzył się ze swoimi demonami przeszłości.

– Nie próbowaliście wrócić na swoje? – zapytał w końcu Nauczyciel, który pierwszy otrząsnął się z tego letargu.

– Do Republiki? – Sajgon podniósł głowę. – Próbowaliśmy, szefie. Jakiś rok po zamknięciu granicy Burmistrz uznał, że już czas sprawdzić sytuację, i wysłał w teren swoich ludzi. Kilku naszych poszło z nimi jako przewodnicy. I im, i nam marzyło się przejście bogactw Republiki, tym bardziej że bieda aż piszcziała, jak przestaliśmy zaopatrywać resztę Miasta.

– I co?

– I nic. Patrole weszły na opuszczony teren, trafiły na rozszabrowane enklawy, w których zostały tylko szkielety. Sporo ich było... Nasi, rozumie szef, do końca wierzyli, że Miasto im pomoże, więc uciekali z objętych zarazą terenów w tym właśnie kierunku. Niestety granica była zamknięta. Nikt nie reagował na wołania o pomoc. Co tu dużo mówić, rekoniesans trwał krótko, żołnierze wrócili po kilku godzinach. Wszyscy meldowali to samo. Dwie, trzy enklawy od Miasta powstała druga granica, również zamknięta na glucho. Im bliżej niej podchodzili, tym więcej widzieli dziwnych symboli i proporców. W kanałach ktoś usypał stosy kości, z których sterczały drzewca z ponakładanymi czaszkami, jakby nowi gospodarze chcieli powiedzieć: nie idźcie dalej, bo zginiecie.

– Lektery ci – mruknął Pamiętający.

– Zgadza się.

– Jaktam się dostali?

– Tego nie wie nikt, ale jedno jest pewne, podaliśmy im się na talerzu. – Splunął, zorientowawszy się w dwuznaczności tego stwierdzenia. – Ci z naszych, którzy przetrwali zarazę, nie mogli obronić Republiki. Może gdybyśmy ruszyli dupy kilka miesięcy wcześniej...

– I tak mieliście szczęście, że Burmistrza przypiliło – przerwał mu Nauczyciel, któremu w głowie kiełkowała zupełnie inna myśl. Jego zdaniem bardziej prawdopodobne było, że to niedobitki dawnych Republikanów, nie mając dostępu do reszty Miasta, stoczyły się z czasem i przeszły na kanibalizm. Tak jak miało to miejsce na Psim Polu i innych dalekich przedmieściach, gdzie cywilizacja upadła najprędzej. – W moich okolicach takie miejsca izoluje się na całą wieczność – dodał.

– Może mieliśmy szczęście, a może nie mieliśmy. – Sajgon wzruszył ramionami. – W każdym razie od tamtej pory obie granice są zamknięte.

4 | Bazar

Szli już prawie kwadrans, a wciąż nie natrafili na żywą duszę. To wydało się Nauczycielowi dziwne. Miasto było do niedawna jedną z najludniejszych dzielnic Wrocławia. Takie przy najmniej słuchy krążyły po dalszych enklawach.

– I jest nadal najludniejsze, szefie – zapewnił Sajgon, gdy pytanie padło na głos. – Tyle że my poruszamy się teraz po jego obrzeżach, w pasie przygranicznym, gdzie ludzie nie mają interesu zaglądać.

– Mówiłeś, że idziemy na jakiś bazar – przypomniał mu Nauczyciel.

– Idziemy, idziemy. Ale bokiem, jak kazał Tesla, żeby nie zwracać niepotrzebnie uwagi. Jeszcze dwa zakręty, szefie, i dotrzemy do głównego burzowca. Tam zrobi się naprawdę tłoczno.

Kanały, którymi i maszerowali, były proste jak wzór metra. Większość odcinków miała gładkie betonowe ściany zamiast ceglanych murów, co mogło świadczyć nie tylko o ich dobrym stanie, ale i względnej nowości.

Przewodnik nie kłamał. Najpierw usłyszeli szum, jakby gdzieś w pobliżu płynęła woda, potem, po skręceniu raz w prawo, raz w lewo, dotarli do kraty, za którą Pamiętający zobaczył tłumy ludzi.

Sajgon skinął na umundurowanego osiłka pilnującego wyjścia. Nie musiał nic mówić. Tamten zmierzył ich wprawdzie pogardliwym spojrzeniem, ale posłusznie odsunął skobel, po czym otworzył wszy kratę, dał znak, że mogą opuścić boczny tunel.

Zeskoczyli z niewysokiego murku i zmieszali się z handlarzami zmierzającymi w kierunku bramek pobliskiego posterunku. Pod przeciwległą ścianą szerokiego jak autostrada burzowca sunęły nieco rzadsze zastępy kobiet i mężczyzn, zmierzających w przeciwną stronę. Obie te ludzkie rzeki miały jedną cechę wspólną: niosły ze sobą wszelakiego rodzaju paki i worki, torby i walizy. Nauczyciel nie widział w pobliżu nikogo, kto miałby puste ręce.

Kontrola przebiegała szybko i sprawnie. Opuszczających teren Miasta po prostu przepuszczano, przybijając wielkie stemple na dłoniach. Tych, których wracali, trzepano za to jak na przedwojennych lotniskach. Przy długich stołach rozstawionych przed szeregiem identycznych bramek czekało kilkudziesięciu strażników w stalowoszarych mundurach straży

miejskiej – to im właśnie należało okazywać wnoszone dobra. I to oni pobierali myto, rekwirując, co popadnie. Nikt jednak nie protestował, dzięki czemu ruch nie ustawał nawet na sekundę.

Nauczyciel przyjrzał się uważniej odbitej na skórze pieczęci. Wzór był prosty, przedstawiał szachownicę, herb Miasta i jakiś niewyraźny napis.

– Bazar... – Kilka sekund później rozległo się wypowiedziane z ogromną nabożnością słowo.

Oderwał wzrok od własnej dłoni. Burzowiec dzielił się w tym miejscu na trzy równie szerokie odnogi, w których wzdłuż ścian porostawiano rzędy kramów ciągnących się aż po kres widoczności. Były ich tam setki, większych, mniejszych, zrobionych porządnie i skleconych naprędce. Zdecydowana większość ugięła się pod stosami towarów, a dało się tam znaleźć wszystko od broni po żarcie.

– Co to za miejsce? – zapytał Pamiętający, rozglądając się wokół.

– Bazar, szefie – powtórzył przewodnik

– To widzę. Pytam, co tu było wcześniej, przed wojną – wskazał głową sklepienie.

– Nad nami są ruiny Wrocławskiego Parku Przemysłowego.

– Znaczą Pafawagu... – mruknął Nauczyciel.

– Pafawag? – zdziwił się przewodnik – W życiu o czymś takim nie słyszałem, szefie.

– Nieważne. To miejsce znajduje się za granicą Miasta.

– Zgadza się.

– Do kogo więc należy?

– Do nikogo. Na mocy traktatu z dwudziestego drugiego Bazar jest eksterytorialny. Nikt nie ma nad nim kontroli ani zwierzchnictwa, choć graniczy z terenami aż czterech frakcji. To jedyna droga do Miasta – wskazał za siebie. – Z tamtej strony można było kiedyś wejść na terytorium Republiki – jego palec powędrował na kanał po lewej. – Tędy idzie się do Wszechwrocławia – przesunął go na środkowy z trzech burzowców. – A tam jest Liga – zakończył, wskazując ostatni ciąg kramów. – Ale handlować możesz, gdzie chcesz, jeśli tylko wykupisz sobie prawo do zajęcia kramu.

– Nie przyszliśmy tu kupczyć – przypomniał mu Pamiętający.

– Wiem, wiem, szefie. – Sajgon ruszył w tłum, kierując się ku odnodze prowadzącej do Ligi.

Musieli pokonać cały łącznik, którym odbywał się ruch z i do Miasta, co nie było wcale łatwe, ponieważ zaczynały się właśnie godziny szczytu. Nauczyciel dawno nie widział tylu ludzi w jednym miejscu. Nawet na trybunach areny, gdzie zebrali się Pasowie, by obserwować jego egzekucję, nie było tak tłoczno jak tutaj. Szary tłum otaczał go, porywał, czasami ścisnął niczym szczęki żywego imadła, ale Pamiętający parł przed siebie jak taran, roztrzaskując przechodniów i omijając objuczonych jak muły kupców. Robił wszystko, by nie stracić z oczu niskiego przewodnika, o co w takim chaosie nie było trudno.

Luźniej zrobiło się dopiero po chwili, gdy weszli do właściwej odnogi. Tutaj ruch odbywał się w bardziej zorganizowany sposób. Ludzie szli w jednym kierunku w głąb tunelu, wzdłuż kramów, tłocząc się przy ladach. Środek szerokiego na dziesięć metrów burzowca był w miarę pusty, dzięki czemu znów mogli przyspieszyć.

– Gdzie mnie umówiłeś? – zapytał Nauczyciel, gdy przeszli kolejne pięćdziesiąt kroków.

– W Klatce Pełnej Cieniaków, szefie.

– Gdzie?! – Pamiętający zatrzymał się w pół kroku.

Sajgon zauważył to dopiero po chwili. Zerknął przez ramię, obrócił się i wyszczerzył zęby.

– Mocna nazwa, nie? – rzucił, zanim się rozrechał.

– Głupia raczej – prychnął Pamiętający. – Kto normalny chciałby wejść między cieniaki?

– To już niedaleko. – Przewodnik otarł zaczerwienione oczy; nerwowa reakcja Nauczyciela rozbawiła go do łez. – Zadne miejsce, mówię ci, szefie. Żarcie pierwsza klasa, bimber też nierozwadniany. No i można pogadać na osobności, jeśli zajdzie potrzeba, a o to przecież nam chodzi, nie?

– Poniekąd – burknął Pamiętający.

Ruszyli dalej, mijając tłumy ludzi oblegających kolejne stragany. Bazar był wielki, tętnił życiem, jakby czas zatrzymał się tutaj zaraz po Ataku, a nawet przed nim. Gdzieniedzie, raz po prawej, raz po lewej, mijali miejsca, w których było luźniej. Tam mieściły się knajpy. Zwykle, niewiele się różniące od podobnych lokali z Wolnych Enklaw, oczywiście z czasów, gdy ludzie na peryferiach byli bogatsi i chętniej przesiadywali w lokalach.

Nauczyciel przyglądał się odsłoniętym wnętrzom mijanych barów i tawern, w których przy zbitych z desek stolikach dobijano targów, pito na umór, topiąc smutki i żale, albo obżerano się szczyrzną oraz innymi postapokaliptycznymi smakami. Sam chętnie przysiadłby w jednym z tych miejsc i zamówił słoiczek mętnego jak jego myśli bimbrowa, aby zapomnieć choć na chwilę o czekającej go misji.

– To tam. – Sajgon wskazał wybrzuszenie w obłej ścianie, gdzie krył się wylot bocznego korytarza, pilnowany przez dwóch karków.

Ludzie omijali to miejsce szerokim łukiem, jakby bali się, że któryś z ochroniarzy wciągnie ich do wnętrza lokalu, gdzie trafią do zdołającej wielki sztyl klatki, w której czarny jak smoła cieniakowijał się wokół talii smukłej nagiej dziewczoi.

– Reklama równie gustowna jak nazwa – mruknął Pamiętający, gdy skręcili, by podejść do kraty blokującej przejście.

– Właścicielka nie narzeka, możesz mi wierzyć – zapewnił go przewodnik dając jednemu z karków umówiony znak

Dryblas o wypranej z inteligencji, płaskiej twarzy wciśniętej pomiędzy przeraźliwie odstające uszy uchylił na moment kratę, a potem zatrzasnął ją z hukiem, gdy tylko wkroczyli do wąskiego korytarza. Nie było tu jednak tak ciemno, jak mogło wydawać się z zewnątrz. Grube kotary, na które trafili dosłownie dwa kroki dalej, oddziały właściwe wejście do knajpy od handlowej części Bazaru.

Za pierwszą z zakurzonych nieziemsko zasłon płonęła lampa, za drugą, wiszącą tylko kilka metrów dalej, Nauczyciel zobaczył korytarz podobny do tego, którym prowadzono go nie tak dawno do kwatery Białego. Ku swojemu bezgranicznemu zdziwieniu zauważył, że miejsce to jest wierną kopią pomieszczeń, w których Inny urządził sobie siedzibę. Tu też znajdowały się wejścia

do czterech bocznych komór – oczywiście przesłonięte grubymi, niegdyś ciemnokarminowymi kotarami – i leżące dalej wąskie wejście, za którym, tego był pewien, trafi do dwupoziomowej sali z biegnącymi przez środek ceglany mi pomostami.

– Tutaj, szefie! – Sajgon wskazał pierwsze pomieszczenie po lewej, ale Pamiętający minął go, jakby nie słyszał, i poszedł w głąb korytarza, w kierunku źródła zduszonych, ale jakże mu znajomych dźwięków.

Słyszał muzykę. Nie było to jednak zawodzenie kanałorosłej pieśniarki z bożej łaski, nikt też nie brzdąkał na strunach własnej roboty instrumentów. Zza kotary dobiegały prawdziwe rytmy. Ostre, mocne, jakby...

Rozgarnął pośpiesznie dwie kolejne zasłony i nagle znalazł się w zalanej mdłym blaskiem sali będącej idealnym odzwierciedleniem pomieszczenia, w którym urzędował przywódca jego dawnej enklawy. To jednak, w odróżnieniu od sali audiencyjnej Innego, było zupełnie inaczej urządzone. Kraty po obu stronach pomostu biegnącego od wejścia zostały usunięte. Wąskimi schodkami ciągnącymi się wzdłuż ścian można było zejść na niższy poziom, do właściwej sali tego lokalu. Tam rozstawiono osiem okrągłych stolików, zrobionych z drewnianych bębnow po kablach. Za siedzenia służyły klientom tego przybytku pieńki i zwykłe skrzyńki.

Na górze, za skrzyżowaniem pomostów, znajdował się bar i połączona z nim kuchnia, a raczej wielkie palenisko przypominające nieco to, przy którym pracował w kuźni Stannis. Nad nim na kratownicy grilla piekły się poukładane równo kawałki mięsa. Doglądała ich kompletnie naga, zgrabna blondynka o długich, mocno przepoconych włosach i naprawdę dużych oczach. Z daleka wyglądała, jakby została naoliwiona. Gdy Nauczyciel podszedł bliżej, zauważył, że przypomina z wyglądu pannę z szyldu Klatki. Co ciekawe, na jej skórze nie zobaczył zbyt wielu liszaj, co znaczyło, że w swoim niekrotkłam przecież życiu nie musiała – w odróżnieniu od większości jej klientów – przebywać na powierzchni. Dwie równie mocno rozneglizowane brunetki zajmowały się roznoszeniem zamówień. Jedna minęła właśnie stojącego na środku pomostu Pamiętającego, przemykając obok zwinnie jak gazela, druga czekała przy kontuarze na ostatnią porcję pieczysteo.

– Szefie! – zawołał z przejścia Sajgon. – Gdzie szef znowu polazł? To nie tu, tylko tam – wskazał głową na falujące jeszcze kotary.

– Morda w kubeł – uciszył go Pamiętający, łowiąc uchem melodię, którą tak dobrze znał. Ciężka, rockowa ballada Metalliki dziwnie brzmiała, wydobywając się z tuby nakręcanego ręcznie patefonu, ale wciąż miała moc. *Gdyby przed Atakiem ktoś zaczął katować tę płytę w podobny sposób, dostałby po ryju, i to na wstępie*, pomyślał Nauczyciel. *Teraz jednak, po dwudziestu latach słuchania wyjców, nawet tak bardzo zniekształcone dźwięki prawdziwej kapeli wydają się mieć doskonałe brzmienie.*

Pamiętający przykniął oczy, wsłuchując się w kolejne, harmonijne dźwięki. Nie przeszkadzały mu częste trzaski ani nagle przeskoki igły na rysach. Nie krzywił się, choć na tym podłym sprzęcie z epoki wczesnej pary głos Hetfielda mógł być łatwo pomyłony z najmniejszymi dokonaniem Mieczysława Fogga, a solówki brzmiały dziwnie piskiwe, jakby

ktos męczył kota.

To była prawdziwa muzyka, coś, czego nie słyszał od wieków.

– Spieprzaj, dziadzia, tu się pracuje.

Czar prysnął, gdy kolejne akordy zagłuszył cienki głosik. Otworzył oczy, szylując się do ciętej riposty, pewien, że zobaczy przed sobą wyszczerzoną gębę tej kretynki Iskry.

– Ruchy na sprzęcie, wapniaku – ponagliła go czarnowłosa kelnerka, która niosąc w drodze powrotnej wyładowaną tacę, nie mogła ominąć go na wąskim pomoście, jak przed chwilą jej koleżanka. – Nie patrz się na moje cycki jak szarik w gnat, tylko przebieraj ty mi chudy mi nóżkami i zapierdalaj na dół. Tu nie przyjmujemy zamówień.

Odsunął się na sam skraj kilkumetrowej przepaści, by mogła przejść, ale nie skorzystał z danej mu rady, tak samo jak wcześniej nie posłuchał kolejnego wezwania Sajgona. Ruszył w kierunku kontuaru, przy którym lśniaca jak zapaśnik blondyna ściągała ze szpikulca mocno opieczony, wielki jak dłoń pająki.

– Skąd żeś się urwał, człowieku z mapą na twarzy? – zapytała chwilę później, pochylając się, by wyjąć coś spod lady.

– Z Wolnych Enklaw – odpowiedział, podchodząc bliżej baru i źródła muzyki.

– A niech mnie, nie sądziłam, że dane mi jeszcze będzie zobaczyć żywego Czarnego Skorpiona – dodała, stawiając na kontuarze miskę pełną martwych, ale jeszcze surowych stawonogów. Sprawnie wycinała im zęby jadowe, patroszyła jednym szybkim ruchem, a potem nadziewała na rożen. – Patrz mi w oczy albo spieprzaj na salę – rzuciła, widząc, że jego wzrok błądzi gdzieś poniżej.

Zrobił, jak mówiła, choć wcale nie gapił się tam, gdzie myślała. Nigdy wcześniej nie widział tak wielkich pajęczaków. Owszem, w ruinach trafiało się czasem na prawdziwe okazy, ale te czarne potwory były czterokrotnie większe od znanych mu zmutowanych krzyżaków. Nado miały grube, pokryte licznymi wyrostkami chitynowe pancerze. Nie chciały spotkać takiego draństwa, zwłaszcza nocą, na swoim posłaniu.

– Niewykluczone, że innego już nie zobaczysz – odpowiedział.

– Kapitan zawsze schodzi ostatni – zażartowała, puszczając do niego oko.

Była młodsza od niego, i to sporo, ale i tak zaliczała się do grona ocalonych, którzy zeszli do kanałów, a nie urodzili się pod ziemią. Mogła mieć trzydzieści, może nawet trzydzieści pięć lat, a mimo to nie wyglądała na osobę w podeszłym wieku. W Wolnych Enklawach traktowano by ją już jak staruszkę, a tutaj wciąż świeciła gołym tyłkiem, kusząc bywalców tej speluny sylwetką, jakiej mogłyby jej pozazdrościć boginie przedwojennego fitnessu.

– Masz jakieś imię? – zapytał nieco bez sensu.

– A ty? – odpowiedziała rozbawiona jego zmieszaniem.

– Pytasz o to nadane w Skorpionach?

– Teraz mówią na ciebie Nauczyciel – stwierdziła, odwracając się, by położyć nadziane pająki na grillu.

Zaskoczenie musiało odbić się na jego twarzy, ponieważ tym razem wybuchnęła perlistym

śmiechem.

– To moja buda. I to ja zorganizowałam spotkanie na prośbę twojego nieskończonego przyjaciela – wskazała sterczącego wciąż przy wejściu przewodnika. – A na mnie mówią Freja.

– Ciekawe. Bogini płodności... – zawiesił na moment głos, ale gdy już otwierała usta, by skontrolować, dodał szybko: – I wojny.

– Otóż to, przyjacielu, otóż to. Tacy jak ty, kapitanowie, powinni się do mnie modlić. O szczęście w jednym i drugim.

– Nigdy nie byłem specjalnym wielbicielem mitologii – wyznał. – Wolę liczyć na siebie niż na dawno zapomnianych bogów.

– Twoja strata – zaśmiała się.

– Bardzo możliwe.

– Wybacz – przeprosiła go na moment. Przyjęła zamówienie od kelnerki, która zdążyła wrócić z dołu. Potem od jej koleżanki. Na tacach znalazło się kilka słoików mętnego, cuchnącego cierpko bimbrowa i kilka deszczulek zastępujących talerze, na których poukładała fachowo szczyrzoną, pajęczaki i po garści wędzonych pędraków. – To jak, zdradzisz mi swoje tajemne imię?

– Kiedyś mówili na mnie Duch – odparł, zanim dotarło do niego, co robi.

– Też ładnie – przyznała. – Mistycznie nawet. Co cię do mnie sprowadza? – zapytała, odesławszy obie pracownice.

– Spotkanie.

– Sajgon wie, którą salę wam zarezerwowałam. Pytam o to, co robisz przy barze.

– Usłyszałem muzykę – odpowiedział.

– U was, w Wolnych Enklawach, nie słucha się już płyt? – zapytała szczerze zaciekawiona.

Pokręcił głową. Ostatni raz słyszał prawdziwą muzykę dwa, może trzy lata po Ataku, jeszcze w kolonii Skorpionów. Po przejściu za Strefę Zakazaną zostało mu już tylko cierpienie podczas popisów miejscowych grajków.

– Nie – odparł z ponurą miną. – Nie wiedziałem, że na takim sprzęcie da się odtworzyć normalne winyle...

– Jeśli masz czym zapłacić Tesli, możesz spodziewać się cudów – wskazała niewielką tabliczkę zdobioną drewnianą ścianką patefonu. Zobaczył na niej logo, jakim stary profesor opatrywał wszystkie wyprodukowane w bunkrze sprzęty. – Nie wiem, jak mu się to udało, ale dostał rozwalony gramofon i tego muzealnego rupiecia, a trzy dni później miałam działający sprzęt.

– Pozostaje jeszcze kwestia płyt – dodał.

– Ja mam aż trzy – pochwaliła się Freja. – Czekaj.

Odwróciła się i pochyliła mocno, bez skrępowania, by otworzyć dolną szafkę starego kredensu, na którym trzymała słoje z napitkami. Odwrócił wzrok, choć dopiero po chwili, i raz jeszcze spojrzął w kierunku wejścia. Przewodnik stał tam wciąż, jakby bał się przekroczyć próg tego lokalu.

– Co z nim jest nie tak? – zapytał, gdy blondynka znów stanęła twarzą do niego.

– Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje – odparła, zanosząc się śmiechem.

– Czy li?

– Peszy go widokmoich... dziewczyn – wyjaśniła, zmieniając płytę.

Pokazała mu z daleka mocno podniszczoną, udartą od góry ołdakę: tam, gdzie kolor nie wyblakł do reszty, była fioletowa, jakiś mężczyzna wisiał w powietrzu, chyba w lesie. Nie rozpoznał grafiki, a z napisu zajmującego górną część kartonu niewiele zostało. Nazwa kapeli i tytuł nic mu nie mówiły. Dopiero gdy nakręciła patefon i odsunęła się o krok, coś zaczęło mu świtać. Znał ten kawałek. To brzdąkanie gitary, tę niby syrenę. Po pierwszej zwrotce głowa sama zaczęła mu się poruszać w rytm hipnotyzującej melodii.

– Zabij mnie, ale nie pamiętam nazwy tej kapeli – powiedział trzy minuty później, gdy igła patefonu zjechała na środek płyty po akordzie kończącym nagranie.

– Imagine Dragons – podpowiedziała. – *Radioactive*. Proroczy kawałek, nie sądzisz, kapitanie?

– Słyszałem go, ale... – Pokręcił głową. – Kapeli niestety nie kojarzę.

– To była świeżynka. Nagranie z dwa tysiące dwunastego. Mój stary miał pierdolca na punkcie tego singla. To chyba jedyny winyl tego kawałka na świecie. Wytłoczony w trzech egzemplarzach w studiu znajomego, na specjalne zamówienie tatusia.

Sięgnęła po ramię patefonu, by puścić nagranie jeszcze raz, ale zanim to zrobiła, zobaczył, że marszczy dziwnie brwi, spoglądając gdzieś za niego. Obejrzał się. Stojący przy kotarze Sajgon machał nerwowo.

– Już tu są! – syknął scenicznym szeptem.

– Chyba musisz już iść, kapitanie – powiedziała Freja, zdejmując płytę i zastępując ją ponownie Metallicą.

– Miło by było cię poznać, bogini – rzucił, odchodząc od kontuaru.

Przepuścił obie kelnerki, po czym wyszedł, nie odwracając się ani razu, choć czuł jej spojrzenie na potylicy. Ścigające go dźwięki muzyki ścichły gwałtownie, gdy przewodnik puścił podtrzymywane kotary.

5 | Spotkanie

Przy kotarze, którą wcześniej wskazał mu Sajgon, stał chłopak ubrany w sprane niemal do białości, postrzępione w wielu miejscach dzinsy, grubą koszulę roboczą z flaneli, także pozszywaną z co najmniej dwu różnych szmat, i zdefasonowaną bejsbolówkę z obowiązkowym logo Adidasa. Rękawy i nogawki jego niezbyt dresiarzkiego odzienia zdobiły pasy, naszyte ręcznie, niechlujnie. Był bardzo chudy, o głowę wyższy od Nauczyciela. Patrzył na zbliżających się do niego mężczyzn wyniośle, tarasując wejście.

– Te, paladyn ortalionu – rzucił zjadliwym tonem Sajgon, nie wychodząc jednak zza pleców Pamiętającego. – Spierdalaj nam z drogi, bo gościa do twojego lidera prowadzę.

Porucznik Messiego prychnął pogardliwie, wyciągając ręce z kieszeni. Na palcach obu dłoni miał kaskety domowej roboty. Ciężkie, z kolcami, takie, po jakich lepiej od razu zdechnąć, niż się niepotrzebnie męczyć.

– Paragon! – usłyszeli zduszony przez kotarę okrzyk, zanim któkolwiek wykonał kolejny ruch. – Opuść.

Dryblas skrzywił się pogardliwie, potem splunął pod nogi Nauczyciela, przesunął się majestatycznie o kroki znów wbił wzrok w przeciwległą ścianę, jakby stał tutaj sam jak palec.

Pamiętający powstrzymał ręką wybiegającego przed niego przewodnika.

– Zostań – powiedział.

– Tutaj, szefie? – Mikrus zrobił wielkie oczy, zerkając bojaźliwie na wysokiego Pasa.

– Tak Tutaj.

Nie czekając na reakcję, Nauczyciel odsłonił kotarę szybkim ruchem i wślizgnął się w panujący za nią półmrok. Pomieszczenie to, podobnie jak jego odpowiednik w enklawie Innego, miało tylko kilkanaście metrów kwadratowych, a jego betonowe sklepienie zdawało się wisieć tuż nad głową. Na samym środku ustawiono stół, okrągły jak te w sali na dole i także zrobiony z szerokiego na dwa metry bębna po kablach. Wokół stały jednak nie skrzynki, nie pieńki, tylko najprawdziwsze plastikowe krzesła ogrodowe. Było ich sześć: dwa zajęte, cztery wolne. Na jednym, w blasku samotnej lampy zwisającej z sufitu dokładnie nad środkiem blatu, rozpiął się Messi. Drugie zajmował nieznanym Pamiętającemu drągał, ubrany bardzo podobnie do

porucznika, którego zostawiono na czatach.

Nauczyciel podszedł do stołu, gdzie zajęł miejsce dokładnie naprzeciw nowego lidera Ligi. Na towarzyszącego mu młodzika nawet nie spojrział.

Coś tu było nie tak. Coś mu bardzo nie pasowało... Zmysł ostrzegawczy, wyrobiony latami życia w zagrożeniu, po prostu oszalał. Gdy Messi skinął głową, nakazując pomagierowi, by ten nalał bimbru do stojących na tacy słoików po dzemie, Pamiętający rozejrzał się uważnie wokół. Wszystkie ściany, teraz ledwie widoczne w półmroku, pomalowano miejscami na czarno, a następnie pokryto drobną siatką. Sufit wyglądał podobnie. Żelazne pręty, biegnące od posadzki do powały i nad jego głową, dopełniały obrazu. Człowiek faktycznie miał wrażenie, że wszedł do klatki.

Wszystkie włoski na przedramionach i karku stały. Nauczycielowi dęba, gdy zrozumiał w końcu powód zaniepokojenia.

Nie byli tu sami. To, co początkowo wziął za plamy...

Z trudem zapanował nad nerwami. W wąskiej przestrzeni pomiędzy betonem a siatką pełzały żywe cieniaki. Nazwa tego lokalu nie była więc czczym wymysłem. Wychylił zawartość podsuniętego mu słoiczka jednym haustem i odstawił go z hukiem na blat. Zajzajer palił w usta i przełyk, a spływając do żołądka, krzesał w nim żywy ogień. Trzymający wciąż w ręku flaszkę Pas spojrział na niego pytająco. Nauczyciel skinął głową i naczynie zostało napełnione ponownie, tym razem do połowy, a potem błyskawicznie opróżnione.

– Chciałeś ze mną rozmawiać – rzucił Messi zdziwiony tempem narzuconym przez dwukrotnie starszego od niego mężczyznę.

– Owszem – odpowiedział Pamiętający przez ściśnięte gardło.

Z czego oni robili to świństwo? Smakowało jak rozcieńczona politura.

– Więc mów, Duchu, zanim urznieś się w trupa.

Pamiętający uśmiechnął się krzywo. Alkohol zaszedł mu w głowie, pozwalając zapomnieć o mutantach za jego plecami, a nawet nad głową.

– Jest sprawa.

– Tyle to już wiem. – Nowy lider Ligi pociągnął łyczek bimbru.

Nawet się nie skrzywił, zupełnie jakby pił wodę. Chyba przywykł już do tego świństwa.

– Mam propozycję.

– Słucham.

– Dla ciebie, nie dla niego.

Messi spojrział na Nauczyciela z kąpiącym uśmiechem.

– To mój pierwszy zastępca. Nie mam przed nim tajemnic.

Pamiętający odpowiedział podobnym grymasem, zanim łyknął bimbru po raz trzeci. Tym razem ostrożniej. Dużo ostrożniej.

– Ten sekret możesz chcieć zatrzymać tylko dla siebie – dodał.

Pas milczał, taksując go badawczym spojrzeniem. Długo patrzyli sobie w oczy.

– Zostaw nas.

Porucznik z miejsca odstawił opróżnioną w jednej trzeciej flaszkę i wyszedł, nie patrząc nawet na Nauczyciela. Był wkurzony, i to na maksa, ale ktoś z jego pozycją nie mógł i nie powinien okazywać żadnych emocji. Zwłaszcza przed obcymi. To była jedna z wielu dziecinnych zasad, od których ci ludzie nie potrafili się uwolnić nawet po tylu latach.

– Słucham. – Messi pociągnął jeszcze jeden ostrożny łyk, potem odstawił słóiczek, by sięgnąć po wciąż parującego, pieczonego pająka. Wyłamała najpierw wszystkie odnóża, potem oderwał odwłok i wyssał go dokładnie, a opróżnioną chitynową skorupę rzucił niedbale w kierunku ściany. Kilkunastocentymetrowy ochłap nie odbił się jednak od siatki, tylko przywarł do niej jak opilek schwytany magnesem, a potem zniknął w mroku z charakterystycznym trzaskiem miazdzonego pancerza.

Nauczyciel poczekał spokojnie na koniec tego przedstawienia, wiedząc, że on też przygotował na tę okazję specjalny pokaz.

– Organizujemy przerzut większej grupy ludzi – zaczął.

– My, czyli kto?

– To nie powinno cię interesować.

– Mylisz się. – Messi zaczął wysysać kolejne nogi pająka, jakby nie interesowało go specjalnie, co rozmówca ma do powiedzenia.

– Ujmę to tak. Albo dasz mi dokończyć, nie zadając kretyńskich pytań, albo pogadam jutro z kimś innym, co marnie się dla ciebie skończy.

– Lubisz straszyć, starcze – zakpił lider.

– Lubię też i umiem zabijać – odparł Nauczyciel, po czym dopił biber.

Messi rzucił wyjedzone nogi, ale tym razem nie trafił w miejsce zajmowane przez cieniaka. Za siatką zawrzało, gdy głodne bestie zaczęły się przesuwać w kierunku zdobyczy, której nie były w stanie dosięgnąć.

– Niech ci będzie.

– Jutro i pojutrze chcemy przerzucić do Miasta dużą liczbę naszych ludzi. Pójdą tą samą trasą, którą ja szedłem kilka dni temu. Musisz nam zagwarantować bezpieczne przejście przez wasze terytorium. Nie chcę widzieć na naszej drodze ani jednego twojego człowieka.

Messi milczał, czekając na ciąg dalszy, ale kiedy Pamiętający sięgnął po butelkę, zrozumiał, że to już koniec przemowy.

– W zamian za co? – zapytał.

Na blacie wylądował z hukiem pistolet. Lśnił od oliwy beretta. Lider Pasów spojrział najpierw na nią, potem na Nauczyciela.

– Iwan! – zawołał.

Wzywany porucznik natychmiast wetknął głowę za kotarę.

– Tak?

Beretta zadyndała na palcu Messiego.

– Ile mamy takich? Trzy czy cztery?...

– Cztery kontenery.

– Znikaj.

– Tajest!

Znów zostali sami. Messi rzucił pistolet.

– Na cholere mi więcej tego złomu?

– Rozumiem. Klamki cię nie interesują. A ile masz do nich pestek?

Nauczyciel podniósł beretę, wysunął magazynek i wyłuskał z niego kciukiem trzy kolejne naboje. Pociski spadały na blat, odbijając się od niego z grzechotem. Jeden zatrzymał się dopiero na tacy.

Nowy przywódca Pasów nie miał już tak lekceważącej miny. Obejrzał nabój fachowym okiem, jak niedawno zrobił to Nauczyciel. Zważył go też w dłoni. Oba testy wypadły pomyślnie, ale wciąż nie wyglądał na przekonanego.

– Śląd mam wiedzieć, że to nie podróbki z popiołem zamiast prochu?

– Wiedziałem, że o to zapytasz. – Pamiętający pogmerał w torbie i wyjął narzędzie przyominające młotek.

Rozłożył na stole kawałek czystej szmatki i spojrzał pytająco na Pasa. Messi wskazał wybrany przez siebie nabój. Nauczyciel założyła na niego metalową kryzę, odkręcił nasadkę na grubszym końcu narzędzia i wsunął do niej łuskę. Gdy wszystko zostało ponownie szczelnie zamknięte, pochylił się ponownie, wziął szybki zamach i uderzył cieńszym zakończeniem młotka w ceglaną posadzkę.

– Co jest? – zza kotary dobiegł zdławiony grubym materiałem głos Paragona.

– Nie interesuj się! – zgasił go Messi.

Obserwował uważnie, jak nauczyciel wyciąga z wnętrza młotka kinetycznego, albo jak kto woli balistycznego, pustą łuskę. Kula i proch trafiły moment później na szmatkę. Pas przyjrzał się szaroczarnemu pyłowi z dużym zainteresowaniem, po czym przeniósł wzrok na Pamiętającego.

– Powiedzmy, że mnie zainteresowałeś, Skorpionie – rzekł, odstawiając trzymany w ręku nabój na blat.

– Rozumiesz już, dlaczego chciałem rozmawiać w cztery oczy?

– Tak

Ten, kto posiadał amunicję, mógł dziś osiągnąć naprawdę wiele. Był w stanie trzymać konkurentów w szachu długo po tym, jak wystrzelił ostatnią kulę. O ile rzecz jasna jego przeciwnicy nie dowiedzą się wcześniej, jaką liczbą naboji dysponował.

– Do tej dziewięćdziesiątki dwójki dołożę ci pełen magazynek, czyli piętnaście pestek, wliczając tę rozmontowaną – kontynuował Pamiętający. – To powinno wystarczyć do umocnienia twojej władzy, gdyby w najbliższym czasie wystąpiły jakieś nieprzewidziane problemy.

– Dasz mi je w zamian za zejście wam z drogi?

– Za to, że przez najbliższe dwa dni nie zobaczę ani jednego waszego patrolu pomiędzy dawną przeprawą karawan a granicą Miasta – uściślił Pamiętający.

– Dwa magazynki i umowa stoi.

Nauczyciel sięgnął po zakąskę, ale w odróżnieniu od rozmówcy wybrał tradycyjnie, lekko tylko zwęgloną, wystygłą tuszkę szczurzy ny, którą zagryzał dla smaku uwędzonymi w dymie z paleniska pędrakami.

– Nie – odpowiedział chwilę później z pełnymi ustami.

– W takim razie nie ma umowy. – Messi nie wyglądał na przejętego. Pochylił się od niechcienia, by nalać sobie bimbrowu.

Poruszając szybko szczęką, Nauczyciel obserwował uważnie jego dłonie. Drżały lekko, ale zauważalnie. Drań tylko zgrywał twarziela. Zależało mu na amunicji. Dzięki niej stanie się nietykalny. Wątpliwe bowiem było, by którykolwiek z jego przeciwników dysponował choć jednym nabojem. Łusek pistoletów, karabinów i innej broni Pasowie mieli całe skrzynie, podobnie jak każda z pozostałych frakcji, ale prochu... zero.

– Szkoda – rzucił Nauczyciel po tym, jak przełknął włókniste mięso, popił je łykiem bimbrowu i otarł usta. – Może twoi konkurenci do tronu Ligi będą bardziej skorzy do rozmów – dodał, wstając i schylając się po rozrzucone naboje.

– Nie takszybko, staruszk.

Messi położył dłoń na jego ręce. Była lepka od potu.

– Jeśli zamierzasz mi grozić... – zaczął Pamiętający, patrząc mu prosto w oczy.

Pas się cofnął.

– Myślałem, Skorpionie, że przyszedłeś tutaj negocjować – powiedział.

– Przyszedłem ci przedstawić konkretną propozycję. Nie obiecuję ci czegoś, czego nie mam, więc po starej znajomości powtórzę, ale po raz ostatni: bierzesz te piętnaście pestek i kłamkę w zamian za zejście mi z drogi czy mam organizować wam kolejny przewrót?

– Nie dajesz mi wyboru.

– Sam też go nie mam. – Nauczyciel usiadł.

Pociski trafiły kolejno na swoje miejsce. Wsuwał je do magazynka bardzo wolno, by lider widział wyraźnie, co może stracić, odrzucając jego propozycję.

– Dorzuc jeszcze dziesięć pestek.

– Nie mam tylu.

– Kłamiesz.

Pamiętający się zaśmiał.

– Z nas dwóch to ja jestem ten dobry i prawdomówny. Obiecałem coś Pelemu i dotrzymałem słowa. Nie chcesz chyba pójść w jego ślady.

– Dasz pięć dodatkowych naboji i umowa stoi.

– Pełen magazynek to wszystko, co możesz ode mnie dostać. To i tak potęga, jakiej nie ma dzisiaj nikt inny w tej części Wrocławia.

– Skoro Burmistrz dał ci tyle naboji, to znaczy, że...

– Pan Jan, czy jak mu tam, nie ma bladego pojęcia, że ktoś taki jak ja przebywa na jego terytorium. Jestem oby watelem Wolnych Enklaw, nie Miasta.

Messi do reszty stracił rezon. Nie miał już żadnej karty przetargowej, a ten magazynek był

dla niego wart ty le co wszystkie głowice nuklearne dla prezydentów Rosji i USA. Samo pokazanie ich rywalom powinno zapewnić mu dominację po wsze czasy. *Tak ma myśleć, kiedy będzie opuszczał to pomieszczenie, choć gdyby głębiej się zastanowił, zrozumiałby, że polityka atomowego odstraszenia wielkich mocarstw nie na wiele im się zdała...*

– Dobrze. Umowa stoi – wydukał w końcu lider, wyciągając rękę wielką jak bochen przedwojennego chleba.

6 | Kramarz

Wrócili burzowcem, niesieni nurtem rzeki tragarzy, kupców i zwykłych klientów. Tłum topniał stopniowo, na każdym rozwidleniu kanałów od masy prących przed siebie ludzi odrywały się pojedyncze osoby albo całe grupki mieszkańców innej części Miasta. Po kilku minutach marszu wokół Nauczyciela i jego przewodnika zrobiło się luźniej. Po kwadransie pod łukowatym sklepieniem panował już normalny ruch.

Miasto w niczym nie przypominało Wolnych Enklaw i pozostałych dzielnic, które Pamiętający zwiedził podczas wieloletniej tułaczki. Nie było tu odseparowanych od siebie, zamkniętych sadyb. Kanały przejęły po prostu funkcje przedwojennych ulic. W wąskich przejściach nikt się nie gnieździł, za to w każdym szerszym tunelu było niemal tak tłoczno jak na Bazarze. Nie było to całkiem chybione porównanie, ponieważ tutaj także handlowano. Wędrując pomiędzy ciągami apartamentów, Pamiętający co rusz trafiał na zachwalających swoje towary przekupniów i straganiarzy. Większość oferowała zwykłe zarcie albo tanie wyroby kowalskie, ale trafiały się też wyjątki. Jednym z nich był bajecznie kolorowy kram zastawiony książkami i czasopismami.

– Daleko jeszcze? – zapytał Nauczyciel, gdy jego przewodnik zwolnił na moment, by przywitać się z właścicielem, niskim chłopakiem o bardzo wychudzonej i owrzodzonej twarzy.

Ktoś zbyt często wysyłał tego gówniarza na powierzchnię, uznał Pamiętający, obserwując z oddali pokryte liszajami policzki i czoło handlarza.

– Parę kroków, szefie – odparł Sajgon. – Za trzy minuty zajdziemy, ale najpierw muszę załatwić pewną sprawę.

Nauczyciel wzruszył ramionami. Nie śpieszyło mu się do ponownego spotkania z Iskrą. Wiedział, że zetną się kilka sekund po otwarciu przez nią ust. Taka już była. Upierdliwa, złośliwa i niepotrzebnie butna. Całkiem jak ja, pomyślał, uśmiechając się w duchu.

Czekając na zakończenie rozmowy, rozglądał się po kramie. Młody handlarz oferował wszystko, co zrobiono z papieru. Na rozpiętych między zardzewiały mi rurami sznurkach, w głębi i nad skrajem lady wisały szcztane nieludźko czasopisma. To ich mocno już wyblakłe, choć wciąż barwne okładki tworzyły odmienny od wszechobecnej szarości wystrój tego miejsca.

W tylnych narożnikach wystawy, poza zasięgiem klientów, chłopak trzymał stosiki pożółłych gazet. Pomiędzy nimi leżały ułożone jedna obok drugiej książki. Dziesiątki tomików rozmaitego formatu i grubości. Większość, ku zaskoczeniu Nauczyciela, była podarta, jakby ktoś powyrywał z nich kolejne strony. Tylko kilka miało jeszcze okładki.

– Możemy iść, szefie! – wołanie przewodnika oderwało Pamiętającego od przeglądania towaru.

– Sekundę – poprosił, przywołując kramarza machnięciem ręki. – Po ile sprzedajesz książki? – zapytał, gdy chłopak przykuśtykał za ladę.

– To zależy.

– Ile chcesz za tę? – wskazał pierwszy z brzegu kompletny tomik

Z podartej, szarej okładki patrzył na niego oblechowaty mężczyzna o zmierzwionych włosach, końskiej twarzy i obwisłych policzkach. Pomimo marynarki i błękitnej koszuli już na pierwszy rzut oka wyglądał na Anglika albo orangutana. Wydawał się przy tym dziwnie znajomy... Dolną część okładki, na której musiało znajdować się nazwisko autora i tytuł, ktoś oderwał. Sądząc po zbrązowieniach, jakie zdołały nierówną krawędź, ta część książki musiała być nadpalona. Na górnej natomiast widniało tylko hasło reklamowe: „Ostre pióro, błyskotliwy humor, pełna pasji narracja”. To mogło być dobre.

– Dam ci dwadzieścia kartek za porządną, wędzoną tuszkę – odpowiedział z błyskiem w oku handlarz.

Ślinił się przy tym jak wygłodniały szarik, który zwęszył padlinę.

– Co znaczy: za dwadzieścia kartek? – zdziwił się Nauczyciel.

Chłopak spojrzał niepewnie na niego, potem zerknął na czekającego opodal Sajgona.

– No... Ludzie normalnie po tyle kupują. Chyba że chcą większy format, wtedy dają pięć albo dziesięć kartek za jednego szczura. – Wskazał paluchem na wielgachny tom leżący niemal na samym końcu lady. To była solidna encyklopedia albo jakiś słownik – Mam najlepsze ceny po tej stronie Pogorzelska – zakończył gadkę wyuczonym na pamięć, ale niebrzmącym zbyt przekonująco sloganem reklamowym.

– Na cholere mi kilka kartek? – zachnął się Pamiętający. – Jak mam ją czytać, skoro następną część tekstu możesz opchnąć komuś innemu?

Owrzodzonemu opadła szczęka.

– To ty chcesz ją do czytania?

– Nie, origami będę sobie robił w przerwach między wybijaniem ci kolejnych zębów – warknął Nauczyciel.

Nigdy nie miał zbyt dobrego zdania o Wolnych Enklawach, ale to miejsce i ci ludzie wydawali mu się tak dziwni, jakby trafił na inną planetę.

Kramarz pobladł. W spojrzeniach rzucanych dębującemu w nosie przewodnikowi widać było czytelne błaganie o pomoc. Sajgon w końcu zauważył, że coś jest nie tak.

– Jakiś problem, szefie? – zapytał, dołączając do Pamiętającego.

– Książkę chciałem kupić, a ten pryszczak chce mi ją na kartki sprzedawać.

– Po co szefowi od razu cała książka? – zdziwił się przewodnik – Nie lepiej nosić po parę kartek w kieszeni i dokupować nowe w miarę potrzeby? Książek nam tu nie zabraknie, jak szef widzi.

– Co ty bredzisz? – Nauczyciel spojrział na niego jak na wariata.

– On chce ją czytać... – wymamrotał pobladły handlarz.

Sajgon cofnął się pół kroku. Brwi powędrowały mu w górę czoła.

– Czytać, powiadasz... – Pokręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom. – To trzeba było od razu tak mówić. – Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech tak szeroki, że gdyby nie odstające uszy, górna część czaszki wylądowałaby pewnie na ziemi. – To nieporozumienie, szefuńciu. Nieporozumienie. Szługa prowadzi naszą dzielnicową trafikę. Ludzie zaopatrują się u niego w papier do skrętów. Wie szef, drobiaż suszone porosty i fajki sobie z nich skręcają.

– Używają kartek książek zamiast bibuły?

– Głupki, nie? – Sajgon machnął lekceważąco ręką. – Papier z gazet jest dużo lepszy, bo cieńszy, ale wie szef, to kosztuje. Mało kogo dzisiaj na niego stać. Dlatego w naszej okolicy książki cieszą się takim wzięciem.

Owzrodzony przytakiwał każdemu jego zdaniu.

– Jakis czas temu kupilem okazyjnie parę worków banknotów, ale w ogóle nie idą – wtrącił. – Ponoć capią przy ćmieniu, jakby ktoś gówna do nich nasypał, a nie porządnych poro...

Zamilkł w pół słowa, widząc groźbę w spojrzeniu Nauczyciela.

– Co ty nie powiesz...

W Wolnych Enklawach mało było palących, głównie za sprawą braku dostępu do ziółek, którym dałoby się napchać fajkę albo wypełnić skręta, ale i tam wszyscy wiedzieli, że podsycanie ognia banknotami to głupi pomysł. Dym z nich był strasznie gryzący.

– Jeśli tak bardzo chcesz, to sprzedam ci całą książkę – zaproponował nagle Szługa, rozpaczliwie próbując dobić targu. – Za ten nóż na przykład – wskazał wiszącą na pasku Nauczyciela akulę.

– Mam ci kosę sprzedać? – Pamiętający uśmiechnął się tak krzywo, że chłopak ponownie zbladł. – Ale wiesz, że z takim sprzętem w plecach nie da się ani o ścianę oprzeć, ani porządnie na posłaniu wyciągnąć?

– Po co te nerwy, szefie? – Przewodnik stanął pomiędzy nimi, usiłując załagodzić sytuację. – Chłopak dobrze chciał. Sprzedawanie papieru to jego robota.

Nauczyciel splunął pod nogi i odwrócił się na pięcie.

– Barbarzyńcy – mruknął pod nosem.

* * *

– Co znaczy: musiała wyjść?

Sajgon rozłożył bezradnie ręce.

– Tak mi powiedzieli, szefie. Czełała na nas, czełała, a potem przybiegł jakiś dzieciaki i poszła z nim.

Pamiętający zajrzał w głąb krótkiej odnogi, którą przerobiono jakiś czas temu na tanią noclegownię. Korzystali z niej głównie ludzie wędrujący z odleglejszych okolic na Bazar. Kiedyś miejsce to musiało się cieszyć ogromnym wzięciem, teraz upadało jak cała reszta Miasta i Wrocławia.

Nauczyciel podniósł głowę. Nad kolistym wylotem wypełnionego legowiskami bocznego tunelu wisiał wielki szyld. Koślawe litery układały się w napis: SZERATON. Gdyby nie kójrzył tej nazwy sprzed wojny, pewnie nigdy by się nie domyślił, co miała w ogóle znaczyć. I to nie dlatego, że napisano ją z karygodnym błędem. Korozja już dawno przeżarła blachę, na której wymalowano czarne litery. A z ciągu gwiazdek, których było sześć i pół, też niewiele zostało. Sheraton... Pamiętający westchnął ciężko. Albo właściciel tej nory miał tak wysokie mniemanie o sobie, albo malarz był niezłym jajcarzem.

– Dokąd poszła?

– Tam, za róg. Do Muszelki.

– To kolejna okoliczna speluna? – jęknął Pamiętający.

– Coś tak jakby... – Sajgon splotił się.

– Wykrztuś to z siebie wreszcie.

– Do burdelu poszła.

Nauczyciel zrobił wielkie oczy.

– Za każdym razem, kiedy myślę, że już nic bardziej durnego mnie nie spotka... – zaczął, ale nie dokończył. – Prowadź.

7 | Muszelka

Muszelka znajdowała się nie za rogiem, jak początkowo twierdził Sajgon, tylko w odnodze głównego burzowca. Na szczęście dla przewodnika, nie było to jednak daleko. Dotarli tam w dwie minuty.

Wejścia do tego przybytku nie dało się przeoczyć, mimo że po centralnej arterii tej części Miasta kręciły się tłumy ludzi. Już z daleka Nauczyciel zauważył dwie czerwone lampy wiszące nad otwartą na oścież kratą. Gdy podeszli bliżej, zobaczył wymalowaną na betonowej ścianie, długą na kilkanaście metrów, niewątpliwie kobiecą nogę, sięgającą wylotu ciemnego jak noc korytarza, który właściciele tego przybytku przyozdobili – a jakże – sztucznym czarnym włosiem. Druga, identyczna kończyła zdobila ścianę po przeciwnej stronie wejścia do burdelu.

– To miasto nie mogło już bardziej upaść – wymamrotał Pamiętający, pochylając głowę, by wkroczyć prosto w czarne krocze namalowanej dziwki.

Efekt mroku uzyskano tutaj tym samym sposobem jak w Klatce Pełnej Cieniałów. Dwie grube, ciężkie od brudu zasłony odgradzały oświetlony kilkoma lampami korytarz od zgiełku panującego w burzowcu.

Minąwszy krótki łącznik, obaj mężczyźni znaleźli się w nieco szerszym korytarzyku. Cuchnęło w nim przeraźliwie niezbyt aromatycznym dymem i tanim alkoholem, jednakże najbardziej przytłaczający był odór moczu. Najgorzej capło przy samym wejściu, bo tam właśnie, w ciasnych bocznych kanałach prowadzących dawniej do ulicznych studzienek odwodnieniowych, umieszczono kible. Na szczęście wystarczyło zrobić kilka kroków, by zostawić za sobą to smutne wspomnienie.

Za kolejną kotarą trafili do właściwego burdelu. Było to wielkie pomieszczenie, na dziesięć metrów szerokie i cholera wie jak długie, ponieważ nie dało się tego oszacować przez czerwoną kurtynę, która dzieliła tę komorę na dwie części – wystawkę i zaplecze. W tej pierwszej, na wprost wejścia, stała długa lada ciągnąca się od ściany do ściany. Wyglądała, jakby przeniesiono ją tu z jakiegoś pubu albo baru. Za nią na tle kurtyny siedziały w wyzywających pozach roznegliżowane kobiety i dziewczęta. Nauczyciel naliczył ich dziesięć, ale co najmniej połowa miejsc była wolna.

– Witamy w najprzytulniejszym domu uciech na zachód od Odry – usłyszał dobiegający z bólu przyjemnie brzącający alt.

W narożniku po lewej stał stolik, przy nim grało w karty dwóch barczystych drabów. Ich zmagania obserwowała niewysoka brunetka, ubrana w luźną, sięgającą aż do ziemi sukienkę. Włosy miała fantazyjnie uczesane i upięte w kok. Oczy umalowane, usta też. W rękę trzymała lufkę, przez którą paliła cienkiego skręta. Z daleka wyglądała jak dama, osoba zupełnie niepasująca do tego obrazka, ale gdy podeszła bliżej, Pamiętający zobaczył, że to tylko pozory. Jej makijaż był tak toporny, jakby korzystała z usług wizażystki dotkniętej ostatnim stadium parkinsona. Włosami także zajmował się dyletant, któremu przed Atakiem nie pozwolono by sprzątać najpodlejszego salonu fryzjerskiego.

– Wybierajcie, jeśli macie czym zapłacić za wdzięki moich dziewczyn.

Nauczyciel spojrział na nią z niekłamana odrazą. W jego enklawie też były dziwki, czasem dwie, czasem trzy, ale nikt ich nie stręczył, jak to miało miejsce tutaj. Mieszkały w głównym kanale, choć ze zrozumiałych względów w pewnym oddaleniu od innych apartamentów, i nigdy nie afiszowały się z tym, co robią. Inny, podobnie jak większość przywódców okolicznych sadyb, tolerował ich obecność. Sam nawet korzystał z usług tych panien, aczkolwiek dopiero po tym, jak zmarła mu żona. Ta obowiązywała w Wolnych Enklawach etyka, której Inny nigdy nie złamał, a przynajmniej nie dał się na tym przyłapać. Cichodajki mógł odwiedzać bez krępacji każdy młodzik i mężczyzna samotny. Nikomu bowiem nie zależało na tym, by po okolicy biegali sfrustrowani napaleńcy.

Pamiętający także zaglądał do jednej z tych panienek, choć za każdym razem miał ogromnego moralniaka, gdy wracał głównym tunelem do szkoły. Czuł się zbrukany do tego stopnia, że musiał spłukać oblepiający go brud wiadrem bimbrow. Wolał jednak takie rozwiązanie niż kolejny stały związek z kimś, kogo mógłby stracić. Nie narzekał na brak zainteresowania ze strony licznych wdów, a nawet części młodek, ale zawsze odsuwał je od siebie, zanim sprawy zaszyły za daleko. Niektórzy sąsiedzi mieli go z tego powodu za dziwaka, lecz szczerze powiedziawszy, dyndało mu to jak flaki rozplatanego szarika.

– Szukamy tutaj pewnej dziewczyny – burknął.

– O, widzę, że szeptana reklama podziałała. – Brunetka wyszczerzyła niezbyt białe, ale zadziwiająco liczne jak na jej wiek zęby. Podobnie jak Freja, miała już ze trzy krzyżyki na karku. – Ciekawe, którą z moich córeczek wam polecono?

– Żadną – zgasił ją Pamiętający. – Przyszliśmy po Iskrę.

– Po kogo? – Burdelmama wyjęła z ust lufkę.

– Po Iskrę, Anię, jak zwał, tak zwał – rzucił Nauczyciel, a gdy dostrzegł w jej spojrzeniu zdziwienie, dodał jeszcze: – Trzyście, czterysta lat, niewysoka, szczupła, włosy... – właśnie uświadomił sobie, że nie wie, czy były ciemny blond, czy raczej rude – ...bardzo brudne i mocno zmierzwiłone.

Burdelmama spojrziała na niego z politowaniem. Ten opis pasował do połowy małaolat z Miasta.

– Nie ma tu nikogo takiego. Jeśli córeczka pitnęła ci na szybki numerek, to powinieneś jej szukać u tego oblecha, Dzika. Tylko on ma na stanie męskie dziwki.

– Moje córki, gdybym je miał, nie chadzałyby po burdelach – wypalił, czując, że irytacja znowu bierze nad nim górę.

To nie był jego najlepszy dzień mimo odniesionego przed chwilą sukcesu w negocjacjach.

– Co, sam byś im wystarczał? – zakpiła burdelmama.

– Zbastuj, kobieto – ostrzegł, podnosząc głos.

Goryle – słysząc, jakim tonem do niej mówi – odłożyli karty i zerwali się z krzesel.

– Mamuś?

Jedna z panienek siedzących na wystawie także się podniosła ze swojego miejsca i podeszła do lady. Była młoda, niezbyt ładna, a sądząc po wyeksponowanym skąpym strojem szczegółach anatomicznych, nie wkroczyła jeszcze, przynajmniej pod względem fizycznym, w dorosłość.

– Czego? – Burdelmama zmierzyła ją ostrym spojrzeniem.

– Ja chyba wiem, o kogo chodzi – szepnęła dziewczyna.

– No to mów, zanim ten brutal zakrwawi nam lokal. – Ona również umiała okazać albo udąć odrazę.

– Iskra to ta dziewczyna, którą ściągnęliśmy do Kołysanki.

Brunetka momentalnie spowaźniała.

– Takie buty. – Popatrzyła Nauczycielowi prosto w twarz. Tym razem w jej oczach nie widział już łpiny ani rozbawienia. – Musisz poczełekać, człowieku – dodała.

– Nie mam czasu.

– Możesz usiąść po dobroci albo poleżeć na podłodze z lekką obity – przedstawiła mu tylko dwie opcje.

Ochroniarze sięgnęli po palki, które nieprzypadkowo przypominały kije bejsbolowe. Sajgon mruknął coś ostrzegawczo. Nauczyciel zerknął w przeciwnym kierunku. Tam też stał stolik, przy którym urzędowali bracia bliźniacy idących na niego drabów. Szybko ocenił szanse, a raczej ich brak, ale i taksygnął po maczetę.

– Ejże!

Burdelmama cofnęła się w popłochu. Goryle unieśli palki. Sajgon zniknął jak zdmuchnięty płomień. Zza kotary wychodził właśnie rozmemłany klient, odprowadzany przez rozanieloną prostytutkę, z której usług przed momentem skorzystał. Świetnie, ucieszył się Pamiętający. *Im więcej świadków, tym lepiej.*

– Spróbujcie szczęścia – wycedził, przybierając postawę bojową. Akula zalsniła groźnie w drugiej ręce.

Wszyscy zamarli, nawet prostytutki za ladą i dopinający spodnie chłopak.

Nauczyciel nie miał zamiaru walczyć z tymi osiłkami. Przeciwnicy tylko na tanich filmach akcji atakują kolejno, pozwalając się łatwo pokonać. Ci tutaj z pewnością wiedzieli, jak dobrać się do skóry takiemu kozakowi jak on. Ich połamane nosy świadczyły o tym, że zdobywali tę wiedzę w najboleśniejszy z możliwych sposobów. Mimo to postanowił zagrać po raz ostatni. Po części

dlatego, że wciąż nie dał upustu przepelniającej go od rana złości. Poprzyściął sobie jednak, że jeśli ten podstęp nie wypali, pójdzie w ślady przewodnika.

Brunetka wahała się, ale tylko przez moment. Jej dłoń powędrowała w górę, osadzając goryli w miejscu. Zatrzymali się trzy kroki od przyczajonego Nauczyciela. Nieludzki spokój napastnika mógł oznaczać kilka rzeczy. Jedną z nich był z pewnością brak obawy przed tym, co może nastąpić. A zimną krew w obliczu przeważającego wroga zachowywali tylko zawodowcy, dla których byle wykidajło nie jest żadnym przeciwnikiem.

Krwawa jatka przy tylu klientach w lokalu na pewno nie przysłuży się interesom. Nie mówiąc już o tym, że dziewczyny też mogą ucierpieć, kiedy testosteron zastąpi tym pięciu rozum.

On to wiedział i ona też.

– Nie róbmy niczego, czego moglibyśmy później żałować – powiedziała cicho.

Zza kotary wychynęła na moment i tak samo szybko zniknęła głowa kolejnego klienta. Odprowadzająca go dziewczyna krzyknęła. Z głębi pomieszczenia odpowiedział jej inny, równie histeryczny głos.

– Pozwól mi zobaczyć Iskrę, a nikomu włos z głowy nie spadnie – powiedział Pamiętający, cedząc każde słowo.

Spojrziała na niego dziwnie, potem machnęła ręką na ochroniarzy, każąc im odejść.

– Dobrze, ale schowaj ten złom, zanim sam się skaleczysz – odpowiedziała, a gdy zrobił, o co prosiła, dodała konfidencjonalnym tonem: – Człowieku, ty naprawdę nie wiesz, po co ona tu przyszła...

To nie było pytanie. Pokręcił głową – okłamywanie jej w tej sytuacji nie miało najmniejszego sensu. Tym bardziej że coś tu było nie tak.

– Interesuje mnie jedynie, by stąd natychmiast wyszła – odparł, podnosząc głos, by wszyscy go usłyszeli.

– Skoro tak sam ją o to poprosz – zaśmiała się, schodząc mu z drogi. Jeden ruch dłoni i goryl podniósł uchylny fragment lady, robiąc przejście. Jeden ruch głowy i zagryzająca pięść, pulchna dziwka o nienachalnej urodzie zerwała się z wyściełanej kanapy. – Kruszyńka cię do niej zaprowadzi.

Nauczyciel minął burdelmameę, łypiąc podejrzliwie w kierunku osiłków. Rękę trzymał wciąż na rękojęści maczety, na wypadek gdyby to była jakaś zagrywka. Nic jednak nie wskazywało, by ochroniarze mieli zamiar zaatakować. Ten, który podniósł ladę, rozłożył ręce i cofnął się trzy kroki, jakby czytał w myślach Pamiętającego.

Facet z niedopiętym rozporkiem miał mocno spocone, kredowoblade czoło i oczy jak spodki. Palce, którymi trzymał spodnie, drżały mu, jakby dostał ataku febry.

Kruszyńka przytrzymała Nauczycielowi kotarę. Minął ją bez słowa, a potem zwolnił, aby mogła go ponownie wyprzedzić. Tylek, którym kręciła przy każdym kroku, trząsał się jak galareta. Dawno nie widział w kanałach kogoś tak otyłego, a już zwłaszcza kobiety. W tym świecie, gdzie wszyscy walczyli o przeżycie, otyli ludzie nie mieli prawa bytu. Odwrócił od niej wzrok,

słupiając uwagę na otoczeniu. Właściwy burdel został podzielony na dwa długie rzędy niewielkich boksów. Ich ściany, zbite z szerokich desek, miały nie więcej niż dwa metry wysokości. Drzwi nie było, wejścia od gniazdek miłości odgradzono zwykłymi zasłonami, zza których wyglądali teraz wystraszeni klienci i poblądłe dziwki.

– Tam! – Gruba prostytutka wskazała wąskie przejście pomiędzy piątym i szóstym boksem po prawej.

– Panie przodem – odpowiedział, zerkając przez ramię na kotarę. Nikt nie szedł w jego kierunku, za to w stronę wyjścia sunęło paru nie do końca odzianych mężczyzn. Chyba odechciało im się amatorów...

Kanał, którego wylot znajdował się za pokojami miłości, był tak niski, że oboje musieli pochylić głowy i iść na podkuczonych nogach. Po dziesięciu metrach znów trafili do jakiegoś pomieszczenia. Było jednak dużo mniejsze niż burdel i o wiele słabiej oświetlone.

W półmroku rozjaśnianym blaskiem trzech lamp łojowych Nauczyciel zobaczył rząd prostych piętrowych łóżek, ustawionych w równych odstępach przy ścianie po lewej. Z prawej natomiast miał coś w rodzaju otwartej łazienki. Dostrzegł tam trzy pryszniczki skonstruowane z zawieszonych pod sklepieniem plastikowych konewek i wysokich brodzików, z których można było łatwo zebrać użytą do kąpieli wodę. Za nimi tkwił rząd misek z tworzywa umieszczonych pod co większymi fragmentami porozbijanych luster. To musiała być sypialnia pracujących w tym burdelu dziwek. Na pewno nie jedyna, sądząc po liczbie brudnych barłogów.

Kruszynka zatrzymała się przy wejściu, a gdy spojrzał na nią pytająco, wskazała grupkę postaci zgromadzonych wokół ostatniego łóżka. Zostawił ją więc tam, gdzie stała, sam zaś ruszył wolnym krokiem w kierunku milczącego kręgu. Żadna z ośmiu przebywających w tym pomieszczeniu kobiet nie zwróciła na niego uwagi, co wydało mu się dziwne.

Stając za ich plecami, rozumiał, dlaczego nie zareagowały. Na dolnej pryczy pod skłębionymi kocami leżał cień człowieka. Pergaminowa skóra naciągnięta na same kości. Kręte, fioletowawe glisty żył. Długie, rzadkie włosy barwy stali, wyschnięte na wiór sine wargi. Przekrwione oczy znikające przy każdym głębszym oddechu pod białymi powiekami. Pierś unosząca się z trudem przed kolejnym charkotem, po którym ciarki przechodziły po plecach. Tak wyglądałaby sama śmierć, gdyby kiedyś udało się ją przyoblec w ciało.

Iskra siedziała przy umierającej kobiecie, odwrócona plecami do niego. Mamrotała coś pod nosem, ale nawet w grobowej ciszy nie rozumiał ani jednego słowa. Gładziła staruszkę po zapadniętym policzku z czułością, jakiej nigdy by się po niej nie spodziewał. W pewnym momencie pochyliła się mocniej, jakby chciała złożyć pocałunek na czole pokrytym kroplami potu. W tym samym momencie chora wyprężyła się, jej ręce i nogi zadrgały konwulsyjnie raz i drugi, a potem zwiotczały, jakby z ciała konającej wypuszczono resztki powietrza.

Zanim Iskra wyprostowała plecy, zebrane wokół dziwki zaczęły łąć i szlochać. Dziewczyna na sięgnęła do twarzy zmarłej palcami, by przymknąć jej powieki. Potem wstała, powoli, jakby była potwornie zmęczona. Nauczyciela przeszedł zimny dreszcz. W jej dłoni, tej, której dotąd nie widział, tkwił zakrwawiony nóż. Ten sam – cienki, z mocno już spilotowanym ostrzem – którym

kroiła mięso podczas wspólnych posiłków.

Wycierała go teraz w szmatkę, odwracając się do żegnających koleżankę płaczkę, lecz zamarła w pół ruchu, gdy jej oczy spoczęły na równie zaskoczonym Pamiętającym.

– Co ty... tu... – zdołała wydukać.

To go otrzeźwiło.

– Miałś na nas czekać – przypomniał jej, nagle czując na sobie palące spojrzenia zebranych w sypialni kobiet.

Kilka z nich zdążyło wstać. Jedna podała Iskrze woreczek – z zapłatą, jak się domyślał. Pozostałe zajęły się zwłokami.

– Chodź.

Nie musiała powtarzać dwa razy. Tą samą drogą wrócili do burdelu. Wkurzona burdelmama stała po tej stronie kotary, miotając gromy z oczu. Nauczyciel uśmiechnął się pod nosem. Zepsuł ten dzień kilku niewyżytym fagasom, a ją pozbawił skromnej części utargu. *Zawsze to jakaś satysfakcja...*

– Gdybym wiedziała, jak to się skończy – wyszczała, gdy ją mijali – nigdy bym cię tu nie wpuściła.

Swoje słowa skierowała do Iskry i od niej otrzymała odpowiedź, zanim Pamiętający zdążył otworzyć usta:

– Gdybyś mnie do niej nie wpuściła, stara rozworo, udusiłabym cię twoimi własnymi flakami.

Ochroniarze zerwali się z krzeseł, ale żaden nie sięgnął po broń. Odprowadzali tylko wściekły mi spojrzeniami wychodzącego mężczyznę i towarzyszącą mu dziewczynę.

8 | Anioł

Zatrzymali się dopiero w burzowcu. Stanęli pod ścianą naprzeciw wejścia do burdelu, w przerwie pomiędzy rozpadającym się boksem jakiegoś biedaka i równie marnie wyglądającym kramem z ciuchami. Tam, kryjąc się za licznymi przechodniami, Nauczyciel sprawdził, czy nikt ich nie ściga.

Burdelmama najwyraźniej nie miała ochoty na kontynuowanie tej zabawy. I dobrze, bo upokorzeni ochroniarze nie odpuściliby tak łatwo. W ich fachu utrata twarzy często równała się śmierci, oczywiście zawodowej, dlatego przyciśnięci do muru poszliby na całość, byle nie wypaść z obiegu. A że ta robota była marzeniem każdego miejscowego tłuka, wybrańcy musieli się pilnować podwójnie, gdyż bez przerwy czuli na karku gorący oddech konkurencji. Szczęściem dla wszystkich tym razem ostateczna decyzja należała do zarządzającej burdelem brunetki.

– Co tam robiłaś? – zapytał Pamiętający, odwracając się do dziwnie milczącej dziewczyny, gdy w końcu uznał, że nic im już nie grozi.

– Przecież widziałeś – odparła, nie odrywając wzroku od własnych butów.

Widział, to prawda, ale nadal nie rozumiał, dlaczego wystąpiła w roli Anioła. Tak – niezbyt adekwatnie zdaniem Nauczyciela – w kanałach określano osoby, które kończyły mękę ciężko chorego bądź konającego człowieka. W świecie pozbawionym lekarzy i leków nie było miejsca na odwieczne dyskusje o sumieniu i etyce. Jeśli chciałeś pomóc bliskiej ci osobie, która nie miała szans wydobrzeć, mogłeś jedynie oszczędzić jej męczarni. I to właśnie Iskra zrobiła przed chwilą, kończąc aktem łaski żywot wyniszczoną chorobą staruszką. Różnych rzeczy spodziewał się po ich ponownym spotkaniu, lecz na pewno nie czegoś takiego.

– Ale dlaczego ty? I dlaczego tam? – zadawał kolejne pytania, choć tak naprawdę wolałby nie znać odpowiedzi.

– Naprawdę cię to interesuje?

– Nie, ale...

– Chodź – pociągnęła go za rękaw.

– Dokąd?

– Powiem ci o wszystkim, ale nie teraz i nie tutaj. Mamy robotę.

Jednym szarpnięciem uwolnił się z niezbyt mocnego chwytu dziewczyny. Nie zamierzał nigdzie iść, dopóki nie wyjaśni sobie kilku spraw.

– Już po robocie – rzucił. – Byłem w Klatce. Dobilem targu z Messim.

– Dlaczego polazłeś tam sam? – Spojrzała na niego zaskoczona. – Zleceniodawcy ni to się nie spodoba...

– Wiesz, wali mnie ta cała Bondarczuk – warknął, na co dziewczyna syknęła ostrzegawczo, zerkając przy tym znacząco w stronę sąsiedniego straganu. W kanałach i na powierzchni nie używano imion ani nazwisk, było to jedno z ważniejszych tabu nowego świata. A oni nie powinni zwracać na siebie uwagi obcych ludzi. Zwłaszcza teraz, gdy zaczęli dużą operację. Zwłaszcza tutaj, gdzie ściany miały oczy i uszy. – Odtąd ja rządę i tak właśnie zdecydowałem – dodał Nauczyciel, ucinając dalszą dyskusję na ten temat.

– W takim razie co dalej? – zapytała.

– Najpierw dokończymy tę rozmowę, potem ja pójdę na Przyodrze, a ty zajmiesz się organizacją paru spraw i dołączysz do mnie albo przy przeprawie, albo już po drugiej stronie, w Wolnych Enklawach.

– To coś nowego.

– Powiedziałem ci, walą mnie ustalenia Kata...

– ...rynki – dokończyła, ciągnąc go za rękaw pod ścianę.

Kramarka targowała się zawzięcie o podarte w kroku spodnie i podziurawiony jak sito wełniany płaszcz. W boksie po drugiej stronie ktoś spał. Słyszeli wyraźnie jego chrapanie, czuli też odór rzygowin i nieprzetrawionego do końca bimbrowa.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła Iskra, upewniwszy się, że nikt ich nie podsłucha. – Chcesz nas wysypać?

– Nie, nie chcę – wypalił w odpowiedzi. – Zamierzam się dowiedzieć, z kim pracuję, bo na pewno nie jesteś tym, za kogo się podawałaś. Tylko pamiętaj, tym razem bez żadnego kitu – ostrzegł.

Westchnęła i spojrzała mu prosto w oczy z takim żalem i smutkiem, jakich się po niej nie spodziewał. Stała przed nim ta sama dziewczyna, którą poznał kilka dni temu w przepuście, ale prócz wyglądu i ciuchów nic się nie zgadzało. Miał wrażenie, że ktoś wymienił jej osobowość. Dzisiaj Iskra mówiła inaczej, poruszała się w inny sposób, nawet jej mimika wydawała mu się obca.

– Dobrze, powiem ci, co tu robiłam. Czeakałam w noclegowni, jak kazała nasza znajoma, ta z niższego piętra, ale zamiast ciebie pojawił się jakiś dzieciak, który przekazał mi wiadomość od jednej z dziewczyn Mamuśki.

– Jak cię tam znalazł? – zapytał Nauczyciel. – Tylko bez kitowania.

Dziwne wydało mu się to, że ktoś wiedział o miejscu jej pobytu.

– Byłam przedwczoraj w Muszelce – wyznała.

– Po co tam polazłaś?

– Chciałam odwiedzić stare śmieci – mruknęła, spuszcżając głowę.

– Pracowałaś w tym kurwidolku?! – To pytanie zadał tak głośno, że spojrzeli na nich nawet przy padłkowi przechodnie.

– Odwal się, stary oblechu, bo i tak ci tu nie obciągnę! – wydarła się w odpowiedzi.

Pamiętający spurpurowiał na twarzy, widząc kpiące uśmiešky na twarzach ludzi. Kramarka zgromiła go wzrokiem. Chrapanie ucichło jaknożem ucięte.

– Idźcie się pieprzyć gdzie indziej, wrzody jedne – wybełkotał obudzony wymianą zdań pijus. – Won mi stąd, zasańce w dupę kopane! – Rzucił czymś ciężkim w skleconą byle jak ścianę. Jedna ze spróchniały ch desek pękła na dwoje, całość zatrzeszczała, jakby miała się zaraz rozpaść. – Patrzcie, coście narobili! – zawył rozwścieczony mieszkaniec boksu, gdy coś zleciało z przeraźliwym brzękiem. – Straż! Straż! Nigdy skurwieli nie ma, gdy są potrzebni...

– Idziemy! – Nauczy ciel pociągnął Iskrę za sobą.

Tutaj byli już spaleni. Gówniara dopięła swego, musieli się związać. Włączył się więc w tłum przechodniów i dopiero po przejściu kilkadziesiąt metrów ponownie zwolnił. Zatrzy mali się przy prawie pustej jadłodajni. Z sześciu koślawych stolików tylko jeden, ten najbliższy kontuaru, był zajęty. Wybrali miejsca pośrodku wąskiej, długiej sali, by znaleźć się z dala od wścibskich uszu. Pamiętający wciąż ciężko dyszał i był czerwony na twarzy.

– Co ci odbiło? – zapytał, z trudem hamując złość, gdy już zamówił dwie miseczki wywaru zwanego w bardzo krótkim menu gulaszem.

– To ty zaczęłaś wrzeszczeć – przypomniała.

– Miałem powody.

– Co cię obchodzi, że wcześniej pracowałam w burdelu? – rzuciła Iskra. – Masz się za mojego ojca czy co?

– Tego od samolocików? – odparł równie łąśliwym tonem. – A może wymyśliłaś go sobie, jaktego przysypanego braciszka?

– Z ojcem to akurat prawda. – Spochmurniała. – To znaczy ta część z samolotami. Zmarł, gdy miałam sześć lat. Wtedy sprzedali mnie do Muszelki.

– Sprzedali?

– Tak

– Kto?

– Reszta rodziny. Brat ojca z żoną.

Pamiętający machnął ręką na szynkarce.

– Polej, kobieto, bimbru – zażądał.

– Tylko dla ciebie, panie piękny, czy dla córeczki też? – odkrzyknęła właścicielka tej budy.

Spojrzał na Iskrę, a ona skinęła głową.

– To nie moja córka, ale też jej polej.

– Nie spodziewaj się nieba w gębie – ostrzegła dziewczyna. – W tych budach nawet samego diabła by ochrzcili, a co dopiero księży cówę.

– Wisi mi to. Nie będę cię słuchał na trzeźwo.

– Na trzeźwo? – zaśmiała się, węsząc ostentacyjnie. – Wali od ciebie zajzajerem jak od

świeżo odbitej kadzi.

– No dobra, nie będę cię słuchał o suchym pysku. Mów dalej, tylko tym razem nie ściemniaj. Sama obiecałaś – przy pomniął, wskazując ją palcem.

Wzruszyła ramionami.

– Kupiła mnie Kołysanka, ta kobieta, którą dzisiaj odesłałam. Starzy tak na nią mówili, bo miała jedną nogę krótszą i podobno chodziła jak kaczką. W życiu nie widziałam takiego zwierzęcia, więc nie wiem, ile w tym prawdy. Powtarzam ci tylko to, co mnie ktoś wcześniej powiedział...

– Wiem, jak wyglądały kaczki. Jeśli ta kobieta była kulawa, mogli tak na nią mówić.

– No i pięknie. W każdym razie ona tam wtedy rządziła. A ja dla niej pracowałam. Dopóki nie skończyłam dziesięciu lat, byłam tylko zwykłą posługaczką. Przynieś, wynieś, pozamiataj, te sprawy. Robota jak każda inna. Potem, gdy dorosłam, Kołysanka zaczęła wprowadzać mnie w biznes. Była staromodna – dodała, widząc, że Nauczyciel otwiera usta, by znowu jej przerwać. – Za nic nie dałaby wykorzystać dziecka. Wielu bogatych klientów proponowało jej za mnie majątek, ale nie pozwoliła im na nic. Nigdy. Nie tknęli mnie palcem, dopóki nie skończyłam dziesięciu lat.

Szynkarka przyniosła im zamówione jedzenie i napitek. Nauczyciel zapłacił nowiusieńkim filtrem ze Ślepego Toru. Przekrwione oczy zaśniły babie, gdy zobaczyła czyściutki, czarny jak smoła krążek.

– Za takie cudeniko dam wam jeszcze jedną kolejkę – powiedziała.

– Wystarczy, że nie będziesz przeszkadzać – odparł, odganiając ją machnięciem ręki.

Baba rechotała jeszcze przez dłuższą chwilę ze szczęścia, obracając w rękach cenną zdobycz. Tutaj takich dobrych filtrów już dawno nie robiono.

– Robota jak każda inna – podjęła Iskra, przełykając łapczywie gorący wywar.

– Ty naprawdę nie jesteś normalna – jęknął Pamiętający i sięgnął po wyszczerbioną musztardówkę.

– Dlaczego?

– Zostałaś dziwką w wieku dziesięciu lat i...

– No i co z tego?

– Dzieckiem jeszcze byłaś.

– Co ty pieprzysz? – obruszyła się. – Dawać zaczęłam dopiero po tym, jak osiągnęłam pełnoletność.

Pokręcił głową i przechylił szklanekę, wybijając wszystko jednym haustem.

– Czyli dziesięć lat... – parsknął.

– Nie inaczej.

– Nieważne. Mów dalej.

– Pamiętam mojego pierwszego klienta. To był tutejszy ważniak. Napalił się na mnie jak szczerbaty na skórę z nogi stąpacza. Zarezerwował mnie sobie na rok do przodu, cieniaki jeden. Ja też byłam ciekawa, jak to jest, nie powiem. Do tej pory tylko widziałam, jak inne to robią...

– Oszczędź mi takich szczegółów.

Pożalował, że odprawił szybnarkę, nie korzystając z propozycji dolewki. Teraz jednak było już za późno, a drugiego filtra nie zamierzał jej oddawać. Tym razem zabrał tylko cztery, a kto wie, ile czasu będzie musiał spędzić na powierzchni i ile osób przyjdzie mu jeszcze przekupić.

– Nie zauważyłeś pewnie – paplała nieskrępowana Iskra – ale tam, nad boksami, jest taka żelazna galeryjka, podobna do tej, którą widziałeś w moim burzowcu. Przesiadywałam tam ukryta w mroku i albo bawiłam się lalkami, albo patrzyłam, co wyrabiają na dole. Wiele nie musiałam się więc uczyć – zaśmiała się oblesnie.

Przez krótki moment znów była dawną sobą.

– Przejdź do konkretów, proszę.

– Rok tam dawałam. Kołysanka nauczyła mnie każdego numeru, jaki sama знаła, a była oblatana jak samolot szkoleniowy. Zrobiła ze mnie atrakcję pierwsza klasa. Mówię ci, człowieku, była dla mnie jak druga matka.

– Dziewczyno, skończ pieprzyć. Ta kobieta cię wykorzystywała. Zrobiła z ciebie prosty tutkę. Czaisz to? Szmaciła się z jakimiś pajacami, a ona na tym zarabiała.

– Kurwa to taki sam zawód jak każdy inny – prychnęła Iskra. – Nie mów, że ty nigdy nie zamoczyłeś na boku.

– To co innego – próbował się bronić, ale tu go miała.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi, ile z twoich wychowanek nie dożyło mojego wieku? Albo urodziło dzieciaka zaraz po osiągnięciu pełnoletności?

Tymi pytaniami zabiła mu świeką. Wrócił pamięcią do wcześniejszych lat i do dzieci, które przewiniły się przez jego szkołę. Było ich sporo, ale wystarczyło przymknąć powieki, by stanęły mu przed oczami twarze tych, które zginęły od chorób i ran. Nie mówiąc o młodych matkach...

– Ja bynajmniej nie narzekałam – kontynuowała Iskra. – Nie dość, że lubiłam ten sport, to jeszcze miałam opiekę i dach nad głową. Nie musiałam harować jak wcześniej, nie znywałam co noc rzygowin i szczyń klientów. To mnie obskakiwała nowa posługaczka. Ale do czasu... – Zmarkotniała, kiedy przypomniało jej się coś nieprzyjemnego. – Wszystko, co dobre, musi się przecież kiedyś skończyć.

– Trafiała kosa na kamień, co? – zapytał złośliwie i zaraz ugryzł się w język.

Nie to chciał powiedzieć, jednakże alkohol, wcale nie tak bardzo rozwodniony, jak ostrzeżała, pozbawił go hamulców.

– Nie. Ja naprawdę byłam w tym dobra, może dlatego, że nie miałam żadnych oporów... – Zamyśliła się do tego stopnia, że zamarała z łyżką przy ustach. – Nie – powtórzyła, wracając do rzeczy wistoci. Przełknęła wystygły gulasz, otarła usta wierzchem dłoni i spojrzała Nauczycielowi w oczy. – Kiedy mnie wujostwo sprzedawali, Republika była potęgą. Cztery lata później, gdy przechodziłam inicjację w zawodzie, mieliśmy już tę, no, recesję. Zabawa się skończyła. Miasto przestało zarabiać na handlu z pozostałymi dzielnicami, więc i nasza branża podupała. Było coraz gorzej, aż w końcu, jakieś dwa lata temu, Kołysanka dostała propozycję nie do odrzucenia. Oddała swój przybytek Burmistrzowi w zamian za dożywotni wikt i opierunek

Tamtej nocy, zanim zaprowadzili ją do magistratu, pojawiła się w naszym dormitorium. Była tam, wiesz, o czym mówię... – Kiedy przytaknął, ciągnęła: – Kazała mi się spać i iść ze sobą. Przed wejściem czekały na mnie dwie zupełnie obce mi osoby. Katarynka – puściła do niego oko – i jakiś jej pomagier, którego nigdy później nie zobaczyłam. Kołysanka powiedziała mi, że mam się nie bać, bo to dobrzy ludzie, i że od tej chwili będą robiła dla nich.

– Ciekawe – mruknął.

– Po czasie dowiedziałam się, że pracowałyśmy nie tylko dla Kołysanki, ale też dla naszych nowych przyjaciół. – Widząc w jego oczach zdumienie, doprecyzowała: – Przychodzili do nas różni tacy, notable z magistratu, przewodnicy karawan. Wiesz, jak jest w łóżku, klienci gadają jak najęci, zanim się nimi nie zajmiesz, a potem mają jeszcze bardziej rozwiązane języki. A my tylko miałyśmy pilnie słuchać i przekazywać mamusi każdą ciekawą informację. Jak się okazało, nie zbierała ich, żeby mieć haki na tych palantów, tylko przekazywała je na dół. Kiedy wyszło na jaw, że nowy Burmistrz przejmuje wszystkie burdele, postanowiła odesłać mnie do swoich prawdziwych szefów. Nie chciała, żebym skończyła jak te rozwory – wskazała głową w kierunku burdelu. – Mówię ci, dbała o mnie lepiej niż rodzona matka.

– Gadaj zdrowa – burknął, wbrew sobie zaintrygowany jej opowieścią.

Zastanawiał się, czy i cichodajki z jego enklawy przekazywały, gdzie trzeba, pozyskane w barlogach informacje. Iskra nie kłamała, sam paplał jak skończony idiota, gdy...

– Katarynka też o mnie dbała. Miesiąc u niej spędziłam na przysposobieniu, wiesz, tam na niższym piętrze. Później ruszyłam w teren, żeby poznać wszystkie nowe trasy. Najpierw z patrolami, potem sama. I tylko czasem, gdy akurat miałam robotę w Mieście, wpadałam z wizytą do Muszellki. Wspominałyśmy z Kołysanką stare dobre czasy, opowiadałyśmy, co nowego się wydarzyło. O tobie też jej napomknęłam, oblechu jeden, kilka dni temu. Chciała cię poznać, ale nie zdążyła.

– O czym ty mówisz? – Oderwał wzrok od na wpół opróżnionej miski. Jej opowieść odebrała mu do reszty apetyt. – Przecież ona wyglądała jak kupiór. Musiała chorować od dawna.

Iskra skrzywiła się, jakby miała wybuchnąć płaczem.

– Trzy dni temu wyglądała lepiej od tego babona – wskazała głową na szynkarę, która miała oko na dobrych klientów i natychmiast zauważyła jej gest. – Była zdrowa.

– Pieprzysz.

– Gdybym pieprzyła, tobyś dupą ruszała, nie ustami. Widziałam na własne oczy.

– Człowiek nie może się aż tak zmienić w trzy dni – rzucił Nauczyciel, kręcąc głową.

Zaczynał podejrzewać, że Iskra robi go w konia. Dzisiaj widział przed sobą zupełnie inną osobę niż ta wulgarna trzpiotka, którą miał ochotę zadusić własnymi rękami, ale nawet to wcale nie znaczyło, że pokazała mu swoje prawdziwe oblicze. Mógł widzieć tylko kolejną z bogatej kolekcji jej masek.

– Zdziwiłbyś się, co robią z człowiekiem larwy trzewiaka.

– Co to jest trzewiak? – zapytał.

– Najgorsze krewstwo świata.

– W ży ciu nie sły szał e m o czy mś takim.

– Mo że u was nazy wają je inaczej. Hej! – odwró ciła się do szynkarki. – Pani powie mojemu dziadkowi o trzewiakach.

Baba wyjęła wielką chochlę z kociołka, odłożyła ją do innego gara, a potem, wytarłszy ręce w fartuch, oparła się o ladę.

– Sakramenckie cholerstwo, drogi panie. Sakramenckie. Małe to gównno, o takie – rozsunęła dłonie na jakieś dwadzieścia centymetrów – ale jedno ukąszenie wystarczy, żeby człowiek został od środka wyżarty. Kilka dni wystarczy. Zarazy mają taką igielkę, przez nią wstrzykują ofierze swoje małe, a te gówniaki rosną w człowieku jak na drożdżach. Ani się obejrzyysz, a zostaje z ciebie tylko skóra i kości. Największemu wrogowi nie ży czę takiego końca. Syna mojego sąsiada to spotkało, więc wiem, co mówię.

– Widzisz?

Nauczyciel przełknął głośno ślinę. *Czyli jednak nie kłamała...*

– Gdzie się tak zaprawiła?

– W Muszelce. Te kurewstwa coraz częściej wypełzają ze Strefy. Są płaskie jak ostrze noża, więc potrafią się wcisnąć w każdą szparę. A nasz burdel zrobiono w dawnym zbiorniku odsto jnikowym czy czymś takim. Tam jest z dziesięć starych studzienek i pięć razy tyle dziurawych skórodowanych rur, które cholera wie dokąd prowadzą.

– Wybacz – mruknął.

– Kogoś wam też wyżarty? – zainteresowała się szynkarka.

Pamiętający skinął głową.

– Owszem.

– To może ja jednak naleję tę drugą kolejeczkę? – zaproponowała, a on tym razem nie odmówił.

– Teraz, po tym jak ją odesłałam, mogę zamknąć kolejny rozdział ży cia – stwierdziła Iskra, sięgając po swoją szkanłę.

Zostało w niej bimbrowa na palec, ale nawet się nie skrzywiła.

– A co z wujostwem? – zainteresował się Nauczyciel.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Poczekala, aż szynkarka doleje obiecana gorzałkę, i dopiero gdy ponownie zostali sami, rzuciła półgłosem:

– Zabiłam ich jakiś rok temu. Jemu wyprułam flaki, a jego francy poderżnęłam gardło. Zdechła na jego oczach, zanim sam skonał. Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłam? Nie za to, że sprzedali mnie do burdelu. To mi tylko wyszło na dobre, jak się zastanowić. Dasz wiarę, że te gnidy nie zapytały o mnie ani razu? Ani razu – podkreśliła – zupełnie jakbym przestała dla nich istnieć zaraz po tym, jak dostali zapłatę. A przecież byłam krwią z ich krwi. Rodziną.

Pamiętający przechylił szkanłę. Ten dzień dopiero się zaczął, a on przeżył i dowiedział się więcej niż przez rok mieszkania w enklawie Innego.

– Ściemniasz – rzucił, patrząc jej prosto w oczy.

Spuściła wzrok

– Tylko trochę. Podkolorowałam scenę ich śmierci. Tak to wyglądało w moich marzeniach, naprawdę wytrulałam ich jak robactwo. Odwiedziłam szczęśliwą rodzinę, powiedziałam, że nie mam im nic za złe, bo jestem teraz ustawiona. Przyniosłam w prezencie płat mięsa z szarika. Żarli jakświnie. Wyszłam, zanim zaczęli zdychać...

– Ty nie możesz być taka – szepnął.

– Dlaczego? Bo jestem młoda i ładna? – Zaśmiała się. – Obudź się, dziadzia, taki jest nasz nowy świat. Albo ty zabijasz, albo ciebie zabiją. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że nie ma innej alternatywy.

Przytaknął. Iskra miała rację. Może nie do końca, ale z czystym sumieniem nie mógłby zaprzeczyć. Sam zbudował swój spokój i dobrobyt na trupach wrogów Innego, a wcześniej też nie był aniołem. Anioł... Teraz, po zastanowieniu, nie był już wcale taki pewien, czy to słowo rzeczywiście nie pasuje do ludzi kończących męki nieuleczalnie chorych.

– A skoro o robocie mowa, gdzie nasz mały przyjaciel? – zapytała Iskra, rozglądając się uważnie po tym odcinku burzowca, który widzieli z głębi jałkłodajni.

– Spieprzył z Muszellki, gdy tylko sięgnąłem po maczetę – odparł zgodnie z prawdą Nauczyciel.

– No tak, żaden z niego wojownik

– Nie podoba mi się ten szczył – mruknął Pamiętający. – Skąd wyście go wytrzasnęli?

– Wiem, że jest niezłym kiciarzem... – Zauważyła minę Pamiętającego i roześmiała się w głos. – Jak go znam, nagadał ci pewnie o szefowaniu faktorii.

– Owszem.

– A ty mu uwierzyłeś? – pokręciła głową z niedowierzaniem. – Oj, dziadzia. Czy on wygląda na takiego, co umie zliczyć do trzech?

– Ty też nie wyglądałaś – odparł urażony Nauczyciel.

– W sumie racja. – Spoważniała. – To ja zaproponowałam go Katarynce.

– Dlaczego?

– Bo tylko jemu mogę tu w pełni ufać.

– Skąd ta pewność?

Zaśmiała się jak dawną, znaną mu Iskra.

– Gdyby nie ja, do dzisiaj by nie wiedział, że ten malusi kranik służy nie tylko do sikania.

– Nie bądź wulgarna.

– Dzisiaj mamy dzień prawdy, tylko prawdy i samej prawdy. – Nie kryła rozbawienia jego miną. – Dobra, skorośmy już wyłożyli wszystkie sekrety kawa na ławę, mów, co robimy dalej.

9 | Przyodrze

Nauczyciel opuścił Miasto drogą wskazaną mu przez Iskrę. Dziewczyna zaprowadziła go do zamaskowanego wejścia, którym dostał się do bardzo starego, na poły zawałonego kanału. Tam przebrał się szybko, złapał uprzednio przygotowany kamuflaż, na który składał się opatrunek zakrywający tatuaż oraz foliowy worek ze szmelcem, i ruszył w głąb podziemi znanych tylko agentom Czystych. Ostrożnie obchodził kolejne stemple podtrzymujące niestabilne kamienne sklepienie, którego wiek mógł być liczony nie w dziesiątkach, a w setkach lat. W parę minut minął znajdujące się kilka metrów nad jego głową posterunki graniczne i – praktycznie na granicy Pogorzelska – wyszedł przez zrujnowaną przepompownię na powierzchnię. Musiał to zrobić, ponieważ tylko wtedy mógł się przedostać, już jako zwykły miejscowy zbieracz, do jednego z burzowców leżących na terytorium Pasów. Na jego szczęście mutanty omijały szerokim łukiem te wypalone do szczytu, czarne jak smoła ruiny, pośród których próżno byłoby szukać śladów życia.

Po dwu minutach spędzonych na wciąż mocno skażonym terenie Pamiętający z ulgą zanurzył się w dobrze oznakowanej studziencie. Zszedłszy na dół, natychmiast zrzucił z siebie nieludzką znoszone łachy, obok nich postawił także połatane byle jak zapasowe buty i rękawice zabrane specjalnie na tę okazję. Wszystko to trafiło do foliowego worka na śmieci, w którym przeniósł przez powierzchnię tobolek z resztą maneli. Spodnie i bluza, które Iskra dała mu na zmianę, wyglądały na jeszcze gorsze łachy, ale tak powinno być, jeśli nie chciał się rzucać w oczy.

Pozbywszy się wszystkiego, co mogło zostać skażone, ruszył w kierunku mostu prowadzącego na Kępę Mieszczańską, żeby jak najszybciej opuścić terytoria kontrolowane przez bandy dresiarzy. Obietnice obietnicami, ale nie miał stuprocentowej pewności, czy rozkazy Messiego zdążyły trafić do najbardziej peryferyjnych enklaw. A nadzianie się na jakiegoś zbyt gorliwego porucznika mogło go drogo kosztować...

Tunele w tej okolicy były mroczne i puste. Ludzie omijali pogranicze szerokim łukiem, i nic dziwnego, bo życie w miejscu, gdzie każde wyjście na powierzchnię, nawet teraz, po dwudziestu latach z okładem, może się skończyć wchłonięciem śmiertelnej dawki, z pewnością nie należało

do najłatwiejszych. Stara lampa, którą znalazł w tobołku, pozwalała rozproszyć mrok na tyle, by widział, gdzie stawia nogi.

Przez niemal godzinę marszu tymi zapomnianymi przez bogów i ludzi kanałami towarzyszyła mu tylko wszechobecna, niemal hipnotycznie usypiająca cisza. Nie mając nic lepszego do roboty, wrócił myślami do wcześniejszych wydarzeń tego dnia.

Po rozmowie o przeszłości Iskry przegadał z nią raz jeszcze szczegóły planu Czystych, ponieważ odtąd nie zamierzał już robić żadnych większych odstępstw. Poza jednym rzecz jasna. On poszedł przodem, trasą, którą ustalono jeszcze w Otchłani, a dziewczyna została na miejscu, by załatwić dla niego kilka drobiazgów. Przede wszystkim musiała ukryć resztę amunicji. Wydrzyci dał mu bowiem aż cztery magazynki, prosząc jednak w imieniu całego triumwiratu, by negocjował ostro i nie szedł na zbyt duże ustępstwa. Ale na wszelki wypadek wyposażył go aż w sześćdziesiąt naboji. Żeby w razie twardej postawy lidera Pasów nie doszło do impasu w rokowaniach, a co za tym idzie, do fatalnego w skutkach opóźnienia.

Na szczęście dla wszystkich stron Messi okazał się niezbyt dobrym graczem. Jednakże nawet gdyby miał większy talent do prowadzenia negocjacji, Nauczyciel i tak byłby górą. Plan zakładał bowiem kilka form nacisku, do zerwania rozmów włącznie. Do tego Pamiętający był prawie pewien, że nowy lider Ligi zechce umocnić swoją pozycję za wszelką cenę, i niewiele się pomylił.

Zamyślony przemierzał kolejne opustoszałe tunele, dźwigając na plecach worek z dostarczonym mu przez Iskrę śmieciem. Płaszcz i resztę swoich rzeczy zostawił w Mieście. Dziewczyna miała mu je dostarczyć na drugi brzeg, gdzie spotkają się przed wejściem do enklawy Innego.

Nauczyciel musiał przyznać, że plan stworzony przez Bondarczuk i jej pomagierów jest całkiem dobry, choć co zrozumiałe, przy tak ogromnym stopniu skomplikowania ma też kilka słabych punktów. Te jednak udało im się wspólnymi siłami usunąć jeszcze podczas odprawy w centrum dowodzenia.

Pierwszy etap zakładał oblaskawienie frakcji kontrolującej Przyodrze. To zostało już załatwione dzięki łapówce od Czystych. Drugi krok powinien być o wiele łatwiejszy. Nauczyciel miał całkowitą pewność, że zdesperowani przywódcy Wolnych Enklaw powitają go jak bohatera, gdy tylko dowiedzą się, że zamierza wyprowadzić z ich terytorium wszystkich uciekinierów. O wiele trudniejsze będzie przekonanie tych ostatnich do opuszczenia Wolnych Enklaw i udania się pod Strefę Zakazaną.

Czyści zakładali, że ci ludzie myślą zdroworozsądkowo, o czym miała świadczyć choćby decyzja o ucieczce przed Świętą Wojną, ale czym innym było przemieszczenie się kilkaset metrów za granicę, do znanych i przewidywalnych w sumie sąsiadów, a czym innym będzie exodus, jakim musi wydawać się przeprawa przez dawno opuszczone kanały pod najbardziej skązonymi terytoriami Wrocławia, o których krążyły po Nowym Watykanie przerażające plotki i legendy.

Rozwiązanie tego problemu będzie więc wymagało szczególnych środków – co do tego

wszyscy byli zgodni. Nauczyciel wymusił na Bondarczuk potrzebę zdekonspirowania jednego z burzowców, którymi do tej pory przemieszczali się wyłącznie jej agenci. Kanał ten łączył się pod terytorium Wolnych Enklaw z tunelem, którym Iskra prowadziła go nad Odrę. Jedna z odnóg, które minęli w trakcie tamtej wędrówki, nie była wcale taka ślepa, jak mogło się wydawać. W blokującym ją zwałowisku gruzu znajdowała się bowiem dobrze zamaskowana szczelina, długa i kręta, ale na tyle szeroka, by mógł się nią przecisnąć dorosły człowiek. To właśnie tą drogą będą musieli przejść uciekinierzy, jeśli zdecydują się opuścić wrogie im terytorium. I to właśnie dlatego Iskra organizowała dodatkowych ludzi rekrutujących się spośród siatki jej kolegów, agentów Czystych.

Bondarczuk twierdziła, że Burmistrz został już przekonany do pomysłu ściągnięcia na teren Miasta kilkuset, a może nawet ponad tysiąc nowych mieszkańców. Podobno zgodził się także na osiedlenie ich w pasie ziemi niczyjej, pomiędzy terytorium zajęтым przez lekterytów i własnymi posterunkami. Ten ruch miał doprowadzić do ponownego przesunięcia granicy i „odzyskania” terenów utraconych po kwarantannie.

Namówienie Pana Jana nie było ponoć wcale takie trudne, mimo że Miasto broniło się, jak mogło, przed wpuszczaniem na swój teren prostych obywateli Ligi i Wszchwoławia. Magistrat uznawał Pasów i Dresów za niepewny element, ale podupadająca społeczność potrzebowała przecież dopływu świeżej krwi, jeśli zamierzała odzyskać dawną świetność.

Nauczyciel nie zaprzętał sobie głowy tym, gdzie ostatecznie trafią uratowani przez niego ludzie. Jego zadanie polegało na przekonaniu wszystkich stron, że przedostanie się do Miasta jest najlepszym rozwiązaniem. I to miał zamiar zrobić, równie skutecznie, jak wcześniej poradził sobie z Pasami.

– Ty tam!

Pogrążony w myślach Pamiętający nie zareagował na głośne wołanie.

– Stój, jak do ciebie mówię! – usłyszał za plecami inny głos, dobitniejszy i donośniejszy.

To go otrzeźwiło. Zaklął pod nosem, wściekając się na własną nieuwagę. Stracił czujność i dał się podejść jak pierwszy lepszy smarkacz. Bimber wypity na prawie pusty żołądek byłby dobrym usprawiedliwieniem, ale nie teraz i nie tutaj.

Obejrzał się, jakby dopiero w tej chwili zrozumiał, że do niego się mówi.

W kanale za nim stało trzech karków. Widział ich dobrze w blasku przenośnych lamp. Gwardziści. Wygoleni na łyso, ubrani na czarno. Dwaj byli uzbrojeni w łomy, ale zza ich pleców wystawały łuki i kołczany pełne strzał, trzeci miał przy pasie tylko nóż. Pamiętający zakląłby jeszcze raz, i to na głos, gdyby nie bał się ich reakcji.

Dresowie, wbrew nadanej im po Ataku nazwie, już dawno zrezygnowali z ortalionowych i bawełnianych strojów sportowych, w jakich uwielbiali przesiadywać na blokowiskach Nowego Dworu, Popowic i Kozanowa. Z czasem, gdy proklamowano powstanie unii Wszchwoławia, skupiającej wszystkie bandy kontrolujące północno-zachodnie dzielnice zniszczonego miasta, zbrojne ramiona imperium Dresów zaczęły stroić się w czern i przyozdabiać każdą kurtkę czy płaszcz wielkimi celtyckimi krzyżami. Ale tylko elita tej frakcji i jej wyżsi oficerowie mieli

prawo nosić na opaskach symbol Falangi.

Taki, jaki Pamiętający dostrzegł teraz na rękawie najniższego z trzech mężczyzn w czerni. Tego z nożem.

– Głuchy jesteś? – zapytał tamten jadowitym tonem – Czy okazujesz pogardę nowemu gospodarzowi tych terenów?

Dresy przejęły ten rejon Przyodrza? – Nauczyciel zrobił wielkie oczy, zastanawiając się, czy aby nie został wystawiony przez Messiego. *To by mogło tłumaczyć, dlaczego nowy przywódca Ligi był taki miękki podczas negocjacji...*

– Tak proszę pana, trochę na uszy niedomagam, wiek już nie ten – odpowiedział, oceniając równocześnie swoje szanse.

Było ich trzech. Wszyscy wypasieni, dobrze uzbrojeni, ale chyba żaden z nich nie spodziewał się oporu. Nauczyciel dziwił się, że tak wysoki funkcjonariusz – o czym świadczyła opaska – paraduje po wrogim do niedawna terenie z nieliczną obstawą. Wprawdzie tutaj, przy samym Pogorzelsku, mieszkało niewielu ludzi, bo i na powierzchnię nie było po co wychodzić, ale ta niefrasobliwość była bardzo zastanawiająca. Do czasu jednak

– Rzuć worek! – Te słowa wypowiedział ktoś stojący za plecami Pamiętającego.

Obejrzał się. Z tej strony drogę blokowała mu kolejna trójka Dresów. Poczuł zimny pot na karku. Czyżby to nie było przypadkowe spotkanie?

Schylił się, żeby odłożyć worek, ale nie wyprostował pleców, pozostał zgarbiony, bo tak właśnie powinien wyglądać każdy niedojadający, sterany robotą zbieracz.

– To Pasy już tu nie rządzą? – zapytał, odwracając się do przywódcy tej bandy.

– Od dzisiaj, mendo, będziesz się kłaniał rasie prawdziwych panów – zaśmiał się oficer. – Przeszukać go!

Ci znajdujący się za jego plecami sprawnie wykonali rozkaz. Śmieci posypały się z wora i zaszeleściły pod buciorami, jego samego obmacano fachowo w poszukiwaniu ukrytej broni. Gwardziści nie znaleźli niczego, ale to chyba ich nie ucieszyło. Świadczył o tym choćby cios w nerkę, po którym Nauczyciel padł na kolana, szcząc z bólu.

– Za co to, panowie? – zapytał płacziwym tonem.

Poprawili mu z buta, aż wylądował twarzą na zimnym betonie, modląc się tylko o to, by niechlujnie założony opatrunek, którym przesłonił wcześniej oko, skroń i czoło, nie zsunął się z głowy.

– Słyszeliście, co powiedział? Panowie! – przedrzeźniał go Dres. – Niezły jest, skurwieli.

Zaśmiali się, łachudry. Jakby właśnie znaleźli bezbronną ofiarę. Teraz był już pewien, że za chwilę zbierze łomot życia. Być może za to, że podbój Przyodrza nie obył się bez ofiar. Chłopaki Messiego nie odpuścili, a on za to zapłaci.

– Wstań! – rozkazał jeden z tych, którzy stali za nim.

Nie ociągał się. Ból w okolicy nerek nie pozwolił mu się jednak wyprostować, stanął więc plecami do obłej ściany, żeby nie doszło do zaskakującej powtórki. Wolał mieć jednych i drugich na oku. Jeśli chcą walki, dostaną ją, ale na trochę innych warunkach, niż myślał.

Na razie byli pewni swego. Mieli ogromną przewagę liczebną, broń, a także mocno już naruszonego, jak im się zapewne wydawało, przeciwnika, który sprawiał w dodatku wrażenie kompletnie bezbronnego i zagubionego. Pierwszy, który podejździe, przekona się jednak na własnej skórze, że to wszystko pozory. Oby to był ten najwyższy, z lśniąca maczetą w dłoni. Jest tak przekonany o swojej sile, że z pewnością pozwoli ją wykorzystać przeciw sobie. *Moment, w którym położy na mnie rękę, będzie jego ostatnim*, pomyślał Pamiętający.

– Czas na oficjalne przywitanie, zbieraczu – rzucił drągał tonem niepozostawiającym złudzeń, na czym może polegać owa ceremonia, i ruszył w kierunku Nauczyciela. Asekurował go szeroki w barach, ale niższy o głowę kark o całkiem miłej aparycji, do której zupełnie nie pasowała pałka nabijana długimi zardzewiałymi gwoździami. Szli wolno, ostrożnie, a gdy znaleźli się trzy kroki od Pamiętającego...

– Stać!

Nauczyciel zerknął ukradkiem w kierunku oficera. Zobaczył, że tamten podnosi rękę i daje znak towarzyszącym mu Dresom. Obaj jego pomagierzy sięgnęli zwinnie po luki. Zanim zdążył się ruszyć, już naciągnęli cięciwy. Stali tylko kilkanaście metrów od niego, zatem doskonale widział szerokie, ząbkowane grot.

Dryblas i ten z pałką odsunęli się, schodząc z linii ewentualnego strzału.

– Co ci się stało w głowę? – zapytał oficer.

– Rozharatałem na gruzach – odpowiedział natychmiast Nauczyciel, nadal zachowując unizony ton.

– Pokaż.

– Co my tu ma...

Łucznicy naciągnęli mocniej cięciwy, usłyszał wyraźnie, jak plecione z jelit linki zaśpiewały.

Podstęp nie wypalił, równie dobrze więc mógł przestać udawać. Wyprostował się i jednym ruchem ściągnął brudny bandaż. Ci z prawej zaszemrali, gdy zobaczyli jego twarz, a raczej zdobiący ją tatuaż. Spojrzał więc na oficera. Ku jego zdziwieniu tamten nie wyglądał na zaskoczonego ani przejętego.

– No, no – wycedził przez zaciśnięte krzywe zęby. – Zaczyna się robić coraz ciekawiej.

10 | Przesłuchanie

– Nie jestem szpiegiem – powtórzył po raz setny Pamiętający.

– Nie rozumiem cię, Skorpionie. – Dres popatrzył na niego z naganą. – Przecież obaj wiemy, że i tak powiesz całą prawdę. Nie teraz, to za godzinę, dwie albo jutro. Mamy cały czas świata na wyciągnięcie jej z ciebie i – podniósł palec, jakby zamierzał wyjawić mu jakiś sekret – ogromną chęć do tej roboty, nieprawdaż, chłopaki?

Spojrzał na grzejących się przy niewielkim żelźniaku osiłków, a ci odpowiedzieli zgodnym pomrukiem aprobaty.

Kazali mu się położyć, tam w kanale, cały czas trzymając go pod grotami. Związali mu ręce za plecami grubym kablem elektrycznym, potem podźwignęli i zaciągnęli do jakiejś ruiny. Przed Atakiem musiał być tutaj jakiś warsztat albo niewielka fabryczka. Z miejsca, w którym zawisł, widział na wół rozebrane pordzewiałe maszyny, tokarki, a może frezarki. Zajmowały odleglejszą część wysokiego na ponad sześć metrów pomieszczenia. Górą biegły tory suwnicy, martwej dzisiaj jak cała reszta tej okolicy. Niedziałającej od lat, ale jak widać, wciąż użytecznej.

Skępowany jak baleron Nauczyciel zawisł na wielkim haku. Jakby tego było mało, Dresowie wsadzili mu nogi do przeciętej na pół plastikowej beczki, którą wypełnili potem kawałkami gruzu, nie przejmując się zupełnie, że ranią mu przy tym stopy i łydki. Ich przywódca, człowiek gadatliwy ponad miarę, wyjaśnił udawanym przyjaznym tonem, że robią to, ponieważ muszą go ustabilizować, by nie chwiał się jak worek treningowy przy każdym ciosie. Jeden z jego podwładnych zaprezentował skuteczność tej metody, wyprowadzając chwilę później mocnego haka pod żebra.

Tak zaczęli tę zabawę jakieś pół godziny i dwadzieścia kilka uderzeń temu. Po każdej serii ciosów – zadawanych tylko na korpus, co samo w sobie było zastanawiające – dowódca Dresów wstawał z podstawionego mu rozklekotanego krzesła, by powtórzyć jedno i to samo pytanie.

– Dla kogo szpiegujesz?

Nie satysfakcjonowało go żadne wytłumaczenie bez względu na to, jak prawdopodobne się wydawało. Chciał usłyszeć bardzo konkretną odpowiedź i bez ustanku dawał temu wyraz.

– Przecież ja nie wiedziałem nawet, że przejęliście ten teren – tłumaczył mu cierpliwie

Nauczyciel.

– Skoro nie szpiegowaleś, po co ci było to przebranie? – Dres wskazał na stos łańców, które z niego zerwali, zanim został podwieszony.

– Mam kosę z Pasami. Wolalem, żeby nie wiedzieli o mojej obecności na swoim... dawnym terytorium – poprawił się szybko, żeby nie dostać kilku dodatkowych strzałów.

– Masz kosę z... jak mu tam... z Messim? – Dres pokręcił głową. – Z tego, co słyszałem, powinien ci być wdzięczny, bo to byłeś ty, nieprawdaż? Że też wcześniej tego nie skojarzyłem... Chłopaki! – odwrócił się, by obwieścić pozostałym swoje odkrycie. – Złapaliśmy żywą legendę tych kanałów. Pozwólcie, że wam przedstawię, oto sam pan Zjawa. – Rozłożył ręce jak cyrkowy konferansjer zapowiadający co najmniej babę z brodą.

– Duch.

– Przepraszam, pan Duch – przedrzeźnił go oprawca.

– Skoro słyszeliście o tym, co zrobiłem z Pelem...

– A mnie się wydaje – przerwał mu Dres – że nasz wspólny przyjaciel, lider Ligi, jest z tobą w zмовie.

Pamiętający starał się zachować kamienną twarz, choć niespecjalnie mu to wychodziło. Czulił potworne klucie w boku, pewnie zdążyli mu już połamać kilka żeber. Trzy razy rzygał po trafieniach w rozciągnięty żołądek, bo za każdym razem lali go tak długo, aż rozluźnił mięśnie. Dostał też parę razy po nerkach, aż mu dech zapierało. No i te nogi. Każde uderzenie to wymuszony ruch, a każdy ruch to tarcie gołej skóry o ostre jak brzytwy kawały gruzu. Te płytkie rany nie mogły go zabić, ale nawet przez moment nie pozwalały zapomnieć o bólu. Znali się na tej robocie, musiał im to przyznać.

– Nie jestem z nikim w zмовie – zapewnił, starając się, żeby zabrzmiało to maksymalnie szczerze.

– Nie wierzę ci, bracie. – Dres pomachał palcem. – Nie wiem jeszcze, po co wysłał cię tutaj, ale się dowiem. Możesz mi wierzyć. – Odwrócił się do swoich. – Jak myślicie chłopaki, po kiego wора mógł tutaj wysłać kapitana Czarnych Skorpionów?

– Po mojemu, żeby cię zabić – odpowiedział jeden z łuczników.

Oficer pacnął się wyprostowaną dłonią w czoło.

– Głupi ja. No przecież. Chciał mnie usunąć przy pomocy skrytobójcy z zewnątrz. To do niego podobne, nieprawdaż?

Ta zabawa sprawiała mu ogromną satysfakcję.

Nauczyciel wiedział, że nie ma co liczyć na pomoc. Nikt nie dowie się o jego zniknięciu, dopóki Iskra nie przejdzie za Odrę i nie dotrze do miejsca, w którym miał na nią czekać, a to stanie się dopiero nocą, za kilkanaście godzin. Co więcej, ta głupia dziewczyna może pomyśleć, że znowu zmienił plany albo ją do reszty wystawił – zacznie się więc na poważnie niepokoić, o ile to uczucie nie jest jej zupełnie obce, dopiero na następny dzień, kiedy sprawdzi, że nikt go ostatnio nie widział ani o nim nie słyszał. A gdyby nawet jakimś cudem zareagowała natychmiast, to i tak nie będzie wiedziała, gdzie go szukać. Ci dranie prowadzili go wystarczająco długo, by nawet ktoś,

ko znał trasę jego marszu, nie trafił przy padkiem na ich kryjówkę. Skurwiele znali się nie tylko na bicu. Z miejsca, w którym go zdjęli, zabrali wszystkie rupiecie, jakby zdawali sobie sprawę, że powinni dobrze zatrzeć ślady. Tak więc miał totalnie przechłapano bez względu na to, co się tutaj wydarzy.

Jeszcze godzina takiego bicia i powie im wszystko, co chcą usłyszeć, nie dlatego, że go złamią, ale by skrócić sobie męki. Ten skurwiol miał rację, każdy prędzej czy później pęka. Tylko w starych książkach i filmach bohaterowie pozostawali niezłomni.

A skoro tak, może lepiej przyspieszyć ten proces...

– Jak się nazywasz? – zapytał, zaskakując udającego zamysłenie Dresę.

– Po co ci to wiedzieć?

– To proste – rzucił. – Chcę wiedzieć, kim jesteś, żebym mógł dopaść wszystkich twoich bliskich, po tym, jak już przerobię na miazgę ciebie i tych twoich ciotowatych pomagierów.

– Hu, hu, hu! – zaśmiał się tamten. – Duch jest straszny, Duch jest zły, Duch ma bardzo ostre kły.

– Zdzirę, która śpiewała ci tę bajkę, zerznę i zarznę na samym końcu – obiecał. – O ile jeszcze szmata żyje.

Dres zjeżył się, ale tylko na moment.

– Wiem, co robisz – rzucił nagle z rozbawieniem, grożąc mu palcem. – Dobry jesteś, przyjacielu. Mało brakowało, a wkurwiłbyś mnie na maksa. Tak bardzo, że dziabnąłbym cię tym nożem w sam środek bebechów... – Wyjął prymitywnie wykonaną samoróbkę wielkości wikingiego saksa.

– Naprawdę uważasz, że rzucam słowa na wiatr? – zapytał Nauczyciel, także siląc się na uśmiech. – Zapamiętaj te słowa. Wyłupię ci oczy gołymi rękami. Wyskoczą jak pestki ze zgniętej śliwki.

– Czekaj, czekaj... – Oficer podszedł do niego z nożem w dłoni. – Wyjaśnij mi, co to jest ta śliwka, bo nie chciałybym źle zrozumieć tej przerażającej groźby.

Pamiętający splunął mu prosto w roześmiany pysk. *Tę zniewagi menda nie może puścić płazem*, pomyślał i rzeczywiście, wkurzył Dresę do białości, ale skończyło się tylko na kolejnej serii ciosów. *Tylko...*

– Dla kogo szpiegujesz? – Wrócili do punktu wyjścia.

– Dla Czystych – wy palił bez zastanowienia Nauczyciel.

Rozbawił ich tym wyznaniem do łez.

– To było dobre. – Dres usiadł, wyciągnął rękę, natarczywym gestem żądając czegoś do picia.

Jeden z przydupasów podbiegł natychmiast z butelką bezbarwnego płynu, który niekoniecznie musiał być wodą.

– Nie pij sam, chamie – wycharczał Nauczyciel.

Znowu wybuchnęli śmiechem.

– Chcesz łyka? – zapytał oficer. – To naprawdę drogi trunek. Patrz, jaki czysty. – Pomachał

mu butelką przed oczami. – Za dużo zapłaciłem, żeby polewać każdemu, kto o to poprosi, a ty, paskudny niewdzięczniku, nawet nie poprosiłeś. Dobrze mówię, chłopaki? – Przytaknęli chórem. – Ale, ale. Dzisiaj jestem w naprawdę dobrym humorze, więc może, ale tylko może, poczęstuję cię tym zacnym trunkiem. Mów zatem, co mi za tę gorzałę jesteś w stanie zaferować?

– Nie zgwałcę twoich córek, zanim sprzedam je do burdeli w Mieście – odpowiedział spokojnie Nauczyciel, patrząc mu prosto w oczy. – O ile masz jakieś córki. Nie wiem, czy wy, niedojebki, możecie się rozmażać jak prawdziwi ludzie.

– Teraz to przegiąłeś. – Dres spowaźniał w momencie. – Jaktam, panowie? Żar już jest?

– Jest, szefie.

– Świetnie. – Oficer wstał. – Tak się składa, że mam dwie córeczki i bardzo je kocham.

– W którym tego słowa znaczeniu? – Pamiętający nie odpuszczał.

To był trudny przeciwnik, ale nie tacy pękali, jeśli trąciło się odpowiednią strunę. Już przed chwilą zauważył, że Dresowi zaczy nają puszczać nerwy. Ludzie nawykli do wydawania rozkazów i wiernopoddańczych zachowań podwładnych mogli zgrywać twardzieli, ale łamali się szybciej niż maltretowane przez nich ofiary. Wystarczyło tylko znaleźć ich najczulszy punkt. Cios w twarz na odlew był czytelnym dowodem na to, że kolejna prowokacja przyniosła skutek i zbliżyła Nauczyciela do celu.

– Myślisz, śmieciu, że uda ci się wytrącić mnie z równowagi, co oszczędzi ci męczarni? – wysyczał poirytowany Dres, zbliżając czerwoną z gniewu twarz na kilkanaście centymetrów.

Jeszcze się kontrolował, dzięki czemu nie dostał strzału z czapki w nasadę nosa. Zdążył odskoczyć i znowu pogroził palcem jak niesfornemu dzieiakowi.

– Nie. Ja się z tobą nie bawię w udowadnianie, kto ma większego. Ja mówię poważnie. Jak tylko skończymy pieprzyć, wyłupię ci te kaprawe oczka, masz to jak w banku.

– Te twoje przedwojenne, obrazowe powiedzonka – zaśmiał się Dres. – Wiesz doskonale, że nam się nie wywiniesz, dlatego tak desperacko próbujesz mnie wkurwić. Liczysz na to, że za któryś razem nie wytrzymam i skrócę ci męki, na przykład podrzynając ci gardło.

– Ty poderzniesz mi gardło? – zaśmiał się Pamiętający, krótko, bo zaraz się rozkaszłał i o mało nie stracił przytomności z bólu powodowanego mimowolnymi skurczami obitych mięśni. – Takie cioty jak ty nie brudzą sobie rączek. Znam was dobrze, wystarczająco wielu twoich kumpli posłałem na tamten świat.

– Tak, tak. Czego to tam nie dokonywaliście podczas wojen... Jakbym swojego starego słyszał. Tak samo pieprzył od rzeczy, dopóki go nie odesłałem. Nie dlatego, że był stary albo chory... Irytował mnie tym wiecznym utyskiwaniem. Ale – uniósł palec – jemu doprowadzenie mnie do tego stanu zajęło prawie trzy lata, a muszę nadmienić, że mieszkaliśmy pod jednym dachem. Więc wiesz, marne szanse widzę... Tym bardziej że zacząłeś z za grubej rury. Pozwól, że udzielę ci rady, jak będziesz chciał wkurwić kogoś tak cierpliwego jak ja, zacznij od drobiazgów i przechodź do coraz poważniejszych gróźb, bo jak przywalisz od razu zgwałceniem dzieci, to czym możesz to potem przebić?

– Mamy czas, coś wy myślę – warknął Pamiętający.

– O tak Czasu mamy naprawdę wiele, a wiesz dlaczego?... – Dres zamilkł na chwilę. – Stary, jesteś dla mnie jedyną rozrywką na tym zadupiu. Drugiego takiego zjeba w tych kanałach nie znajdziemy, choćbyśmy je przetrzepali wzdłuż i wszerz. Wątpię, aby w enklawach rządzonych przez Pasów żyli ludzie bardziej odważni niż nasz plebs. Powiem ci szczerze, jesteś... – przeliczył coś szybko w pamięci, pomagając sobie palcami – ...dwudziestym ósmym dupkiem, jakim się bawię od chwili, gdy przejąłem schedę po swoim starym, ale pierwszym, który dostarczył mi tyle rozrywki. Chłopie, ty jesteś jak ta... telewizja, o której nawijają wszystkie staruchy. Co ja gadam, jesteś od niej lepszy. Musisz mi więc wystarczyć na kilka dni, może nawet ty dzień.

– Do tego czasu twojego trupa rozszarpią kotokaty albo jakieś inne plugastwo, bo ja nie zajmuję się grzebaniem zwłok – odpowiedział Pamiętający, ale już bez takiego przekonania jak wcześniej.

Drażnienie tego ścierwa chyba faktycznie mijają się z celem.

– Nie odpuszcza do samego końca, jak wygłodzony szarik To mi się podoba. W tym ciebie kryje się naprawdę hardy duch! – Tym razem śmiały się dłużej niż poprzednio. – No dobrze, teraz moja kolej – podjął oficer, gdy już się uspokoił. – Powiedziałeś, że tacy jak ja nie lubią sobie brudzić rąk Zwłaszcza krwią. Masz rację, bardzo tego nie lubimy, ale na szczęście ktoś mądry znalazł na to radę, wynajdując... Tak, to cudo, które teraz widzisz – zamachał Nauczycielowi przed nosem skórzanymi rękawicami, nałożył je powoli, naciągnął kolejno każdy palec, ponieważ były bardzo ciasne, a gdy skończył to przedstawienie, podszedł do żelźniaka, pogrzebał w nim chwilę i wyjął spore obcęgi z drewnianymi rączkami. Ich rozpalone szczęki jarzyły się pomarańczowym blaskiem. – Byłeś niegrzeczny, groziłeś mi takimi paskudnymi rzeczami, więc postanowiłem zrobić coś, co uświadomi ci ostatecznie, że możesz mnie co najwyżej... – zamilkł, więc pozostali dokończyli za niego.

– ...w dupę pocałować!

Znów się rozrehotali. Oficer przeszedł w tym czasie za plecy więźnia, a dwaj jego pomagierzy, ci, którzy w kanale mierzyli z luków, pośpieszyli za nim, by przytrzymać ofiarę. Dryblas także zniknął z pola widzenia.

– Powiem ci, co teraz zrobię – kontynuował Dres – bo nie możesz tego zobaczyć, a nie chciałbym, żebyś przez nieuwagę przegapił najciekawszy punkt programu dzisiejszego popołudnia. Za moment obetnę ci tymi obcęgami pierwszy palec. – Nauczyciel poczuł, że ktoś chwytą go za prawy nadgarstek i wygina dłoń, mocno, ale nie do bólu. Próbował się szarpać, ale gwardziści trzymali go jak w imadle. Mijały sekundy, ale na razie nic więcej się nie wydarzyło. – Wybacz, że zwlekam – usłyszał w głosie Dres'a kajanie – ale właśnie przyszło mi do głowy, że obcięcie ci palca byłoby ogromnym marnotrawstwem... Nie mogę ci tego zrobić, nie po tym, jak mnie rozbawiłeś. Ciachnę go więc przy pierwszym stawie. Dzięki temu będziemy mieli trzy razy więcej zabawy. Cieszysz się?

Pamiętający nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy dalsze drażnienie tego sadysty ma sens, ale zanim znalazł odpowiedź, poczuł tak ogromny ból, że nie wytrzymał i zawył na cały głos.

– Ty okurwieńcu!... – wysapał pół minuty później, gdy zobaczył przed sobą uśmiechniętego

Dresa.

– To ja do ciebie wychodzę z sercem na dłoni, a ty mnie nadal wyzywasz? – zadzwilił tamten.
– Zobacz – pokazał mu torebkę foliową, w której spoczywał koniuszek małego palca zakończony brudnym paznokciem z jednej strony i poczerniałą, wypaloną raną z drugiej. – Czyściutka robota. Ani kropli krwi nie uroniłeś. A obcęgi – zamachał mu narzędziem tak blisko twarzy, że Nauczyciel poczuł żar bijący od rozgrzanego metalu – zostały wysterylizowane w tym żeleźniaku, więc w ranę nie wda się żadna zaraza.

To był moment, w którym Pamiętający po raz pierwszy poczuł całkowitą bezradność. Dres uświadomił mu, słowami i czynem, że został ubezwłasnowolniony i czy tego chce czy nie, będzie zabawką tych odszczepieńców, dopóki im się nie znudzi... Zmrużył oczy, gdy uderzyła go ta ostatnia myśl. Może to będzie lepsze rozwiązanie?

– Ty to jednak głupi jesteś – wysyczał półprzytomnie, jakby wciąż jeszcze dochodził do siebie.

– Tak? A to dlaczego? – zainteresował się Dres.

– Zjebałeś taką okazję do zadania mi dodatkowego bólu.

– Serio?

– Przyjrzyj się. Co widzisz na tym palcu?

Oficer podniósł woreczek, przyglądał się przez chwilę jego zawartości, a potem wyszczerzył zęby.

– No dzięki, Duchu złościutki. To faktycznie strata, ale wiesz, jak się zastanowić, wcale nie taka wielka. Masz przecież jeszcze dziewięć, co ja mówię, dziewiętnaście paznokci. Nadrobimy to jakoś, obiecuję. Może będę je wyrywał powoli albo na raty? Co wolisz?

– Wali mnie to – wychrypiął Nauczyciel.

Wbrew pozorom, nie oszalał do reszty. Jeśli tego drania tak bawiło dręczenie ofiar, znudzi się i odpuści, ale tylko wtedy, gdy mu odebrać całą przyjemność z tej zabawy. A co może bardziej zniechęcić zwyrodnialca niż obojętność katowanego?

* * *

Godzinę później Pamiętający nie miał dwóch paznokci. Stracił też drugi paliczek małego palca. Potem Dresowie zrobili sobie przerwę na posiłek. Na tym samym żeleźniaku opieki kilka szczyrch tuszek i zjedli je, siedząc w kucki. Nauczyciel nie dostał nawet kropli wody, ani wtedy, ani później, mimo że kilkakrotnie o nią poprosił. Oficer tłumaczył mu spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie, że na wszystko przyjdzie pora. Teraz jest czas bólu i cierpienia, więc trzeba być twardym i dlatego on jest zdecydowany wytrzymać najgorsze katusze ofiary, żeby udowodnić komuś takiemu jak kapitan Czarnych Skorpionów, że nie jest cipcią i słabeuszem. Jak na skończonego skurwiela był nawet zabawny.

Pod wieczór, kiedy Nauczyciel nie miał już ani jednego paznokcia na prawej dłoni,

a w woreczku znalazło się siedem obciętych paliczków, zdruzony i zmęczony apatią ofiary Dres opadł ciężko na krzesło.

– Trochę się na tobie zawiodłem, człowieku – rzucił, popijając biber z plastikowej butelki. – Drzesz się jak byle pizduś, kiedy cię oprawiamy, ale za to chyba nie powinienem cię winić. Nie podoba mi się jednak, że przestałeś pyskować. Ta zabawa przestała mnie kręcić w chwili, gdy zaczęła być taka jednostronna. Zaczynam więc podejrzewać, że to kolejna z twoich sztuczek. Tak, tym razem chcesz mnie zanudzić na śmierć, żebym jak najszybciej z tobą skończył. – Rozparł się wygodniej, mierząc wiszącego przed nim posiniaczonego więźnia uważnym wzrokiem. – Przez szacunek dla twoich siwych włosów nie mogę na coś takiego przystać. Powiem ci więc, jak będzie. – Wyszczrzył zęby w krzywym uśmiechu. – Dokończę tę robotę zgodnie z planem, nawet jeśli ma mi to nie sprawić żadnej przyjemności. Potraktuj to jako swoisty hołd dla twojego uporu. To będzie coś, nie, chłopaki?

Zamiast rechotu kompanów usłyszał świst i rżenie. Sam wzdrygnął się mocno, ale nie ze zdziwienia, tylko z bólu. Zanim wypuścił z drętwiejących rąk butelkę i foliową torebkę, spojrzął na swoją pierś, z której wystawał zakrwawiony ząbkowany grot. Taki sam, jakiego używali jego ludzie.

Pamiętający, który przed momentem stracił do reszty nadzieję, przyglądał się temu z pasywnym uśmiechem. Nie wiedział jeszcze, kto zdjął tych drani. Robiło się ciemno, a oczy po tyłu godzinach męczarni miał tak zażawione, że z trudem mógł zogniskować wzrok. Mózg też odmawiał mu od jakiegoś czasu posłuszeństwa, nie był więc nawet pewien, czy to, co widzi, nie jest przy padkiem projekcją jego pragnień i marzeń.

– Zdejmijcie go i opatrzcie! – usłyszał znajomy głos, którego jednak nie potrafił przypasować do żadnej twarzy. – Jeśli któryś jeszcze żyje, dobijcie na miejscu. Chcę mieć ich głowy!

– Nie!... – wycharczał z trudem Nauczyciel.

– On chyba chce coś powiedzieć! – zawołał ktoś inny z bardzo bliska.

– Tego zostawcie mnie... – Pamiętający zebrał wszystkie siły, żeby wypowiedzieć to krótkie zdanie.

– Prosi, żeby nie dobijać Zadry.

– A Zadra żyje?

– Dy cha jeszcze – potwierdził moment później ktoś inny.

– Dobra, to zajmijcie się resztą, a jego na razie zostawcie.

Słowa przemykały przez głowę Nauczyciela, walcząc o dostęp do jego umysłu z innymi doznaniem i, a tych nagle przybyło. Zdjęto go z hała, potem rozcięto mu więzy i podtrzymano go, by nie upadł. Z całej wymiany zdań zapamiętał więc tylko jedno: skurwysyn jeszcze dy cha!

– Zaprowadźcie mnie do niego – poprosił wybawców.

– Róbcie, co mówi – rozkazał znajomy głos.

Poczuł, że się unosi, przed oczami wciąż miał krwawą mgiełkę, ale dostrzegł przez nią zarysy sylwetki oprawcy. Podniósł ręce, szcząc z bólu. Lewą dłoń wyciągnął w stronę konającego Dres, a

potem podniósł prawą, tę okaleczoną, przy której brakowało małego palca, wskazującego i jednego paliczka z serdecznego. Do tej roboty potrzebował jednak tylko kciuków. Przytknął je do przykniętych powiek, wyraźnie poczuł pod nimi frenetyczny ruch gałek

– Zadra... – wyszeptał. – Zadra. Pamiętasz, co ci obiecałem?...

Osunął się w mrok, zanim ucichł skowyt oślepianego Dresy.

11 | Uwolniony

Nauczyciel poczuł ciarki na plecach. A potem przyszedł strach, potworny lęk, który zmroził mu krew w żyłach.

Po otwarciu oczu nadal miał przed oczami nieprzeniknioną ciemność. Jakby stracił wzrok. W dodatku przy każdym najlżejszym nawet ruchu czuł potworny ból w obu bokach. Ostre klucie niepozwalające zaczerpnąć głębszego tchu. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy moment później okazało się, że nie może ruszać rękami.

Czyżby to wszystko, co pamiętał, było ułudą? Nagłe uwolnienie i jakże słodka zemsta tak naprawdę były tylko wytworem umęczonej podświadomości? Szarpnął się mocniej, ale to przyniosło jedynie kolejny paroksyzm bólu.

– Chyba się obudził – usłyszał dobiegający zza głowy zduszony głos.

Dźwięcząca w uszach cisza ustąpiła miejsca szmerom i szuraniu. Po prawej zapłonął ogień. Potem drugi pojawił się w nogach i trzeci gdzieś dalej, z boku.

– Leż spokojnie – powiedział... Messi?

Pamiętający wykręcił głowę. Lider Ligi przykucnął obok niego. W blasku zapalonych lamp widać go było bardzo wyraźnie. Strach zniknął tak szybko, jak się pojawił. Nauczyciela zalała fala wielkiej ulgi. *To jednak prawda...*

– Co z nim? – wycharczał Nauczyciel.

– Z kim?

– Z Zadrą.

– Zdechł jakąś godzinę temu. Strasznie rzeził, ale nie dobijaliśmy go, tak jak prosiłeś.

Tego ostatniego Nauczyciel niestety nie pamiętał. Ostatnim obrazem, a raczej wrażeniem sprzed utraty przytomności były ustępujące pod naciskiem kciuków gałki oczne i ten przeraźliwy skowyt, który towarzyszył mu nawet wtedy, gdy zapadał się w bezdenną czarną otchłań.

Raz jeszcze spróbował się poruszyć, ale nie zdołał.

– Dlaczego jestem związany? – zapytał z wyrzutem.

– Spokojnie. – Messi wstał. – Jesteś tak poobijany, że znachor kazał cię wpakować w śpiwór i zabezpieczyć, żebyś sobie w malignie większej krzywdy nie zrobił. Człowieku, rzuciłeś się przez

sen, jak potraktowana ogniem macka sarlaka.

Pasowie zapalili jeszcze kilka lamp, podłożyli też ogień pod żeleźniak. We wnętrzu hali zrobiło się na tyle jasno, że Pamiętający mógł się w końcu rozejrzeć. Leżał w starym wojskowym śpiworze – podobnym do tego, który miał kiedyś, dawno temu, kiedy służył w Czarnych Skorpionach. Być może był to łup wojenny zdobyty przez Pasów po tym, jak upadła ostatnia wojskowa kolonia.

Messi skinął na Paragona i tego drugiego drağala, z którym był w Klatce Pełnej Cieniaków. Porucznicy bez słowa zajęli się rozwiązaniem węzłów, którymi zabezpieczono posłanie Nauczyciela. W końcu mógł poruszyć kończynami. Zamek błyskawiczny nie działał od lat, ale wydostanie się ze śpiwora nie nastroczałoby żadnych trudności, gdyby nie potworny ból, jaki Pamiętający odczuwał przy każdym ruchu.

Obandażowane pasem grubej tkaniny żebra, pozdierane do połowy łydek nogi, opuchnięty żołądek i wciąż dające o sobie znać nerki były niczym przy paroksyzmach płynących falami z prawej dłoni. Nauczyciel podniósł ostrożnie rękę, by przyjrzeć się bandażom, spomiędzy których wystawał tylko kciuk i palec środkowy. Serdeczny został usztywniony jak reszta dłoni, ale mimo grubego opatrunku kończył się dużo niżej, niż powinien.

– Nie chcę cię martwić, Duchu, ale lata kżakowania masz już za sobą.

Pamiętający drgnął, słysząc za uchem głos Messiego.

– To się jeszcze okaże – mruknął, nie odwracając głowy.

Podniósł lewą ręką i przysunął ją do prawej. Przyglądał im się dłuższą chwilę, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że oprawcy pozbawili go wszystkich paznokci i dwóch palców i obcięli mu opuszkę trzeciego. Został okaleczony, usunięty z obiegu. Tak to mogło wyglądać z perspektywy lidera Ligi, ale nie o tym teraz myślał Nauczyciel. Słowa Messiego uświadomiły mu właśnie, jakie miał szczęście w tym nieszczęściu. Zadra zaczął nie od tej ręki, co powinien. Miał tego pecha, że nie wiedział, iż jego ofiara jest mańkitem.

– Mieliśmy u nas takiego durnego stalkera – odezwał się znowu lider Ligi. – Uparł się, że oswoi młodego szarika. I wiesz co, prawie mu się to udało. – W jego głosie pojawiła się nutka podziwu. – Gad jeden dawał się nawet pogłaskać. Ludzie zlązili się, oglądali, cmokali, bohatera po plecach klepali. Mutek jednak albo udawał, albo coś mu nagle do łba strzeliło, bo tydzień albo dwa po tym, jak został złapany, rzucił się na tego kretyna. W porze karmienia. Poharatał go strasznie. Strach było patrzeć. Między innymi odgryzł mu pół dłoni. Został tylko kciuk i palec wskazujący.

– Dlaczego mi to mówisz? – Nauczyciel poprawił się na posłaniu. Za plecami miał cokoł jednej z maszyn, oparł się więc o niego plecami, sycząc głośno, jakby go ktoś przypalał rozgrzanym żelazem.

– Może dlatego, że wiem, jak ta historia się kończy – odpowiedział Messi. – Co sobie pouży waleś, to swoje. I tego się trzymaj.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać na nieco inny temat. – Pamiętający odwrócił głowę.

– Owszem. – Gapiący się w żar Pas także spojrział w jego kierunku. – Powinniśmy.

– Wy stawileś mnie.

– Nie – zaprzeczył lider Ligi. – Gdybym maczał w tym pal... Wybacz. Gdyby to była moja robota, nie odbijałbym cię z rąk Dresów.

– Mówię o układzie zawartym w Klatce – doprecyzował Nauczyciel.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jeden z naszych przeszedł na stronę Wszechwrocławia. O takich posunięciach zainteresowani dowiadują się na samym końcu, o czym sam wiesz najlepiej.

To mogła być prawda, ale nie musiała. Zadra zdawał się czekać na niego w tamtym kanale, jakby wiedział, że ktoś będzie tamtędy przechodził. Ktoś, kogo warto się pozbyć.

– Słowa...

– Mogę to udowodnić – zapewnił go Messi.

– Jak?

– Zapytaj Freję.

– A co ona ma z tym wspólnego? – zdziwił się Pamiętający.

– To chyba jedyna osoba, która wie, jak nas skontaktować.

– Poniekąd – przyznał niechętnie Nauczyciel.

– Zajrzyj do Klatki po powrocie do miasta i zapytaj, co kazałem zrobić – poradził mu Pas.

– A co kazałeś?

– Ostrzec cię o niespodziewanej zmianie sytuacji. Na piśmie to zrobiłem, Skorpionie.

– Mogłeś się zabezpieczyć na wypadek, gdybym mimo wszystko dał radę – nie odpuszczał Pamiętający.

– Tak, na pewno. Z palcem w dupie, wybacz, z zamkniętymi oczami byś ich pokonał – zakpił Pas. – A ja, z tego strachu, że będziesz mnie, Duchu, nawiedzał po nocach, zaryzykowałem małą wojenkę, żeby cię dostać z łap Zadry.

– Kto cię tam wie...

– Chcesz wiedzieć, czy ja to wina? Spójrz kiedyś w lustro. – Messi nagle spowaźniał. – Zabiłeś Pelego, jedynego człowieka, który trzymał ten burdel w kupie, bo ubzdurałeś sobie, że jak dasz mi władzę, to uratujesz siebie i niedojebła.

– I uratowałem.

– Owszem, a ja, zgodnie z obyczajem, przejąłem funkcję lidera. Problem tylko w tym, że połowa przywódców naszych enklaw miała do tego większe prawo. Ci ludzie okazali mi swoje niezadowolenie natychmiast po twoim odejściu. Dresowie mogli zająć resztę Przyodrza tylko dlatego, że na podlegających mi terenach zapanowało kompletne bezhołowie. – Podciągnął bluzę, pokazując długi, także świeży opatrunek – To ślad po wyzwaniu z dzisiejszego rana. – A tę pamiątkę mam z wczoraj. – Pokazał wielki siniec na plecach. – Dlatego tak łatwo mnie kupiłeś.

Pamiętający milczał.

Zastanawiało go już wcześniej, czym może się skończyć takie niespodziewane wyniesienie na tron Ligi. Spodziewał się, że Messi nie będzie miał łatwo, ale prawdę powiedziawszy, niewiele go obchodziło. Z jego punktu widzenia im większy burdel zapanuje na tych terenach, tym lepiej dla pozostałych dzielnic. Jak się okazało, chyba nie do końca miał rację...

– Powiedzmy, że ci wierzę... – zaczął, ale lider Ligi natychmiast wpadł mu w słowo.

– Nie musisz mi wierzyć, jeśli nie chcesz – rzucił, spoglądając w kierunku żeleźniaka. – Ale jej na pewno posłuchasz.

Nauczyciel odwrócił raptownie głowę, gdy usłyszał głośnie gwizdy. Z mroku w końcu hali wynurzyła się drobna postać eskortowana przez zwalistego mężczyznę.

– Jednorazówka wróciła! – zawołał któryś z Pasów tubalnym głosem, wywołując salwy śmiechu kompanów.

– Ty, z nosem dłuższym od kuśki! – Iskra odpowiedziała równie głośno, gdy tylko ucichła wrzawa. – Na twoim miejscu zabijałabym laski, które zamierzasz przelecieć. I to zanim się do nich dobierzesz. Po pierwsze i tak pewnie nic nie pocują, jak je podziobiesz tym robaczkiem, a po drugie nie rozniosą po wszystkich enklawach, że spuszczasz się po trzech ruchach.

Tym razem nikt się nie śmiał. Oczerniony Pas wyszarpnął nóż, pozostali rozstąpili się, robiąc mu miejsce.

– Dość. – Messi nie musiał podnosić głosu. – Siadać i żreć dalej, a ty – wskazał palcem dziewczynę – zamknij pysk. Zagwarantowałem ci nietykalność, ale ułaskawię każdego, kto cię zabije, jeśli tylko znajdzie świadka, że go uprzednio wkurwiłaś. Zrozumiano?

Wszyscy spojrzeli w jego kierunku. Drągał – bo obelgi dotyczyły najwyższego członka oddziału – prychnął gniewnie, ale posłusznie schował broń. Iskra natomiast, wzruszywszy ramionami, ruszyła dalej.

– Działka! Znowu bawiłeś się w berka z szarikami czy nowi koledzy poćwiczyli na tobie obracanie jednorazówek? – powitała go równie szyderczo jak tamtych.

– I ja cię pozdrawiam – wymamrotał zdeglustowany Nauczyciel.

Znowu grała rolę życia. I tak jak przy puszczał, zirykowała go w pięć sekund. Zastanawiał się nawet, jakim cudem zdołała przetrwać w tym okrutnym świecie, robiąc sobie tak szybko zaprzyśiętych wrogów.

– Duch miał przyjacielską rozmowę z Zadrą – wyjaśnił związłe Pas.

– Tym małym sadystą z Popowic?

– Z tym samym.

– No, no. On jest bardziej posrany od bajek działka Tarantino, które bardziej opowiadają na Bazarze za żarcie i bimber.

– A ty skąd się tu wzięłaś? – zapytał Pamiętający, przerywając im tę skądinąd pouczającą konwersację.

– Sajgon przekazał mi wiadomość od Frei. Ostrzeżenie o zajęciu Przyodrza przez Wszechwrocław – wyjaśniła.

– Nie śpieszyłaś się, jak widzę – burknął, wskazując na czerń pod dachem, gdzie wcześniej widział blask dnia dzięki ciągom świetlików.

– Naprawdę? Zrobiłam, co mi kazałeś, durny oblechu, a to musiało chwilę potrwać – wyjaśniła urażonym tonem. – Kiedy wróciłam od Katarynki, w noclegowni dano mi kartkę i powiedziano, że Sajgon lata tam i z powrotem jak posrany, wypytując, czy już wróciłam. No to

poszłam do Klatki. Tam z kolei dowiedziałam się od tej ze świecącymi cyklami, że Pasy zebrały w dupę i może być nieciekawie. Nie wiedziałam co dalej, ale na szczęście wtedy pojawił się kurier od pana „wydupczę wszystko, co się rusza, oprócz stołu z krótszą nogą”. – Spojrzała z odrazą na Messiego, ale ten ją kompletnie zignorował. – Powiedział nam, że cię odzyskali i że możesz potrzebować pomocy. No to jestem.

– Masz moje rzeczy? – zapytał Nauczyciel, gdy w końcu umilkła.

– A po co ci te graty, dziadzia? Tak też ładnie wyglądasz. Prawie jak ten brodaty ze świętych obrazków, co go zdjęli ze skrzyżowanych desek

– Masz je czy nie masz?

– Zostały u Frei. Z tego, co mówił kurier, wynikało, że nie będziesz ich potrzebował przez najbliższy tydzień.

– Nie jest tak źle – warknął, próbując wstać.

Messi wyciągnął rękę, by go wesprzeć, ale Pamiętający odrzucił ją gniewnie. Poczekali więc oboje, przyglądając się temu, jak skatowany mężczyzna przetacza się na bok, potem na brzuch, podpira jedną ręką i w końcu kłęka z trudem. W tej pozycji zamarł na dłuższą chwilę. Każdy oddech przynosił kłujący ból w miejscu, gdzie żebra były połamane.

– Może jednak? – Pas znowu wyciągnął dłoń.

Tym razem propozycja pomocy nie została odrzucona.

Pamiętający stanął o własnych siłach, potem zrobił kilka kroków. Był nagi jak go natura stworzyła. Dresowie odarli go z łachów na samym początku, potem spalili je w żelazniaku. Upokorzenie więźnia było wstępem do tortur, którym zamierzali go poddać. I pokazaniem beznadziei sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc – Nauczyciel spojrzał Messiemu w oczy – to zorganizuj mi jakieś porządne szmaty.

– Zrobi się – odparł Pas.

– Pogięło cię do reszty, oblechu? – Iskra stanęła obok

– Mamy robotę – stwierdził krótko, robiąc pierwszy, niepewny krok

– Kto inny pójdzie. Katarynka już się tym zajmuje – przekonywała.

– Moi nikomu innemu nie uwierzę – zgasił ją kilkoma słowami.

Obojgu nie można było odmówić racji. Nieufni uciekinierzy z Nowego Watykanu i niewiele bardziej od nich otwarci przywódcy Wolnych Enklaw mogą posłuchać tylko kogoś, o kim wiedzieli, że jest w stanie dotrzeć na drugą stronę Strefy Zakazanej. Jeśli ta misja ma się udać, to on powinien ją dokończyć. W tym stanie jednak mógł nie podołać...

– Nie dasz rady – nie odpuściła.

– Dam.

– Jak przeprawisz się przez Odrę? – zapytała. – Będziesz się chwycił... tym? – Wskazała z obleśnym chichotem na jego genitalia.

– Dam radę – powtórzył, ignorując jej impertynencje.

– Ty mu przemów do rozumu, bo ja odpadam. – Przeniosła wzrok na Messiego, wzdychając

ciężko.

– Dziewczyna ma rację – poparł ją Pas. – W tym stanie daleko nie zajdziesz. To ponad sto metrów przeprawy, a ty masz jedną sprawną rękę.

– I głowę – poprawił rozmówcę.

– Ta, językiem się chwyć – wtrąciła kłóśliwie Iskra.

– Zamknij się, jak starsi rozmawiają – uciszył ją Messi. – Decyzja należy do ciebie, ale posłuchaj najpierw zdania kogoś, kto zna się na tych sprawach lepiej niż my. Pawulon!

Od grupki Pasów oderwał się niski mężczyzna w dziurawej, robionej na drutach czapce i pikowanej, niegdyś czerwonej kurtce.

– Słucham.

– Ten kretyn chce się przeprawić przez Odrę.

– I?

– Co: i? Twoim zdaniem da radę czy mutki będą miały dzisiaj użycie?

Pawulon wyduł wargi, skrzywił się, potem podrapał po zarosniętej szczecinie brodzie.

– Ludzie Zadry oszczędzali go z jakiegoś powodu. Dostał wpięprz, ale to gorzej wygląda, niż jest w rzeczywistości groźne. Może przez parę dni sikać krwią i pewnie posra się nieraz przy ostrzejszym ruchu, ale na moje oko ma tylko jedno złamane żebro. Dwa inne są tylko mocno słuczone. Gdyby nie te palce, powiedziałbym, że da sobie radę. Lekko by nie miał, ale mógłby wytrzymać. To w końcu pieprzony w sam środek wiotkiej dupy Skorpion – zakończył.

– Gdyby nie te palce... – Messi odwrócił się do Pamiętającego. – Sam słyzałeś. Opuść.

Nauczyciel się uśmiechnął.

– A jeśli ona zrobi mi z paska pętlę i przywiąże ją solidnie do nadgarstka zdrowej ręki?

Pawulon wzruszył ramionami.

– Parę w łapach masz, więc to może się udać – stwierdził po chwili namysłu – ale na twoim miejscu, jeśli naprawdę chcesz tam iść, zrobiłbym tak: prześpij się do rana, wypocznij, nabierz sił, a tuż przed przeprawą dziabnij to... – Sięgnął do jednej z bocznych kieszeni płóciennego chlebaka i wyjął małe foliowe woreczek.

– Co to jest? – zapytał podejrzliwie Pamiętający.

– Najlepszy środek przeciwbólowy – wyjaśnił Pawulon. – Anielski kryształ. Najczystszy, jaki znajdziesz na rynku. Sam go przepalam trzy razy po zakupie.

– Mam się naćpać?

– Brałeś już kiedyś?

– Nie – obruszył się Nauczyciel. – Jeśli chcę się ściorać, wybieram bimber. To kurewstwo uzależnia od pierwszego strzału. Widziałem, co robiło z ludźmi, zanim go u nas zakazaliśmy.

– Nie wiesz, o czym mówisz, przyjacielu. To nie neokrokodyl. Nie uzależnisz się od aniołka po jednorazowym zażyciu, masz na to moje słowo. Za to ból ustąpi. Skoro jesteś świeży, weź tylko pół działki. Poczujesz się jak młody bóg, ale nie odjedziesz.

– Dzięki za dobre chęci. Zaryzykuję moją metodę.

– Jak sobie chcesz, ale wysłuchaj chociaż pierwszej rady i prześpij się kilka godzin – rzucił

znachor na odchodnym.

– On ma rację, dziadzia – poparła go Iskra. – Ty tu sobie grzecznie śpij, a ja w tym czasie skoczę do Miasta. Dam znać, komu trzeba, że wracasz do gry, a przy okazji przyniosę ci ciuchy.

Ta druga propozycja przeważała. Perspektywa wyruszenia w cudzych łachach, zapewne ściągniętych z kóregoś trupa, niespecjalnie mu się widziała. A wspomnienie o osobistych rzeczach przypomniało Nauczycielowi o jeszcze jednej sprawie.

– Ty też masz coś, co należy do mnie – rzucił w stronę Messiego.

– Mówisz o tym, co ci odcięli?

– Nie. – Pamiętający spojrział na niego z odrazą. – Mówię o moim plecaku i broni, którą zabraliście mi poprzednim razem. Chcę je odzyskać.

– Pohandlujmy zatem – zaproponował lider Ligi.

– Wal śmiało.

– Chcę drugie tyle.

– Czego?

– Amunicji.

– Pogięło cię? Za stary plecak i trochę gratów, które mają sentymentalne znaczenie tylko dla mnie? – zakpił Nauczyciel.

– I za uratowanie żalosego, gołego dupska – skontrolował celnie Pas.

– Dziesięć.

– Nie. Cały.

– Dobrze, dam ci tyle, ale pod jednym warunkiem. Twój ludzie obstawią teren i utrzymają go do czasu, aż przeprowadzimy naszych.

– Umowa stoi. Każ dziewczynie przynieść pestki.

– Nie takszybko.

– Nie? – zdziwił się Messi.

– Dostaniesz je, ale po tym, jak wszyscy dotrą bezpiecznie do Miasta – wyjaśnił Pamiętający.

– Chcesz mnie wydymać, Skorpionie?

– Chcę, żeby tym razem umowa została wykonana bez niespodzianek.

– To ty z nas dwóch kłamałeś podczas spotkania w Klatce – wytłknął mu Pas.

– Ja?

– Tak, ty. Kto powiedział, że nie ma więcej nabozi? – To pytanie lider zadał, uśmiechając się półgębkiem.

12 | Transakcja

Nieszczerólny przyjrzał się uważnie zawartości foliowej torebki. Przeliczył wzrokiem fragmenty palców, pozrywane paznokcie. Na koniec skinął głową, usatysfakcjonowany wynikiem oględzin.

– Dobrze się spisaleś, sy nu – stwierdził, chowając trofeum do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Rozchylając jego poły, odsłonił przypiętą do pasa kaborę i rękojeść tkwiącego w niej wielkiego pistoletu. Czy Messiego załśniły na ten widok

– Jestem dobry w tym, co robię – zapewnił gościa.

Nieszczerólny pokłiwał głową, jakby przyjmował ten fakt do wiadomości. Jego ręka powędrowała do innej kieszeni. Gdy ją wyjął, trzymał w dłoni magazynek Pełny.

– Jesteś pewien, że on niczego nie podejrzewa? – zapytał, patrząc liderowi Ligi prosto w oczy.

– Na sto procent – zapewnił go Pas. – Gdyby było inaczej, pewnie nie dożyłbym tej rozmowy.

– A świadkowie?

– Nie ma żadnych. Mój człowiek u Zadry, ten, który namówił Dresów do zajęcia dawnego terenu Karniaka, podpowiedział im, gdzie warto zapolować na szpiegów Miasta, i wskazał halę nadającą się na przesłuchanie Pamiętającego, był na miejscu, kiedy zaatakowaliśmy. Zabrał do grobu nasz mały sekret. Oprócz niego o całej sprawie wiemy tylko ty i ja.

– Świetnie. I niech tak zostanie. Jeśli on zacznie coś podejrzewać...

– Możesz mi wierzyć, że nie będę o tym rozpowiadał – zapewnił Nieszczerólnego Pas, łypiąc na trzymaną przez niego amunicję.

– Przysłużyłeś się dzisiaj syndykadowi – usłyszał w odpowiedzi. – Na pewno ci tego nie zapomnimy. Rób tak dalej, a daleko zajdziesz. Może nawet dalej niż nasz nieodżałowany przyjaciel, Pele.

Magazynek wyśladował z hukiem na blacie dzielącego ich stołu.

13 | Śluza

Nauczyciel stanął przed wysokimi wrotami ze stali. W blasku rzuconym przez obie lampy ujrzał wystające żebra porzewiałej mocno konstrukcji i przynitowane do nich płyty. Ta ponadstuletnia bestia miała za zadanie powstrzymać wezbrane wody, które w trakcie każdej powodzi zalewały sieć kanalizacyjną leżącego w niecce miasta. Dzisiaj jednak, dwadzieścia lat po Ataku, pełniła inną, choć dość zbliżoną funkcję. Strzegący jej gwardziści pilnowali, by nic niepożądanego nie przedostało się tą drogą na terytorium Wolnych Enklaw. Dotyczyło to zarówno mutantów, jak i obcych ludzi.

Do niedawna było to jedno z dwóch czynnych wyjść do Strefy Zakazanej. Teraz, po zagładzie Ślepego Toru, tędy wiodła ostatnia droga prowadząca na Przyodrze i jedyna trasa, jaką mogli pójść uciekinierzy z Nowego Watykanu.

Pamiętający podkręcił knot i podniósł lampę wyżej.

– Wielka – mruknęła z uznaniem Iskra. – Jak ją otworzymy?

– Zapukamy – odparł spokojnie po tym, jak już podszedł do ściany po lewej i zawiesił lampę na solidnym kuty m haku.

Nieco niżej wisiał duży młotek. Nauczyciel chwycił go lewą ręką, wyważył w dłoni, a potem zrobił krok w kierunku wrót i biorąc szeroki zamach, uderzył. Głównia narzędzia walnęła z impetem w gruby na centymetr metal, wydając tak ogłuszający łomot, jakby kamienne niebo runęło właśnie na ich głowy. Zaskoczona mocą tego dźwięku Iskra zapiszczała i skuliła się instynktownie.

Pamiętający zamachnął się jeszcze dwukrotnie, waląc w śluzę w równych odstępach czasu i nie bacząc na grad rdzy, osypującej mu się na głowę i ramiona.

Gdy skończył, odwiesił młotek i zdjął lampę z haka. Cofnął się do miejsca, w którym zostawił Iskrę.

– I co teraz? – zapytała.

– Nic, czekamy na reakcję – odparł zwięźle.

Do ich uszu dotarł zduszony pisk

– Już otwierają? – zdziwiła się.

– Nie. To tylko gwizdki strażników. Dają znać do enklawy, że ktoś idzie. Nie otworzą, dopóki nie sprawdzą, kim jesteśmy.

– Dziwne panują tu obyczaje. A jakby nas mutki gonili?

– W takim wypadku mielibyśmy przerąbane.

– Dlaczego tyle to trwa? – zapytała pół minuty później.

– Standardowa procedura w niejasnych okolicznościach. Muszą wezwać posiłki, a to kilkaset metrów stąd.

– Jaja sobie robisz.

– Nie. Być może na zewnątrz nie ma żadnych patroli i wpadli w panikę, bo nie mają pojęcia, kto idzie.

– Ja bym z samej ciekawości nie wytrzymała i od razu sprawdziła, kto idzie.

– Dlatego nikt by cię tutaj nie postawił na warcie – zaśmiał się Pamiętający.

Wolał jej nie wyjaśniać, że niemalą część zapisów protokołu dotyczącego zabezpieczeń sam zaproponował lata temu, gdy uczestniczył z Innym w zgromadzeniu mającym ustalić podstawowe prawa kodeksu. Tego samego, który obowiązywał po dzień dzisiejszy w tej części zniszczonego Wrocławia.

Dziewczyna kręciła głową z niedowierzaniem.

– Ściągną pół enklawy przeciw jednorękiemu bandycie i małej niewinnej dziewczynce? – zakpiła.

– To zrozumiałe środki bezpieczeństwa na wypadek, gdyby w mroku za nami czaiła się cała armia najeźdźców. Poza tym te wrota sporo ważą. Trzeba dziesięciu chłopów, żeby je ruszyć z miejsca, a na warcie jest zazwyczaj tylko dwóch albo czterech strażników. Trzymanie pełnej obsady jest nieopłacalne. Ludzie tutaj, w odróżnieniu od ciebie, muszą ciężko harować, żeby przeżyć.

– Spróbuj spędzić jedną noc z biskupem, to pogadamy – odcięła się natychmiast.

Czekali ponad minutę, po czym wreszcie, gdzieś pod samym sklepieniem, rozległo się głośne skrzyknięcie i do pogrążonego w ciemnościach tunelu wpadł snop bladego światła, który został czymś szybko przesłonięty. Nauczyciel trącił Iskrę w bok. Oboje unieśli lampy tak, by oświetlały wyraźnie ich twarze.

– Kogo tam licha niesie? – zawołał człowiek, który powinien być dowódcą warty.

Dziewczyna już otwierała usta, by posłać mu kilka ciepłych słów, ale Pamiętający wyprzedził ją o pół wdechu.

– Jestem Nauczyciel, z enklawy Innego. A to moja pomocnica, Iskra.

– Nauczyciel?

– Tak

– Ten Nauczyciel od zarazy i neonówek?

– Tak, ten sam.

Znow usłyszeli gwizd, tym razem o wiele głośniejszy.

– Co się dzieje? – zapytała półgłosem Iskra.

– Nic, poznali mnie i otwierają.

– A co by było, gdyby nie poznali? – zapytała bez cienia uszczypliwości.

– Nic by nie było. Nie wpuszczają obcych. Dlatego to ja musiałem tu przyjść. Gdybyś pojawiła się w tym tunelu sama, pół dnia straciłabyś na przekonywanie tych ludzi, kim jesteś i czego chcesz. A efekt mógłby być naprawdę daleki od twoich wyobrażeń.

Nie dodał, że po pierwszej wizytacji okienko na górze zatrasnęłoby się i pozostałoby zamknięte bez względu na to, jak długo waliłaby w te wrota młotkiem. Nie żartował, kiedy upierał się przy tym, że musi załatwić tę sprawę osobiście mimo odniesionych niedawno ran. Nie był pewien, czy uda mu się pokonać przepawę, ale znając stawkę, zaryzykował i choć dwa razy było naprawdę ciężko, dzięki pomysłowości i pętlom, na których mógł zawisnąć w kryzysowych momentach, dotarł w końcu na przeciwległy brzeg. Potem było już z górki. Pół godziny później znaleźli się przy szczelinie, o której wspominała Iskra.

Musiał przyznać, że przejście zostało idealnie zamaskowane. Żeby odkryć znajdujący się za nim burzowiec, trzeba by usunąć wielotonowe kawały gruzu, a raczej udających splełany żelbet konstrukcji, ponieważ ta niby naturalna przeszkoda została zaplanowana w najdrobniejszym szczególe i zbudowana przez Czystych, o czym Pamiętający przekonał się na własne oczy, pokonując kolejne ciasne odcinki krętej szczeliny. Ostatecznym dowodem, który przekonał go do geniuszu budowniczych, były przemyślnie ukryte schowki – te duże, w których mógł się ukryć człowiek, i mniejsze, na wodę, broń lub narzędzia. Czyści naprawdę pomyśleli o wszystkim. Dziewczyna pokazała mu nawet rozmieszczone w odpowiednich odstępach uchwyty na lampy zrobione z niby chaoty cznie powyginanych prętów zbrojeniowych.

Od dwudziestu lat ludzie patrolowali ten tunel i nikt nigdy nie znalazł tego przejścia. Idąc burzowcem, Nauczyciel zastanawiał się, jak to możliwe – stalkrzy byli przecież niezłymi badaczami podziemi. Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy Iskra pokazała mu, jak zmyślni byli konstruktorzy. Wsunęła dłoń do niewyróżniającego się niczym otworu, pogmerała w nim chwilę, a potem pokazała mu z tryumfalnym uśmiechem gruby jak kiuk bolec. Moment później przesunęła jedną ręką wielką płytę, odsłaniając wąskie wejście.

– Przeciwwaga – wyjaśniła jednym słowem.

Rechotała z jego miny jeszcze przez dłuższą chwilę. Z opadniętą szczęką musiał wyglądać jak skończony idiota.

– Zatkaj uszy i otwórz usta – poradził jej, gdy usłyszał, że strażnicy otwierają wielkie rygle.

Pomna niedawnego szoku poszła w jego ślady, zanim jedno ze skrzydeł śluzy poruszyło się z przerażającym zgrzytem. W zamkniętej przestrzeni kanału dźwięk ten wydawał się głośniejszy od wybuchu. Na szczęście gwardziści nie musieli otwierać wrót na oścież, wystarczyła szczelina, przez którą może się przecisnąć człowiek.

Nauczyciel przepuścił dziewczynę, potem podał jej plecak i sam wsunął się między wielkie płyty metalu.

14 | Powrót do domu

Stare śmieci. Te dwa proste słowa opisywały stan Nauczyciela lepiej niż niejeden poemat. Gdy Pamiętający minął ostatni zakręt kanału i zobaczył przed sobą murek posterunku, jakże skromnie wyglądający w porównaniu z umocnieniami na granicy Miasta, poczuł gdzieś tam, głęboko w trzewiach, przyjemne mrowienie.

Znał te tunele. Znał też ludzi, którzy je zamieszkiwali. Na Bazarze i w Mieście otaczały go setki ocalonych, ale nawet przez mgnienie oka nie czuł się częścią tamtej społeczności. Oblicza mijających go w tłumie ludzi były mu całkowicie obce. Nie znał ich przydomków ani historii, jakie się z nimi wiązały. Tutaj natomiast mógłby godzinami rozprawiać o każdym miejscu, które mijali, ponieważ znał je wszystkie na wylot. Wiedział, skąd uszczerbek w ceglany murze i jak powstało wgłębienie w wydeptanym podłożu. Podobnie rzecz się miała z mieszkańcami. Na jego oczach rodzili się, dorastali, niejeden raz też patrzył na ich śmierć. Był żywą kroniką enklawy Innego.

To był jego dom. Miejsce, w którym mieszkał najdłużej, nawet jeśli liczyć życie przed Atakiem. Spędził w tej niewielkiej enklawie ostatnie piętnaście lat, opuszczając ją z rzadka, i to najwyżej na kilka godzin. Aż do pamiętnej ucieczki nie spędził poza szkołą jednej nocy, a w każdym razie nie przypominał sobie tego.

Z każdym krokiem trafiał na miejsca, których wygląd wrył mu się wyjątkowo w pamięć. Mijał ludzi, którzy przystawali zaskoczeni jego widokiem, a potem promienieli nagle i zaczęli zagadywać, zasypując ich oboje gradem pytań. Wszystkim nieodmiennie powtarzał, że poświęci im więcej czasu, jak tylko załatwi najważniejszą sprawę, tę, z którą do nich przyszedł. Sam zadał tylko jedno pytanie, kierując je do pierwszego napotkanego mieszkańca:

– Kto jest teraz przywódcą?

Usłyszał to, czego się spodziewał. Władzę po Białym przejął sędzia. Jego rodacy byli tak przewidywalni... Nie miał im tego za złe. Wiedział bowiem, że tym łatwiej będzie ich przekonać do planu Bondarczuk

– Zaraz się zdziwisz – mruknął do Iskry, gdy docierali do pilnowanego przez gwardzistę wejścia.

Na straży stał Gnom. Jeden z rezerwistów, których nowy przywódca zatrudnił na miejsce „zaginionych” przybojnych Białego. Chłopak prosty, ale uczciwy. Urodził się pięć lat po Ataku w sąsiedniej enklawie, skąd przeniósł się po jakimś czasie z rodzicami, gdy Innemu zabrakło człowieka znającego się na mechanice. Tak to wtedy działało. Jeśli ktoś miał dwóch fachmanów, dzielił się nimi – choćby czasowo – z tym, kto nie dysponował żadnym.

Odkąd Nauczyciel pamiętał, Gnom kręcił się przy rowerowni, gdzie najpierw jeszcze podczas nauki pomagał ojcu, zajmując się smarowaniem łańcuchów i drobnymi naprawami, a potem gdy podrośł i okrzepł, dołączył do grupy pedałuujących. Harował tam na zmiany co drugi dzień, pozostały czas poświęcając zbieractwu. Dzięki takim ludziom jak on to miejsce nadawało się wciąż do życia.

Ciekawe, kto go zastąpił? – zastanawiał się Pamiętający, stając przed wyprężonym na baczność, dumnym z nowego zajęcia chłopakiem.

– Widzę, że awansowałeś... – powitał go przyjaźnie.

– A wy w jakiej sprawie? – zapytał krótko Gnom, jak miał w zwyczaju.

Ale nie zmądrzałeś, dodał w myślach Nauczyciel.

– Przynoszę wiadomość dla Vuko.

– Od kogo?

– Dzióbku, zadaj dziadzi jeszcze jedno głupie pytanie, a twój szefuńcio będzie musiał sobie kupić nowego gwardzistę, bo ty się do reszty zepsujesz – ostrzegła go Iskra, zanim Pamiętający zdążył ją uciszyć.

Gnom spojrział na nią, robiąc jedną z tych okrutnych min, od których pochodził jego przydomek. Po drganiu dolnej wargi widać było jednak, że groźba poskutkowała. Dziewczyna szybko sprowadziła go z obłoków na ziemię. Gdy zniknął za zasłoną, Nauczyciel odwrócił się do niej i syknął:

– Prosiłem, żebyś tutaj była sobą.

– Przecież jestem – odparła, markując zdziwienie.

– Nie tą sobą.

– A którą?

– Nie wkurzaj mnie, dzióbku, bo zredukuję ci stan uzębienia do niezbędnego minimum – warknęła, słysząc zbliżające się kroki.

– Pruj się, flaku – odszepnęła buńczucznie.

– Możecie wejść – oświadczył urażonym tonem świeżo upieczony gwardzista.

– A ty możesz dalej się nadymać, tylko uważaj, żeby nie przesadzić, bo ci sznurek podtrzymujący te śmieszne gacie pęknie i wszyscy zobaczą to nic...

Tym razem Pamiętający bez słowa ostrzeżenia smagnął ją otwartą dłonią po potylicy.

– Co powiedziałem?

– Że jesteś dup... Dobra, już milczę jak twój grób. – Uniosła ręce w obronnym geście, widząc, że krew napływała mu do policzków. – Robota ważniejsza, pamiętam.

– No!

Minęli obramowane dodatkową warstwą cegieł wejście i znaleźli się w krótkim korytarzu.

– Tu jest prawie jak w Klatce – stwierdziła obojętnym tonem, gdy zobaczyła rozkład pomieszczeń.

Był ciekaw, jak bardzo ją to zdziwi, ale zawiódł się srodze. Nie wyglądała na zaskoczoną, jakby ta zbieżność nie była dla niej niczym niezwykłym.

– Nie ciekawi cię dlaczego? – zapytał, zanim doszli do kotary.

– A co ma mnie ciekawić, ja to wiem – odparła, mijając go zwinnie. – Pod centrum w każdym większym kanale były po dwa albo trzy takie zbiorniki. Poniemiecki szajs.

No proszę.

Sala audiencyjna nie zmieniła się ani trochę. Nowy przywódca zostawił wszystko po staremu, nawet przy nazwie enklawy nie majstrował, choć mógł to zrobić bez problemu, teraz, gdy dynastia Innego przestała rządzić tym miejscem.

– Kopę dni, Nauczycielu! – zagrmiał Vuko, zrywając się z lekko tylko osmalonego skórzanego fotela, który także odziedziczył po poprzednikach.

Dzieliło ich tylko kilka kroków, a przestrzeń ta malała w zastraszającym tempie z każdym uderzeniem serca Pamiętającego.

– Czeka! – wyciągnął przed siebie okaleczoną rękę.

Vuko zatrzymał się w pół kroku, zdziwiony raczej widokiem brakujących palców niż ostrzeżeniem gościa.

– Kto cię takurządził? – zapytał.

– Tak się to kończy, gdy stary człowiek chce, a nie mo... – zaczęła Iskra, ale szybko zamilkła zgromiona jednym spojrzeniem Nauczyciela.

– Miałem scysję z dawnymi wrogami – skłamał byłem u sędziemu, żeby nie wdawać się w dyskusje. – Lepiej mnie nie ścisłaj, jeśli nie chcesz dokończyć dzieła Dresów – ostrzegł.

– Dresowie tak cię załatwili? – zdziwił się Vuko. – Wydawało mi się, że miałeś iść do Miasta przez Nowy Watykan i Ziemie Niczyje.

– Takı był plan – przyznał Pamiętający. – Ale potem zachciało mi się wrócić na stare śmieci i to był błąd. Tam, za Strefą, wciąż są miejsca, do których normalny człowiek nie powinien zaglądać.

– Człowiek gubi w nich palce, a niemi chłopcy zamieniają się w pyskate dziewczęta? – Vuko obrócił to zająście w żart.

Takı był. Szczery, zabawny i inteligentny. W przeciwieństwie do Iskry wiedział, kiedy należy odpuścić. Umiał także zasugerować dyskretną aluzję, że ktoś o czymś zapomniał.

– Wybacz. To Iskra. Łączniczka z Miasta, która zna kanały po tamtej stronie jak ty własną kieszeń. Była moim przewodnikiem i... lewą ręką – także zażartował, aby pokazać przywódcy, że ma dystans do tej sprawy.

– A wy wybaczcie mnie – znity gował się natychmiast Vuko. – Przychodźcie z daleka, a ja każę wam stać. To wszystko jest dla mnie takie nowe. Dopiero wczoraj zająłem miejsce Białego.

Wspomnienie albinosa trąciło czułą strunę.

- Wiadomo już, co z nim? – zapytał Pamiętający.
- Przepadł. Jak kamień w wodę – odparł były sędzia, prowadząc ich do stołu. – Głodni jesteście? Napijcie się czegoś?
- Chętnie, ale najpierw załatwmy to, co najważniejsze.
- Co może być ważniejszego od zaspokojenia głodu i pragnienia?
- Kwestia uciekinierów? – wtrąciła Iskra bardzo rzeczowym tonem.
- Zamieniam się w słuch. – Wukło ciężko opadł na osmalony tron.

15 | Rada

– To zbyt ryzykowne.

Wszyscy przywódcy enklaw, których sproszono do sali audiencyjnej, pokręcili zgodnie głowami. Cała jedenastka wysłuchała w pełnym skupieniu Nauczyciela, gdy ten przedstawiał im propozycję zażegnania kryzysu. Nikt mu nie przerywał, dopóki sam nie umilkł i nie spojrzął znacząco na zebranych. Właściwa dyskusja, uporządkowana i spokojna, miała się dopiero zacząć. Zarządcy enklaw przedstawiają swoją opinię kolejno, mówiąc krótko oraz rzeczowo i odnosząc się wyłącznie do wątpliwych ich zdaniem kwestii. Pamiętający natomiast odpowie im najdokładniej, jak potrafi, także nie lejąc wody.

To nie byli mili ludzie. Wielu z nich rządziło żelazną ręką, jeszcze więcej miało krew na rękach, ale tutaj, na tym zgromadzeniu, będą rygorystycznie przestrzegali ustalonych przez siebie zasad. To jedno było pewne jak śmierć – podatki bowiem przestały już obowiązywać.

Nie po to wyróżniono po Ataku wszystkich polityków i wysługujących się im karierowiczów, by teraz powiełać zachowania, które doprowadziły do kataklizmu. Poważne sprawy należy załatwiać tak jak na to zasługują: w skupieniu szukając najlepszego rozwiązania z możliwych.

Zdanie wypowiedziane przez Vuuko otworzyło pierwszą rundę dyskusji.

– Wiem – odparł Nauczyciel – że nasza propozycja na pierwszy rzut oka może wydać się ryzykowna, ale zapewniam was, że zaplanowaliśmy tę operację w najdrobniejszych szczegółach. Dlatego przyszedłem do was dzisiaj, po tygodniu od rozpoczęcia tego kryzysu, a nie kilka dni wcześniej.

Powiedział tyle, ile musiał. Nic więcej. Jako drugi o głos poprosił zgarbiony mężczyzna siedzący wprost Pamiętającego, przywódca Kapitolu.

– Nie wątpię, że przygotowaliście tę operację z należytą starannością i przemyśleliście każde posunięcie, jeśli chodzi o zorganizowanie przeprawy pod Strefą Zakazaną i przejście przez terytoria Pasów. Moje, choć równie dobrze mógłbym powiedzieć: nasze, obiekcje dotyczą jednak pewnego drobiazgu, który mogliście przeoczyć. Mówię o konieczności przepuszczenia tych ludzi przez nasze enklawy. – Ostatnim jego słowem towarzyszyły ciche pomruki aprobaty i zdecydowane potaknięcia pozostałych, jedyne formy wtrąceń, na jakie zezwalało prawo. –

Wiem, że istnieją drogi, którymi ewakuowani uciekinierzy mogliby ominąć część enklaw, ale umówmy się, jeśli ich tam skierujemy, ta operacja będzie trwać tydzień, a może i dłużej. Jedyne rozsądne trasy do służby w Zajeźdni wiedzie więc od was – wskazał głową Vuko – przez Liceum i Kapitol. Tylko te kanały są wystarczająco obszerne, żeby masy uciekinierów mogły przemieszczać się wystarczająco szybko, nawet jeśli będą dźwigać spory dobytek. Wiemy o tym doskonale, ponieważ to trasa dawnych karawan. I tu właśnie widzę problem. Przyjdzie nam otworzyć posterunki i wpuścić do naszych enklaw dziesiątki obcych ludzi naraz. Co będzie, jeśli po wejściu nie zechcą pójść dalej? Kontrolowanie każdego z wchodzących pod kątem posiadania ukrytej broni zniweczy nasze wysiłki równie skutecznie, jak prowadzenie tych ludzi okrężną trasą.

Pamiętający zorientował się, czego będzie dotyczyć wątpliwość, gdy tylko siwy Grabarz wyrzucił z siebie pierwsze słowa odrobinę przydługiej, ale mimo wszystko merytorycznej wypowiedzi. O tym Bondarczuk faktycznie nie pomyślała, a i jemu nie przyszło wcześniej do głowy, że ludzie, którym zaproponuje się azyl w Mieście, mogą wybrać inne, prostsze i bezpieczniejsze z ich punktu widzenia rozwiązanie.

– Rozważaliśmy taką możliwość – skłamał, by ratować sytuację – ale odrzuciliśmy ją po długich dyskusjach jako mało prawdopodobną. Rozumiem jednak wasze obawy. Gdyby ci ludzie zechcieli przejąć kontrolę nad naszymi enklawami, po tym jak już zostaną wpuszczeni za posterunki, niewiele moglibyśmy zrobić, by temu przeciwdziałać. Myślę jednak, że uda nam się zaradzić niebezpieczeństwu. Zwróćcie uwagę, że trasa ewakuacji będzie przebiegać przez tylko cztery enklawy, co oznacza, że pozostali siedem nie będzie w żaden sposób narażonych. Jeśli ich mieszkańcy wspomogą siły porządkowe sadyb tranzytowych, stworzymy kordon, który poradzi sobie z każdą próbą napaści.

Wymyślił to rozwiązanie naprędce, ale chyba nie było takie złe, sądząc po reakcjach przywódców. Przy najmniej w pierwszym momencie.

– To z kolei znaczyłoby, że musimy wpuścić do naszych enklaw duże oddziały uzbrojonych sąsiadów.

Te słowa wypowiedział Twardy, rządzący od dwóch lat Liceum. Należał do grona najmłodszych przywódców, urodził się niedługo po Ataku, a we wczesnym dzieciństwie jako jedyny ze swojej licznej rodziny przeżył epidemię grypy, która zdziesiątkowała kilka okolicznych enklaw. Stąd właśnie wziął się jego przydomek.

Nauczyciel skrzywił się w duchu. Ta kwestia, z pozoru tylko niedorzeczna, mogła zniweczyć wszystkie jego starania. Ostatnie chude lata sprawiły, że sąsiadujące ze sobą enklawy coraz częściej przechodziły ze współpracy na ostrą rywalizację o resztki dóbr znajdujących się na powierzchni. Rada już trzykrotnie musiała rozsądzać spory dotyczące wkraczania zbieraczy na tereny należące do innych społeczności, by nie dopuścić do eskalacji i przelewu krwi. Nic więc dziwnego, że Liceum i Kapitol zrobią wszystko, by nie wpuścić na swoje terytorium uzbrojonych sąsiadów, z którymi od tamtego czasu toczą spory. To było o wiele realniejsze zagrożenie niż wydumany atak ze strony uciekinierów. Co gorsze, nie widział prostego rozwiązania tego problemu.

– Mogę coś powiedzieć? – z zamyślenia wyrwał go głos Iskry.

– Siadaj – syknął, widząc, że dziewczyna wstaje.

Nie mógł zrobić wiele więcej bez narażania się na ostracyzm zebranych. Sala audiencyjna na czas debaty stawała się azylem. Miejscem, w którym nie tolerowano żadnych aktów przemocy, nawet słownych. Podniesienie na kogoś ręki podczas zgromadzenia byłoby więc potraktowane jak najohydniejsza ze zbrodni. Nawet gdyby dotyczyło osoby zaproszonej w charakterze gościa. Z drugiej strony, jeśli nic nie robi, ta idiotka może zrujnować całą operację. Już widział oczami wyobraźni, jak rzuca im kilka wiązanek po których spotkanie Rady zakończy się największym skandalem, jaki widziała ta dzielnica. A może nawet rozpadem kruchej koalicji podupadających enklaw.

– Dziękuję, szanowni przywódcy tutejszych społeczności – mówiła tymczasem dziewczyna, opierając się piąstkami o blat stołu, wokół którego zasiadali zebrani. – Nie jestem stąd, więc może wam się wydawać, że nie do końca rozumiem podłoże przedstawianego problemu. Tym bardziej że w Mieście nie mamy enklaw, o czym zapewne nie wiecie, gdyż tak daleko idąca integracja nastąpiła już po upadku Republiki, kiedy karawany przestały docierać do tej części Wrocławia. Nasze kanały są teraz jak dawne ulice, posterunki strzegą wyłącznie granic zewnętrznych, ale wcześniej, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem, miewaliśmy podobne problemy, ponieważ nasze sadyby leżały obok osiedli rządzonych przez Pasów i Dresów. Za pozwoleniem, chciałabym zaproponować rozwiązanie, które stosowaliśmy sami, kiedy ludzie w Wszehwrocławiu chcieli przejść przez nasze terytoria, by dostać się do Republiki Kupieckiej. Używaliśmy dość prostej, ale sprawdzonej metody. Dzieliłiśmy ich karawany na segmenty, liczące po piętnastu, dwudziestu ludzi, i wpuszczaliśmy na terytorium enklawy tylko po jednym. Zdaję sobie sprawę, że ten sposób zabezpieczenia spowolni proces ewakuacji, ale w waszym przypadku da się pójść o krok dalej. Wśród uciekinierów jest sporo kobiet i dzieci, możecie więc wpuszczać większe grupy jednocześnie pod warunkiem, że będą mieszane. W tym miejscu pora na kolejną sugestię. Musicie podzielić rodziny tak, by część osób pozostawała zawsze na zewnątrz. Dla przykładu, jeśli wpuscicie ojca i dzieci, ich matka będzie czekała w kolejnej grupie. To z pewnością ograniczy tym ludziom możliwość manewru i odwiedzie ich od myśli o rozrabianiu. To tyle. Jeszcze raz dziękuję za udzielenie mi głosu i przepraszam, jeśli to w jakiś sposób zламаło obowiązujące podczas waszego zgromadzenia zasady.

Usiadła sztywno z poważną miną, nie patrząc nawet w kierunku zdębiałego Pamiętającego.

– Twoja pomocnica, Nauczycielu, to bardzo mądra kobieta – oznajmił kolejny z mówców, Klucznik, nadzorca ostatniej bramy prowadzącej pod Strefę Zakazaną. Śląd wziął się jego przydomek, nietrudno zgadnąć. Kto jak nie on miał przejąć obowiązki po własnym ojcu. – Ta metoda może faktycznie zadziałać. Pozostaje więc ostatnia wątpliwość. Czy ludzie, o których mówimy, zaakceptują wasz plan?

– Tym będziemy się martwić, gdy tylko uzyskamy zgodę Rady na realizację planu – odpowiedział Pamiętający, wciąż nie mogąc wyjść z szoku. – Mam jednak nadzieję, że większość uciekinierów nie będzie miała nic przeciwko. Zwłaszcza że brak im alternatywy. Powrót do

Nowego Watykanu, szczególnie po wydaniu przez nadpapieża ekskomuniki, raczej nie wchodzi w grę, a my możemy im obiecać nowy start w znacznie zasobniejszej dzielnicy – dodał.

Liczył na to, że tą wypowiedzią zakończy dyskusję i wreszcie będzie można przejść do głosowania. Usiadł, widząc, że nie ma więcej chętnych do zabrania głosu. Niektórzy z przywódców rozmawiali ze sobą półgłosem, inni siedzieli głęboko zamyśleni. Brak obiekcji był jednak dobrym prognostykiem.

– Naprawdę dzieliliście karawany Dresów? – szepnęła, pochylając się do puszącej się wciąż Iskry.

– No co ty, dziadzia – odpowiedziała półgębkiem, żeby ich nikt nie podsłuchał. – Zwykłą nawijkę im puściłam. Kit na uszy, nic więcej. Widziałam, że cię przytknęło, więc ruszyłam z odsieczą. Wam, wsioki, wszy stłko można wcisnąć, karawaniarze często mieli z was bekę. Wolni to jesteście, ale w myśleniu chyba.

– Przy ganiał kocioł garnkowi.

– Nie truj, zazdrościsz, że taksprytne to rozegrałam.

– Nie przeczę.

– Od najlepszych uczyłam się ściemniania. A ciemny lud wszystko kupi. Nie wiem, kto wymyślił to powiedzenie, ale musiał być pieprzonym geniuszem.

– Zdziwiłabyś się... – mruknął Pamiętający.

– Nie wiem, czemu uważałaś, że nie dałabym sobie rady z tymi wapniakami. To przecież same głupki. A ty też nie lepszy. Słyszał kto kiedy, żeby Republika wpuszczała na swój teren cudze karawany?

Teraz, gdy o tym wspomniała, wydawało się to takie oczywiste, że sam nie rozumiał, dlaczego dał się jej omamić. Może za bardzo pragnął znaleźć rozwiązanie, które oddaliłoby widmo przegranej? Wrócił do rzeczywistości, gdy dostrzegł, że Mruk, jednooki przywódca enklawy Przywale, unosi rękę.

– Wszystko dobrze – wychrypiał moment później charakterystycznym dla siebie głosem – ale co zrobimy, jeśli nasi obywatele także zechcą odejść do ziemi obiecanej?

A więc to jednak nie koniec...

16 | Dar serca

Cztery bite godziny. Dopiero po takim czasie zakończyło się pierwsze posiedzenie Rady. Pytanie Mruka, zamiast podsumować dyskusję, otworzyło puszkę Pandory. Problemy z uciekinierami wydały się niczym przy możliwości utraty własnych obywateli, w tym najważniejszych fachowców. Mimo wielu ciekawych rad i mądrych wypowiedzi nie znaleziono satysfakcjonującego rozwiązania tej kwestii. Stało więc na tym, że przywódcy muszą zebrać się jeszcze raz, następnego ranka zaraz po świcie, by wtedy – po przespaniu się z tematem i zasięgnięciu opinii zaufanych doradców – podjąć ostateczną decyzję.

Gdy Vuko zamknął oficjalną część zgromadzenia, do sali audiencyjnej wkroczyło kilka starszych kobiet, za których sprawą na stole pojawiły się misy pełne jedzenia i flaszki bimbru. Tradycja nakazywała, by ciężar sfinansowania tego posiłku rozkładał się sprawiedliwie pomiędzy wszystkich obecnych, a że każdy z przywódców chciał się pokazać z najlepszej strony, kucharki z enklawy Innego nie miały tego wieczora wiele dodatkowej roboty.

To nie była jednak uczta w pełnym tego słowa znaczeniu. Jeśli nawet niektórzy z obecnych lubili folgować podniebieniu, robili to wyłącznie w zaciszu własnych siedzib. W miejscach publicznych i podczas wszelakich ceremonii menu nie różniło się wiele od tego, co wspólna garluchnia serwowała pozostałym ocalonym. Tak nakazywała tradycja i zdrowy rozsądek. Przywódcom podano więc po dwie tuszki szczyriny, jedną wędzoną i drugą jeszcze ciepłą, świeżo pieczoną, z obowiązkową miseczką larw do smaku. Oprócz tego na każdego uczestnika biesiady przypadał pasek suszonego szarika, który podawano zazwyczaj po zjedzeniu głównego posiłku, ponieważ suche jak podeszwa i powoli puszczające soki mięso nadawało się idealnie na zakąskę do smakującego jak politura bimbru. Posiłku dopełniał deser, tym razem dostarczony przez pana na Przywalu. Czerwieńce, niewielkie robaki wydłubywane z mułu zbieranego na brzegu wysychającej Odry, były czymś na kształt łakoci. Jediną słodyczą, jakiej człowiek w tym zakątku zniszczonego miasta mógł skosztować.

Myśli o słodkościach zepsuł Pamiętającemu widok Achai. Dużo by dał, by nie musieć spojrzeć jej w oczy. Niestety wdowa po kowalu była jedną z kobiet przydzielonych do obsługi zaproszonych gości. I to jej przypało w udziale roznoszenie talerzy. Każdy z nich wyglądał

inaczej, podobnie jak dodane moment później sztuce. Iskrze, od której zaczęto nakrywanie, trafiło się proste naczynie z ledwie widocznym, niegdyś granatowym napisem „Społem”, zdobyte zapewne w jakimś okolicznym barze mlecznym albo wyhandlowane lata temu od przechodzącej tędy karawany. Siedzący za nią Vuko będzie jadł z zabytkowego plateru, przyozdobionego wykruszonym mocno, owocowym ornamentem. Grabarz zajmujący miejsce naprzeciw Pamiętającego także dostał swoiste dzieło sztuki. Jego żółtawy talerz miał wiele otworków w kilku miejscach przy krawędzi, ale z pewnością nie były to ubytki.

Nauczyciel czekał cierpliwie na swoją kolej, ale gdy Achaja stanęła w końcu przy nim, nie zobaczył w jej rękach żadnego naczynia. Spojrzał więc na nią zdziwiony, z równym zaskoczeniem popatrzył potem na łyżkę, którą położyła na stole.

– Doszły nas głosy, że niedomagacie, Nauczycielu. – Wdowa po kowalu pogłaskała go czule po ramieniu. – Dlatego uradziłyśmy wspólnie, że przygotowujemy dla was coś specjalnego na tę okazję.

– Kto: my? – zapytał, nie do końca za nią nadążając.

– Kobiety z kuchni, w podzięce za to, coście zrobili dla enklawy – odpowiedziała.

– Jesteś tu bohaterem, dziadzia! – Iskra dźgnęła go łokciem w bok, lekko, przyjaźnie, ale i tak zobaczył gwiazdki. – Wybacz – wymamrotała z ustami pełnymi szczurzyzny, zauważywszy bolesny grymas na jego twarzy. – Nie chciałam.

Achaja podniosła rękę. Czekająca przy wejściu krępa Annekę skłębła głową i natychmiast zniknęła za kotarą.

– Zaraz dostaniecie przepyszną zupkę. Zjedzcie do ostatniej kropelki. To dar serca ode mnie i paru innych naszych kobiet.

– Dziękuję – odparł przez zaciśnięte gardło.

Dopiero w tym momencie dotarło do niego, jak niegrzecznie się zachował w stosunku do dawnej sąsiadki. Zerwał się więc z krzesła, co nie było najmądrzejszym posunięciem. Nagle napięcie mięśni brzucha skończyło się tym, czym musiało. Syknął głośno i opadł ciężko na siedzisko, serwując sobie kolejny paroksyzm bólu.

– Nie kozakujcie mi tu, Nauczycielu – zaśmiała się Achaja, głaszcząc go ponownie po ramieniu. – Jeszcze nam tu zemdlejecie, zanim skończycie dzisiajszego specjału.

– Nigdy bym sobie tego nie wybaczył – powiedział kilka sekund później, gdy już jako tako doszedł do siebie.

Achaja ruszyła naprzeciw przywołanej kucharce. Było mu podwójnie głupio wobec tej kobieciny, która miała go za bohatera i ze wszystkich sił chciała wyróżnić, choć w rzeczywistości to on, a nie kto inny pozbawił ją męża. Wtedy, na świeżo, wydawało mu się, że cała racja leży po jego stronie, że usuwa zdrajcę, przez którego czyny i słowa on i Niemota mogli postradać życie. Dzisiaj, kiedy poznał już całą prawdę o tamtych zdarzeniach, stracił wcześniejszą niezachwianą pewność. Z każdą chwilą odczuwał też coraz większe wyrzuty sumienia, również z powodu śmierci gwardzistów, choć oni akurat w pełni zasłużyli na swój los. Gdyby się nie obronił, zabiliby jego, Hufnała i niemotę. Zrobiliby to pewnie z uśmiechem na ustach i dzisiaj spali spokojnie,

jakby ... *Mnie ten czyn też nie spędza snu z powiek*, uświadomił sobie w chwili, gdy na stole przed nim znalazła się miseczka pełna pachnącego smakowicie wywaru.

– Niech wam idzie na zdrowie – pożyczyla mu Achaja, zanim odeszła, by odprowadzić swoją koleżankę do wyjścia.

Na widok przygarbionych pleców i siwych, spiętych w kok włosów serce podeszło Nauczycielowi do gardła. Kucharką, która przyniosła mu ten dar serca, była matka Bendera.

– No jedz, dziadzia, bo się jeszcze babiny obrażą – rzuciła półgłosem Iskra, gdy Achaja stanęła przy wyjściu obok pozostałych, by czekać na kolejne polecenia.

– Jakos mnie apetyt odszedł... – mruknął w odpowiedzi.

– To dawaj michę, ja chętnie skosztuję stawy bohatera – zaproponowała, wyciągając ręce.

– ...ale nie na tyle, żeby nie zjeść czegoś, co zrobiono specjalnie dla mnie. – Powstrzymał ją przed chwyceniem miski. – Domamlaj sobie lepiej tę pyszną szcurzynę, której ja dzisiaj nie dam rady zjeść.

Podniósł łyżkę, zamieszał nią w miseczce, wyłowił kilka rozgotowanych długich włókien mięsa, z pewnością szariczego, i podmuchawszy na nie, by nie poparzyć ust, przełknął jednym haustem. Przyjemne ciepło rozlało mu się po przełyku. To był pierwszy posiłek, jaki trafiał do jego żołądka od ponad doby. Na tyle lekki, że nie powinien po nim odczuć większych sensacji, choć już po drugiej łyżce poczuł jakiś ruch w głębi brzucha, jakby gnieżdżąca się tam istota miała mu za złe, że zalewa ją czymś gorącym.

– Wiosłuj, wiosłuj – popędzała go Iskra, mając zapewne nadzieję, że pozwoli jej dojeść to, czego sam nie zęre.

– Wyjmij gały z mojego talerza i skup się na swoim, bo ci wszystkie larwy czerwieńca pouciekają – zażartował, widząc, jak jeden z cienkich ciemnoróżowych robaczków, które kupowano za ciężkie narzędzia z pobliskiej enklawy, spada z krawędzi czarki dziewczyny i próbuje odpełznąć w kierunku środka stołu.

– Dzięki, dziadzia! – Iskra pochwyciła zbiega między palce i wpakowała prosto do ust. – Słodziutki jak... jak nie wiem co – wymamrotała, poruszając miarowo językiem.

– Jak miód – podpowiedział jej z ustami pełnymi rozgotowanego mięsa, które także smakowało wybornie, mimo że było zupełnie niesłone.

Jedząc łapczywie – z wrodzonej przekory uznał, że nie zostawi dziewczynie nawet łyżeczki przygotowanego dla niego dania – zastanawiał się, czy nie zdradzić tutejszym kucharkom sekretu kuchennego Tesli. Z zamyślenia wyrwał go jednak kolejny skurcz. Beknął głośno, zwracając na siebie uwagę najbliższych. Odłożył łyżkę, czując kolejne, coraz mocniejsze rytmiczne ruchy i podchodzącą mu do przełyku, zmieszaną z żółcią żupę.

Za szybko żarłem, zdążył pomyśleć, zrywając się z krzesła. Ból w klatce piersiowej zwałił go z nóg, ale zmiotował już na płycie, który mi wyłożono kraty, nie na blat.

Biesiadnicy umilkli, Iskra pochyliła się nad nim, przytrzymała za ramiona.

– Co jest? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Łapczywość nie popłaca – wysapał zawstydzony tym, co właśnie zrobił.

Te kobiety tak się starały, a on... Ech, szkoda gadać. Z pomocą dziewczyny usiadł na swoim miejscu i przepłukał usta kubkiem zimnej wody, by pozbyć się z ust nieprzyjemnego smaku.

– Nie przejmuj się, bracie – rzucił Vuko. – Zaraz kążę to sprzątnąć. – Machnął ręką w stronę kobiet. – Nasz przyjaciel został wczoraj bardzo mocno poturbowany – wyjaśnił pozostałym gościom. – Tam, po drugiej stronie strefy.

– Czy to znaczy, że trasa, którą poślemy uciekinierów, nie jest taka bezpieczna, jak nas zapewniano? – zainteresował się Mruk

– To była sprawa osobista – odpowiedział natychmiast Nauczyciel, by pozostali nie zaczęli myśleć podobnie jak zarządca Przywala. – Mój tatuaż wciąż budzi w tamtych okolicach niezdrowe emocje.

– Po tylu latach? – Grabarz pokręcił głową. – Niesamowite.

– Na szczęście kanały, przez które będziemy przechodzili, leżą na terenach konkurencyjnej frakcji. Zawarliśmy z jej przywódcą bardzo konkretną umowę. Pasowie nie tylko nas przepuszczą, ale też zadbają, by nikt nie zagrażał uciekinierom. Zostali za to sownie opłaceni.

– Myślałem, że z nimi nie da się dogadać – wtrącił zaskoczony Klucznik

– Ciężko było, nie przeczę, ale daliśmy radę. To oni pomogli mi wykaraskać się z tych oparów – dodał, żeby utrwaliła im się w głowie solidność zawartego układu.

Jeśli jutrzejsza debata ma się zakończyć po mojej myśli, nikt z zebranych nie powinien mieć... cienia... wątpliwości...

– Coś nie tak? – zainteresowała się nagle Iskra.

– Laszego ytasz? – wymamrotał.

– Jakis taki zielony się zrobiłeś na twarzy – wyjaśniła, przyglądając mu się uważniej.

– Ja... – odparł, czując, że zaczyna go oblewać zimny pot. – Ja...

Przełknął ślinę, czując dziwną gorycz w przełyku. Nie żółć, coś innego, bardziej palącego, jakby ktoś mu wysmarował podniebienie mieloną papryką albo pieprzem. Zdążył tylko zrobić wielkie oczy i...

17 | Zemsta

Nauczyciel padł jak kłoda. W jednym momencie siedział wyprostowany, jakby kij połąkł, z mocno pozieleniałą twarzą i nienaturalnie wytrzeszczonymi oczami, a jedno uderzenie serca później zniknął z pola widzenia gości. Zwiotczał jak balon, z którego wypuszczono powietrze, i odbijając się od krawędzi blatu, wyładował plecami we własnych rzygowinach.

Jego upadek zaskoczył Iskrę do tego stopnia, że zdębiała. Rozmawiała z nim, gdy nagle, na jej oczach, zaczął toczyć pianę z ust i stracił przytomność. *Czyżby skutki pobicia były aż tak groźne?* Ta myśl przyszła pierwsza, ale zaraz prysnęła jak bańka mydlana, gdy przerażona dziewczyna potoczyła wzrokiem po sali audiencyjnej. Do chaosu, jaki zapanował przy stole, nie pasował jeden drobny szczegół.

Wzrok dziewczyny spoczął na pobrużdżonym obliczu Achai, która chyba jako jedyna nie ruszyła się z miejsca. Pozostałe kobiety rozbiegły się, nie wiedząc, co robić, ale ona nadal stała przy wyjściu, spoglądając w kierunku opustoszałego krzesła. Na jej twarzy nie było jednak widać ani szoku, ani zdziwienia, tylko... uśmiech satysfakcji?

Iskra odwróciła się do nie mniej zaskoczonego Vuka.

– Kim jest ta kobieta? – wskazała palcem. Gdy przywódca enklawy wrzuszył ramionami, jakby jej nie zrozumiał, zerknęła w stronę stalowych drzwi, ale tam zobaczyła tylko kilku gwardzistów z obnażoną bronią. – Kto podał Nauczycielowi zupę?

– Wdowa po kowalu, Achaja – odparł Vuko, mierząc ją groźnym spojrzeniem. – Ale co to ma... – Zamilkł nagle. – Chcesz powiedzieć, że...

Zerwała się z krzesła, nie odpowiadając na niedokończone pytania. Tak, chciała powiedzieć, ta kobieta dokonała zamachu na Pamiętającego. Otruła go na oczach całego zgromadzenia. Pytanie tylko dlaczego? A może raczej na czyje zlecenie?

Tego agentka Czystych musiała się dowiedzieć. Nie dla siebie, nawet nie dla otrutego, tylko dla ludzi, którzy jej płacili za wykonanie tej misji. Jeśli w mieście pojawił się nowy gracz, który próbuje powstrzymać ewakuację, posuwając się nawet do skrytobójstwa...

Wymięła ludzi skupionych wokół leżącego na podłodze ciała i pognęła co sił w nogach w kierunku wyjścia. Nie zwalniając kroku, minęła szeroki korytarzyk i wypadła do głównego

kanalu.

– Achaję znasz? – szarpnęła za ramię przechodzącego chłopaka, aż nim zakręciło.

– Znam – wybąkał zaskoczony atakiem.

– Widziałeś ją?

– Tak

– Teraz? – dodała szybko.

– Nie. Rano.

– Achaj szukasz? – zapytał mężczyzna z zabandażowaną nogą, siedzący pod murem po przeciwnej stronie.

– Tak

– Tam poszła – wskazała ręką kierunek.

Podziękowała, puściła oniemiałego chłopaka i pobiegła tunelem w stronę kuźni i sąsiadującej z nią szkoły. Kobieta jedząca przydziałową kolację przed skromnym apartamentem, zbudowanym głównie z brezentu i poszarżanych desek, potwierdziła wersję kulawego mężczyzny. Wdowa po kowalu przechodziła tędy dosłownie przed momentem. W takim pośpiechu, że nawet się nie przywitała...

Iskra pobiegła dalej, ale już dziesięć kroków za boksem musiała zwolnić, a potem przystanąć. Miała przed sobą rozwidlenie. W odnodze po lewej widziała solidniejsze zabudowania – to tam mieściła się kuźnia, a za nią szkoła, na wprost natomiast było wyjście z enklawy Innego i strzegący go posterunek Wyboru dokonana w jednej chwili. Najpierw sprawdzi, czy trucicielka nie spróbowała uciec. Jeśli została na miejscu, wpadnie prędzej czy później. Jeśli wyszła na zewnątrz, może uda jej się zniknąć, ponieważ lepiej znała tę okolicę.

– Achaja tędy wyszła? – rzuciła w kierunku zastępujących jej drogę wartowników.

– A co? – zapytał jeden z nich, niewiele wyższy i starszy od niej chłopak o zmierzwionych włosach i sterczącym nosie.

– Otruła Nauczyciela! – wysapała Iskra.

Obaj spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

– Gadajcie, czy tędy wychodziła! – wydarła się. – Vuko obedrze was ze skóry, jeśli pozwolicie jej uciec!

Jej wzburzenie wyglądało tak autentycznie, że obydwaj stracili rezon. Mimo że była obca, a obcym nie należy ufać, odpowiedzieli, i to jednocześnie:

– Tak. Przed chví...

Nie czekając, aż dokończą, roztrąciła ich jakżywe kłęgle i wpadła w wąskie przejście między stanowiskami. Wciąż miała szansę... Była szybsza, wytrzymalsza, a tunel, którym prowadził ją do enklawy Nauczyciel, z tego, co zapamiętała, nie miał żadnych odnóg ani przepustów na odcinku ponad stu metrów. Jeśli zdąży...

Minęła łagodny zakręt i wypadła na długą prostą. Przed nią, w odległości trzydziestu, może czterdziestu kroków, truchtała znajoma postać.

– Stój, gnido! – wrzasnęła Iskra.

Kobieta wzdygnęła się, słysząc jej krzyk. Spróbowała zerknąć przez ramię i to ją zgubiło. Natychmiast zmyliła krok, potknęła się i wyłożyła jak długa. Iskra nie pozwoliła jej już wstać. Skoczyła na plecy podnoszącej się niezdarnie Achai, przycisnęła ją do ceglanego podłoża, a potem jednym szarpnięciem obróciła i przysiadła okrakiem na dyszącej rozpacziwie, o wiele cięższej od niej przeciwnicze.

Szych klingi cienkiego nożyka wpił się w szyję leżącej.

– Dlaczego to zrobiłaś? – syknęła Iskra. – Dlaczego otrułaś Nauczyciela?! Gadaj! – Cios młką pięścią w twarz nie zdołał zetrzeć tryumfального uśmiechu z ust wdowy po kowalu, choć rozkwasił jej pełną wargę. – Kto cię nasłał?!

– Nikt mnie nie musiał nasylać – usłyszała ociężałe jadłem słowa. – Pomściłam śmierć mojego męża.

– Co ty pieprzysz?

– Gównu wiesz o swoim kochasiu, smarkulo... – Achaja szarpnęła się, ale tylko raz. Poczula, że ostre rozcina jej skórę pod maszyną szczęką, i zaraz znieruchomiała.

– Gadaj!

– Ten gad zabił Stannisa! – Jej słowa odbiły się echem od łukowatego sklepienia. – Odebrał mi męża... – Wdowa załkała. – Otruł go... Jak jakiegoś pieprzonego mutanta.

– Kłamiesz!

– Klnę się na wszystko co dla mnie święte – rzuciła jej prosto w twarz zapłakana kobieta. – Wycisnęłam prawdę z Hufnala.

– Kto to jest Hufnal?

– Cwaniaczek, stalker, który pomagał uciec twojemu kochasiowi. Opowiedział mi o wszystkim. O tym, jak Pamiętający, oby go piekło pochłonęło, w Ślepym Torze zarznął Białego i towarzyszących mu chłopców. O tym, że wrócił potem do swojej enklawy, by zemścić się na kimś. Gadał wszystko jak na spowiedzi. Wystarczyło go tylko odrobinę spoić.

Iskra zmniejszyła nacisk ostrza na tętnicę. Zatem to nie żaden spisek, tylko sprawa osobista.

– Skąd wiedziałaś, że on tu wróci?

– Modliłam się o to każdego dnia i zostałam wysłuchana. Bóg nie zostawia swoich.

– Co to za trucizna? – nie odpuszczała Iskra, idąc za ciosem. – Gadaj!

– Jad zgnilca – wycharczała z satysfakcją Achaja. – Już po tej kanalii. Nic go nie uratuje...

Złóż ze mnie, ładacznico.

– Dobrze. Jeszcze tylko jedno pytanie i puszcze cię wolno.

– Naprawdę?

– Tak

– Kto jeszcze o tym wie? – zapytała nieco łagodniejszym tonem Iskra.

Niech tamta myśli, że jest dla niej jeszcze nadzieja.

– Nikt. Przysięgam. Zachowałam tę tajemnicę dla siebie, żeby nikt mi nie pokrzyżował szyków. Nie jestem taka głupia, jak o mnie mówią.

– Dzięki. To mi wystarczy.

Z tunelu, od strony posterunku, dobiegał tupot wielu stóp.

– Puść mnie teraz, jak obiecałaś.

– Nie.

– Przecież powiedziałam ci prawdę – zapiszczała Achaja.

– A ja skłamałam.

Iskra rzuciła leżącej kpiące spojrzenie, a gdy dostrzegła, że jej źrenice rozszerzają się nagle, przeciągnęła wąskim ostrzem po miękkim gardle.

18 | Telefon

Tydzień później

Spotkały się w gabinecie Katarzyny, w centralnej części nowego bunkra kompleksu dwa piętra pod centrum dowodzenia.

Na biurku pomiędzy nimi leżała otwarta kartonowa teczka, z której Bondarczuk wyjęła dwustronicowy meldunek zapisany ładnym, niezwykle regularnym maczkiem. Ten dokument, jak wszystkie poprzednie, które wyszły spod ręki młodej agentki, także był zwięzły, rzeczowy i kompletny pod każdym względem.

– Opowiedz, jak było – poprosiła szefowa Otchłani.

– W moim raporcie znajdzie pani wszystkie szczegóły tej operacji – odparła Iskra.

– Wiem, Aniu. – Katarzyna odsunęła od siebie teczkę. – To oficjalna wersja zdarzeń, prawdziwa, ale sucha, a ja chcę poznać twoje spojrzenie na sprawę.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach. Gdy ponownie je opuściła, w jej przekrwionych oczach prócz zmęczenia pojawił się też cień smutku.

– Ciężko było. Bardzo ciężko. Bez niego... – Zamilkła na moment, wracając myślami do zgromadzenia, zaraz jednak wzięła się w garść. – Na szczęście Nauczyciel zdążył naświetlić sytuację ludziom z Wolnych Enklaw. A jego otrucie... – znów się zająknęła. Widać było, że wciąż nie może się oswoić z tym, co się stało. – Może zabrzni to paradoksalnie, ale jego otrucie chyba pomogło nam w przewyciężeniu impasu. Rada wydała zgodę następnego dnia z samego rana. Całe to wydarzenie wytrąciło przywódców z równowagi, a my na szczęście mieliśmy ludzi w otoczeniu kluczowych dla tej sprawy postaci. Gdy przyszło do głosowania, Mruk musiał się podporządkować woli przytłaczającej większości.

– Nie umniejszaj sobie, Aniu – pokrzepiła ją Bondarczuk – Wiem od Krzywego, że odwaliłaś tam kawał dobrej roboty. Najpierw ten pomysł z podzieleniem uciekinierów na grupy, potem dopadnięcie i uciszenie zabójczyni, dzięki czemu można było nie tylko zataić prawdziwe powody napaści, ale i zrzucić winę za otrucie na agentów nadpapieża... Dziewczyno, to były naprawdę makiaweliczne posunięcia. Działałaś w takim pośpiechu i pod taką presją, a mimo to zdołałaś

wymyślić rozwiązania, które nam nie przyśłyby do głowy nawet po wielogodzinnych naradach. Przekonanie koczujących przy granicy uciekinierów do dobrowolnego podziału, który pozwolił przyśpieszyć ewakuację, to prawdziwy majstersztyk dyplomacji i także wyłącznie twoja zasługa.

– Krzywy przesadza. Ci ludzie byli tak zdesperowani, że nie musiałam ich specjalnie przekonywać. A Hufnal... Hufnal to najzwyklejszy dureń i moczymorda. Nikomu nie będzie go brakowało.

– Czy jego spektakularna śmierć nie sprawiła, że uciekinierzy poczuli się bardziej zagrożeni? – zapytała szczerze rozbawiona jej słowami Katarzyna.

Iskra wzruszyła ramionami.

– Robiłam to, czego mnie nauczyliście, nic więcej.

– Akurat. Przywiązanie wypatroszonego jak szczurza tuszka stalkera do krzyża, i to jego własnymi jelitami, a do tego przybicie mu do języka aktu ekskomunikacji... Nie pamiętam, aby któryś z moich instruktorów miał w programie szkolenia podobne zagrania.

– Improvizowaliśmy.

– Ty improvizowałaś, Aniu. Chłopcy wykonywali twoje polecenia.

– Poniekąd. Faceta trzeba było uciszyć, a tym ludziom dostarczyć dodatkowych bodźców, więc upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Poetyckie wyrażenie i celne – przyznała Bondarczuk – choć bardziej pasowałoby do pamiętnego grillowania arcybiskupa.

– Podchwyciłam co nieco od Nauczyciela.

Znów na moment zapadła kłopotliwa cisza.

– Wiem, że Krzywy się w tobie zadurzył, jak połowa chłopaków z dalekiego zwiadu – powiedziała Katarzyna – ale tym razem bardziej wierzę jemu niż tobie. Wiesz dlaczego, Aniu?

Z uśmiechem na twarzy pogrzebała w teczce i wyciągnęła z niej złożony na czworo plakacik. Przesunęła go szybkim ruchem w stronę dziewczyny. Iskra westchnęła ciężko, gdy obrzuciła wzrokiem opatrzone zamasztysem podpisem tekst.

– Wygląda na to, że nie mam już czego szukać w Nowym Watykanie.

Odłożyła na stół ulotkę, w której nadpapież Tomasz nakładał na nią ekskomunikę i wyznaczał nagrodę w wysokości rocznego utrzymania dla tego, tej bądź tych, którzy przyniosą mu głowę kobiety zwanej Iskrą. Naszkicowana pomiędzy głównym tekstem a wzmianką o nagrodzie twarz była nawet podobna, choć pasowałaby także do wielu innych dziewczyn w jej wieku.

– Coś mi się widzi, że z okolic Wolnych Enklaw zniknie parę ładnych dziewczyn – zażartowała agentka Otchłani.

Nagroda była tak wysoka, że wielu kościelnych zechce ją zdobyć. A skoro nie będą mogli dopaść jej, spróbują się zadowolić łatwiejszymi celami.

– Tutaj ich macki nie sięgają, możesz być więc spokojna – zapewniła ją Bondarczuk – A Tomaszkiem z wielkim brzuskiem i małym przyrodzeniem ktoś zajmie się w najbliższym czasie. Teraz, kiedy uciekinierzy są już po naszej stronie Odry razem ze sporą częścią mieszkańców Wolnych Enklaw, możemy zaryzykować zwiększenie zamieszania w katalumbach.

– Skoro o tym mowa, ciekawa jestem, dlaczego nikt z was nie wpadł na to, że wolni ludzie także mogą wybrać ucieczkę. Przecież... – Iskra zamilkła, widząc ironiczny uśmiech na twarzy przełożonej.

– Jesteś tego pewna, moja droga? – Pytaniu towarzyszył głośny chichot.

– Do tej pory byłam... – rzekła ostrożnie dziewczyna – ale teraz to już sama nie wiem.

– Na nich też nam zależało – wyjaśniła Bondarczuk – Nawet bardziej niż na kościelnych. To przecież parę setek naprawdę twardych ludzi. O wiele przydatniejszych do naszych celów niż byle lebiegi z Nowego Watykanu.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam? – zapytała urażonym tonem Iskra.

– Wybacz, Aniu. Może to był błąd, ale na tamtym etapie nie chcieliśmy, żeby jakkolwiek przypadkowa wzmianka naprowadziła Pamiętającego na ten temat. Jak sama rozumiesz, mógł się sprzeciwić, a nawet storpedować nasz plan.

– To rozsądny facet.

– Tego niestety nie byłam tak pewna jak ty – przyznała szczerze Katarzyna.

– A szkoda...

Zanim Iskra zdążyła dokończyć, rozległo się głośne pukanie.

– O wilku mowa. – Bondarczuk wstała z fotela. – Wejść!

Wartownik otworzył drzwi, wpuszczając do gabinetu przygarbionego, łysawego mężczyznę.

– Dziadzia? – pisnęła Iskra, zrywając się z krzesła. Zrobiła krok w jego kierunku, a potem spojrzała przez ramię na uśmiechniętą Katarzynę. – Dlaczego nikt mi nie powiedział, że on już się wybudził? – zapytała z pretensją w głosie.

– To miała być niespodzianka.

Dziewczyna pokręciła głową z niedowierzaniem, skupiając ponownie uwagę na Pamiętającym.

– Dziadzia, niech mnie drzwi ścisną, ty chodź!

Nauczyciel zatrzymał się tuż za progiem. Wychudł mocno, zarósł jak pustelnik i poruszał się wyłącznie o lasce, ale charakterystycznego tatuażu na jego bladej skroni nie dało się nie zauważyć.

– Ty to nazywasz chodzeniem? – prychnął znajomym nosowym głosem.

Iskra zmierzyła go taksującym spojrzeniem. Był cieniem człowieka, którego znała. Jad wyniszczył go, doprowadził na skraj śmierci, ale jak widać, nie zabił, choć w pierwszych dniach po otruciu nikt nie dawał mu wielkich szans na przeżycie. Jeszcze dwa dni temu, gdy zapytała kurierów o jego stan, dowiedziała się, że leży w szpitalu Otchłani wciąż nieprzytomny.

– Uściskałabym cię – rzuciła – ale to mogłoby się źle skończyć.

– Chyba dla ciebie – doczłapał do biurka i opadł na wolne krzesło. – Wzywała mnie pani – zwrócił się do Katarzyny, gdy ta podsuwała mu szklanekę czystej wody.

– Owszem – odparła Bondarczuk, wracając na fotel. – Nasi medycy poinformowali mnie, że wczoraj wieczorem odbył pan pierwszy samodzielny spacer. Pomyślałam więc, że skoro krąży pan już po Otchłani jak zły pieniądz, może pan mieć ochotę na zamienienie kilku słów z osobą,

kórej zawdzięcza pan życie.

Nauczyciel rozejrzał się po gabinecie.

– Długo jeszcze będziemy na nią czekać? – zapytał, z trudem zachowując powagę.

– I ja cię pozdrawiam – burknęła urażona Iskra.

Obrażańska była, bestia, ale i tak roześmiali się wszyscy troje, szczerze i głośno.

– Tym razem jestem ci coś winny – stwierdził Pamiętający, gdy już się nieco uspokoił. – Za uratowanie mnie i dokończenie roboty. Naprawdę nie wiem, jak ci się to udało.

– Co: wyprowadzenie uciekinierów czy ocalenie ci tyłka?

– Jedno i drugie – odpowiedział, sięgając po szklankę.

Ręka drżała mu tak mocno, że na blat biurka polała się woda.

– Jak cię znam, dziadzia, to część raportów z misji już czytałeś – odparła, a gdy potwierdził skinieniem, dodała jeszcze: – Co do drugiej sprawy, wiele nie musiałam robić. W obstawie przywódców było troje naszych ludzi. Zaaranżowałam wszystko tak, że zgłosili się na ochotnika i zatargali cię na noszach do Zajezdni. Tam czekali już na was „stalkerzy” z Miasta, wiesz, dziadzia, ci, którzy przeprowadzali nas pod strefą. Przenieśli cię tamtejszym przejściem do Otchłani i w półtorej godziny od zjedzenia trutki trafiłeś na stół operacyjny Znachora.

– Nic nie pamiętam. – Nauczyciel pokręcił głową. – Siedziałem przy stole, rozmawiałem z tobą i nagle... Bum, koniec, jakby mi ktoś baterie wyjął.

– Wiesz, co cię naprawdę ocaliło? – zapytała Iskra.

– Ty.

– Co, nie kto. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie mam blizn – przesunął po brzuchu prawą dłoń, wciąż owiniętą szerokim opatrunkiem, choć już nie tak grubym jak na początku – więc pewnie nie chodzi ci o operację.

– Nie chodzi.

– W takim razie zabij mnie, ale nie wiem.

– Pazerność, dziadzia – rzuciła, rechocząc jakszalona. – Pazerność.

Spojrzał na nią jak na idiotkę.

– Pazerność, czyli co dokładnie?

– Żarłeś tę zupkę jak, za przeproszeniem, wygłodniały mutek flaki nieostrożnego stalkera – dodała już poważniejszym tonem.

Nauczyciel przy mknął oczy. Skupił się, próbując sięgnąć myślami aż do tamtych wydarzeń. Iskra czekała cierpliwie, aż wróci do rzeczy wiściwości, co chwilę trwało.

– Pamiętam jak przez mgłę, że chciałaś zabrać mi tę zupę... – powiedział w końcu.

– Zaraz tam zabrać! Skosztować chciałam – sprostowała, niezupełnie zgodnie z prawdą.

– Ja pamiętam co innego – upierał się, lecz bez złości, po prostu stwierdzając fakt. – A potem... wyrzygałem wszystko. – Spojrzał na obie kobiety z wielkim zażenowaniem. – Taki wstyd.

– Wstyd jak wstyd, dziadzia, będziesz musiał z nim żyć, ale gdyby nie to, wachałbyś warzywa od spodu, czy jak to tam leciało. Zwróciłeś prawie wszystko, co zjadłeś, a że Achaja nie

miała za wiele jadu zgnilca, to się śmierci spod kosy wywinęłaś.

– Jad zgnilca... – mruknął Pamiętający.

Robale te wyglądały jak kółczaste gąsienice, a niezbyt oryginalną nazwę zawdzięczały temu, że w momentach największego zagrożenia wydzielają śluz, który cuchnął gorzej od rozkładającego się mięsa. Były wielkie – dorosłe okazy osiągały nawet pół metra – i często dożywały starości, ponieważ większość mutantów omijała je szerokim łukiem. Żywiły się, czym popadnie, przeważnie padliną i zmutowanymi roślinami. Te drugie zabijały, wstrzykując w łodygi jad, który działał wolno, ale niezwykle skutecznie. Wielu nieostrożnych zbieraczy z Wolnych Enklaw także się o tym przekonało, i to w najgorszy z możliwych sposobów. Nauczyciel nie znał przypadku osoby, która przeżyłaby takie ukąszenie. Ludzie mówili, że jest metoda: wystarczy szybko amputować tę część ciała, do której przysała się zgnilec, ale to równie dobrze mogła być tylko kolejna miejska legenda. Poza tym w ten brutalny sposób dałoby się uratować wyłącznie tych nieszczęśliwów, których robał ukąsił w rękę albo w nogę. Nie mówiąc już o tym, że człowiek i tak zostałby kaleką do niezbyt odległego końca życia.

– Miałeś niehumanitarne szczęście, dziadzia.

– I kogoś takiego jak ty – wtrąciła przysłuchująca się tej rozmowie Bondarczuk – Ania jest niesamowicie skromną osobą – dodała, widząc, że Iskra pąsowieje.

Akurat, pomyślał Pamiętający, szkoda, że nie widziałaś jej w akcji.

– Niewątpliwie – powiedział na głos, nie chcąc burzyć Katarzynie tego wyobrażenia.

Z drugiej strony... Iskra zachowywała się tutaj, w Otchłani, zupełnie inaczej. Jak wtedy, gdy rozmawiali po odesłaniu Kołysanki, i później, gdy podczas zgromadzenia przemówiła za niego. Ta dziewczyna miała wiele twarzy. Cielawe, która z nich była prawdziwa.

– Zapomniała dodać – mówiła tymczasem Katarzyna – że gdy tylko dowiedziała się, czym został pan otruty, kazała panu zrobić płukanie żołądka. Tam, na miejscu, w sali audiencyjnej waszej enklawy. Nie wiem, co panu pomogło bardziej, zwrócenie posiłku, jej decyzja czy szybka ewakuacja, ale jedno jest pewne: zawdzięcza pan życie Ani.

– Co to za życie... – spróbował obrócić wszystko w żart.

Drażniło go, że obchodzą się z nim jak z jajkiem. Dał się podejść, ale przeżył, wylizał się z najgorszego, teraz zaś myślał jedynie o tym, jak najszybciej dojść do siebie. Bo tego, że z czasem wróci do formy, był całkowicie pewien.

– Jakiekolwiek by było, i tak jest lepsze od niebytu. Kuba by się chyba zapłakał na amen, gdyby pan nam tu zmarł. – Po tych słowach Katarzyny atmosfera znów zrobiła się przytłaczająca.

– Kochany dzieciak – przyznał Pamiętający.

Niemota siedział przy nim od chwili, gdy zwieziono go z bunkra. Widząc ojca w takim stanie, nie chciał jeść ani spać. Próbowano go karmić na siłę, ale niewiele z tego wyszło. Chłopak przełknął wystygły gulasz ze szczyrny dopiero wtedy, gdy zagrożono mu, że zostanie siłą odprowadzony do swojej kwatery. Bondarczuk przemówiła mu do rozumu – o ile można tak powiedzieć – przy pomocy sanitariuszek, tej samej, której kazała wcześniej opiekować się

Niemotę. Nauczyciel przed opuszczeniem Otchłani nauczył dziewczynę podstawowych zwrotów ich prywatnego języka. Reszty dowiedziała się od samego podopiecznego, z którym często przesiadywała, nie mając innego zajęcia. Po wypadku Katarzyna na jej prośbę pozwoliła Niemocie nocować przy łóżku ojca w szpitalu. Dzięki temu, pierwszym, co Pamiętający zobaczył po odzyskaniu przytomności, była znajoma twarz syna. Pierwszym natomiast, co poczuł, był uścisk, który posłał go ponownie w mrok

– Teraz będzie pan miał dla niego więcej czasu – stwierdziła Bondarczuk

– Możliwe, ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwała mu Katarzyna. – Niech pan spojrzy na siebie, poruczniku. Stracił pan kilka kilogramów, chodzi pan o lasce, a skutki zatrucia będzie pan pewnie odczuwał jeszcze przez wiele miesięcy. Poza tym pozbawiono pana połowy dłoni...

– Na szczęście prawej – wpadł jej w słowo, ponieważ domyślał się, do czego zmierza. – A ja, szanowna pani, od urodzenia jestem mańkutem. Nadal więc mogę walczyć nożem i celnie strzelać. Jad faktycznie mnie sponiewierał, ale nie jest tak źle, jak pani myśli. Ból w żebrach już prawie minął, rany na ręce i nogach goją się jak na psie... Znachor żartował nawet, że teraz, po odchudzeniu, wyglądam atrakcyjniej.

– Jest pan dzisiaj w tak znakomitej formie, że może pan chodzić o lasce, a nie jak my, ciamajdy, na samych nogach – zakpiła z niego Bondarczuk, choć jeszcze przed momentem, gdy wspominał o tym, że jest leworęczny, nie umiała ukryć zaskoczenia.

– Za kilka dni będę chodził o własnych siłach – zapewnił ją solennie.

– Ma pan przed sobą miesiąc albo i dwa ostrej rekonwalescencji. Dopiero potem ocenimy, czy nadaje się pan do powrotu w teren – zamknęła dyskusję kategori cznym stwierdzeniem. – To rozkaz.

Pamiętający posmutniał.

– I co mam teraz robić? – zachnął się. – Zwiedzać te tunele? Nie po to mnie tutaj ścignęliście.

– Znajdziemy panu odpowiednie zajęcie, poruczniku, może pan być o to spokojny. Człowiek z pańskim doświadczeniem może przecież szkolić naszych żołnierzy. Jak pan słusznie zauważył, to harcerzyki, nie wojsko, więc roboty przy nich panu nie zabraknie.

– A co z lekterytami? – zapytał.

– A co ma z nimi być?

– Mieliliśmy się szykować do odbicia Republiki.

– Wszystko w swoim czasie, poruczniku – odparła wymijająco. – Na razie zażegnaliśmy kryzys w pańskiej dzielnicy, reszta musi poczekać. Proszę odpoczywać i zdrowieć, a kiedy przyjdzie pora, znów pana wezwiemy na pierwszą li... – Zamilkła zaskoczona, słysząc głośne pukanie do drzwi. – Wejść! – rzuciła, odwracając fotel.

W progu stanął ten sam wartownik, który wpuszczał Nauczyciela.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani naczelniczko, ale jest pani proszona do centrum dowodzenia.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Katarzyna.

– Dzwoni... – żołnierz zawahał się, zerkając w stronę odwróconego do niego plecami

Nauczyciela – ...pułkownik

Pamiętający nie mógł widzieć jego twarzy, ale miny Bondarczuk nie przeoczył. Ta kobieta panowała nad własną mimiką jak najlepszy pokerzysta, jednakże nawet te ułamki sekund, których potrzebowała na ukrycie emocji, wystarczyły, by dostrzec w jej oczach wściekłość i... strach.

– Dzwoni? – Nauczyciel postanowił udać, że nie jest niczego świadomy. – Skąd?

– Z naszej placówki w Sobótce – odpowiedziała niemal bez wahania Katarzyna, aczkolwiek to niemal robiło w tym wypadku kolosalną różnicę. – Pilnujemy wszystkich końców tych tuneli.

– Pułkownik? – drążył dalej, wyczuwając w tej sytuacji coś niepokojącego. – Wydawało mi się, że major Wydrzycki jest najwyższym stopniem, skoro dowodzi wojskiem Otchłani.

– Pułkownik to nie stopień – wyjaśniła, wstając z fotela. – Tak go tylko nazywamy. Nie pamiętam już dlaczego.

Czuł podskórnie, że nie powiedziała mu całej prawdy.

– Chyba że tak Proszę się w takim razie nami nie przejmować – rzucił jakby od niechcienia. – To może być coś pilniejszego od przekonywania mnie, że jestem wrakiem człowieka. Iskra zrobi to szybciej i dosadniej, a jej, wyjątkowo, w ramach podziękowania za ocalenie życia, pozwolę jeździć po sobie jak po łysej kobyle.

Bondarczuk pożegnała się szybko i ruszyła w kierunku drzwi. Ulżyło jej, gdy obrócił tę sprawę w żart. Uśmiechnęła się nawet pod nosem, słysząc, że Pamiętający zagaduje dziewczynę o los znajomych z Wolnych Enklaw. Ten temat powinien go zająć na dobre, a tego durnia wartownika wypożyczy sobie przy najbliższej okazji. Coś podobnego nie może się powtórzyć. Nie po to odłączyła telefon, który zazwyczaj stał na jej biurku, by ten głąb oznajmił wszem wobec, że dzwoni do niej osoba, o której istnieniu Nauczyciel nie powinien nawet wiedzieć.

Na szczęście miała tyle oleju w głowie, że przygotowała sobie zawnazawczy wiarygodną odpowiedź. Dzięki temu była pewna, że nie zdradziła się nikim.

19 | Rotunda

Tak, wiem. To jest niesamowite. – Nauczyciel odmigał Niemocie, gdy stanęli w gardzieli rozgałęziających się burzowców u wejścia na Bazar.

Pamiętał jeszcze, jak sam gapił się w wyloty zatłoczonych, gwarnych tuneli, nie mogąc oderwać wzroku od gęstych tłumów i niekończących się rzędów stoisk, wśród których podekscytowane setki głosów zlewały się w jeden wielki harmider pod kamiennym niebem. Nie dziwił się więc oszołomieniu syna, który nigdy wcześniej nie widział tylu ludzi w jednym miejscu, nie wspominając już o rozmiarach tych tuneli. Nawet burzowiec pokazany im przez Iskrę wydawał się przy tym postindustrialnym molochu niczym więcej jak zwykłym przepustem.

– Idziecie czy macie zamiar sterczeć tu jak nie powiem co na weselu? – zapytała dziewczyna, zesłakując z murku.

Pamiętający pociągnął Niemotę za rękę. Choć całkiem dobrze poznał tę okolicę, nie chciał tracić Iskry z oczu. Niecałą godzinę temu obiecała, że podczas dzisiejszej wycieczki pokaże im kilka naprawdę ciekawych miejsc, ale to nie był jedyny powód pośpiechu, z jakim podążał za nią przez rój handlarzy i ich klientów. Gdy zaliczą już wszystkie atrakcje, dziewczyna zabierze jego syna i odprowadzi go do bunkra Tesli, gdzie poczekają razem, aż on załatwi pewną zaległą sprawę.

Przecisnęli się przez zbitą masę ciał na środek łącznika, gdzie było najluźniej.

– Od czego zaczynamy? – zapytał, stając obok Iskry.

– Może od czegoś, co ci przypasuje? – zaproponowała.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem – zastrzegł Pamiętający.

– Jakim znowu warunkiem?

– Że to nie będzie tutejsza trafika.

– Nie rozumiem.

– Sajgon zaprowadził mnie kilka dni temu do jakiegoś łebka, który handlował książkami. Jak się okazało, sprzedawał po kilka kartek na skręty.

– I co w tym dziwnego? – W jej spojrzeniu dostrzegł cień zdziwienia. – To u nas normalka.

– Nie dla mnie – wyjaśnił. – Książka to świętość, wiedza, uduchowanie, na pewno nie

materiał na podpałkę.

– Uduchowanie Ducha – próbowała obrócić jego słowa w żart, ale zgasił ją jednym spojrzeniem.

– Następemu cwaniakowi, który zaproponuje mi garść stron wyrwanych z Dostojewskiego, wydłubię oczy łyżeczką – warknął. – Przez nos.

Jeszcze go nosiło, gdy sobie o tym przypomniał.

– Przez nos? Nieże – zarechotała jakto ona, a potem machnęła ręką.

– W porządku. Zaczniemy od miejsca, które z pewnością pokochasz...

Weszli w głąb środkowego tunelu, zagłębiając się znów w tłum – tym razem na dłużej. Wynurzyli się z ludzkiej rzeki dopiero po kwadransie powolnego dreptania w gęstej jak smoła masie oglądaczy i kupujących i przystanęli u wylotu wąskiego, niezabezpieczonego w żaden sposób kanału, nad którym nie było szyldu, tylko prosty napis: ROTUNDA. Z wnętrza dobiegały jakieś ryki.

– Gdzieś ty nas przywodziła? – zapytał Nauczyciel.

– Niech to będzie dla ciebie niespodzianka, dziadzia – rzuciła, znikając w ciemności.

Nie bój się, ciocia Iskra wie, co robi, zamigał do syna, po czym sam wszedł do tunelu, w którym musiał iść zgięty w pół. Na szczęście łącznik był bardzo krótki, po pokonaniu pięciu, może sześciu metrów Pamiętający znalazł się w obszerniejszym, kolistym korytarzu, którego wewnętrzna ściana składała się niemal wyłącznie z krat. Co kryło się za nimi, w jasno oświetlonej komnacie, tego nie mógł zobaczyć. Widok zasłaniali mu ludzie tłoczący się przy porządziach prętach i wrzeszczący jak opętani.

– Chodźcie, musimy znaleźć sobie jakieś dobre miejsca – rzuciła dziewczyna, skręcając w lewo.

Komora, którą otaczał ten korytarz, musiała mieć co najmniej kilkanaście metrów średnicy. Pokonali ponad połowę jej obwodu, zanim Iskra wypatrzyła obiecujący punkt. Grupa młodych mężczyzn odbierała właśnie od klnącego jakszewc faceta całkiem ładną maczetę.

– Te, Zdziwiony! – rzuciła zadziornie w kierunku chudego, wyżyłowanego wyrostka, który wyglądał na przywódcę tej bandy, a gdy spojrzała na nią z góry, dodała jeszcze bardziej kąpiącym tonem: – Nie gap się tak, leszczu, bo dostaniesz wytrzeszczu.

Nauczyciel nie zdziwił się, że tamtemu momentalnie pociemniała twarz. Oczywiście miał wykupiaste, jakby mu w dzieciństwie matka za ciasno wiązała warłoczki.

– Dawno w ryj nie dostałaś? – warknął chłopak, odpychając od siebie mamroczącego coś błagalnym tonem byłego właściciela broni.

– W ryj czy po ryju, bo ty chyba jeszcze nie czaisz, jaka to różnica? – odpowiedziała, rechocząc jak głupia razem z resztą wyrostków; zanim jednak Zdziwiony zdążył podnieść rękę, wyciągnęła palec ostrzegawczym gestem. – Wypad. Kosa cię szuka.

– Mam cię na oku! – burknął, ruszając z kompanami do wyjścia.

Przechodząc obok niej, chciał ją trącić ramieniem, ale uchyliła się zwinnie.

– A ja ciebie w dupie! – odkrzyknęła, wpychając Nauczyciela i Niemotę na zajmowane

przez nich wcześniej miejsce.

Zaśmiał się obleśnie, zanim zniknął w tłumie.

– Ty się kiedyś doigrasz – mruknął Pamiętający, nie odrywając wzroku od pomieszczenia za kratami.

Na wysypanej piaskiem arenie nie było w tym momencie nikogo, dlatego mógł się dokładnie przyjrzeć szesnastu ustawionym w krąg dziwnym konstrukcjom. Liczący trzydzieści kilka metrów tor przeszkód, bo z tym miał niewątpliwie do czynienia, otoczono metalową siatką ogrodzeniową, tworząc swoisty torus, z którego nie dało się uciec na boki ani ominąć którejś ze ścianek. Tylko w jednym miejscu, na wprost wylotu kanału odpływowego, znajdowały się niewielkie furtki z kuty ch prętów, przez które można było przejść na środek areny. Pomiędzy nimi ułożono trzy spore, zbite z grubych desek skrzynie. Wszystko to znajdowało się dwa, może nawet trzy metry poniżej antresoli, na której stali widzowie, tak więc ludzie mieli stąd całkiem dobry widok na każdy odcinek kołowego toru.

– Wiem, co robię – odparła lekceważącym tonem Iskra, także przysuwając się do krat. – To zwykły śmieć. Tyle jego, co sobie pogada. Nie tknie mnie nawet palcem, bo wie, co by mu Kosa za to zrobił.

– Kim jest ten Kosa?

– Kosa to gość, który kręci połową Bazaru – wyjaśniła. – Taki tutejszy rekin finansjery.

– Jakś twój znajomy?

– Od dupy strony – burknęła. – Ja mu robię dobrze, on mnie chroni i oboje jesteśmy zadowoleni.

– Chcesz powie... – zaczął, ale wpadła mu w słowo:

– Patrz i podziwiał, dziadzia. Tęgo u was nie było.

Gdzieś w oddali zagrały fanfary, a w każdym razie instrumenty, które miały je naśladować. Moment później furtki zostały otwarte na oścież, a na środek areny wybiegł rozebrany do pasa chłopak. Był niezbyt wysoki, szczupły, lecz na pewno nie chudy. Pod lśniącą od natłuszczenia skórą widać było wyraźnie poruszające się przy każdym ruchu mięśnie. Włosy miał bardzo jasne, przycięte na jeża, a stopy białe. Spodnie z niedbale poobcinanymi, ale wąskimi nogawkami kończyły mu się tuż pod kolanami.

Tłum zawył, gdy dzieciak zrobił najpierw dwie gwiazdy, a potem zakończył ewolucje podwójnym saltem w tył.

Niemota szarpnął Nauczyciela za rękaw. *Co to?* – spytał.

Taka zabawa, odparł Pamiętający, zerkając z odrazą na drącą się razem z innymi Iskrę. Zaczynał żałować, że dał się tutaj ściągnąć. Nie kręciły go takie zabawy, choć dla ludzi z Miasta, sądząc po reakcjach, były chyba chlebem powszednim. A Niemota... Dla niego ten wyścig może okazać się prawdziwym szokiem. Zwłaszcza jeśli zakończy się tym, czego ci ludzie najbardziej lękali i oczekiwali.

Zawodnik zrobił rundkę wokół areny, wykonując kolejne ewolucje gimnastyczne, jakby chciał zaprezentować się zebranym z najlepszej strony. W tym czasie antresolę obchodzili

bukmacherzy z nieodłącznymi tragarzami i ochroniarzami. Każdy, kto obstawiał zakład, dawał im to, co miał przy sobie cennego, a w zamian otrzymywał specjalne żetony. Ich liczba zależała od stawianej kwoty i wartości fantu, a kolor od tego, czy delikwent ty pował zwycięstwo chłopaka czy jego... przegraną.

Iskra na ich widok także zaczęła grzebać w chlebaku, ale wystarczył jeden rzut oka na Nauczyciela, by jej dłoń wynurzyła się z wnętrza przepastnej torby.

– No co? – bąknęła, nie do końca rozumiejąc, dlaczego jest miażdżona wzrokiem.

– Naprawdę uważasz, że to – wskazał głową arenę – jest zabawne?

– Zawody jak każde inne – wzruszyła ramionami. – Wy też mieliście u siebie tych tam, wabików – dodała, przypomniawszy sobie powody ucieczki Pamiętającego.

– My musieliśmy to robić, żeby przeżyć – syknął, pochylając się do niej za plecami Niemoty. – Nie dla uciechy gawiedzi.

– On też to robi, żeby przeżyć. – Wskazała głową puszącego się wciąż chłopaka. – Gdyby nie występy na Rotundzie, pewnie już dawno by nie żył.

– Serio? – Nauczyciel nie spuszczał z niej spojrzenia. – Wszyscy tutaj startują w takich biegach? Oni też? – Objął gestem kłębiącą się wokół nich publikę.

– No, nie... – odparła po chwili wahania.

– Zatem można u was przeżyć, nie ganiając się z mutkami?

Westchnęła, jakby zranił ją tym, co powiedział.

– Ty, dziadzia, naprawdę pochodzisz z jakiejś innej planety.

– Raczej z innych czasów. – Odwrócił się, czując, że Niemota znów szarpie go za rękaw.

Tak, tak, już patrzę, zamigał, a potem położył rękę na ramieniu syna. Obserwując uważnie ostatnie przygotowania do biegu, zastanawiał się, co zrobi, jeśli tam, na dole, dojdzie do tragedii.

Może lepiej będzie, jeśli zabiorę go stąd teraz, zanim stanie się najgorsze, myślał, zerkając ukradkiem w kierunku Niemoty.

Jedno było pewne: jeśli spróbuje oderwać syna od krat, teraz, zanim rozpocznie się wyścig, dojdzie do szarpaniny i nieuniknionej awantury. Nie przejmował się tym, że zwrócą na siebie uwagę wszystkich gapiów stojących w tej części galerii, ponieważ miał gdzieś, co ludzie o nim myślą. Liczył się tylko to, by Niemotę spotkała jaknajmniejsza krzywda.

I tu, niestety, zaczynały się schody. Do niedawna Pamiętający miał całkowitą pewność, że jego syn popłacze i pomarudzi, a po chwili zapomni o całym zajściu i wszystko wróci do normy. Odkąd pamiętał, ich rzadkie scysje kończyły się w taki właśnie sposób, ale wszystko szlag trafił, gdy wylądowali na arenie Dresów...

Po uwolnieniu skatowany chłopak boczył się i nie odzywał do niego przez kilka długich godzin, aż do pamiętnego obiadu u Tesli. W szpitalu Otchłani także długo rozpaczał, nie odstępując nieprzytomnego ojca na krok. Te reakcje były tak różne od jego poprzednich zachowań, że Nauczyciel zaczynał się poważnie zastanawiać, czy w ich wzajemnych relacjach nie dojdzie w najbliższym czasie do kolejnych zmian. A jeśli tak...

Wolał nie ryzykować. Ręki jednak nie cofnął, mając nadzieję, że odwróci uwagę syna

w kluczowym momencie tragedii. A z Iskrą rozmówi się na osobności, jak tylko wrócą na dół.

Zapowiadający wyścig konferansjer zaczął odliczanie. Gdy doszedł do zera, stojący obok niego chłopak ruszył w kierunku pierwszej ściany, a kłapy trzech klatek opadły jednocześnie na piach. Dzieciak miał sześć metrów przewagi, poza tym zyskał na starcie dodatkową sekundę, bo tyle potrzebowały zdeorientowane szariki, by pochwycić jego trop. Zmutowane psy wypadły z klatek jak błyskawice, drząc na całym ciele z głodu i żądzy krwi. Zawodnik był już jednak przy pierwszej przeszkodzie i zanim bestie dopadły spodu ściany, on znalazł się poza zasięgiem ich kłów i pazurów.

Teraz zaczynała się najciekawsza część tego chorego przedstawienia. Idea była prosta. Mutanty szalały na dole – w każdej przeszkodzie były otwory, którymi mogły przedostawać się dalej – a człowiek musiał pokonywać tor górą, przeskakując z jednej ścianki na drugą bądź korzystając z rozmaitych pomocy, które tak naprawdę były dla niego mniejszymi bądź większymi utrudnieniami. Trzecią i czwartą przeszkodę łączyła na przykład gruba rura, którą jak się szybko okazało, osadzono na trzpieniach, by kręciła się swobodnie wokół osi, gdy tylko ktoś ją poruszy albo na niej stanie.

Dzieciak przebiegł po niej pewnie i dopiero dwa kroki przed końcem przeprawy zaczął tracić równowagę. W ostatniej chwili zdołał się jednak odbić i nie poleciał prosto w kłębowisko kłów i pazurów, tylko chwycił wystający z następnej przeszkody dwuteownik, na którym zawisł, podkurczając instynktownie nogi.

Tłum nagrodził go gromkimi brawami, ale on nie zważał na pochwały. Wspiął się na szczyt przeszkody i przykucnął, by dobrze wyliczyć moment skoku. Tym razem musiał uniknąć trafienia rozkolanym wcześniej kawałem betonu, który zawieszono na grubym łańcuchu w połowie odległości między ścianami. Dał radę, choć minął wahadło o włos.

Gdy wylądował na kolejnej przeszkodzie, Niemota pociągnął ojca za rękaw. Policzki mu płonęły, w oczach pojawił się błysk zachwytu. Gadał jak najęty. *Jakie to fajne. Dlaczego nigdy wcześniej nie chodziliśmy na takie zabawy?*

Dlatego, że u nas takich nie było, odpowiedział Pamiętający.

Dlaczego?

Bo to niebezpieczne.

Zawodnik dotarł w tym czasie do miejsca, nad którym stali. Teraz już tylko cztery ściany dzieliły go od mety. Do pierwszej musiał po prostu doskoczyć. Lekki był, zwinny, więc wydawało się, że to będzie dla niego najprostsza z dotychczasowych ewolucji. Mógł wziąć krótki rozbieg po metrowym teowniku, który zamontowano na szczycie przeszkody, co też po kilku przymiarkach uczynił. Na galerii zapadła grobowa cisza. Hazardziści wstrzymali oddech, teraz słychać było wyłącznie warczenie zmutowanych psów i skrobanie pazurów.

Chłopak wybił się, wyciągnął ręce, by chwycić górną krawędź lekko pochylej ściany, ale źle to sobie wyliczył. Może przeszarżował z nadmiaru pewności siebie, w każdym razie poleciał za wysoko. Kontrował błąd w locie, opuszczając pośpiesznie ręce, ale przez to jego chwyt nie był już taki pewny. Podkurczył też instynktownie nogi, co okazało się kolejnym wielkim błędem.

Walnął kolanami o ścianę, zanim jego palce zacisnęły się na betonowym zwieńczeniu. To wystarczyło, by poleciał w dół, prosto między piekące się szariki.

Nauczyciel sekundę wcześniej pociągnął syna za ramię, ale ten ani drgnął, zafascynowany rozgrywającą się na jego oczach tragedią. Drugie, mocniejsze szarpnięcie także nie oderwało go od krat. Trzeci raz Pamiętający już nie próbował. Dzięki ryki widowni zaskoczyły go, spojrzął więc na arenę i zobaczył, że zawodnik wpełza na szczyt ściany, tej, z której się przed chwilą wybił. Jak dokonał tego cudu, pozostawało dla Nauczyciela zagadką. Chłopak nie wyszedł jednak z konfrontacji bez szanku. Jego prawa noga została rozorana od łydki prawie do kostki. Krwawił jak zarzynane prosię, a zapach świeżej juchy doprowadzał szariki do szału.

Dzieciak nie był jednak tak głupi, na jakiego wyglądał. Widząc, co się święci, wyjął z kieszeni kawał szmaty i obwiązał nim dokładnie zranioną nogę, pokazując przy tym kilkakrotnie zawiedzionej, gwizdzącej części publiki, co o niej myśli. W końcu stanął ponownie na teowniku. Sprawdzał kilkoma przysiadami, jak bardzo może polegać na uszkodzonej kończynie, potem cofnął się i raz jeszcze wybił w powietrze z krótkiego rozbiegu. Tym razem wylądował jak trzeba i szybko podciągnął się na szczyt przeszkody, zostawiając na szarym betonie ciemny rozbryzg.

Musiał się śpieszyć. Przy tak szybkiej utracie krwi zostały mu może ze trzy minuty, potem osłabnie do takiego stopnia, że nikt i nic mu nie pomoże.

– Dawaj, draniu! – wydarła się Iskra, nie pierwszy raz zresztą, tyle że wcześniej zamysłony Pamiętający nie zwracał na to uwagi.

Wszyscy wokół wpatrywali się w arenę jak zahipnotyzowani, jakby utoczona przed momentem krew przyzywała mocniej ich niż szariki. Czekali na koniec tego beczelnego gówniarza bardziej niż wygłodniałe bestie – nawet ci, którzy wcześniej postawili na jego sukces.

Wynik tego wyścigu był już niemal przesądzony. Dopóki dzieciak utrzymywał się na szczycie przeszkód, bestie nie mogły go dopaść, ale jego przygoda skończy się, gdy tylko zeszkoczy z ostatniej ściany, by przebiec pięć metrów dzielących go od otwartej klatki, w której powinien znaleźć schronienie. Mutanty były o wiele szybsze od zdrowego człowieka, zatem ranny w nogę i coraz bardziej osłabiony dzieciak nie miał z nimi szans. Zresztą tak mocno cuchnął krwią, że dopadną go, zanim zrobi trzy kroki.

Chłopak tymczasem zdawał się tego nie zauważać. Na ostatnią przeszkodę mógł przejść wyłącznie po umieszczonej nad jego głową drabince. Chwycił ją pewnie i szybko pracując rękami, przedostał się na drugą stronę, nie zwracając uwagi na szalejące pod nim szariki. Zdyszany, spocony, przycupnął na szczycie ostatniej przeszkody. Przed sobą miał już tylko finalny skok, po którym znajdzie się na tym samym poziomie co szariki. *Co, wreszcie dotarło do ciebie, durniu, że na tym koniec?* – pomyślał Pamiętający, widząc, że chłopak poganiany przez widzów nie zamierza się ruszyć.

Nie cieszyło go, że ten idiota straci zaraz życie, ale nie było mu go też żal. Sam wybrał sobie taki, a nie inny los, uznając, że kozakowanie na arenie to lżejszy chleb niż zapieprz na powierzchni albo w rowerowni od rana do wieczora. Żyj krótko, ale ostro, umieraj młodo, za to z hukiem. Te same hasła były modne w niektórych kręgach straconej młodzieży jeszcze przed Atakiem.

Dzisiaj mało kto dożywał późnej starości, ale zdecydowana większość ocalonych odchodziła równie smętnie, jak żyła. *Kołysanka najlepszym tego dowodem*, pomyślał, spoglądając na zawodnika, który od pół minuty balansował na szczycie wąziutkiej ściany. *I co teraz wymyślisz, pajacu?*

Pamiętający drgnął, gdy dzieciak, zachęcany przez skandujący tłum, podjął w końcu decyzję. Otwory w dole przeszkody nie były drożne jak we wszystkich pozostałych ścianach. Blokowały je specjalne drzwiczki, które jak domyślał się Nauczyciel, zostaną podniesione, gdy tylko zawodnik oderwie nogi od szczytu. To mogło dać mu pewne fory, gdyby zdecydował się na błyskawiczny ruch zaraz po dotarciu do tego miejsca, ale czy upadek z takiej wysokości, amortyzowany w dodatku tylko jedną zdrową nogą, nie zakończy się masakrą? *Nie postawiłbym na to nawet złamanego noża*, pomyślał Pamiętający.

Tłum ucichł. Nikt nie spodziewał się czegoś takiego. Dzieciak zdjął przesiąkniętą krwią szmatę i cisnął ją za siebie, między ścianki i szalejące szariki. Jedno uderzenie serca później opuścił się na rękach po przeciwległej stronie przeszkody. Nie skakał jak najdalej, by po lądowaniu mieć tylko krok albo dwa do bezpiecznego schronienia. Wiedział, że po gwałtownym zderzeniu z ziemią nie zdoła szybko wstać. To, co zrobił, było cholernie ryzykowne, ale numer z zakrwawioną szmatą kupił mu wystarczająco wiele czasu, by dokuśtykał do mety. Zdążył nawet pokazać publice wała, równie pięknego jak ten Kozakiewicza z Moskwy.

Krata opadła, zanim najslabszy z szarików – ten, który przegrał walkę o porzucony opatrunek – przecisnął się przez otwarte drzwiczki.

– Zajebisty gostek, nie? – Iskra była nie mniej rozentuzjarmowana niż syn Nauczyciela.

Fajne, zamigał Niemota. *Będzie więcej?*

Nie. Jest tylko jeden wyścig dziennie, skłamał Pamiętający, usiłując nie zwracać uwagi na przyglądających im się dziwnie ludzi.

– Idziemy! – rzucił moment później do dziewczyny i nie czekając na jej reakcję, pociągnął syna w sam środek rozszalałej publiki.

20 | Mistrz z Kozanowa

Opuścili Rotundę tym samym ciasnym łącznikiem, którym się do niej dostali. Tym razem jednak musieli zająć miejsce w kolejce, chętnych do powrotu na Bazar było bowiem wielu. Niemal wszyscy – sądząc po minach – wyzyli się już fantów, które mogli zostawić przyjmującym zakłady bukmacherom.

W głównym tunelu Nauczyciel przystanął, objął chłopca prawą ręką, a lewą dłoń położył Iskrze na ramieniu i pochyliwszy się nieco, spojrzął jej prosto w oczy.

– Jeśli jeszcze raz zabierzesz Niemotę na takie gówno – wycedził, szczerząc przyjaźnie zęby, by patrzący na niego syn nie wyczuł, o czym rozmawiają – to tak ci przypierdolę w ten durny leb, że trzy dni będą cię cucić.

Na jej twarzy także pojawił się wymuszony uśmiech. Nie spuściła jednak wzroku.

– Spójrz na niego – odparła spokojnie. – Tylko popatrz. Dzieciakpromienieje.

– Może dlatego, że jakimś cudem nie zobaczył, co wygłodniałe szariki robią z ciałem ofiary.

– Nie, dziadzia – zaprzeczyła. – Wbrew temu, co myślisz, on niczym się od nas nie różni. Nie od ciebie, tylko ode mnie i wszystkich tych ludzi – celowo zaakcentowała ostatnie trzy wyrazy, zataczając jednocześnie szeroki krąg ręką. – Może jest głuchoniemy i trochę przymulony, ale przez tyle lat z pewnością napatrzył się na cierpienie i śmierć wystarczająco, by było mu wszystko jedno, czy zobaczy jedne zwłoki więcej.

Pamiętający nie odpowiedział. Puścił dziewczynę, wyprostował się wolno, a potem zmierzwił włosy synowi, posyłając mu kolejny uśmiech. Niemota wciąż miał zaróżowione policzki, oczy mu jaśniały, jakby przeżywał na nowo wydarzenia z toru przeszkód. Próbował też naśladować – do pewnego stopnia oczywiście – gimnastyczne popisy zawodnika.

Nauczyciel nie przyznałby tego nawet na mękach, ale właśnie zaczęło do niego docierać, że Iskra może mieć rację. Całe lata oszczędzał zbyt silnych emocji temu dziecku – bo to było wciąż dziecko, choć z wyglądu Kuba przypominał mężczyznę w kwiecie wieku, oczywiście według standardów obowiązujących w nowym świecie – świecie bowiem wierzył, że uczestnictwo w normalnym życiu naraziłoby syna na ogromny stres i w rezultacie odciąłoby go zupełnie od brutalnego, niezrozumiałego otoczenia, a nawet jęgo samego. Tymczasem, co sam widział w tym

momencie, silne bodźce zadziały wręcz przeciwnie – ożywiły chłopa, wyrwały go w końcu z marazmu. I to w bardzo pozytywnym znaczeniu tego wyrażenia.

– Porozmawiamy o tym na dole – warknął, ucinając rozmowę.

Najpierw musiał zamienić kilka słów ze Znachorem, a do tematu wróci później. Tak postanowił.

– To gdzie teraz idziemy? – zapytała, przyjmując do wiadomości jego decyzję.

– Wracamy.

– Naprawdę? Chcesz spieprzyć synowi pierwszy radosny dzień w tym zaszranym życiu?

Wyszczrzyła się do Niemoty, a on odwdzieczył się jej grymasem, który dla wtajemniczonych nie był wyłącznie głupią miną. Ten chłopak faktycznie był uszczęśliwiony.

– Niech będzie, ale nie chcę widzieć nawet kropli krwi – zastrzegł Nauczyciel.

– Jak sobie życzysz, dziadzia – odparła, chwytając Kubę za drugą rękę. – Zaprowadzę was tam, gdzie robią dobrze takim starym zgredom. To będzie wizyta w raj.

– Do burdelu też nie idziemy! – warknął ostrzegawczo nad głową syna.

– Tobie tylko jedno w głowie, stary zoku.

– Znajak ciebie, jest tylko jeden raj i masz go między udami – skwitował.

– I tu cię zdziwię, oblechu. Gdybym zechciała iść tropem twojej sugestii, powiedziałabym, że można zrobić komuś dobrze na co najmniej trzy sposoby, ale jako specjalistka dodam, że znam jeszcze kilka mniej oczywistych. Takich, wiesz, dla koneserów – rzuciła bardzo poważnym tonem, choć błyski w jej oczach świadczyły o tym, że ma niezły ubaw, obserwując jego reakcje.

– Nie zgłębiaj tego tematu, larwo – ostrzegł.

– To o czym będziemy gadać? – zapytała urażona do żywego jego uwagą. – Mamy dłuższą chwilę, trzeba jakoś ten czas zabić.

– Ta cała Rotunda – odezwał się po chwili. – Opowiedz mi o niej. Dużo rozmawiałem z kupcami, którzy docierali do Wolnych Enklaw, ale nigdy nie słyszałem, by wspominali o tym miejscu. Mówili o walkach w klatkach, nawet na noże, jednakże wyścigi po torach przeszkód z szarikami to dla mnie coś nowego. I odrażającego – dodał zaraz, żeby nie pomyślała, iż fascynują go podobne zawody.

– O, to będzie naprawdę dobra opowieść – ucieszyła się Iskra. – Taka epopejska!

Pokręcił głową z niesmakiem.

– Miałś już tego nie robić – przypomniał.

– Sorki, staram się nie wychodzić z roli, gdy jestem na górze – odparła. – Ale niech ci będzie, dziadzia, szukaj się na epicką historię. Na biblijną skalę. Powaga. – Umilkła dla nabrania tchu i zaczęła opowiadać. – Dwa lata temu, kiedy rozpracowywałam dla naszych Kose, Rotunda należała do niego. To była, i jest nadal, jedyna legalna arena w Mieście. Od samego początku walczyli na niej tak zwani gladiatorzy. Chętnych do objawiania sobie ryjów i stawiania na to fantów nigdy tu nie brakowało, więc interes się kręcił. Najpierw zawodnicy tłukli się na gołe pięści. Potem, gdy to się ludziom opatrzyło i galeria zaczęła świecić pustkami nawet w zimowe wieczory, Brutus, cichy wspólnik Kosy, facet, który zaproponował rozkręcenie tego interesu, rzucił

nowy pomysł. Żeby dawać tłucom noże i pozwalać im nosić ochraniacze. Jak uradzili, tak zrobili. Zaczęli od walki wieczoru, poprzedzając ją kilkoma tradycyjnymi pojedynkami dla rozgrzewki, ale szybko wyszło na to, że tłuszcza pragnie wyłącznie widoku wypruwanych flaków i upuszczanej krwi.

– Jak świat światem, zawsze tak było – mruknął Pamiętający.

– Potem, jakiś rok temu, u Kosy pojawił się jakiś spasiony Dres. Zaproponował, że jego mistrz, niejaki Dragon, zmierzy się z naszym czempionem, a mieliśmy tu wtedy takiego bysiora, któremu przez kilka miesięcy nikt nie dał rady, choć startowali naprawdę wielcy kozacy. Kosa mówił na niego Hulk, bo do jakiegoś aktora był podobny czy coś. Kawał mięcha, mówię ci, wielki, o dwie głowy wyższy od ciebie i ze cztery razy szerszy w ramionach, jakby był na GMO chowany. Wyżyłowany i bardziej krwiożerczy od wygłodniałego pilaka.

– Dzisiaj, zmniejsz poziom epickości w epickości do bardziej epickich wymiarów – poprosił.

– Ale on był naprawdę taki wielki – upierała się Iskra.

– Przed momentem wchodziliśmy na arenę bardzo wąskim koralikiem. Opisywany przez ciebie bykutkąłby tam na amen. – Załatwił ją, a przynajmniej tak myślał.

– To droga na galerię dla widzów, bezmózgu jeden – odparła pogardliwym tonem. – Główny kanał, ten na dole, ma wiele rozgałęzień i wyjść.

– Dobra, Hulk był wielki i zły. Kumam. Jedź dalej.

– Kosa nie zastanawiał się długo. To mogła być walka, na której zarobiłby krocie. Wtedy na górę, tam gdzie byliśmy, wpuszczano samą biedotę, a prawie cały dół wypełniały trybuny. Właściwa arena miała średnicę zaledwie sześciu metrów. Bogacze płacili krocie za najlepsze łóżce. A przy takim pojedynku mistrzów można by ich oskubać podwójnie albo nawet potrójnie. Ale nie ma nic za darmo, w tym interesie był jeden, za to istotny haczyk Dresowie powiedzieli: wóz albo przewóz. Kto wygrywa, bierze wszystko. Szef zwycięzcy staje się nowym właścicielem Rotundy albo przejmuje interes z Kozanowa, bo tam też rozgrywano różne zawody, od oklepywania sobie ryjów cegłami, przez wiercenie dziur w brzuchach, po radosne zabawy z mutkami. Czulałem przez skórę, że coś jest nie tak. Sukinsyny były zbyt pewne swego, a że rzadko grali czysto, dół także nie chciał, by człowiek, którego mieliśmy w garści, został wydymany przez jakichś prymitywów z Wszehwrocławia, bo jedno było pewne: jeśli wygrają ten zakład, ich nie zdołamy w pełni kontrolować. Podpowiedziałam więc Kosie jeszcze tej samej nocy, żeby najpierw rzucił okiem na arenę z Kozanowa i tego ich Dragona, a dopiero potem podjął ostateczną decyzję. No i poszliśmy z Dresami, on, ja i jeszcze trzech naszych. Zabrałam się z nimi na polecenie Katarynki, żeby zrobić dokładniejsze rozpoznanie. Wcześniej posyłałiśmy tam ludzi, ale bądź nie dostawali się, gdzie trzeba, bądź nie wracali. Wsysało ich po drodze, jak krew po dotknięciu cieniaka, więc... – Jedno spojrzenie wystarczyło, by wróciła do tematu. – Wyprawa jak za czasów karawan, powiem ci. Tyle biedy, ile zobaczyłam po drodze, to chyba nawet ty nie widziałeś, choć znasz na wylot wszystkie Wolne Enklawy.

– Konkrety, dzisiaj... – warknął.

– Syf, kłó, mogiła. Tyle ci powiem. Feudalizm pełną gębą. Niewolnictwo jak w starożytnych

Stanach. Dziewięciu na dziesięciu ludzi w każdej enklawie zapieprza na garstkę spaślaków i ich przydupasów. To już Nowy Watykan wydawał się bardziej postępowy przy tych zjebach. Wierz mi, wiem, co mówię, bo pół roku w katedrze nadstawiałam... – zawahała się – ...ucha, zbołu jeden, ucha.

– Wspominałaś coś o nocach spędzanych pod tłustym biskupem czy coś mi się pomyliło? – przypomniał jej niby obojętnym tonem.

– Ja opowiadam czy ty? – Zatrzymała się na moment.

Niemota wykorzystał sytuację, by pociągnąć ojca za rękaw.

Dokąd idziemy? – zamigał.

Ciocia Iskra pokaże nam coś ciekawego.

Super! Chłopak wciąż był pobudzony. Sądząc po zaognionych policzkach i minie, nadal przeżywał wyczyny zawodnika z areny. Pewnie wyobrażał sobie, że to on skacze ze ściany na ścianę, przelatując tuż nad rozdziawionymi pyłkami zmutowanych psów.

– Daleko jeszcze? – zapytał Nauczyciel.

– Połowa drogi – odparła dziewczyna.

– To nawijaj dalej.

– Nie uwierzysz. Wiesz, co oni tam mają, na tym swoim blokowisku? Rotunda to jest taka mała – pokazała przestrzeń pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. – Taka tycia. Serio. Widziałeś kiedyś, jak wygląda tamto osiedle? Jedenastopiętrowce, długie jak szlag, poustawiane w koło. – Pomagała sobie rękami, wizualizując, by lepiej ją zrozumiał. – Między nimi a niższym budynkiem jest droga, zablokowana gruzami z kilku zawalonych klatek. Coś w stylu naszych przeszkód, tylko w o wiele większej skali. I tam, rozumiesz, gonitwy urządzają. Kilku biegaczy startuje w jednym końcu jedenastopiętrowców i musi dobiec na drugi. Trzysta metrów trasy, jeśli nie więcej. Specjalnie dla nas miejscowi urządzili pokazowy bieg. Ogląda się go z góry, dziesiąte piętro zostało okratowane, osiatkowane i odcięte. Wchodzi się tam schodami prosto z piwnicy, którą połączono specjalnym wykopem z kanałami. Full profeska. Żarcie, picie, wszystko na miejscu, za grube fanty rzecz jasna. Ale to jeszcze nic. Posłuchaj teraz. Sam bieg to najmniejsze miłk. Zawodnicy musieli po drodze nie tylko pokonywać te gruzowiska, ale i uważać na mutki. Powaga. Przy torze rozmieszczano klatki z kulczakami i szarikami. A pośród zwałów betonu trzymali cieniaki, pilaki i zajebiście wielkiego sarlaka. To była jatka, dziadzia, prawdziwa jatka. Kosie szczena do samej ziemi opadła, jak na to patrzył. Na sam bimber wydał tyle, ile przez miesiąc na Rotundzie zarabiał. Z sześciu osób, które wystartowały, do mety dotarły tylko trzy, w tym jedna wyglądająca jak oskórowany szczur. Jak się zapewne domyślasz, wygrał niejaki Dragon. Największy pieprzony Dres, jakiego w życiu widziałam. Góra mięśni, choć nie aż tak wielka jak nasz Hulk. Pomyślałbyś, że taki gość powinien pójść na łarmę dla mutków, i to pierwszy, ale zjeb okazał się zwinniejszy od wszy stłich niepozornych niedojebków... – Z każdym zdaniem dziewczyna zapalała się coraz bardziej. – Pozwolono nam go potem obejrzeć, z bliska i dokładnie, a uwierz mi, dziadzia, nie był to najpiękniejszy widok Jego skóra... – zamilkła na moment, skrzywiła się, jakby zbrzydziło ją samo wspomnienie. – Nigdy wcześniej nie widziałam

czegoś podobnego. Całe płyty na rękach, torsie i twarzy były szare i twarde, jakby wyschły. Łuszczyły się mocno, można je było zdierać jak rdzę z powierzchni starej blachy. Ponoć od tego syfu wziął się jego przydomek, bo w najgorszym okresie choroby cały ryj miał pokryty takim świństwem, przez co wyglądał jak jakiś smok albo inny gad.

– Szara zaraza? – Pamiętający drgnął, gdy usłyszał ten opis. – Niemożliwe. To cholernie zakaźny i śmiertelnie groźny syf.

– Jaka tam zaraza, dostał tej kłty od narkotyków.

– Neokrokodyl – mruknął Pamiętający.

– Możliwe. Po tej prezentacji Bosa, szef tamtejszego interesu, feciarnik grubszy od najdorodniejszego biskupa, zaaranżował wieczorem walkę z jego udziałem, ale nie taką prawdziwą, tylko pokazówką. Tak mówił, choć dwóch karków poszło tej nocy na karmę dla mutków, bo Dragon niczego nie markował. Kazali mu napieprzać, to walił jak w bęben, dopóki nie zabił oponenta. Kosa był pod wrażeniem, mimo iż nie zobaczyliśmy tam nic, co by mogło świadczyć o tym, że ich mistrz rozpieprzy naszego czempiona. Lepki, koleś zajmujący się w Rotundzie szkoleniami, którego zabraliśmy do Dresów, żeby ktoś obejrzał Dragona fachowym okiem, też wydawał się spokojny, więc szybko dobiliśmy targu i umówiliśmy się, że Dresowie dadzą nam tydzień na zorganizowanie walki. Zrobiliśmy, co trzeba. Pół Miasta stawilo się na arenie, na galerii panował taki ścisk, że ludzie tracili przytomność z duchoty. Bogacze, dla których zabrakło miejsca na trybunach, stali w każdym przejściu. Brutus odważył piękną ceremonię: ogień, śpiewy, muzyka, te sprawy. Potem przedstawiono zawodników, dwie niepokonane góry mięśni zapakowane w pancerze ze starych opon i kawałków blachy. Ktoś ciulnął w gong, ruszyli, jeb i... koniec. Pieprzony Dragon zabił Hulka, zanim ktokolwiek zdążył japońską rozedrzeć. Skoczył, w locie odrzucił broń i skręcił mu po prostu kark. Ludzie dostali takiego wkurwu, że Kosa jeszcze przez tydzień nie mógł się pokazać na Bazarze. A Rotunda, zgodnie z umową, przeszła w ręce Bosego i od tamtej pory też mamy w Mieście miniaturowy tor przeszkód.

– Uwierzyć Dresom na słowo... – Nauczyciel pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Chcesz wiedzieć, dziadzia, jak nas podeszli, tam u siebie, na Kozanowie? – zapytała, gdy skończył się śmiać. – Dosypali nam czegoś skurwiele do wody albo do żarcia. Jakiegoś syfu, po którym człowiek staje się odważniejszy i nie widzi w niczym problemu. Doszliśmy do tego, ale już po fakcie, kiedy Kosa z Lepkim zaczęli wszystko analizować od nowa.

– W te klocki Dresowie zawsze byli dobrzy – przyznał Nauczyciel. – Za moich czasów robili najlepszy towar. Chcesz wiedzieć, jak znajdowali nowe składniki?

– Myślisz, że ty jeden jesteś taki mądry i obyty? – odburknęła. – Robią to samo co my, gdy sprawdzamy, co nadaje się do żarcia. Najgłupszy niedojebek próbuje, jeśli wyżyje, to inni też jedzą.

Pamiętający westchnął ciężko.

– Prymitywy.

– U was inaczej to robiliście? – zdziwiła się Iskra.

– Na szczyrach testowaliśmy, co jest trujące – odpowiedział.

– Tak też można – przyznała. – A skoro o tych prochach mówimy. Bosa, kiedy gościliśmy go przed walką, opowiedział nam historię Dragona. To też ciekawa opowieść.

– Daleko jeszcze?

– Dwie minuty, ale uwierz mi, zechcesz jej wysłuchać.

– Tylko w skrócie, błagam.

– Jak sobie życzysz, dziadzia. Facet był wcześniej gorylem jednego z lokalnych watazków. Nie powiem ci którego, ale to akurat najmniej ważne. Ustawił się jak cieniak w głównym kanale. Miał żonę, trójkę bachorów i dziesięcioro własnych, jak tam mówią na najniższą kastę, czyli niewolników.

– Mnie to mówisz?

– No tak, ty przecież tamtejszy.

– Streszczaj się, proszę.

– Jasne. Więc wyobraź sobie, że któregoś pięknego wieczora chłopak dziabnął sobie po dniu pracy działeczkę i tak mu odpierdoliło, że nawet Bosa lekko zbladł, gdy opisywał, co zastali w ślepej odnodze kanału, który Dragon przerobił na swoje włosci. Skurwiel, czujesz to, rozerwał gołymi rękami żonę i wszy stkłch własnych, a na sam koniec pozagryzał dzieciaki. Pozagryzał, nie przesadzam. Grubas twierdził, że kilka godzin po tym, jak umilkły wrzaski mordowanych, pojeb sam wylażł za kratę, cały umazany krwią, łącznie z ustami. Bredził coś, że nocą dopadły ich szarikí. Że musiał je pozabijać, by bronić swoich, ale nie dał rady. Pierdzielił jak potłuczony. Gównó, nie mutki, dziadzia, to był przecież ślepy tunel, bez jednej pieprzonej studzienki. Za zamkniętą na kłódkę kratą znajdował się tylko ten skurwiel i jego ofiary. Gdy otrzeźwiał do reszty, zrozumiał, że rodzinę zabrały mu nie szarikí, tylko prochy. Rzucił więc wszystko i odszedł tak, jak stał. Płatał się potem po całej dzielnicy, walczył i zabijał za jedzenie albo działkę, a wciągał w tamtych czasach wszystko, co mu w ręce wpadło, podobno, żeby zapomnieć, ale moim zdaniem chciał po prostu umrzeć. Po kilku miesiącach takiej zabawy wyglądał jak chodzący trup. Przeganiano go zewsząd, zdechnąłby jak szwendacz z pogranicza na chorobę popromienną, gdyby nie jakiś palant, który się nad nim ulitował. Dresowie nie wiedzą, kto i kiedy to zrobił, choć krążą słuchy, że to mogła być robota Bosego. Dragon zniknął po prostu z kanałów, jakby wyparował, a po dwóch miesiącach pojawił się znowu. Trzeźwy, odpasiony, spokojniejszy. Ktoś wyciągnął debila z nałogu, nie pytaj mnie jak, bo tego nie wie do dzisiaj nikt. Wszystkich skutków nałogu i związanej z nim choroby nie zdołał jednak wyleczyć. Stąd te martwice i szarawy odcień skóry.

– Powinni byli mu pozwolić zdechnąć – mruknął po chwili namysłu Nauczyciel.

– Też tak sądzę. – Iskra się zatrzymała. – To tutaj.

21 | Biblioteka

– Tadam! – Iskra wyszczerzyła brudne zęby, odsuwając Niemotę na bok, by jego ojciec mógł przyjrzeć się pomieszczeniu, do którego trafili.

Nauczyciel zamarł w niewygodnej pozycji, z jedną nogą w łączniku, a drugą na podłodze niewielkiego w porównaniu z Rotundą odstojnika, który służył teraz za... Czym była ta komnata, tego Pamiętający jeszcze nie wiedział, za to oczy go nie myliły, miał przed sobą długie rzędy byle jak skleconych regałów, zrobionych z szerokich, poszarzałych nieheblowanych desek – najprawdopodobniej pochodzących z rusztowań albo szalunków – które ktoś poustawiał na cokolikach z odzyskanych cegieł. Na każdej z prowizorycznych półek poustawiano natomiast... książki. Podniszczone, nadpalone, pomięte tomiki stały w równych rzędach, gdzie tylko Nauczyciel sięgał wzrokiem.

– Tadam? – odezwał się ktoś, niewidoczny na razie, zapewne właściciel tego przybytku.

Dopiero ten głos, donośny, głęboki i jakże pełen oburzenia, zdołał przywołać Pamiętającego do rzeczy wistości.

– Jeśli to kolejna trafika, nogi z dupy ci powyrywam – zagroził Nauczyciel, prostując z trudem plecy.

– Tak myślałem – stęknął przygarbiony brodac, wychylając się zza ostatniego regału. – Kto inny zachowywałby się po chamsku w bibliotece jak nie ty, młoda dziwko.

– Chcesz powiedzieć... – Nauczyciel spojrzał na dziewczynę, nie kryjąc zaskoczenia.

– Mhm. – Iskra się uśmiechnęła. – Niezbyt popularne miejsce w naszych kręgach, ale jak cię znam, pewnie się tu zadomowisz.

Brodacz tymczasem doczłapał do nich. Chodził o lasce, jego twarz, tam gdzie nie pokrywały jej gęste, niedgdyś ciemne, a teraz siwawe włosy, była mocno pobrużdżona i wychudła. Spod krzaczastych brwi lypały na gości niebieskie, przenikliwe oczy. Skórę miał przesuszoną, pokrytą pryszczami, gdzieś tam formującymi zaschnięte kraterzyki dawno pękniętych wrzodów.

– Kogo tym razem przyprowadziłaś? Kolejnego handlarza szukającego taniego dostępu do zapasów papieru? – Mówiąc to, mierzył surowym wzrokiem przybysza i jego syna. – Ty mi nie wyglądasz na trafikarza – dodał, zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć. – A ten tam... –

wskazał Niemotę. – Co z nim nie tak?

– Mój syn jest niepełnosprawny – wyjaśnił Pamiętający. – Nie mówi i nie słyszy. Ma także pewne inne ograniczenia...

– Od jak dawna? – zainteresował się brodac.

– W sumie to... od urodzenia – skłamał Nauczyciel.

– Niemożliwe. – Mężczyzna podszedł bliżej. – Jakim cudem taki niedojebek zdołał przetrwać w kanałach?

– Jakos daliśmy radę, choć łatwo nie było. – Pamiętający przełknął tę zniewagę, ponieważ w głosie brodacza nie było zwyczajowej pogardy. Tutaj tak się mówiło na osoby niepełnosprawne i mógł albo się do tego przyzwyczaić, albo walczyć z całym miastem. Uznał więc, że będzie temperował języki tych ludzi kolejno, na spokojnie. Jeśli udało się z Iskrą, to i tego mężczyznę przekona, że Niemota to zwykły dzieciak, niezaspokajający na takie epitety.

Bibliotekarz skupił wzrok na Pamiętającym.

– Nie kojarzę cię z twarzy, przyjacielu. A takiego tatuażu łatwo się przecież nie zapomina – rzucił. – I takiej gęby... Nie słyszałem też nigdy, by ktoś mówił o żywym głuchoniemym niedojebku, a ja słuch mam dobry i wiem, gdzie ucho przyłożyć. Zatem wszystko wskazuje, że mam do czynienia z kimś nowym.

Nauczyciel przytaknął.

– Jestem w Mieście od kilku dni.

– Przyszedłeś z tymi zza Strefy? – zainteresował się brodac.

– Można tak powiedzieć – odparł Pamiętający. – Ja ich tutaj sprowadziłem.

– Fascynujące... – Mężczyzna przekrzywił głowę jak ptak, by spojrzeć raz jeszcze na stojącego za ojcem Niemotę. – Fascynujące.

– Dla mnie całkiem normalne. – Nauczyciel wruszył ramionami. – Bardziej interesujące jest to miejsce.

– Wybaczcie. – Brodac wałnął się otwartą dłonią w czoło. – Gdzie moje maniery. Kolczyk na mnie wołają – odsonił ucho, pokazując całkiem spory tunel w obwisłej małżowinie. – Kiedyś chciałem być modny jak ty, no i dorobiłem się przydomka – dodał tonem wyjaśnienia.

– To naprawdę jest biblioteka? – zapytał Pamiętający, gdy właściciel zbioru w końcu zamilkł.

– Nie inaczej, panie... – Kolczyk zawiesił znacząco głos.

Iskra uprzedziła towarzysza.

– Na starego mówią Nauczyciel, a ten tu to Niemota.

– Obrazowo, jak zawsze, i pewnie też celnie – mruknął brodac. – A czego nauczałeś przed Atakiem? – zapytał.

– Niczego. Byłem zawodowym żołnierzem, a potem ochroniarzem.

– W takim razie, skąd... – zatchnął się Kolczyk

– Zacząłem uczyć dzieci piętnaście lat temu w mojej enklawie – wyznał Pamiętający. – Czytanie, pisanie, liczenie, walka wręcz, zabijanie.

– No tak.. A skąd czerpałeś wiedzę, jeśli wolno zapytać?

– Głównie z głowy.

– To znaczy, żeś niegłupi. – Uniósł ręce w przeproszającym geście. – To miał być komplement. Jesteś chyba pierwszą rozumną istotą, jaką przyprowdza do mnie ta prostaczka.

– Nie pieprz jak potłuczony – warknęła Iskra – tylko dawaj działkę. Tak, jak się umawialiśmy. Brodacz sięgnął do sakwy, wyjął niewielkie zawiniątko i podał jego zawartość dziewczynie.

– Tylko się nie udław – ostrzegł, gdy Iskra pakowała szurzynę do ust.

– Za co jej płacisz? – zdziwił się Nauczyciel.

– Za przyprowadzenie prawdziwego klienta. Zazwyczaj towarzyszyli jej handlarze, którzy szukali taniego źródła papieru. Ale tylko z niektórymi dobiełem targu.

Pamiętający spojrział na niego jak na wariata. Ten człowiek musiał być niespełna rozumu. To, co mówił, nie miało sensu.

– Sprzedawałeś im książki na podpałkę?

– Niezupełnie. – Kolczyk się zaśmiał. – Widzisz, przyjacielu, ja przed Atakiem pracowałem w hurtowni księgarskiej niedaleko stąd, za dawnym Dworcem Świebodzkim, no wiesz, tym, który przerobiono jeszcze w dwudziestym wieku na wielki bazar. Po zejściu do kanałów miałem się różnych zajęć, chodziłem z karawanami, handlowałem jak wielu tutejszych, dorobiłem się dzięki temu sporego majątku, a gdy z czasem zaniemogłem – poklepał się po niesprawnej nodze – postanowiłem, że pora zrobić coś dobrego dla tego upadającego świata. Najpierw zająłem się mecenatek kilku miejscowych muzyków, ale to był ogromny błąd... – Zamilkł na moment, kręcąc ze smutkiem głową, jakby nadal go to gryzło. – Potem wpadłem na pomysł, że ufunduję Miastu bibliotekę, żeby to wszystko, co udało się ludzkości osiągnąć przed wojną, nie poszło w zapomnienie, jak to miało miejsce choćby w przypadku Majów. Słyszałeś o Majach? Świetnie... Wiesz zatem, że gdy ich kodeksy poszły z dymem, straciliśmy niemal wszystkie źródła wiedzy o tej niesamowitej cywilizacji. Słowo pisane to ostatnia ostoja ludzkości. Po twoim spojrzeniu widzę, że podzielasz moje zdanie. O czym to ja mówiłem?... Ach tak Zrozumiałem, że to moja życiowa misja, i proszę... – Wskazał ręką przejście między regałami, jakby zapraszał ich dalej. Nauczyciel poszedł za nim, Iskra, przytrzymawszy Niemotę za rękę, została przy wejściu. – Książki zbierałem cały czas – kontynuował tymczasem Kolczyk – Przywoziłem je z każdej trasy, odkupowałem od znajomych, ale najwięcej wyniosłem z hurtowni. Tej, w której pracowałem przed Atakiem. Barak, gdzie się mieściła, spłonął niemal doszczętnie, więc nikt tam się nie wyprawiał na szaber, a uwierz mi, niejeden cwaniaczek by się zdziwił, gdyby wiedział, jakie skarby ukryto w zamkniętych szczelnie piwnicach. Tam szef kazał składać nadwyżki tych tytułów, których mieliśmy na stanie najwięcej. Bestsellery, człowieku! – Wypowiedział ostatnie zdanie bardzo pogardliwym tonem, a potem dla podkreślenia odrazy splunął pod nogi. – Wpadałem więc cichaczem do podziemi dawnej firmy, napychałem książkami wszystkie torby i plecak, a potem wracałem chyłkiem do siebie, żeby nikt mnie nie przyuważył. Jakis czas później, gdy miałem już po egzemplarzu każdego tytułu, jaki ocalał dzięki magazynowi w piwnicy, a było ich ze dwie setki albo i więcej, pomyślałem, że jeśli chcę rozbudować mój księgozbiór, warto by zdobyć także coś na wymianę. Dublety, rozumiesz? Niestety, jak to bywa

z ludźmi kultury, po pewnym czasie straciłem czujność. Ktoś mnie podejrzwał, zanim zdołałem przenieść w to miejsce wystarczająco dużo książek. Któregoś dnia zastałem wyłamane drzwi do piwnicy i ogołocone do cna magazyny, ale co było, minęło. Zaproponowałem twojej znajomej, że zapłacę jej pół tuszki szczurzyzny przyrządzanej według mojej najlepszej receptury, jeśli spotkanie z przyprowadzonymi przez nią handlarzami okaże się dla mnie owocne. Tak, dobijam z nimi targu. – Uśmiechnął się, widząc oburzenie na twarzy rozmówcy. – Czasami daję im dwa razy więcej karteń, niż liczy posiadany przez nich wolumen, jeśli jego tytuł mnie interesuje. Takim sposobem w ciągu roku potroiłem posiadane zbiory. Teraz na tych półkach stoi już prawie tysiąc książek. Nie uwierzysz, przyjacielu, jakie robię interesy. Za dwa egzemplarze *Zmierzchu* dostałem kiedyś pięć różnych tytułów Pilcha. Prawie nowych, może raz czytanych. Za dwa tomy *Pięćdziesięciu twarzy Greya* wyszarpałem po godzinie targowania *W komnatach Wolf Hall* Hilary Mantel, arcydzieło światowej literatury, książkę nagrodzoną Bookerem! Wiesz, co to jest Booker? Naprawdę? – Rozkręcał się z każdym słowem, zupełnie jak Iskra, gdy opowiadała o Dragonie. – A dureń skończony, który ją przyniósł, wychodził stąd w przekonaniu, że zrobił interes z ciebie – dodał kpiącym tonem.

– Tak to jest, jak się handluje z barbarzyńcami – przyznał rozbawiony Nauczyciel. – Tylko jednego nie rozumiem... Dlaczego dałeś jej szczurzynę za mnie?

– Dlatego, przyjacielu, że za przyprowadzenie prawdziwego czytelnika płacę jej podwójnie. A ty będziesz moim stałym klientem, widzę to po twoim spojrzeniu – wybuchnął śmiechem.

– I nie mylisz się.

– Twój dzieciakumie czytać? – zapytał brodac, poważniejąc.

– Niestety nie. Jak już wspomniałem, ma też pewne ograniczenia natury, powiedzmy, umysłowej.

– Szłoda. Byłaby niezła kumulacja. Zyskałbym dwóch dobrych klientów naraz.

Drepcząc wzdłuż półek, dotarli do wolnej przestrzeni za regałami. Tam mieszkał właściciel tej biblioteki. Urządził się skromnie, ale też wygodnie. Miał szeroki, o dziwo porządnie zasłany barłóg z grubym materacem czy też siennikiem. Wydzieloną zasłonką przestrzeń, która sądząc po dotalującym z drugiej strony odorze, służyła mu za toaletę. Niewielką kuchnię naprzeciwko – Pamiętający widział palenisko obłożone ceglami i z obowiązkowym odprowadzeniem dymu do najbliższej studzienki. Ten człowiek naprawdę musiał być kiedyś krezusem, skoro stać go było na utrzymanie tego miejsca. Na książkach w tym świecie nie mógł przecież robić kokosów.

– Jak dokładnie działa twoja biblioteka? – zapytał Pamiętający, siadając na wskazanym przez gospodarza krześle.

– To proste. Ja daję ci tomik, który chcesz przeczytać, a ty mi za to płacisz.

– Ile?

– To zależy.

– Od czego?

– Od wartości dzieła, z którym chcesz obcować. Od ceny, jaką ja musiałem zapłacić. Nie wszystkie tytuły można wytargować za bezcen od tych prymitywów.

– Rozumiem... – Nauczyciel przyjął musztardówkę wody, nie tak czystej jak ta, którą częstowano go w Otchłani, ale i tak niemal przezroczyściej. – Mogę zatem poznać rozpiętość widełek?

– Za zwykłe czytała biorę dwa żywe szczury. Na tydzień. Za białe kruki nawet dziesięć razy tyle.

– Dlaczego przyjmujesz zapłatę w szczurach, i to żywych? – zainteresował się Pamiętający.

– Bo szczury to chyba najbardziej uniwersalna waluta kanałów. A żywe dlatego, że muszę mieć czas, by je potem sprzedać albo wymienić na coś, czego potrzebuję.

– Przykro mi, ale nie mam przy sobie żadnego szczura. – Nauczyciel rozłożył bezradnie ręce.

– Idąc na Bazar, nie przypuszczałem, że trafię do prawdziwej biblioteki, w której będę musiał zapłacić za wypożyczenie książki żywymi gryzoniami.

– Spokojnie, przyjacielu. Kolczyk to solidna firma, nie biorę opłat z góry. Rozliczam się z dobrymi klientami raz na miesiąc albo nawet rzadziej, zależy, jak często korzystają z moich usług.

– Nie boisz się, że ktoś cię oszuka albo okradnie? – Pamiętający dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, że przy wejściu nie było zwyczajowego ochroniarza, a i tutaj, między regałami, nie dostrzegł nikogo, kto pilnowałby książek.

– Widać, że jesteś tu nowy – zaśmiał się bibliotekarz, ale zaraz spoważniał. – Opłacam się Burmistrzowi, Kosie i Bosemu, a tu, w Mieście, bez ich zgody nikt cię nie tknie palcem ani nie okradnie. W ciągu ostatnich trzech lat tylko dwa razy musiałem obciąć ręce pajacom, którzy próbowali przywłaszczyć sobie moje dzieła. – Wskazał głową stary kredens stojący pod ścianą za jego plecami. Na szerokim blacie stało kilka słojów, w których widać było coś jakby zakonserwowane dłonie... – Ciebie chyba nie muszę ostrzegać – dodał, gdy jego wzrok spoczął na prawicy Pamiętającego. – Domyślał się, że to rana odniesiona w walce, nie kara za czyn zabroniony.

– Słusznie się domyślasz. – Nauczyciel dopił wodę. – To był poczęstunek czy wliczasz takie usługi w cenę?

– Podobasz mi się, przyjacielu. – Bibliotekarz pochylił się w jego stronę. – Wiesz, na czym polegają interesy. To moja promocja. Szklaneczka filtrowanej wody gratis przy każdym wypożyczeniu książki.

– Masz jakiś katalog? – zainteresował się Pamiętający.

– Oczywiście. Tutaj. – Kolczyk postukał się palcem po skroni. – Ale ta biblioteka nie różni się niczym od przedwojennych wypożyczalni książek. Moje zbiory podzieliłem na gatunki, są też ustawione alfabetycznie, autorami. Wystarczy przejść się wzdłuż odpowiedniego regału i wybrać.

– Dużo masz klientów?

– Pytasz przez ciekawość czy w innym celu?

– Nie rozumiem.

– Jesteś mądrym człowiekiem, który dopiero co tutaj przybył. Może szukasz sposobu na

życie. Może chcesz zrobić mi konkurencję?

– Jestem tu obcy. Nie znam Kosy ani Bosego, a Burmistrza w życiu nawet nie widziałem na oczy. A sądząc po tym, jak sprawnie sobie radzisz w interesach, nie uważam, abym dożył chwili dogadania się z tymi trzema dżentelmenami.

– Jesteś siedemdziesiątym siódmym klientem mojej biblioteki.

– Wliczając w to tych bezrękich? – zapytał kpiącym tonem Nauczyciel.

Kolczyk także się uśmiechnął.

– Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie. Nie róbmy sobie żartów z tragicznie zmarłych głupców.

22 | Kolczyk

Opuścili bibliotekę kwadrans później z mocno szczytanym egzemplarzem *Ubika* Philipa K. Dicka. Było to stare wydanie z początku lat dziewięćdziesiątych, wycenione przez Kolczyka wyjątkowo nisko, bo tylko na trzy szcury. Facet nie cenił kryminału i fantastyki, nawet tej najlepszej, zachwycając się wyłącznie arcydziełami głównego nurtu. Jego największym marzeniem było zgromadzenie wszystkich dostępnych jeszcze książek z dawnego kanonu. A co najważniejsze, był gotów słono płacić – tak przynajmniej twierdził, gdy się żegnali – za dostarczenie słynnych tytułów, których nie miał jeszcze na półkach. Nauczyciel obiecał, że będzie miał to na uwadze podczas ewentualnych wypadów poza Miasto, choć tak naprawdę nie zamierzał wychodzić na powierzchnię tylko dlatego, by spełnić marzenie tego... szaleńca.

Albowiem Kolczyk, cokolwiek o nim mówić, okazał się bardzo niezrównoważoną osobą. Dwie dekady życia w kanałach zredukowały go – jak niemal każdego ocalonego – do żalosnej namiastki istoty zwanej niegdyś człowiekiem. Ten regres wyzwolił w nim jednak także kilka innych instynktów, o których istnieniu sam pewnie wcześniej nie wiedział. Pod płaszczykiem przy miłych uśmiechów i uładzonego języka Nauczyciel szybko dostrzegł jego prawdziwe oblicze: czyli bezwzględność i czysty sadyzm, którymi, być może, człowiek ten odreagowywał upokorzenia zaznane podczas dawnego, przedwojennego życia. To z pewnością nie była osoba, z którą Pamiętający chciałby się zaprzyjaźnić czy kontaktować częściej niż to konieczne.

Przed Atakiem bibliotekarz musiał być nikim, jedną z milionów anonimowych twarzy w szarym tłumie. Zerem budzącym się co rana tylko po to, by pracować, jeść i od czasu do czasu spółkować. Już wtedy musiał nienawidzić wszystkich, którym się lepiej wiodło, choć niewiele mógł zrobić z przepeniającą go frustracją, może z wyjątkiem pisywania obelżywych komentarzy w internecie. Zaczął się wybijać dopiero wtedy, gdy nuklearna pożoga zmiotła dawny porządek świata. Gdy upadły wartości, którym poniekąd nadal hołdował.

W trakcie niedawnej rozmowy wielokrotnie podkreślał, jak bardzo mu zależy na zachowaniu dla potomnych najcenniejszych dzieł literatury, aczkolwiek zdaniem Nauczyciela tak naprawdę dążył do jednego: by przyszłe pokolenia wiązały ocalenie tych skarbów z jego osobą, z jego przydomkiem. Chciał przejść do historii. Jego biblioteka miała być pomnikiem, który wystawi

sobie za życia, o ile nowy wspaniały świat ocalonych nie legnie ostatecznie w gruzach.

Poza tym służył, komu popadnie. W tym także Czystym, choć sam o tym nie wiedział. Iskra podeszła go umiejętnie, jak to ona. Koleżanki z dawnej pracy, wśród których Kolczyk cieszył się zasłużoną niesławą, wyjawily jej kilka obrzydliwych sekretów alkowy – o czym nie omieszczała poinformować Pamiętającego, ale już po opuszczeniu biblioteki. Dzięki tej wiedzy mogła rozegrać bibliotekarza, jak chciała. Gdy już owinęła go sobie wokół palca, zaczęła podsyłać mu podstawionych „darczyńców” – oczywiście zaufanych ludzi – a Kolczyk w zamian za książki, które wносиła z Otchłani, przekazywał jej informacje uzyskane od czytających elit tej dzielnicy. Jego klientami byli bowiem głównie ludzie z magistratu, jak nazywano otoczenie Burmistrza bez względu na to, kto aktualnie rządził Miastem.

Dyskusje, w jakie ten człowiek wdawał się przy stole na zapleczu, prócz wrażeń z lektury pozwalały mu poznać wiele sekretów niedostępnych przeciętnemu zjadaczowi szcurów. Sprzedawał je potem nader chętnie, czasami nie tylko stronnikom Katarzyny. Czymś musiał się przecież wkupić w łaski Kosy i Bosego, by zyskać względną nietykalność.

Co ciekawe, Miasto – choć nie kierowało się tak surowym kodeksem jak Wolne Enklawy – także było wolne od plagi ordynarnego złodziejstwa. Człowiek mógł bez obaw udać się na Bazar albo zostawić cały majątek w swoim boksie.

Przed Atakiem, jak słusznie zauważali ludzie, policja i inne służby „walczyły” z przestępczością w taki sposób, by nigdy nie zabrakło im pracy. Likwidacja albo choćby zdecydowane ograniczenie tego zjawiska byłyby z ich punktu widzenia kompletnie nieopłacalne. Dlatego mundurowi tolerowali drobnych złodziejasków i wydrwigroszy, teoretycznie pozyskując ich do współpracy, a praktycznie zapewniając im bezkarność i bezpieczną przyszłość.

Teraz sprawy miały się inaczej. Bez parasola ochronnego i pod twardym butem lojalnej władzy zamknięte i często niewielkie społeczności bardzo szybko doprowadziły do wewnętrznego samooczyszczenia z wszelkiej maści gnid i nierobów. Jeśli masz tylko tyle, by móc przeżyć, nie cackasz się specjalnie, gdy ktoś przychodzi, by cię z tego ograbić. A twoi sąsiedzi, wiedząc, że odwrócenie wzroku może kosztować ich znacznie więcej niż tylko utratę jakiegoś nic nieznaczącego bibelotu, stają za tobą murem.

Tak to właśnie działało w kanałach, gdzie boksy nie miały ani drzwi, ani zamków. Fizyczna i bezwzględna eliminacja złodziei sprawiła, że nagle życie stało się bezpieczniejsze, choć wcale nie prostsze. Niezależnie od warunków pozostawał bowiem jeden problem. Ludzie dojący biedotę, cwaniacy mający tak wielkie wpływy, że nie musieli się obawiać publicznych egzekucji. Indywidua takie jak Kosa czy Bosy, budujące swoje imperia równoległe do legalnie wybranej władzy. Nader często współpracujący z nią w tych sferach, o których lepiej nie wiedzieć. W Wolnych Enklawach byłoby to jeszcze nie do pomyslenia, ale w Mieście korupcja toczyła od dawna wszy stkich decydentów, przewyższając nawet sytuację znaną sprzed Ataku.

Obcięte dłonie w słojach na kredensie Kolczyka były więc niezwykle o tyle, że normalni ludzie nie trzymali na widoku dowodów swojej skuteczności, nie pokazywali ich każdemu gościowi jak myśliwskich trofeów. Zdaniem Nauczyciela stanowiły także żelazny dowód na to, że

ocena, jaką wystawił Kolczykowi, jest trafna.

– Zwiędzamy dalej czy ... – z zamyślenia wyrwało go pytanie Iskry.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy nam już wrażeń – odpowiedział, zerkając na zegarek – Odprowadź Niemotę do bunkra, tylko bez żadnych skoków w bok, bo i tak sprawdzę zapis w księdze wejść i wyjść – ostrzegł dziewczynę. – Ja mam tu jeszcze jedną rzecz do załatwienia.

– Nie jestem jego niańką – zaprotestowała.

– To prawda – przyznał – ale za ten numer z Rotundą wisisz mi przy usługę.

– A wizyta w bibliotece to szarik?

– Nie, ale też żadna przysługa. Skasowałaś Kolczyka za przyprowadzenie klienta – przypomniał.

– Taki maleńki bonusik na boku – nie odpuszczała.

– Zaraz będziesz miała drugi, fioletowy, pod okiem.

– Ty naprawdę masz się za kogoś lepszego od tego bydła? – zapytała, spoglądając na niego z wyrzutem. – Wiesz, że czasem wystarczy jedno magiczne słowo, i nie jest to, uprzedzam kolejną chamską uwagę, jebana abrakadabra.

Westchnął ciężko.

– Masz rację, przepraszam – mruknął. – Odprowadź mojego syna, proszę, bo ja mam tu jeszcze jedną ważną rzecz do załatwienia.

– To coś tak strasznego, że on nie może ci towarzyszyć? – zadzwiała.

– W pewnym sensie – przyznał, zaskakując ją raz jeszcze. – Idę do Klatki Pełnej Cieniaków, ale uprzedzam, nie po to, by słuchać prawdziwej muzyki albo gapić się na gołe cycki Frei i jej panien. Muszę dogadać kolejne spotkanie z Messim.

– Po cholere?

– Nie rozliczyłem się z nim do końca za tamto, wiesz...

Pogłaskał Niemotę po głowie, potem odwrócił go twarzą do siebie i zamigał: *Ciocia Iskra zaprowadzi cię do domu. Ja przyjdę później.*

Chłopak ciągle pobudzony, co było naprawdę niesamowite, skinął tylko głową. Chyba wciąż przetrwał sceny widziane na arenie. Popchnięty lekko, podreptał jednak posłusznie do dziewczyny i bez oporów dał się wziąć za rękę. Pamiętający pomachał mu, zanim oboje zniknęli w tłumie przechodniów.

23 | Drobne starcie

Hipnotyczne dźwięki muzyki przyciągały go jak poprzednim razem od chwili, gdy minął pierwszą kotarę. Rozpoznał rytm po kilku taktach. Freja puściła tę samą płytę Metalliki, której słuchali wspólnie, ale teraz leciał inny, mniej znany kawałek. Nauczyciel przystanął w holu pomiędzy wejściami do bocznych pomieszczeń. Przymknął oczy, nie zwracając uwagi na spojrzenia rzucone przez ochroniarzy pilnujących dwu z czterech zasłon, za którymi trwały zapewne jakieś ważne spotkania albo po prostu ucztowali miejscowi bogacze. Trwał tak, w bezruchu, do momentu wyciszenia ostatnich akordów elektrycznej gitary Hammetta... a może to był Trujillo? Tego nie był niestety pewien, ponieważ patefon zniekształcał i spłaszczał dźwięk do tego stopnia, że nie zdołał rozpoznać charakterystycznych brzmień.

Gdy zirytowany otworzył oczy, zobaczył tuż przed sobą wykrzywioną złością twarz jednego z ochroniarzy.

– Spierdalaj stąd, dziadygo, póki masz czym gryźć – usłyszał groźbę wycedzoną przez obnażone, zaciśnięte zęby, których nikt nie nazwałby białymi.

Zareagował instynktownie, bez namysłu. Szybki strzał z grywki posłał tamtego na ceglaną podłogę. Przy sporej różnicy wzrostu uderzenie sięgnęło nie czoła ani nasady nosa, tylko podbródka i szczęk, a że było niespodziewane i mocne...

– Nawet o tym nie myśl! – Pamiętający podniósł ostrzegawczo rękę, widząc, że pilnujący drugiego przejścia chłopak sięga do pasa po nóż.

To wystarczyło.

– Luzik – mruknął tamten, cofając dłoń i prostując plecy.

Dryblas wciąż zwił się na ziemi, trzymając obie dłonie przy zakrwawionych ustach. Jęczał, jakby miał zaraz urodzić. Nauczyciel pochylił się nad nim, odciągnął jedną z rąk. Ochroniarz skulił się, jakby przeczuwał, że zaraz dostanie kolejne bity. Mylił się, jego przeciwnik chciał tylko ocenić skutki uderzenia. W na wpół rozchyłonych ustach, pomiędzy opuchniętymi, popękanyimi wargami zobaczył dziurę po górnej lewej jedynce i ułomek prawej. Dwójki za to były mocno przekrzywione; wątliwe, aby zdołały się utrzymać w dziąśle, gdy właściciel spróbuje je wyprostować.

– Starzęję się – stwierdził Nauczyciel, celowo podnosząc głos, by ten drugi także go usłyszał.
– Kiedyś wybijalem takim strzałem co najmniej sześć, a by wało, że i nawet osiem zębów.

Gdy podniósł nogę, leżący znowu się skulił, ale nie poczuł kolejnego ciosu, bo ten nie nadszedł. Człowiek, który go powalił, ruszył dalej, pogwizdując melodię dobiegającą zza kolejnej kotary.

Irytacja przeradzała się niemal natychmiast w trudny do pohamowania gniew, potrzebę wyładowania złości na tym, kto się pierwszy nawinie. Tak Nauczyciel – a w zasadzie jeszcze Duch – reagował dawno temu, w czasach, kiedy razem z podobnymi sobie byłymi żołnierzami pacyfikował enklawy należące do Pasów i Dresów. Potem na niemal piętnaście lat stał się przykładnym ojcem i wzorowym obywatelem enklawy leżącej trzy kilometry za napisem „Koniec Świata”. Wiodąc spokojny żywot, miał nadzieję, że tamten okres życia to już przeszłość, ale wystarczyło zaledwie kilka nerwowych tygodni, by tłumione latami instynkty znów wzięły nad nim górę, jakby był na nie skazany, jakby to był jedyne prawdziwy on.

Iskra miała rację, kiedy mówiła na Bazarze, że Nauczyciel niczym się dzisiaj nie różni od degeneratów, którymi tak pogardza. Ta myśl zirytowała go jeszcze bardziej. Błyskawicznie doprowadziła do wybuchu ślepej furii, nad którym z trudem zapanował. Przeprosił wprawdzie za swoje zachowanie, ale gniew w nim pozostał; ukryty, przy czajony, czekający tylko na okazję, a ta nadarzyła się nader szybko.

Ten biedny dureń robił tylko to, co mu kazano. Pilnował szefa i nie dopuszczał w jego pobliżu obcych. Nic więc dziwnego, że zareagował jak kaźdy goryl powinien: waląc pięściami w wypiętą klatę i rycząc najgłośniejsz, jak się da, próbował odegnąć potencjalnego przeciwnika. Problem w tym, że trafił pod zły adres, a w tym bezwzględny świat takie pomyłki rzadko miały szczęśliwe zakończenie.

Pamiętający zatrzymał się przed kotarą, obrócił wolno i obrzucił wzrokiem stojącego na miękkich nogach ochroniarza. Tamten znieruchomiał, to znaczy spróbował zamrzczyć na tyle, na ile uginające się wciąż kolana mu pozwalały. Zaraz też rozłożył ręce, szeroko, otwartymi dłońmi do napastnika, żeby pokazać, iż nie ma złych zamiarów.

Nauczyciel wskazał palcem na tatuaż.

– Wiesz, co to jest? – zapytał.

Zakrwawiony chłopak pokręcił wolno głową.

– W takim razie pogadaj z kumplami, może oni ci powiedzą, z kim miałeś przyjemność. – Spojrzał znacząco na drugiego ochroniarza.

– To Czarny Skorpion, chłopie. Gdyby jebana Śmierć chciała przybrać ludzką postać, nosiłaby taką dziarę – wybąkał tamten z nieklamany podziwem w głosie, a gdy przeniósł wzrok na Nauczyciela, dodał jeszcze: – Myślałem do tej pory, że to tylko taka lokalna miejska legenda.

– Teraz już wiesz, jak się sprawy mają – odparł Pamiętający. – A ty, szczerbaty – wskazał pobitego – ciesz się, że miałem dziś dobry humor. – Mówiąc to, pogładził czule ręką jeść maczety.
– I na przyszłość uważaj, jak chodzisz, bo znowu się potkniesz o własną nogę...

Ochroniarz skinął pośpiesznie głową na znak, że zrozumiał aluzję, i na tym zakończyła się

– Schudłeś, melomanie. – Freja powitała go szerokim uśmiechem, jak starego znajomego, a gdy usiadł na jednym ze stołków przy barze i schował chustkę, którą ocierał obolałe czoło, skrzywiła się, jakby zobaczyła coś brzydkiego. Myślał, że chodzi o opatrunek chroniący kikuty palców, ale ona patrzyła gdzie indziej, wyżej. – Pochylił się – dodała po kilku sekundach milczenia.

Zrobił, o co prosiła, i syknął głośno, gdy dotknęła jego czoła w miejscu, w którym czuł wcześniej pieczenie. Moment później zabolalo mocniej, ale nie wzdrygnął się ani nie cofnął głowy. Zrobił za to wielkie oczy, gdy na blacie wylądowało z grzechotem coś niewielkiego, ale twardego.

– A niech mnie – mruknął, biorąc w palce ułomek zakrwawionej kości.

– Mutujesz, przy jacielu? – zażartowała właścicielka Klatki.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł, ocierając ponownie czoło, jak myślał do tej pory: z potu, chociaż gdy teraz spojrzął na palce, zobaczył na nich też krew.

– A to ciekawe. Zawsze myślałam, że ludziom zęby rosną tylko w dziąsłach – rzuciła rozbawiona jego niewyraźną miną.

– Za stary jestem na mleczaki – powiedział. – Przy dupas jednego z twoich klientów miał mi za złe, że słucham Metalliki, więc...

– Ten z prawej czy z lewej? – spowaźniała w ułamku sekundy.

– Ten wyższy.

– Nie powinieneś zadzierać z takimi ludźmi, przy jacielu – rzuciła z wyraźną ulgą w głosie.

– Nie ja zacząłem – skontrolował natychmiast.

– Ale ty skończyłeś. – Nie przekonał jej. – Bardzo go poturbowałeś?

– Dostał raz, padł, ale zaraz wstał. Prócz tego ułomek stracił jeszcze dwa, może trzy zęby. Ten drugi wytłumaczył mu kilkoma ciekawie dobranymi słowami, że zadarł z chodzącą legendą. To powinno załatwić sprawę.

– Twoje szczęście, że to tylko ochroniarz mojego dostawcy skrzyżaków. – Wskazała głową piekące się pajęczaki. – Gdybyś załatwił tego drugiego...

– Drugi był mądrzejszy, nie próbował nawet.

– Miałeś zły dzień? – zmieniła temat.

– Dlaczego pytasz?

– Ludzie na ogół nie wypłacają z czapki każdemu, kto nastąpi im na odcisk.

Miała rację. Sam wiedział, jak nieracjonalnie się zachował.

– Długo by mówić – zbył ją machnięciem ręki.

– Nie ma jeszcze południa – odparła. – Na dole może ze dwa stoliki zajęte, więc czasu nam nie zabraknie. Nawijaj, bracie.

– Na pewno już wiesz, dlaczego tak wyglądam.

– Słyszałam co nieco, ale nawet nie z drugiej ręki – przyznała, odwracając się, by przewrócić skwierczące przystawki. – Zakąsisz?

– Zakąsza się po szklaneczce.

– A o czym ja mówię? – Postawiła przed nim najpierw plastikową butelkę po coli, wypełnioną do połowy mętnym bimbrem, potem ubitą w trzech miejscach szklanę i talerz, na który trafił parujący jeszcze pająk.

– Nie cierpię tego skurwysyństwa – odsunął od siebie to ostatnie naczynie.

– Zmienisz zdanie, gdy spróbujesz. – Talerz wrócił za jej sprawą na miejsce.

– Uwierz mi, nie zmienię.

– Bracie... – Pochyliła się nad kontuarem tak mocno, że jej pełne piersi zakłysały się, niemal sięgając sutkami polerowanego drewna. Zerknął na nie odruchowo, jak każdy facet zrobiłby na jego miejscu, ale tym razem nie usłyszał żadnej reprimendy. – Jesz na surowo robale, berbeluchę zagryzając prażonymi karaluchami, a brzydzisz się soczystego mięska? – Zaśmiała się, ale jedno spojrzenie na jego twarz sprawiło, że natychmiast spoważniała. – Wybacz, głupia ja, nie skojarzyłam, że możesz mieć uraz związany z jadem.

– Nie chodzi o jad – sprostował. – Ja po prostu nienawidzę pajaków. A już zwłaszcza od chwili, gdy zaczęły latać. – Podważył palcami chitynowe płytki na odwłoku, odsłaniając niedopalone błoniste skrzydełka.

– Nie wiesz, co tracisz, ale dobrze, klient nasz pan.

Skrzyżak wrócił na ruszt, zamiast niego na blacie pojawiły się pieczone szczurze tuszki.

– Dzięki – mruknął, gdy polewała.

Opowiedział jej o wszystkim, co było w tej historii jawne. O wpadce na Przyodrze, o spóźnionym nieco ratunku i późniejszej wizycie w Wolnych Enklawach zakończonej próbą otrucia go przez kobietę pracującą dla nadpapieża. Trzymał się wersji Iskry, zatajając prawdziwe motywy Achai. To miało zostać już na zawsze jego słodką tajemnicą. Freja słuchała go wsparta na łokciach, od czasu do czasu odrywając się od kontuaru, by obrócić piekące się mięso albo wydać kolejne zamówienie znużonej kelnerce.

– To mniej więcej do mnie dotarło – przyznała, dolewając mu bimbrowa, gdy w końcu zamilkł. – Choć bez wielu szczegółów. Niefajna sprawa, kiedy podnosi na ciebie rękę ktoś, kogo dobrze znasz i komu ufasz.

– Z tym zaufaniem to bym nie przesadzał.

– Sąsiadka to swojaczka – upierała się przy swoim. – U nas tak jest. Poniekąd jesteśmy na siebie skazani. Nikt o nas nie zadba, jeśli nie zrobimy tego sami.

– U nas było podobnie, ale czasy się zmieniają...

– To prawda – zgodziła się z nim. – Mój ojciec miał znajomego, mądrego człowieka, który powiedział mu na długo przed Atakiem, chyba jeszcze w latach osiemdziesiątych, że sami kiedyś doprowadzimy się do zagłady. Wystarczy, że dwa pokolenia dorosną we względnie dobrym świecie, a ludzie zapragną rozpieprzyć system, w którym żyją, nawet jeśli nie będzie taki zły, i prędzej czy

później dokonają tego, ponieważ ich rodzice nie wpoją im mądrości nabranej podczas minionych konfliktów, a dziadków nawet nie będą słuchać. Ślepcy poprowadzą kulawy ch ku przepaści...

– Niegłupie – przyznał Nauczyciel. – I w sumie do bólu prawdziwe.

– Ciekawe, czy tutaj także czeka nas powtórka z rozrywki? – zadała to pytanie nieco ochryplym głosem, przełknąwszy spory łyk bimbru.

– Nie nazwałbym takiej egzystencji względnym dobrobytem – odpowiedział po chwili głębszej zadumy.

– Racja, ale zauważ, bracie, że drugie pokolenie tych, którzy urodzili się w kanałach, nie zna innego życia. Opowieści o tym, jak było przed wojną, są dla nich czymś w rodzaju mitów albo bajek. Ich dzieci, te, które teraz się rodzą, nie będą nic wiedzieć o przeszłości...

– Szczere powiedziałwszy, nie to mnie najbardziej martwi – wszedł jej w słowo.

– A co?

– Wolne Enklawy miały przed sobą jeszcze rok, najwyżej dwa, do wyczerpania zapasów z powierzchni, a syf ze Strefy Zakazanej coraz szybciej rozpełza się po mieście. Następne pokolenie, jeśli przetrwa, stanie wobec znacznie większych problemów niż myśli o nowej wojnie.

– Tutaj, jak widzisz, całkiem dobrze sobie radzimy.

– Jak długo jeszcze?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi. Pamiętający się nie mylił. Bardzo względny dobrobyt i raczej złudne bogactwo Miasta skończą się podobnie, tylko nieco później. Za trzy lata albo za pięć także tutaj zacznie brakować opału, wody, żywności. Jedna epidemia wystarczy, by tętniące życiem tunele opustoszały, jak to się stało na pograniczu, a tam, gdzie ludzie gnieźdzą się jak szczury, do wybuchu zarazy wystarczy jedna iskra... Uśmiechnął się pod nosem, to słowo przypomniało mu, po co tutaj przyszedł.

– Miło się gawędzi, ale mam sprawę – dodał, siadając prościej.

– A już myślałam, że stęskniłeś się za widokiem moich pięknych, ociekających potem cychów – zażartowała, dając mu jednocześnie do zrozumienia, że widziała, gdzie wcześniej zerkał.

– To też – przyznał, puszczając do niej oko – ale tak naprawdę mam prośbę. Muszę się ponownie zobaczyć z Messim.

– Hej, bracie, nie planujesz chyba kolejnej akcji?

– Jestem mu coś winien za ratunek. Miałem zapłacić zaraz po powrocie, ale sama wiesz, jak to się skończyło.

– Widzę, że nie lubisz mieć długów u ludzi.

– W niektórych przypadkach to może być bardzo niezdrowe, a ja, jak sama zauważyłaś, ostatnio niedomagam.

– Zobaczę, co da się zrobić. Na kiedy ma być to spotkanie?

– Powiadom go najszybciej, jak to możliwe – poprosił. – Niech wybierze dogodny dla siebie termin. Ja się dostosuję, mam teraz sporo czasu.

– Rozumiem. Dam cynk, komu trzeba. Gdzie mam cię szukać, gdy dostanę odpowiedź?

– Będę w bunkrze u Tesli.

– Świetnie.

Schowala butelkę, potem przetrzała szmatą musztardówki, a na koniec zabrała talerz z ogryzionymi do czysta kosteczkami.

– Ile jestem winien? – zapytał, sięgając po chlebak

– A co zamawiałeś?

– No...

– ...właśnie. To był poczęstunek od firmy.

– Nie wspominałem przypadkiem o tym, że nie lubię być dłużny?

– Wspominałeś. Dlatego masz jak w banku, że odbiorę należność. Z solidnymi odsetkami, jak

Bozia nakazała.

24 | Znachor

„Spotkanie umówione na dwudziestą drugą”. Taką wiadomość Sajgon przekazał strażnikom. Zwykłych posłańców, pracujących dla Iskry albo innych agentów Otchłani, nie wpuszczano dalej niż za główne drzwi bunkra. Tam mówili wartownikom, co mieli do powiedzenia, bądź oddawali przesyłki i wracali na powierzchnię lub czekali cierpliwie pod betonowym murem na wiadomość zwrotną. W tym wypadku odpowiedź nie była potrzebna, tak więc chłopak został odesłany do kanałów niespełna minutę po tym, jak przekroczył próg siedziby Tesli i otworzył usta.

Nauczyciel, powiadomiony bezzwłocznie przez ochronę, nie musiał się śpieszyć. Messi zajrzy do Klatki Pełnej Cieniałów dopiero za dwie godziny, a on sam mógł tam dotrzeć w niespełna kwadrans. Choć chciał jak najszybciej uregulować dług, nie zamierzał się pojawiać na miejscu z dużym wyprzedzeniem. Wolał spędzić wolny czas z synem.

Najpierw zjedli wspólnie niezwykle smaczny posiłek tym razem profesor usmażył – specjalnie dla nich, jak twierdził – grube, aromatyczne steki z upolowanego nad pograniczem Miasta niejednorozca – potem tak długo rozmawiali o minionym dniu, aż ich ręce rozboleły. Na koniec Pamiętający odprowadził wciąż pobudzonego Niemotę do windy, a gdy eskortowany przez Iskrę chłopak zniknął za zasuwającymi się wolno drzwiami, wrócił na górę, by porozmawiać z wezwanym przez profesora Znachorem o przypadłości syna, a raczej o zmianach, jakie zaobserwował ostatnio w jego zachowaniu. Opisał dokładnie reakcje Niemoty po obejrzeniu wyścigu w Rotundzie, wspominał też o tym, jak bywało dawniej.

– Przykro mi. – Medyk bezradnie rozłożył kościste ręce. – Neurologia i psychiatria to nie moje specjalności. Przed Atakiem byłem zwykłym, choć trzeba przyznać wziętym, weterynarzem. Sporo się nauczyłem od tamtej pory, głównie z lektury podręczników akademickich, ale co chyba rozumiałe, skupiałem uwagę raczej na prostszych schorzeniach.

Pamiętający zmarnotniał. Liczył na to, że wielki lekarz powie mu cokolwiek albo chociaż doradzi coś sensownego. Niestety wyglądało na to, że podobnie jak nie pomógł jemu samemu, gdy rozmawiali kilka dni wcześniej o nadpobudliwości, taki teraz nie zdoła postawić żadnej, nawet ogólnej diagnozy.

– Może rzucisz okiem w te swoje księgi magiczne – podpowiedział Tesla, który przysłuchiwał

się ich rozmowie.

– Rzucę, rzucę – obiecał Znachor, odwracając się twarzą do Nauczyciela. – Dla pana wszystko, kapitanie, ale niech pan nie liczy na zbyt wiele. Mój księgozbiór jest naprawdę skromny.

– To bierz w garść kiść szcurów i szoruj do tego pajaca, Kolczyka – poradził mu profesor.

– To nic nie da – odezwał się Nauczyciel. – Byłem dzisiaj w bibliotece, sprawdziłem, nie ma tam ani jednej pozycji o medycynie prócz autobiografii Barnarda.

– No to książka. – Tesla westchnął ciężko. – Innej skarbnicy wiedzy w tej okolicy nie ma.

– A w innych okolicach są? – zainteresował się Pamiętający.

– Za Republiki całkiem niezły księgozbiór znajdował się w podziemiach Wieży – odparł profesor – ale to było całe lata temu. Jak to wygląda dzisiaj, trudno powiedzieć. Do tej pory wszystkie książki mogły pójść z dymem. Tego ognia na szczycie Wieży lekteryci nie podsycają przecież samym gruzem.

Profesor wspomniał o widocznym z najodleglejszych dzielnic płomieniu, który pojawiał się każdej nocy, tuż po zapadnięciu ciemności, na jednym z górnych pięter szkieletu dawnego biurowca.

– Nawet jeśli ich jeszcze nie spalono, to i tak pozostają poza naszym zasięgiem – podsumował Znachor, kiwając ze smutkiem głową. – Pieprzony świat. Gdy tylko coś zaczyna się układać, zaraz przychodzi jakaś zaraza albo inny syf i wracamy do punktu wyjścia...

– Pan jako lekarz powinien najlepiej wiedzieć, dlaczego tak jest – zauważył Pamiętający.

– Tak, tak Higiena, a raczej jej brak, niedobory witaminy D i całej reszty przy okazji, dieta wołająca o pomstę do nieba... Przyczyn jest więcej, niż moglibyśmy zliczyć, ale ja nie o tym mówię. Zauważyliście, że epidemie wybuchały zawsze tam, gdzie ludziom wiodło się najlepiej? Najpierw szlag trafił enklawy Skorpionów, potem Pasowie wywinęli się Dresom spod noża, kiedy ta dziwna grypa posłała do piachu pół Nowego Dworu. Wtedy naprawdę niewiele brakowało, by Wszechwrocław zdominował całą Dzielnicę Fabryczną wraz z przyległościami.

– Fakt – mruknął Tesla. – Gdyby zaczęli zdychać tydzień albo dwa później, nie byłoby dzisiaj śladu po Lidze.

– A potem przyszła kryśka na Republikę Kupiecką. Szast-prast i najbogatsza frakcja przestała istnieć.

– Nie taki znowu szast-prast – obruszył się profesor. – Jeden czort wie, co działo się po tamtej stronie, kiedy uszczelniliśmy granicę. Poza tym gdyby nie lekteryci...

– Lekteryci nie biorą się z powietrza – zaprotestował Znachor. – I na pewno nie spadli z kosmosu. Zamykając się przed Republikanami, sami wepchnęliśmy ich w szpony kanibalizmu.

– Też tak uważam – wtrącił Pamiętający. – Ludożerstwo rozpleniło się za Odrą, na Szariczym Polu i w Karłowicach, po tym jak zamarał handel z Republiką i tamtejszym ocalonym zaczął mocno doskwierać brak żywności. Śluzenie powierzchni było tam o wiele większe niż tutaj, na zachodnich krańcach Wrocławia, więc i mutacja postępowała szybciej, a przy braku takiej infrastruktury, jaką mamy nad naszymi enklawami, ci ludzie nie mieli specjalnego wyboru.

– Tak czy inaczej, moi panowie, terytorium Republiki zostało utracone i nie odzyskamy go

bez rozpętania kolejnej wojny – podsumował Tesla.

– Teraz, po tak wielkim zastrzyku świeżej krwi, Pan Jan może się w końcu zdecydować na ruszenie tłustej dupy z fotela – zauważył Znachor.

– Wątpię – mruknął zamyślony Nauczyciel.

– A to dlaczego? – zainteresował się profesor.

– Uciekinierzy to w przeważającej większości ludzie, którzy dali nogę z Nowego Watykanu zaraz po pierwszej wzmiance na temat wojny z lekterytami. Tutaj mogą zareagować podobnie...

– Święta pieprzona racja, panie kolego – przyznał Tesla.

– Ale ja mówiłem o obywatelach Wolnych Enklaw – poprawił go Znachor.

– A ilu ich tu do was przyszło? – Pamiętający wrzucił ramionami. – Stu, dwustu? Na pewno nawet nie jedna trzecia.

– To pan nie wie? – Profesor zrobił wielkie oczy.

– Czego nie wiem? – Nauczyciel też się zdziwił.

– Dzisiaj do Miasta dotarła kolejna grupa waszych.

– Grupa – prychnął Znachor. – Raczej cała armia.

– O czym wy mówicie? – Pamiętający wodził wzrokiem od jednego do drugiego i z powrotem.

– Ponoć nadpapież mocno się zirytował, gdy agenci donieśli mu w końcu, że stadko zbłąkanych owieczek wyparowało w niewiadomy sposób i nie ma kogo zaganiać w łamasze.

Nauczyciel poczuł znajome mrowienie w karku. Tomasz II mógł się wściec na taką nielojalność dawnych sojuszników, nawet jeśli wszyscy przywódcy sąsiedniej dzielnicy od samego początku odżegnywali się od jego prywatnej wojenki. Czym innym była bowiem niechęć do brania udziału w bezsensownych walkach, a czym innym ukrycie przed kładącą ręką Inkwizycji wszystkich dezertorów.

– Zaatakował Wolne Enklawy? – zapytał Pamiętający, zrywając się krzesła.

– Jeśli wierzyć plotkom, które dotarły do nas z posterunków granicznych, to wczoraj rano wypowiedział pańskim ziomkom świętą wojnę.

– W mordę jeża... – Pamiętający zaczął pakować w pośpiechu swoje rzeczy.

– A pan dokąd się wybiera, kapitanie? – Tesla także wstał.

– Do swoich. Pójdę wypytać o sytuację.

Czuł ogromny niepokój na myśl o tym, że nie ma już enklawy Innego, że nigdy więcej nie będzie mógł wrócić na stare śmieci, do szkoły, którą zbudował własnymi rękami, do tak dobrze mu znanych kanałów. Nawet teraz, kiedy otrzymał własny kąt w Otchłani, bezpieczniejszy, czystszy i przytulniejszy, tamto miejsce kojarzyło mu się z domem, tym prawdziwym, jedynym, z którym wiążą się niemal wszystkie dobre wspomnienia. Zamarł z ręką w otwartym chleba ku, gdy zrozumiał, że szkoła wyparła z jego pamięci wszystkie mieszkania i koszary, przez które przewinął się przed Atakiem. Nawet ten domek na przedmieściach, w którym spędził jakże długie i szczęśliwe – zwłaszcza w porównaniu z obecnym – dzieciństwo.

– Coś nie tak? – zapytał profesor.

- Nie, zamyśliłem się tylko.
- A co ze spotkaniem? - zainteresował się Znachor.
- Mam nadzieję, że zdążę - rzucił Nauczyciel, zerkając na zegarek.

25 | Dług

W przedśionku Klatki znów stało dwóch ochroniarzy. Jeden pilnował tej samej salki, przed którą koło południa straż trzymał niższy goryl, a po drugiej stronie, przed kotarą bliżej wyjścia, Nauczyciel zobaczył znajomą tępą twarz Paragona. Tym razem przyboczny lidera Ligi ustąpił mu z drogi bez potrzeby ponaglenia, ale nie pofatygował się i nie odciągnął przed gościem zasłony, choć powinien to zrobić z czystej kurtuazji. Pasowie znani byli z wielkiego ego, a im mniej znaczyli w swoich strukturach, tym bardziej zadzierali nosa przed obcymi. Pamiętający zrewanżował się pajacowi jednym ostrym, pogardliwym spojrzeniem, które momentalnie starło uśmiech samozadowolenia z poznaczonej ospowaty mi wykwitami gęby osiłka.

– Podobno miałeś być punktualniejszy od ściennych zegarów, starcze – powitał go moment później Messi, przełknąwszy pośpiesznie kęs mięsa z rozpolowionego odwłoku wyjątkowo wielkiego skrzyżaka. – Zaczynałem się właśnie zastanawiać, czy znowu mnie nie wystawisz.

Dochodził kwadrans po dziesiątej. Spóźnienie było znaczne, ale nie aż tak wielkie, by usprawiedliwiało złośliwe przytyki.

– Sporo się dzisiaj działo – odparł spokojnie Nauczyciel, zajmując miejsce naprzeciw Pasa.

– Mnie tego nie musisz mówić. – Messi wzruszył jednym ramieniem, zanim wyrwał brudnymi paluchami kolejne włókna białawego mięsa i wepchał je sobie do ust.

– Z dzisiejszą pielgrzymką nie miałem nic wspólnego – zapewnił go Pamiętający. – Sam dowiedziałem się o niej niecałe dwie godziny temu.

– Skoro tak twierdzisz... – Messi popił jedzenie haustem bimbru.

Tym razem na stole nie było drugiej musztardówki ani innego szklanego naczynia. Talerz też postawiono tylko jeden. To właśnie obok niego wylądował z hukiem ciężki magazynek. W prostokątnych otworach zdobiących szersze ścianki stalowego pojemnika błyszczały mosiężne łuski upchniętych gęsto naboji.

– Obiecana zapłata. – Nauczyciel nie próbował nawet zgrywać wylewnego kompana.

Idąc tutaj, zastanawiał się, jak ma potraktować Messiego. Był mu wdzięczny za przyjsście z odsieczą i dotrzymanie słowa. Czuł się niezręcznie z powodu zniknięcia na tak długo, choć miał pewność, że lider Ligi został poinformowany – aczkolwiek na pewno nie oficjalnie – jakie są

przyczyny przeciągającego się milczenia. Miał naprawdę szczere chęci uściskać dłoń tego zarozumiałego Pasa, jednakże wszelkie ustalenia, jakie sam ze sobą wcześniej poczynił, straciły znaczenie, gdy zobaczył i odczuł negatywne nastawienie rozmówcy.

Messi obliżał wszystkie palce. Robił to wolno, z rozmysłem, jakby nie zależało mu na zdobyciu kolejnego skarbu. W końcu jednak pochylił się i wsunął magazynek do kieszeni wypłowiałej kurtki, nie próbując nawet przeliczyć naboji.

– Nieźle wyglądasz jak na chodzącego trupa – rzucił z rozbawieniem w głosie, wracając do skubania odwołu pająka.

– Ty też – wycedził Pamiętający.

– Dzięki prezentowi od ciebie, starcze, moja pozycja wydaje się w tej chwili niezagrażona – zakpił lider Ligi.

– Spójrz na mnie. – Nauczyciel rozparł się wygodniej, na jego twarzy także pojawił się kąpiący uśmiešek – Amunicja ułatwia pozbycie się oponentów, ale nawet za wiadro pestek nie kupisz sobie prawdziwego posłuchu. Zwłaszcza u was. Reszta kapitanów poczuła strach, to prawda, ale na pewno nie respekt, na który trzeba sobie zasłużyć czymś więcej niż strzałem w potylicę związanego rywala. Idę o zakład, że teraz nienawidzą cię jeszcze bardziej, tylko skrycie, i już kują za twoimi plecami. Kto wie, może nawet w tym momencie kilku z nich rozmawia gdzieś na uboczu, jak zakończyć twoje nieudolne rządy. Na twoim miejscu naprawdę uważałbym, co jem i piję. Nie tutaj, chociaż kto przewidzi, jak daleko mogą się posunąć... Jestem najlepszym dowodem na to, że nikomu nie można dzisiaj ufać, a już zwłaszcza kobietom, nawet tym, które znasz od urodzenia.

Pas zamarł z pełnymi ustami. Szczęka mu opadła, nie do końca przeżute białe włókna wystawały spomiędzy pozostałych zębów.

– Czy ty mi grozisz? – zapytał w końcu, przełknąwszy z trudem.

– Nie. Ja cię ostrzegam – odparł z takim samym spokojem Pamiętający. – Zgarnąłeś trzydzieści pestek i wydaje ci się, że zostałeś królem świata. Spójrz na nas, na ten stół. Poprzednim razem kazałeś przynieść dwa talerze i dwie szklanki, a dzisiaj zgrywasz przede mną królewicza, choć tak naprawdę wszystkie atuty w tej grze o zasrany tron zawdzięczasz mnie i tylko mnie.

Messi słuchał go z kamienną twarzą, ale gdy Nauczyciel zamilkł, prychnął pogardliwie.

– Te skurwysyny nie muszą mnie kochać – rzucił – wystarczy, żeby się mnie bali, a dzięki tym pestkom srają dzisiaj w gacie na sam mój widok – Uśmiechnął się wymuszenie, ponownie wkładając palce pod pancierz skrzyżaka. – Nie twojej pomocy zawdzięczam obecny status. Dobiłiśmy targu, ty czegoś potrzebowałeś, ja ci to dałem w zamian za sowitą zapłatę, starcze. Jeśli ktoś tu powinien być komuś wdzięczny, to ty mnie, a nie ja tobie, bo to ja uratowałem ci dupę, choć wcale nie musiałem tego robić. Radziłbym więc zmienić nastawienie, albo wypierdalać z mojej bajki.

– Chętnie, synku, ponieważ to bajka z mchują i paproci, a nie klasyczna opowieść o błędnym rycerzu – skontrolował Pamiętający. – Dowiem się, kto mnie wtedy wystawił.

– Chcesz coś powiedzieć, starcze, mów wprost – obruszył się Pas.

– Powiedziałem już wszystko, co powinieneś usłyszeć, synku – odwarknął Nauczyciel.

Kark sztywniał mu od dłuższej chwili, czuł też dziwny ucisk w skroniach, jakby serce pompowało krew do głowy z podwójną mocą. Z trudem hamował się przed sięgnięciem po nóż i zakończeniem tej farsy. Gdyby to było inne miejsce, inny czas, zaryzykowałby starcie z Paragonem i pozostałymi dwoma goryłami czającymi się teraz gdzieś w mroku za jego plecami. Słyszał ich oddechy od chwili, gdy minąwszy kotarę, znalazł się w gęstym, rozjaśnianym tylko jedną lampą półmroku. Ostry odór potu, bimbri i spermy był tak łatwy do wywęszania. Pasowie musieli przyjść na spotkanie prosto z pobliskiego burdelu.

– Jeśli myślisz, że pozwolę tym cwelom zza Strefy Zakazanej na bezkarne wałęsanie się po moim terytorium, to tkwisz w bardzo grubym błędzie – wycharczał nie mniej rozwścieczony lider Ligi.

Nie mógł puścić płazem takich obelg, jakie przed momentem usłyszał, i to w dodatku rzuconych przy świadkach. Hamowała go jedynie obawa, że przeciwnik nie przyszedł na to spotkanie z gołymi rękami. Sytuacja wydawała się więc patowa, tym bardziej że dłonie obu zniknęły już przed chwilą pod pazuchami.

– Wali mnie to, co myślisz i co zrobisz – odparł Nauczyciel, także próbujący znaleźć optymalne wyjście z tego klinczu. – Jeśli jednak zaczniesz robić bruzdę na Przyodrze, albo ja przypadkiem gdzieś zniknę, moi zleceniodawcy mogą uznać, że warto podsypać złomu także komuś innemu, na przykład Neymarowi.

Nie przyniósł nabitej broni, o czym jego adwersarz nie mógł wiedzieć, sięgnął więc po nóż. Nie spuszczał też wzroku z Messiego, na wypadek gdyby ci z tyłu mieli otrzymać od niego cichy rozkaz. Pochylił się mocniej, czelając na najodpowiedniejszy moment. Gdyby udało mu się strącić lampę ze stołu, w ciemnym pomieszczeniu zapanowałby kompletny chaos, dzięki któremu uniknąłby wystrzelonej z bliska kulki i zdążył dopaść tego skurwiela, by wziąć go za zakładnika, zanim dranie zza pleców pošłą go tam, dokąd o mało nie trafił za sprawą Achai.

Messi również nie był głupcem, patrzył mu prosto w oczy, wyczekując chwili, w której źrenice Pamiętającego zwiężą się błyskawicznie, zwiastując rozpoczęcie ataku.

– A co tu tak ciemno, panowie? – Drgnęli obaj, zaskoczeni, słysząc donośny alt Frei. Napięcie nie prysło jednak, atmosfera wciąż była napięta jak postronek łączący szyję wisielca z szubienicą, ale obydwaj oponenci wyprostowali powoli plecy. – Dziewczynki, myk, myk – szczebiotała tymczasem właścicielka Klatki Pełnej Cieniałów – wymieńcie wkłady w naciennych lampach, bo goście ledwie się widzą...

Na stole za jej sprawą pojawiła się taca pełna dymiących kawałków mięsa, obok niej z hukiem wyładował słój bimbri.

– Czemu zawdzięczamy to wszystko? – zapytał Messi.

– Jesteście ostatnimi klientami dzisiaj, a że was obu lubię, pomyślałam, że podam to, co zostało jeszcze na grillu. Lepiej zjeść mięcho w doborowym towarzystwie, niż miałoby się przez noc zmarnować, nie sądzicie? A tu słóiczek od firmy, coby nie żreć o suchym pysku.

– Dzięki – mruknął wciąż zaskoczony Pas.

– Dobra, nie przeszkadzaj w owocnej rozmowie. – Freja cofnęła się o krok, wycierając ręce w fartuch. – Gdybym była potrzebna, wołajcie, ale ostrzegam, więcej żarcia nie będzie. Co najwyżej mogę donieść berbeluchy.

– W zasadzie to już pogadaliśmy – stwierdził Pamiętający, wstając od stołu.

– Pogardzisz, bracie, takim poczęstunkiem? – Właścicielka knajpy wyglądała na zawiedzioną.

– Zjadłem kolację w bunkrze – poinformował ją obojętnym tonem, korzystając z okazji, by sprawdzić, gdzie stoją obaj goryle.

Wycofali się w najmroczniejsze kąty sali, ledwie za kątą weszły kobiety. Droga do wyjścia była więc wolna.

– Nie chciałam przeszkadzać – zmitygowała się Freja, jakby dopiero teraz zauważyła, że coś jest nie tak

– Nie przeszkadzasz. – Messi wysunął rękę spod pazuchy.

Wciąż miał minę, jakby ktoś mu przydepnął oba jajca, ale jego oczy przestały miotać gromy. Nie był skończonym durniem, zrozumiał więc w lot, że przypadkowe wejście Frei pozwoli mu zachować twarz, przynajmniej wobec podwładnych. Przy tej kobiecie i jej kelnerkach nie mógł wydać rozkazu likwidacji człowieka, z którym przed momentem zadarł, choć miał na to ogromną ochotę. Po tym zabójstwie musiały się pozbyć wszystkich świadków, a usunięcie jednej z najbardziej znanych postaci Bazaru ściągnęłoby na jego głowę znacznie większe zagrożenie niż tylko utrata twarzy. Wolał więc odpuścić. Przy najmniej chwilowo.

– Spotkamy się jeszcze – rzucił w stronę Pamiętającego wychodzącego z Freją.

– Przypuszczam, że wątpię – odparł z rozbawieniem Nauczyciel. – Chyba że zapragniesz więcej pestek. Chętnie ci pošlę ze dwie albo nawet trzy. Też w gratisie od firmy.

26 | Plan

Freja ruszyła w stronę stalowych drzwi, którymi można było odizolować główną salę jej lokalu od przedsiönka z bocznymi „klatkami”. Towarzyszące jej dziewczęta udały się chwilę wcześniej w przeciwnym kierunku, do wyjścia prowadzącego na Bazar. Ubierały się właśnie przy wylocie przepustu, by jak najprędzej opuścić to miejsce i znaleźć się we własnych domach albo którejs z dzielnicowych noclegowni.

– Chodź. – Właścicielka knajpy skinęła ręką na Pamiętającego, gdy ten przy stanął, jakby nie wiedział, w którą stronę powinien się zwrócić.

– Lepiej już pójde – bąknął, nadal nieprzekonany do jej propozycji.

– Chodź! – powtórzyła nieco dobitniej, stając w zwięzeniu prowadzącym do dwupoziomowego pomieszczenia. – Musimy pogadać.

Zerknął za obiema dziewczynami, znikającymi właśnie w wąskim przepuście, potem przeniósł wzrok na sterczącego wciąż przed kotarą Paragona. Ochroniarz obserwował go spod na wpół przymkniętych powiek, trzy mając dłoń na rękojeści zatkniętego za pas noża. To był bardzo wymowny gest. Pilnuj się, starcze, tej nocy wszystko może się jeszcze zdarzyć, sugerował. *Lepiej dmuchać na zimne*, uznał Nauczyciel i westchnąwszy ciężko, poczłapał ku Frei.

– Ale tylko na chwilę – zastrzegł, gdy zamykała z hukiem ciężkie drzwi. – Powiniennem wracać do syna.

– Co ty wyrabiasz, bracie?! – naskoczyła na niego jeden oddech później, gdy tylko znaleźli się sami. Jeszcze przed momentem uśmiechnięta i wyluzowana, w okamgnieniu zmieniła się we wcielenie wszystkich furii, jakby naprawdę była boginią, od której wziął się jej przydomek – Popieprzyło cię do reszty?!

Zaskoczony jej przemianą Nauczyciel zdębiał. Został tam, gdzie uderzyły w niego pierwsze wyszczone z taką złością słowa, nawet wtedy, gdy ona maszerowała już sprężystym krokiem do lady. Po raz pierwszy zobaczył ją z tej perspektywy i z odpowiedniej odległości. Po raz pierwszy miał przed oczami całą sylwetkę, dzięki czemu mógł nareszcie zrozumieć, czemu Freja jest magnesem dla wzroku każdego faceta. Nie chodziło o negliż ani o to, że była naprawdę pięknie zbudowana, a przy tym tak kobieta, jak to tylko możliwe. Zwłaszcza teraz, gdy kolejne pokolenia

ludzi urodzonych w kanałach degenerowały się w zastraszającym tempie także pod względem fizycznym. Jej błyszcząca w świetle kilku lamp skóra wydawała się jasna jak alabaster i... idealnie gładka. Nie dostrzegł na prostych plecach, długich ramionach, krągłych pośladkach i smukłych nogach ani jednego śladu po wrzodzie, ani jednego ropnia. Wyglądała jak... jakby była jedną z Czystych.

Zafascynowała go ta zagadka. Freja nie pasowała do świata wszechobecnej deformacji i brzydoty, w którym przyszło im żyć. Tak bardzo się wyróżniała, że zaczął mieć wątpliwości, czy kobieta przypadkiem nie należy do Wykłych. Czyżby to był jej sekret? A jeśli tak, jakim cudem zdołała przetrwać? Przecież każdy, kto swoim wyglądem budził choć cień podejrzania, że najgorsze czasy spędził w luksusowym bunkrze, nie dzieląc trosk i niewygód z resztą ocalonych, był zabijany na miejscu, bez zbędnego gadania, gdy tylko postawił nogę na powierzchni albo w któryś z kanałów.

Pytania, które stawiał sobie w myślach, zafrapowały go do tego stopnia, że nie odpowiedział na to zadane przez Freję. To rozjuszyło boginię jeszcze bardziej.

– Ogłuchłeś, bracie, czy dla odmiany masz zamiar mnie ignorować? – syknęła, przystając przed kontuarem.

– Wybacz, zamyśliłem się – odparł bardzo niepewnym tonem.

Rozbroił ją tym stwierdzeniem.

– Chyba zaśliniłeś... Wiem, jak wygląda mój tyłek, zwłaszcza gdy nim ponętnie kręcę, ale nie spodziewałam się, że prosta magia drzących pośladków zadziała na kogoś tak doświadczonego jak ty.

– Nie o tym... – zaczął się tłumaczyć, lecz zamilkł w pół zdania, ponieważ to by było kłamstwo. – To znaczy chodzi o twój wygląd, ale nie w tym kontekście, o którym myślisz.

– Akurat – mruknęła, podnosząc kłapę w ładzie. Gdy ją opuściła, natychmiast zniknęła za kontuarem.

Wynurzyła się moment później, w ręku trzymając tę samą butelkę po coli, z której polewała biber rano. Pomachała nią jak przynętą, przeszedł więc na drugi kraniec ceglanego pomostu i zajął miejsce przy barze.

– Mówię prawdę. Dopiero teraz zajarzyłem... – zaczął ponownie.

– Nie, nie – wpadła mu w słowo. – Tak nie będziemy rozmawiać. Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

– A jak brzmiało?

– To jakiś żart? A może mówili na ciebie Duch, bo po nadejściu nocy zamieniałeś się miejscami z Niemotą? – zakpiła. – On kosałował za ciebie po kanałach, a ty cipiałeś i głuchłeś do rana? To by tłumaczyło twoje zachowanie. Tutaj i tam – wskazała głową na stalowe drzwi.

– A, o to ci chodziło. – Sięgnął chętnie po podsuniętą szkanłę, gdy Freja nakręcała patefon.

Dławiona prymitywną technologią płyta Metalliki znów wypełniła niezręczną ciszę.

– Słucham zatem. – Freja także nalała sobie na dwa palce, a potem stanęła naprzeciw Pamiętającego po drugiej stronie kontuaru, pochylając się prawie tak samo mocno jak przy

poprzedniej wizycie, gdy go zbesztala za to, że nie patrzy w te oczy, w które powinien.

– Nie masz zamiaru się ubrać? – zapytał wciąż niepewnym tonem.

– Przed wzięciem prysznic? – prychnęła. – Jestem praktyczną kobietą, nie będę przepacać ciuchów tylko dlatego, że hipnotykuje cię widok rozkołysanych piersi.

– Aha – mruknięła ze szklanką przysuniętą do ust.

– Nawijaj, bracie.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło... – przyznał, gdy już przełknął gryzący w przełyk, pachnący terpentyną trunek – Nie wiem tego wytłumaczyć nawet sobie. Naprawdę. Nigdy... to znaczy od bardzo dawna nie byłem aż tak poirytowany. Ale nawet wtedy nie reagowałem równie wybuchowo. A dzisiaj... Była uwaga wytrąca mnie z równowagi, wystarczy jedna iskra, żeby... – Skrzywił się paskudnie.

Iskra. Tak ją też miał ochotę wałnąć w tę niewyparzoną gębę, gdy mu odpyskowała tam, na Bazarze... Wróć, nie odpyskowała, tylko zwróciła uwagę. Ostro, na swój sposób, ale nie przekraczając granicy, która usprawiedliwiałaby zadanie jej bólu.

– Zauważyłam – przyznała Freja. – Pakujesz się w kłopoty, jakbyś chciał zginąć.

– To nie tak – zaprzeczył. – Wiem, jak to może wyglądać z twojej perspektywy, ale ja... Ja naprawdę nie próbuję popełnić spektakularnego samobójstwa, i to zwłaszcza z czyjejś ręki. – Nagle zrobił wielkie oczy. – Nie pojawiłaś się tam przypadkiem. – Wskazał głową jedyną wyjście. – Skąd wiedziałas, co się święci? Przecież nawet tu nie zajrzałem.

– To mój lokal – odparła z tajemniczym uśmiechem, którym mogłaby zrobić udaną konkurencję Giocondzie. – On także ma swoje tajemnice.

– Poważnie pytam.

Spojrzała na niego ostrzej, jakby zastanawiała się, ile może powiedzieć obcemu jej w sumie człowiekowi.

– Poprzednim razem, gdy rozmawiałeś w Klatce z Messim, słyszałeś wyraźnie muzykę? – zapytała, mrużąc filuternie oczy.

Musiał się zastanowić, zanim odpowiedział.

– Ha, więc to tak – rzucił, szczerząc zęby. – Sprytne.

Zerknął na szerokie rury systemu wentylacji, których wyloty zwiisały nad tubą patefonu. Ten system nie był tak jednostronny, jak mogli uważać klienci, którzy umawiali się w słynnych na całe Miasto kłatkach czy to na sekretne schadzki, czy negocjacje handlowe.

– Bezbronna kobieta, a za taką się uważam, musi mieć możnych protektorów – podsumowała Freja. – Najwięcej władzy daje dostęp do tajemnic przeciwnika, dlatego dostarczam je, komu i kiedy trzeba, w zamian za, powiedzmy, swobodę i nietykalność. – Połała następną kolejkę, znów sięgnęła pod kontuar, by położyć między szklankami niewielkie zawiniątko, w którym trzymała mocno uwędzone szczurze tuszki. – Muszą wystarczyć na zakąskę, bo całe mięso poszło na przekupienie tych drabów.

– Niepotrzebnie się wykosztowałaś – stwierdził Pamiętający. – Miałem wszystko pod kontrolą.

– Słyszałam.

– Naprawdę. Dałbym sobie radę.

– Powiedz mi, bracie, jak? Tylko szczerze, bez wciskania kitów.

Przygryzła wargę, zastanawiając się nad tym, jak jej wytłumaczyć swój wcześniejszy plan. Lecząca w tle znajoma muzyka wpływała z jednej strony kojąco, a z drugiej zagrzewała go i umacniała w przekonaniu, że jednak miał rację.

– Nie wiesz o mnie wielu rzeczy – zaczął. – Dawno temu, jeszcze przed Atakiem, trenowałem sztuki walki. Najpierw karate, potem aikido. Słyszałaś coś o tych dyscyplinach?

– Miałam dwanaście lat, gdy wybuchła wojna – odpowiedziała niezupełnie na temat, ale wzięła to za potwierdzenie, nie zaprzeczenie.

– W czasie służby w Skorpionach byłem instruktorem, potem, po ucieczce za Strefę Zakazaną, uczyłem w mojej szkole podstawowych technik ataku i obrony. Sam też nieustannie trenowałem. Głównie aikido.

– Obudź mnie, gdy zaczniesz przechodzić od historii świata do konkretów – poprosiła, zanim wsunęła do ust kawałek mięsa.

– Dobra, w takim razie robimy cięcie i jedziemy po samych konkretach. Messi siedział dwa metry ode mnie, ci dwaj znajdowali się dwukrotnie dalej. Zamierzałem strącić lampę i wykorzystując chwilowe zamieszanie, zejść z linii strzału, by obezwładnić tego drania i wziąć go za zakładnika. Z nożem przy gardle musiałyby odwołać swoich goryli, a wtedy...

– A wtedy co? – zakpiła, gdy milczenie przeciągnęło się na kilka uderzeń serca.

– Nie wiem, bo ni stąd, ni z owąd pojawiła się kawaleria z bobrami na wierzchu i gołymi cyckami, ale pewnie każaliby Paragonowi dołączyć do reszty, potem wyszedłbym z Messim do przedsiönka, tam dałbym mu w ryj i zwałbym przez przepust, zanim...

– ...skończyłbym z nożem w plecach po przebiegnięciu paru kroków. Ty stary durniu. Pałydy ni ortalionu dogoniłoby cię w kilka sekund.

– Między ludźmi... – zaczął.

– Między jakimi ludźmi? – prychnęła pogardliwie. – Tam teraz żywej duszy nie uświadczysz. Nocne życie? Śmiechu warte. U was, w Wolnych Enklawach, było inaczej?

Nie odpowiedziała, ponieważ miała rację. Do roboty wstawało się bladym świtem, przez co wycieńczeni ludzie padali z nóg zaraz po zmierzchu – rzecz jasna prócz tych, którzy musieli harować na nocne zmiany.

– Coś bym wymyślił – wymamrotał w końcu.

– Wy, faceci – pokręciła głową. – Herosi ulepieni przez samych bogów z ejakulatu, płwociny i potu. Naprawdę tak trudno powiedzieć dziękuję?

Spuścił wzrok. Znowu trafiła w sedno. Miał problem, by przyznać jej rację. Wiedział, że uratowała mu dupę, a mimo to duma... *Dupa, nie duma*, pomyślał, wściekając się tym razem na samego siebie.

– Dzięki – wyszeptał, nie podnosząc głowy.

– Słucham?

– Dziękuję – powtórzył pełnym głosem, ale spokojnie, uniesienie nawet, by nie rozdrażnić jej

jeszcze bardziej.

– Nie ma za co. – Stuknęła szklanką w jego musztardówkę. – A teraz pomyśl, jak wynagrodzisz straty moim dziewczynom. – Zaśmiała się, gdy spojrział na nią zdziwiony. – Mamy tu taki zwyczaj, że kelnerki zabierają do domu wszystkie resztki zarcia, jakie zostają na grillu. Dzisiaj ich dzieci zamiast pieczystego dostaną po łyku świeżego powietrza na dobranoc, bo wszystko musiały dać tym cholernym Pasom, żeby ci nie poucinali reszty odstających rzeczy.

– Wynagrodzę im to, obiecuję. – Przyłożył dwa palce do piersi.

– Obyś to zrobił, bo jak znam życie, to przez najbliższy rok będą ci szczały do każdej zupy, jaką tutaj zamówisz. – Rozbawiła ją jego mina. – Zemsta nie zawsze bywa słodka, bracie. Czasem ma bardzo cierpki posmak i najlepiej smakuje na ciepło.

– Naprawdę robicie coś takiego?

Nie odpowiedziała, ale nie musiała – i tak wiedział, że nie kłamie.

– Wracając do wcześniejszego tematu... – dodała poważniejszym tonem po przełknięciu kolejnego haustu – chyba wiem, co z tobą jest nie tak

– To ciekawe – stwierdził. – Nawet Znachor nie umiał mnie poprawnie zdiagnozować, a to przecież największy medyczny autorytet w Mieście.

– Powiedziałeś mu wszystko szczerze jak na spowiedzi?

– Raczej tak

– Bo dla mnie to cholernie oczywiste, bracie.

Nauczyciel usiadł wygodnie z niemal pustą musztardówką w dłoni. Po sutej kolacji u profesora nadal nie czuł głodu, tak że po soczystej polędwicy z niejednorozca nie kusilo go, by sięgnąć po zwykłą wędzoną szczurzynę.

– Oświeć mnie zatem, proszę.

– Wybacz, że będę mówiła nieco chaotycznie. Jak wiesz, nie jestem lekarzem i nie znam fachowego bełkotu. Powiem ci więc wprost, jak ja to widzę. Samiec alfa. Przez wiele lat byłeś panem siebie; jeśli kombinowałeś, wychodziło na twoje, jeśli walczyłeś, zawsze zwyciężałeś. Musiałeś być w tym cholernie dobry, skoro Dresowie po dziś dzień straszą tobą niegrzeczne bachory. Czekaj, nie przerywaj mi – poprosiła, gdy otwierał usta, by zaprotestować. – Potem, po upadku kolonii dawnych żołnierzy, wybyłeś na jakiś czas do innej części miasta. Sporządniałeś tam, zajęłeś się nauką dzieciaków i wychowywaniem syna. Nadal jednak robiłeś, co chciałeś, i pozostałeś kowalem, wróć, panem własnego losu. Spokorniałeś przy okazji, wyciszyłeś się, zapomniałeś na długie lata o dawnym życiu, ale niedawno wyrwano cię z tego letargu i zmuszono do powrotu na arenę. Tylko że to już nie ta sama bajka. Zestarzałeś się, osłabłeś, zardzewiałeś, straciłeś refleks. Na scenie pojawili się młodszy i lepsi, silniejsi i szybsi przeciwnicy. Czujesz to podskórnie, ale nadal nie dopuszczasz do siebie myśli, że przegrywasz. Tak wiem, jak to pokrętnie zabrzmiało, ale zaprzecz, jeśli jest inaczej... – Pamiętający milczał, spoglądał na nią tępym wzrokiem, jakby błędził myślami gdzieś indziej, dlatego szybko dodała: – Poza tym gdzieś tam, w najgłębszych pokładach podświadomości, walczysz sam ze sobą, bracie. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Cała ta złość, frustracja i gniew to nic innego jak reakcja objanego ego

na ponoszone kolejno klęski i porażki. Nie znosisz sprzeciwu, a tu na każdym kroku ktoś ci czegoś odmawia. Jakby tego było mało, okaleczono cię, potem zdradzono i otruto, ale ty nadal nie chcesz się poddać, chociaż wszyscy, jak się domyślam, chcą, żebyś zszedł w końcu z pierwszej linii. Robisz, co możesz, by stać się znowu dawnym wielkim wojownikiem, odzyskać utraconą sławę, ale uwierz mi, bracie, to absolutnie, centralnie niemożliwe. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym szybciej dojdiesz do siebie i zapanujesz nad zszarganymi nerwami.

– Chyba odrobinę przesadziłaś – mruknął zaskoczony trafnością tej analizy.

Miała rację: czuł, że czasy jego świetności mijają, ale nie pozwalał, by myśli o tym zdominowały przekonanie, że to tylko chwilowa niedyspozycja, że wystarczy odpocząć, nabrać sił, by wszystko znów było po staremu. To dlatego reagował jak zapędzony w kozi róg drapieznik. To dlatego kąsał na prawo i lewo. Nawet wtedy, gdy nie było to konieczne.

– Jeśli przegrasz walkę z samym sobą i nie odpuścisz, jeśli dalej będziesz brnął w chaos, ktoś w końcu cię zdejmie – podsumowała, widząc, że coś do niego zaczyna docierać. – Dzisiaj mógłbyś zginać co najmniej dwukrotnie, tylko u mnie, a co wyprawiałeś poza Klatką, tego mogą się najwyżej domyślać. Zbastuj, bracie, bardzo cię proszę.

– Ale ja... ja wcale nie chcę, żeby to się tak skończyło... – rzekł ze spuszczoną głową.

– Masz syna, masz przyjaciół, pewnie nie umrzesz też z nudów, jeśli przysiądziesz na dupie.

– To wszystko prawda, ale... – Zamilkł. – Masz rację, powinienem odpuścić, ale to nie takie proste. Jest coś, o czym, zdaje się, nie masz pojęcia...

– Coś tak ważnego, żeby ryzykować utratę życia i osierocenie tego... – powstrzymała się w ostatniej chwili przed użyciem epitetu, by go nie zdenerwować. – Wybacz, nie pamiętam, jak nazywasz syna.

– W naszej enklawie nazwano go Niemotą i tak już zostało – odpowiedział, ale zaraz wrócił do tematu. – Zanim przysiądę na dupie, jak to pięknie i obrazowo ujęłaś, muszę wykonać jeszcze jedno zadanie.

– I jak tu z tobą gadać... – westchnęła, sięgając po butelkę.

– Zaczekaj – poprosił. Gdy cofnęła rękę, poprawił się prędko: – Nie z tym, z ocenianiem.

– Chyba że tak – Uśmiechnęła się i dołała bimbura.

– Szykuje się wojna z lekterytami – zaczął moment później, gdy odstawiła swoją szklankę – ale pewnie sama wiesz o tym najlepiej. – Wskazał głową na biegnące po ścianie rury. – Między innymi dlatego ludzie, dla których pracuję, chcieli ściągnąć tutaj jak najwięcej uciekinierów z Nowego Watykanu, a przy okazji część moich ziomeków z Wolnych Enklaw. Teraz, gdy mają na pograniczu ponad półtora tysiąca nowych mieszkańców, nie trzeba będzie długo czekać na jakiś nerwowy ruch Burmistrza. W związku z tym opracowałem pewien plan, genialny plan, dzięki któremu mógłbym ocalić setki istnień, a może i więcej. Mógłbym zrobić coś, co zażegna widmo tej wojny, zanim naprawdę poleje się krew.

– Nie przerywaj, bracie – poprosiła, gdy zamilkł, by się napić. Wydawała się mocno zainteresowana tym, co mówił.

– Rozpracowałem tę operację do ostatniego szczegółu, ale osoba, która decyduje o naszej

strategii, nie chce nawet słyszeć o moim pomysle. Zachowuje się tak, jakby zależało jej na wybuchu tej wojny.

– Może faktycznie jej zależy. W magistracie siedzi wielu bohaterów, którzy walczyliby o sławę i chwałę do ostatniej kropli naszej krwi.

– To bardziej skomplikowana sprawa, niż sądzisz – odparł, nie prostując mylnego domysłu na temat jego potencjalnych zwierzchników. Niech Freja myśli, że pracuje dla kogoś z magistratu.

– Być może. Nie znam szczegółów, a ty, jak się domyślam, nie możesz mi ich zdradzić, więc nie będę naciskała. Powiedz mi tylko, na czym polega sam plan.

– Chciałem wziąć niewielki oddział dobrych żołnierzy...

– Nie te czasy, bracie, nie ta bajka – przypomniała mu.

– Dobrze, źle się wyraziłem. Zebrałbym grupę niezłych kozaków, uzbroił ich porządnie i zaprowadził do Wieży, żeby zlikwidować wszystkich ważniejszych przywódców wroga.

– Piękny plan, zupełnie nie rozumiem, dlaczego ktoś mógłby być przeciwny jego realizacji – zakpiła. – Ach, tak – pacnęła się otwartą dłonią w czoło. – Garstka kozaków szturmująca kilkudziesięciopiętrowe gmaszysko, w którym może siedzieć cała armia smakoszy ludzkich bebeczków, nie licząc szczypty mutków. No i kolejny drobny szczegół, granica Republiki zamknięta na amen z obu stron.

– Skończyłaś? – Tym razem nie dał się zbić z tropu. – W takim razie posłuchaj. Mam dostęp do amunicji, tak do pieprzonych działających naboju, więc armia zębów zażerających się ludziną może mi co najwyżej naskoczyć. A co do granicy, powiem tyle: to, że wy nie znacie drogi na drugą stronę, nie znaczy wcale, że ona nie istnieje.

– Amunicja to gruby argument – przyznała – ale na taką wyprawę kilka magazynków to jednak trochę za mało.

– Mam dostęp do tylu pestek, że mógłbym za ich pomocą wytłuc całe Miasto. – Posłał jej tryumfalne spojrzenie.

– Dlaczego więc nie okażesz odrobiny niesubordynacji i nie wykonasz tej misji na własną rękę?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Spodziewał się kolejnych kpin, wątpliwości i kąśliwych uwag, ale ta kobieta naprawdę była mądrzejsza i przebieglejsza, niż ktokolwiek mógłby sądzić.

– Z tym właśnie jest problem. Kozaków mógłbym znaleźć w Mieście, amunicję także zdołam ukraść, ale dostęp do tuneli prowadzących na terytorium Republiki mogą mi zapewnić wyłącznie ludzie, dla których pracuję.

Freja popatrzyła na niego uważnie.

– Słyszałam jakiś czas temu, że gdzieś w okolicach lotniska są kanały, którymi można przejść na terytorium Republiki.

– Tak Piękna miejska legenda. – Teraz to on zakpił z niej.

– To nie legenda – zaprzeczyła. – Miesiąc temu podsłuchałam rozmowę Dresów z ważną szychą naszego magistratu. Ci dranie oferowali prawdziwe bogactwo za mapę Republiki. Burmistrz, o czym może jeszcze nie wiesz, dysponuje najbardziej szczegółowymi planami

kanałów Wrocławia. Kilka z nich jest przedwojennych, jeszcze drukowanych. Nie pytaj mnie, jak wszedł w ich posiadanie, ale to teraz jego najcenniejszy skarb. Facet, któremu chcieli zapłacić, ma do nich dostęp, ale tylko na miejscu, więc uradził wspólnie z Dresami, że wykona dla nich dokładną kopię. Dwa tygodnie temu spotkali się ponownie i dobili targu.

– Fascynujące, ale...

– Poczekaj, bracie. Teraz dowiesz się najciekawszego. Jak już wspomniałam, człowiek z magistratu jest moim stałym klientem. Znam go doskonale, można nawet powiedzieć dogłębnie. Zanim doszło do ponownego spotkania, wypożyczyłam go sobie kilka razy i dyskretnie zasugerowałam, że Dresowie, z którymi rozmawia, to nieźli przekęciarze. Powiedziałam mu też, że nie powinien im ufać, ponieważ wcześniej zrobili na szaro kilku ważnych kupców. Poradziłam, by ostro się targował, bo bez względu na to, co mu zaoferowali, z pewnością nie przedstawili ostatecznej oferty. Wziął to sobie do serca. A kiedy nadszedł dzień wymiany, zdeponował mapę u mnie, na wypadek gdyby chcieli go okraść, i przedstawił nową, wyższą cenę. Tamci byli uparci, ponieważ jak się słusznie domyślasz, usłyszeli ode mnie parę dobrych rad. Dojście do porozumienia zajęło im kilka godzin, w czasie których... – zawiesiła znacząco głos.

– ...skopiowałaś mapę – dokończył za nią.

– Mhm – przytaknęła, uśmiechając się znowu w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Mogę ją zobaczyć?

Pokręciła głową.

– Nie.

– Nie?

– Najpierw zawrzemy własny układ.

– Układ?

– Nie powtarzaj po mnie żadnego słowa jak papuga – pogroziła mu palcem. – Pomogę ci w zorganizowaniu tej wyprawy, bracie. Dam ludzi, zaopatrzenie i kopię mapy, a wszystko za to, że zrobisz też coś dla mnie, gdy znajdziesz się po tamtej stronie granicy.

Przyglądał jej się przez chwilę uważnie. Coś mu tutaj nie pasowało. *Czy ten plan nie jest zbyt piękny, by mógł być prawdziwy?*

– Jeszcze przed chwilą naciskałaś, bym dał sobie spokój z dalszym koczowaniem – przypomniał.

– A ty miałeś to tak głęboko w dupie, że cię w oskrzela uciskało. No powiedz, że się mylę.

Zaśmiał się, dopił biber.

– Powiem ci, że prawie mnie przekonałaś. Twoja diagnoza naprawdę była trafna, ale tak nie spocząłbym, dopóki nie dopiąłbym swego albo dopóki ktoś by mnie wcześniej nie poczęstował kęsą pod żebro po kolejnym bezsensownym wyładowaniu na nim agresji.

– Zawrzyjmy zatem prosty układ. Ja zorganizuję ci w sekrecie ten wypad, a ty, gdy zrobisz już, co trzeba, dla siebie i dla mnie, usiądziesz w końcu na dupie.

– Na to mogę przystać.

Wyciągnęła do niego prawą rękę. Zrobił to samo, a ona nawet nie mrugnęła okiem, gdy

delikatnie ścisnęła okaleczoną dłoń.

– Zatem postanowione – powiedziała.

– Jak najbardziej – odparł.

– W takim razie chodź za mną.

Freja odwróciła się, podeszła do kredensu i jednym ruchem ręki odciągnęła go od ściany. Pamiętający zdziwił się, widząc, że ciężki jak cholera mebel porusza się niemal bezgłośnie, odsłaniając wąskie przejście. *To miejsce różni się od siedziby Innego czymś więcej niż jednym bocznym pomieszczeniem, pomysłał.*

Zabrał z podłogi chlebak, podniósł kłapę w ladzie i przeszedł za kontuar. Zatrzymał się tylko na moment, by podnieść igłę patefonu, ale Freja ofuknęła go natychmiast:

– Zostaw, niech gra.

– Szłoda płyty – rzucił.

– Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, niedługo posłuchasz lepszej muzyki.

– Serio?

Zabrała lampę wiszącą na ścianie za grillem i pochyliwszy głowę, zniknęła w ciemnym tunelu. Ruszył za nią, przyglądając się uważnie tyłowi kredensu. Jak się okazało, ciężki mebel przytwierdzono śrubami do stalowych sztab, które z kolei zawisły na dobrze natłuszczonych zawiasach.

– Zamknij przejście za sobą – usłyszał dobiegający z oddali głos Frei. – Wystarczy pociągnąć. Tam, na górze w rogu, jest taka parciana pętla. I pośpiesz się, bracie. Musimy przypięczętować nasz układ, a ja z samego rana wybywam na Bazar po zaopatrzenie.

To zabrzmiało naprawdę obiecująco.

27 | Wyklęta

Przypiętowali układ, jak tego chciała, raz przed obejrzeniem kopii mapy, a potem drugi i jeszcze trzeci, ale sen jak nie przychodził, tak nie przychodził. Oboje byli zbyt podekscytowani snuciem planów i sobą nawzajem, by zamknąć oczy i po prostu odpłynąć. Bimber także nie pomógł, pozostało więc leżenie w półmroku i kontynuowanie rozmowy. A mieli jeszcze kilka tematów do obgadania.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Pamiętający, gdy zdyszani i spoceni opadli po raz trzeci na gruby siennik ułożony w kącie komory o rozmiarach przedsiönka Klatki.

Pomieszczenie za kredensem, w którym Freja uwiła sobie całkiem przytulne gniazdko, wyglądało naprawdę niesamowicie. Ta kobieta zarabiała na knajpie tyle, że stać ją było na największe luksusy nowego świata, takie choćby jak własna instalacja do oczyszczania wody, stojąca tuż obok niej przemysłowa aparatura do pędzenia bimbrowy i prysznic – nie zwykła plastikowa kónewka wisząca na wbitym w ścianę pręcie zbrojeniowym, ale prawdziwa, przedwojenna kabina. Poznać było po niej wiek, przesuwane drzwiczki nie domykały się, w uszczelkach było więcej szczerb niż gumy, brodzik zżółkł już tak bardzo, jakby zrobiono go nie z akrylu, lecz z kości, a zużyta woda ściekała do podstawionej misy, by ponownie trafić do zbiornika nad zardzewiałą deszczownicą, jednakże to wciąż było coś, o czym zwykli ocaleni mogli tylko pomarzyć.

Ponadto w tylnej ścianie tego pomieszczenia, za szafą, także uchylną i bardziej wiekową niż cywilizacja kanałów, znajdował się zabezpieczony kutą kratą przepust prowadzący – jak wyjaśniła wcześniej Freja – do ślepego tunelu, zakończonego najzwyklejszą w świecie studzienką. To była tajna droga ewakuacyjna, na wypadek gdyby właścicielka Klatki musiała kiedyś szybko i na trwałe zniknąć z radaru.

Wyjście to znajdowało się jednak tylko kilkaset metrów od skraju Pogorzelska, w miejscu, gdzie nuklearna pożoga zabiła przed laty wszystko, co żyło, a martwą naturę zeszkliła bądź wypaliła do szczeru. Dlatego ta rezolutna kobieta prócz wyjścia dysponowała także całkiem dobrym sprzętem, ukrytym teraz w tunelu za kratą, tam, skąd nikt nie mógł go ukraść. Klucze do masywnej kłódky trzymała bowiem zawsze przy sobie... Ta część jej opowieści wydała się

Nauczycielowi najbardziej niesmaczna, ale nie skomentował jej nawet słowem.

Najważniejsze, że znalazł nie tylko bratnią duszę – a nawet kogoś więcej, sądząc po tym, jak chętnie się przed nim otworzyła – ale też idealną współpracowniczkę, dzięki której będzie mógł, poniekąd wbrew woli Bondarczuk, zapobiec kolejnej niepotrzebnej wojnie.

Leżąc na plecach obok wtulonej w jego bok dyszącej szybko kobiety, złożył głowę na dłoni i powtórzył pytanie:

– Dlaczego to robisz?

– Nie podobało się? – wysapała. – Następnym razem mogę być na dole.

– Nie o tym mówię – zniecierpliwiał się Nauczyciel. – Dlaczego mi pomagasz?

– Przecież wiesz – rzuciła półgębkiem, nie odrywając policzka od jego skóry.

– Poniekąd – przyznał. – Nie rozgryzłem jeszcze do końca, na czym bardziej ci zależy.

– Na płytach, to chyba jasne jak słońce – zaśmiała się, wciąż leżąc w tej samej pozycji i lechząc go ruchem poruszających się rytmicznie warg.

– Przestań – syknął.

– Ale to prawda.

– Przestań się chichrać w ten sposób. Mam łaskotki.

– Wybacz. – Cmoknęła go szybko w bok.

– Opowiedziałem ci wszystko o sobie – odezwał się po dłuższej chwili, gdy ich oddechy całkiem się uspokoiły. – Teraz kolej na ciebie.

W końcu oderwała się od niego, przetoczyła na boki wsparła głowę na zgiętej ręce.

– A co tu dużo gadać. Każdy, kto na mnie spojrzy, od razu wie, kim jestem.

On też odwrócił się na bok, ale nie oderwał głowy od poduszki.

– Mimo to zdołałaś przeżyć, za tym musi się kryć fascynująca historia.

– Ja nie widzę w niej niczego nadzwyczajnego. Kilka zbiegów okoliczności, jeszcze więcej przy padków, i tyle.

– Skoro tak, może uda ci się usnąć mnie przez zanudzenie – zażartował. – Byle nie na śmierć.

– Dobrze. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. – Zamilkła na dłuższą chwilę, przymknęła oczy, jakby zbierała myśli albo sięgała pamięcią daleko wstecz. – Miałam dwanaście lat, kiedy schodziliśmy do bunkra. Mój ojciec był wielkim architektem i jeszcze większym schizolem. Sam zaprojektował willę, w której mieszkaliśmy od dwa tysiące piętego. Budowała ją dla nas firma z Niemiec, specjalizująca się w samowystarczalnych budynkach, ale tak naprawdę chodziło o to, żeby pod domem mieć porządny bunker. Niemiaszki znali się na tej robocie jak nikt inny. Żaden z sąsiadów nawet się nie zorientował, że wykopy pod fundamenty są za głębokie, a po przeprowadzce nie utrzymywaliśmy z nimi specjalnych kontaktów, więc nikt obcy nie mógł zajrzeć do naszej piwnicy. Nie mieliśmy na dole wielkiego luksusu. Trzydzieści metrów kwadratowych, plus dwa niewielkie magazyny pełne żarcia i lekarstw. Powietrze filtrowaliśmy, wodę ciągnęliśmy z głębinówki, dzięki niej mieliśmy też prąd, a ścieki szły prosto do kanalizacji, więc jakoś sobie radziliśmy. Dwadzieścia sześć miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni. Tyle wytrzymaliśmy na dole. Ja i moi rodzice.

– Nie wychodziliście na rekonesanse? – zainteresował się Pamiętający.

– Ojciec kilka razy był na górze, ale nie opuścił domu. Miał tam kilka punktów obserwacyjnych. Mierzył też za każdym razem poziom skażenia. Mówiłam ci, był totalnym świrem, jeśli chodzi o przetrwanie.

– Mądry człowiek

– Owszem, nie przeczę. Ale prócz rozumu miał skrupuły. Chciał i umiał przetrwać, choć nie za wszelką cenę. Nie umiałby zabić człowieka, tyle ci powiem. Siedzieliśmy więc na dole, oszczędzając na żarciu i wszystkim innym, dopóki nie wyczerpały nam się zapasy. Wtedy wzięliśmy nas za ręce i powiedział, że nie ma wyjścia, musimy zaryzykować. Nie wiedzieliśmy jednak, co zastaniemy na zewnątrz. Ojciec widział kilka razy zbieraczy, tych obdartusów, którzy przetrząsali okoliczne ruiny, więc zdawaliśmy sobie sprawę, że ocalał ktoś poza nami, ale prócz tego, bracie, byliśmy jak dzieci we mgle. Przedostaliśmy się z bunkra do piwnicy, potem opuściliśmy dom tylnym wyjściem, utyłani, wychudzeni, w najgorszych szmatach, jakie znaleźliśmy, żeby się nie wyróżniać. Rodzice szli razem przodem, ja trzymałam się za nimi. Tak mi kazał ojciec, na wszelki wypadek... – urwała.

– Jeśli te wspomnienia są zbyt bolesne... – zaczął Nauczyciel.

– Takie chwile człowiek chciałby wymazać z pamięci – pociągnęła nosem.

– Niektórym się udaje.

– Ja też wiele wyparłam, ale te obrazy widzę za każdym razem, gdy przymknę oczy. Jakby to się nie stało kilkanaście lat temu, tylko wczoraj.

– Wiem coś na ten temat – mruknął. – Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, możemy zmienić temat.

– Nie. Skoro powiedziałam A, to powiem też B. Nasza wędrówka trwała nie dłużej niż dwie godziny. Kilka przecznic od domu trafiliśmy na grupę zbieraczy, którzy wychodzili właśnie z częściowo spalonej willi pewnego lekarza, znajomego ojca. Przyuważyli zaskoczonych rodziców, ja na swoje szczęście byłam za daleko, by któryś mnie wypatrzył. Schowałam się za kablami na śmieci. Pamiętam, że cuchnęło z nich trupem albo czymś jeszcze gorszym. Mało brakowało, a wyskoczyłabym stamtąd, nie zwracając uwagi na zagrożenie i obcych. Strach był jednak silniejszy od odruchu wymiotnego. Zaciskałam usta z całej siły, pomagając sobie obiema rękami, ale nie pomogło. Bracie, to, co się odbiło od zębów, poszło nosem. Moje szczęście, że któryś z mniej ostrożnych zbieraczy potknął się na rumowisku i poleciał na ryj, gubiąc kłamoty. Gdy zbierał gary i szmaty, pozostali zarykiwali się z niego do rozpuku, a ja, wykorzystując chwilę nieuwagi, rzygałam jak kot. Chwilę później otoczyli rodziców, zaczęli zagadywać, ale spokojnie, po przyjacielsku, poklepywali ich nawet po plecach, widziałam też, że jeden wypytuje ich o coś. Gdy ojciec odpowiedział, znów zaczęli się głośno śmiać, jakby ich rozbawił. To był taki sielski widok, pamiętam to jak dziś, pomyślałam sobie, że wszystkie ostrzeżenia ojca były mocno przesadzone, że ludzie, którzy ocaleli, nie mogą być źli...

– Twój stary wiedział, co mówi – wtrącił Pamiętający.

– Fakt, ale ja byłam młoda, głupia, miałam wtedy niespełna piętnaście lat. Znasz ten typ

dziewczyny, marzycielka, królowa z bajki, która nigdy wcześniej nie zetknęła się z bezpośrednią przemocą. Pamiętam, że wsłuchując się w te śmiechy, kłębam ile wlezie na ojca, życząc mu, żeby go pokręciło za to wieloletnie straszenie. Już wstawałam, gdy nagle, naprawdę niespodziewanie, ci ludzie zaczęli bić moich rodziców. Lali ich, jak i czym popadnie, dopóki... – Głos jej się załamał, spod przy mkniętych powiek pocięły łzy.

Położył jej dłoń na ramieniu. Poglądził czule. Kilkakrotnie widział podobne sceny, w jednym linczu brał nawet udział. Po fakcie, kiedy cała ósemka Wyklętych wisiała już za oknami kamienicy, w której ich przydybano, znalazł w kieszeni zdobyczej marynarki dokumenty. Bordową książeczkę paszportu dyplomatycznego wystawionego na mało znanego europosła z koalicji rządzącej. Jego twarzy zupełnie nie kojarzył, nazwisko budziło w pamięci tylko dalekie echa. Zapytał swoich, gdy przymierzali zdarte ze zwłok ciuchy, czy ktoś trafił na inne papiery. Okazało się, że zdjęli sporą rodzinę: trzech braci, ich żony i dwoje dorosłych już dzieci. Jednak nie czuł wyrzutów sumienia – ani tamtego dnia, ani później. Uważał, że skurwiele dostali, na co zasłużyli, choć miał świadomość, że mierni rodzimi politycy nie mogli mieć nic wspólnego z niespodziewanym atakiem nuklearnym na Polskę.

Dopiero dzisiaj dotarło do niego, że taka ślepa ludowa sprawiedliwość mogła być czymś z gruntu złym. Nie, nie zmienił zdania w kwestii potrzeby eliminacji wszystkich polityków i ich pociotków, bo to była chyba jedyna kasta, która nigdy więcej nie powinna się odrodzić, ale po czasie zrozumiał, że wśród Wyklętych mogli być także ludzie zaradniejsi od przeciętnego człowieka, tacy jak choćby rodzice Frei. Jednostki, których mądrość i wiedza przydałyby się ocalonym.

– To mi wystarczy, naprawdę... – Mówiąc te słowa, nie przestawał jej głaskać.

– Nie. Ty chcesz poznać całą prawdę, a ja muszę ją z siebie wypluć. Jesteś pierwszą osobą, której o tym wszystkim mówię.

– Chodź tutaj. – Podniósł rękę, by mogła się przytulić do niego całym ciałem. Była rozgrzana, wręcz gorąca, ale mimo to czuł, jak drży.

– Zakatowali ich na moich oczach – zaczęła szeptać, gdy przywarła głową do jego ramienia. Nie musiała podnosić głosu, bo jej wargi nieomal dotykały jego ucha. – Ojciec albo zginął natychmiast, albo stracił przytomność. Matka wrzeszczała długo. Gwałcili ją kolejno, cały czas śmiejąc się i żartując. Zamęczyli ją na śmierć, wiem o tym, bo ostatni w kolejce pożalił się reszcie, że nie będzie rypał trupa.

– Przykro mi. – Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej, wiedząc, co zaraz usłyszy.

– Na koniec ograbili ich ze wszystkiego, a nagie ciała powiesili na konarze uschniętego drzewa. Na dwóch końcach jednej liny. A potem... Potem zjedli posiłek pod tym samym drzewem, jakby nigdy nic, i wrócili do przeszukiwania ruin. Wtedy zrozumiałam, że ten świat jest jeszcze gorszy od wyobrażeń ojca.

– Uciekaś?

– Nie, poczełam w ukryciu, aż sobie pójdą, i pochowałam rodziców. Zrobiłam im porządne groby między zwałami gruzu, postawiłam krzyże z desek, wyryłam na nich nazwiska i daty.

– Też bym tak zrobił.

– Po powrocie do domu ukryłam się w bunkrze z silnym postanowieniem, że lepiej umrzeć z głodu, niż wychodzić na górę, ale... Wiesz, kiedy zaczyna cię skręcać z głodu, kiedy ból brzucha staje się nie do wytrzymania...

– Wiem.

– Wysłałam, włamałam się do jednego z domów, znalazłam trochę przeterminowanego zarcia. Zjadłam kilka garści surowej mąki, razem z robactwem, które się w niej załęgło. Dostałam po tym takiej sraczkii, że głód przy niej wydał mi się miłym wspomnieniem. Następnym razem byłam mądrzejsza, ostrożniejsza. I jakoś to poszło. Z przygodami rzecz jasna, ale dałam sobie radę. Zbieracze kręcili się tymczasem po okolicy. Przychodzili zawsze rano i znikali koło południa.

– Tak to działa do dzisiaj – wyjaśnił. – U nas wtedy można było wyjść na godzinę, nie dłużej. Tam u was było mniejsze skażenie, ale i tak ludzie mogli przebywać na powierzchni nie więcej niż cztery godziny dziennie. Jeśli cię to pocieszy, ci, którzy zabili twoich rodziców, na pewno długo ich nie przeżyli.

– Marne to pocieszenie.

– Lepsze takie niż żadne.

– Fakt. Zorientowałam się, że łążą od domu do domu, jakby mieli jakiś plan. Zakradałam się więc do sąsiedztwa i podsłuchiwałam ich rozmowy, a gadali sporo, żeby zabić czas, zwłaszcza kiedy się obżerali. Chciałam dowiedzieć się o nich jak najwięcej, żeby... – Zamilkła na moment.

– Żeby się zemścić – dokończył, uśmiechając się przyjaźnie.

– Skąd wiesz? – odsunęła nieco głowę, patrząc na niego podejrzliwie.

– To chyba pierwsza myśl, jaka przyszlaby mi do głowy – stwierdził.

– A wydawało mi się, że byłam pod tym względem kimś wyjątkowym.

– Nie przejmuj się. Mów dalej.

– Gdy doszli do domów, po których wcześniej buszowałam, zorientowali się, że nie są jedynymi zbieraczami w tej okolicy. Stali się czujniejsi, więc gdy mnie nakryli, odpuściłam.

– Co znaczy: nakryli? – Teraz to on się zdziwił.

– Znalazłam sobie kryjówkę w domu obok tego, do którego powinni wejść, ale oni jakby to wyczuli, po raz pierwszy zmienili rutynę i poszli tam, gdzie ja byłam. Próbowалам wiać, ale jeden mnie złapał. Zwołał pozostałych, ustawili mnie pośrodku jak wcześniej rodziców i zaczęli zadawać pytania. Pewnie te same. Chcieli wiedzieć, kim jestem i skąd przyszłam, więc im powiedziałam.

– Jak to: powiedziałaś? I nie zabili cię na miejscu?

– Podsłuchiwałam ich od kilku tygodni, wiedziałam więc dostatecznie dużo, żeby przejść ten test.

– Wszystko pięknie, ale co z twoją skórą?

– Bracie, liczyłam wtedy niecałe piętnaście lat. Hormony tak we mnie buzowały, że twarz mi zakwitła, a potem eksplodowała. Na policzku miałam dwa wulkany łojotokowe, czoło, plecy i ręce całe w pryszczach. Jakaś infekcja się wdała z powodu brudu. Grzyb czy coś, tyle wyczytałam

z kobiecych magazynów, które moja matka zniosła przed Atakiem do bunkra. Nie było czym tego świństwa zwalczyć.

– Miałaś cholerne szczęście.

– Owszem, byłam chyba jedyną nastolatką na świecie, która cieszyła się z tego, że całkiem osyfiała. Zbieracze spojrzeli na moją głowę, a że brudna byłam i śmierdziałam jak nieboskie stworzenie, zaczęli przesłuchanie ostrożnie, bez podśmiechujek. Skąd jesteś, pyta jeden, ja mówię, że z enklawy Pod Szkołą. To była sąsiednia sadyba, z którą czasem handlowali. Jak na ciebie mówią? – rzuca ktoś inny. Ja na to, że Freja. Taki pseudonim sobie wybrałam, planując zemstę na nich. A kto tam rządzi? – zainteresował się trzeci. A ja mu na to: Przegryf, i jeszcze dodałam: z dupy zrobi wam jesień średniowiecza, jeśli mnie palcem tkniecie, bo to przechuj, nie facet. Zaśmiali się, nakopali mi, żebym miała nauczkę, i zapowiedzieli, że jeśli jeszcze raz mnie przyłapią na swoim terenie, to wrócę do swoich z wyciętymi na plecach pozdrowieniami dla nieulekłego przywódcy. Skorzystałam więc z okazji i dałam nogę, jak mi radzili. Potem przez tydzień nie wyglądałam z bunkra. Zapasów miałam na trzy razy tyle czasu, ale bałam się, że jak wleżą do naszej willi, to zaczną kopać, znajdą wejście i zasadzą się na mnie. Zabrałam więc, co mogłam, do znaleźnego plecaka, w tym kilka winyli z kolekcji ojca, zamaskowałam wąż, jak mnie nauczył, pozamiatałam ślady w piwnicy. Tymi na górze się nie przejmowałam, oni i tak wiedzieli, że odwiedziłam wcześniej kilka chałup. Jak się domyślasz, bracie, poszłam Pod Szkołę. Tam też mnie przesłuchano, w bardzo podobny sposób, ale trzymałam się sztywno wersji, że uciekłam z enklawy Gracza, bo tak nazywał się człowiek, który był przywódcą zabójców moich starych. Sprzedałam też gwardzistom Przegryfa kilka sekretów zasłyszanych wcześniej od zbieraczy, więc po pewnych oporach przyjęli mnie do siebie. Mówili na mnie Fleja, celowo przekręcając moje nowe imię, bo laziłam zawsze brudna.

– Dlaczego?

– Nie domyślasz się? Żeby się nie rozbiierać przy innych i ukryć brak wrzodów. Rok później, gdy w końcu dojrzałam, wszystkie dolegliwości ustąpiły, ale wtedy byłam już swoja i nikt mnie nie podejrzewał o możliwość bycia Wykłąką, więc wystarczyło, że trzymałam się na uboczu, zawsze nosiłam workowate ciuchy i dbałam o odpowiedni makijaż.

– Spryciarza z siebie – mruknął.

– Najpierw przydzielili mnie do hodowli szczurów – kontynuowała – potem zostałam na rok sanitarianką. Pasowało mi to, bo robota przy wynoszeniu gówna gwarantowała drastyczne zmniejszenie liczby potencjalnych obłąpiaczy i amantów. Jakis czas później ludzie zapomnieli o bunkrach i polowaniach na takich jak ja. A im więcej czasu mijało, tym ja stawałam się bardziej otwarta na innych. Z sanitariatu, dzięki zmysłowi do interesów i umiejętności szybkiego liczenia, przesłam do rodzącego się właśnie handlu. Wtedy potrzebowano lebskich ludzi. Z Republiki przeniosłam się do Miasta. Reprezentowałam przy magistracie jedną z największych kompanii kupieckich. Pięłam się po kolejnych szczeblach kariery, bogaciłam, a gdy przyszedł krach, za towary, które pozostały w mojej gestii, kupiłam to miejsce i otworzyłam knajpę, o czym zawsze marzyłam. To wszystko. Mówiłam ci, sam smród i nudy – spojrzęła mu prosto w oczy i to

był jej błąd.

Pamiętający zobaczył w nich coś, co go upewniło, że ostatnią część opowieści mocno skróciła, pomijając być może najciekawsze z jego punktu widzenia fragmenty. Nie zamierzał jednak naciskać. Jeśli miała powody, by przemilczeć kilka szczegółów, jej sprawa. On też nie dopowiedział kilku kwestii, gdy spowiadał się jej ze swojego życia w kanałach. Może kiedyś przyjdzie czas na pełną szczerłość, a może po tej akcji rozejdą się i będą udawać, że ta noc nigdy nie miała miejsca. Najważniejsze, że doszli do porozumienia. I że za chwilę jeszcze raz je przypieczętują.

28 | Łaźnia

Freja szybko była, prawie jak Staszek

Następnego dnia około południa Sajgon przyniósł do bunkra wiadomość od niej. Informowała, że znalazła handlarza, który ma takie maczety, o jakie Nauczycielowi chodziło. Tesla zadzwonił natychmiast na dół, żeby przekazać tę informację oficerowi dyżurnemu, dzięki czemu Pamiętający mógł się pojawić w Klatce już pół godziny po odebraniu sygnału.

Nie szukał nowej broni, to był umówiony znak, że jego nowa partnerka i współpracowniczka załatwiła, co trzeba.

– Idź do środkowego kanału – poinstruowała go, gdy stanął przy kontuarze. – Tam, na prawej ścianie, znajdziesz łaźnię numer sześć. Moją, rzecz jasna. Prowadzi ją jedna z byłych kelnerek. Dziewczyna, której w pełni ufam. U niej będziesz mógł przeprowadzić dyskretną rekrutację. Tu masz spis najpotrzebniejszych informacji o wybranych przeze mnie kandydatach. – Podała mu złożony na czworo kawałek papieru.

– Ty nie idziesz? – zapytał, chowając kartkę do kieszeni kurtki.

– A kto obsłuży tych opojów? – wskazała głową na dolne piętro, skąd dobiegały radosne ryki podchmielonych kupców.

– Wcześniej dzisiaj zaczęli – mruknął.

– I tak powinno być, kiedy najlepszy bimber na Bazarze leją za pół ceny – odparła ze śmiechem. – Dzisiaj rocznica otwarcia.

– Czego?

– Parasola w dupie – prychnęła, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Czasem poważnie się zastanawiam, czy dobrze zrobiłam, powierzając ci odzyskanie winyli ojca.

– Czyżbym zauważał u ciebie pierwsze syndromy mojej „choroby”? – zakpił z jej szybkiej irytacji.

– Idź stąd! – smagnęła go mokrą szmatą, uśmiechając się lubieżnie. – Tylko wróć. Wieczorem, tak jak wczoraj. I pamiętaj. Łaźnia numer sześć, żebyś czegoś nie pomylił, rozmarzony sklerotyku.

Naśmiewała się z niego przy kelnerce i schodzących na dół klientach, lecz nie poczuł nawet

jednego ułkucia złości...

* * *

Łażnia numer sześć. Nie sposób jej przegapić, nawet gdy niesie cię tłum ludzi spragnionych zarcia, ciuchów, broni i innych dóbr. Za szyld robiła prawdziwa wanna przybita nad wylotem bocznego tunelu. Na niej ktoś wymalował wielką, choć mocno koślawą szóstkę.

Nauczyciel przepchnął się bezceremonialnie do wejścia, roztrzając łokciami maszerujących ludzi i nie zważając na ich protesty. Nie fatygował się nawet, by odpowiedzieć na najgorsze bluźgi, a tych padło niemało, zwłaszcza po tym jak pchnięty przez niego tragarz upuścił wielką pałę na głowy trzech gderliwych przełupek. Zbyt cieszyla go perspektywa realizacji planu, by psuć sobie humor wymianą inwektyw z ludźmi, którzy jego zdaniem nie zasługiwali nawet na splunięcie.

Zatrzymał się przy wejściu, ignorując dolatujące zza pleców, cichnące z każdą sekundą ujadanie. Jego uwagę przykuła tablica z cennikiem, na której ktoś wykalgigrafował kilka linijek tekstu:

Pierwsza woda – pięć szczurów

Druga woda – trzy szczury

Trzecia woda – jeden szczur

Czwarta woda – do negocjacji

Łącznik doprowadził go do okrągłego zbiornika osadowego, z którego można było przejść dalej pięcioma identycznymi, rozmieszczonymi w równych odstępach tunelami. Na samym środku szerokiego na cztery metry pomieszczenia ustawiono rozchwierutane biurko. Za nim Nauczyciel zobaczył zarządzającą tym przybytkiem, niezbyt urodziwą brunetkę o wążutkich jak szparki oczach i pociągłej twarzy. Oprócz niej w poczekalni nie było nikogo.

– Freja mnie przysłała – rzucił, podchodząc do biurka.

Kobieta przechyliła się lekko w bok, jakby chciała go obejrzyć w lepszym świetle.

– Kabina numer trzy – odezwała się lekko ochryplym, ale mimo to miłym głosem, a gdy nie zareagował, wskazała palcem na tunel w głębi po prawej.

– Mogę o coś zapytać? – Pochylił się nad wypaczonym w kilku miejscach blatem.

– Jasne.

– O co chodzi z tym liczeniem wody?

– Nie chytam.

– Na cenniku jest pierwsza woda, druga i następne – doprecyzował.

– A czego pan z tego nie chytasz? To chyba proste jest, nie? Za moczenie dupy w czystej

wodzie płaci się najwięcej. Kto kąpie się w niej jako drugi, to ma mniej drogo, i tak dali.

– Ludzie kąpią się kolejno w tej samej wodzie?

– Skądś się urwał, człowieku? – pisała nie mniej zdziwiona niż on brunetka i znowu zaczęła mu się przyglądać, przechylając zabawnie głowę. – A, ty z tych kościelnych pewnikiem... U was jest inaczej?

– U nas nie ma publicznych łaźni – odpowiedział, ruszając w stronę wskazanego wcześniej tunelu, ale przystanął po kilku krokach. – Za moment pojawi się tutaj pewien mężczyzna. Powie, że szuka Pamiętającego. Proszę go skierować do trójki.

– Się zrobi.

Ten łącznik był jeszcze krótszy niż wejściowy, po trzech krokach Nauczyciel trafił do również okrągłej, ale o wiele mniejszej komory, którą oświetlały trzy lampy olejowe. Na samym środku tkwiło podwyższenie z ustawionych luzem cegieł, na nim umieszczono starą, nieźle poobijaną wannę. Pod ścianą po lewej od wejścia znajdowała się zbita z kilku desek ławeczka, metr nad nią z szarej zaprawy wystawały cztery kołki, na których klienci mogli powiesić ubranie. Za wanną natomiast stał żelazniak, nad którym grzało się wodę na kąpiel; teraz jednak ciemny i zimny, jak całe to pomieszczenie.

Nie było to może wymarzone miejsce na rekrutację, ale przynajmniej znajdowało się na uboczu i naprawdę gwarantowało dyskrecję, na czym najbardziej zależało Pamiętającemu. Nie chciał, by Bondarczuk zwąchała, co się święci, zanim będzie gotowy wyruszyć.

Pochylił się, by przenieść ławkę w inne, bardziej pasujące mu miejsce.

– Dzieńdoberek, szefuńciu – usłyszał za plecami znajomy głos.

– A ty co tu robisz? – zamarł w niewygodnej pozycji. Nie tego gościa się spodziewał.

Sajgon także zatrzymał się w wylocie tunelu.

– Chciałem zapytać, czy mam już lecieć po pierwszego... – nie dokończył, ponieważ nie wiedział, jak nazwać ludzi, których kazano mu sprowadzić.

Nauczyciel wyprostował się powoli. *Zatem tak to poustawiła Freja...*

– Właż i poczekaj. Jeszcze nie jestem gotowy – powiedział i znów się pochylił, by podnieść ławkę.

– Pomogę, szefie! – Przewodnik ruszył w jego kierunku.

– Dzięki, dam sobie radę. – Pamiętający ku swojemu zdziwieniu nie podniósł nawet głosu, choć jeszcze niedawno przywaliby temu strachliwemu pokurczowi prosto w ten głupi ryj. To przynajmniej obiecywał mu w myślach, ilekroć wspominał wizytę w burdelu.

Siedzisko trafiło obok żarnika. Potem Nauczyciel zajął się lampami. Tę po lewej od wejścia zgasił, tę po prawej przyciemnił o połowę. Człowiek wchodzący do kabiny, jak nazwała to pomieszczenie brunetka, będzie widział tylko zarysy stojącej przed nim wanny i znajdującą się za nią dobrze oświetloną ławkę. I o to chodziło.

Kilka minut później od strony tunelu wejściowego dobiegł jakiś klekot, po którym ktoś zaklął na cały głos:

– Z dupy wyjęta ciasnota! – W mrocznym owalu pojawił się rozwścieczony Farciarz.

W rękę trzymał kilka strzał, które musiały wypaść mu z kołczanu, gdy zbyt pochylił plecy.

– I ja cię witam – zaśmiał się Pamiętający, zanim przeniósł wzrok na stojącego pod ścianą Sajgona. – Śmigaj, synku. Idź zawołaj pierwszego z listy. Potem poczekasz na niego, ale nie tu, tylko na Bazarze, przy wejściu do łaźni. Gdy zobaczysz, że koleś wychodzi, polecisz po następnego. Zrozumiano?

– Się wie, szefie. – Przewodnik ominął szerokim łukiem mamroczącego wciąż Farciarza i zniknął w mroku.

– Po co mnie ciągnęłeś w to z dupy wyjęte miejsce? – zapytał łucznik, gdy zostali sami.

– Pomożesz mi w czymś ważnym – odparł Nauczyciel.

Długo kombinował, do kogo zwrócić się w tej sprawie, i ostatecznie uznał, że lepiej będzie, jeśli poprosi o przysługę kogoś ze swoich, człowieka obcego dla Miasta jak on, a zarazem pierwszego członka tworzonego właśnie oddziału.

* * *

Dziesięć minut później ciche szmery oznajmiły przybycie pierwszego kandydata. Jeśli wierzyć kartce, był to niejaki Guma. Jeden z lepszych zawodników Kosy z czasów, gdy w Rotundzie walczyli jeszcze ludzie. Przydomek zyskał dzięki niesamowitej gibkości – założenie mu dźwigni graniczyło z cudem, za to sam potrafił opleść przeciwnika jak wąż. *Ciekawe, czy przejdzie pierwszy test*, pomyślał Pamiętający.

Facet wysunął się zwinnie z tunelu. Ruszył od razu przed siebie, odrobinę zaskoczony panującym w kabinie półmrokiem. Nauczyciel oderwał wzrok od pomiętej kartki. Na pierwszy rzut oka normalny młody człowiek ciemne, krótko obcięte włosy, gęsta broda i krzaczaste brwi, spod których widać tylko zmrużone, czarne jak węgle oczy i sterczący spomiędzy nich prosty nos.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie, w czasie jednego uderzenia serca. Farciarz, jak to sobie wcześniej ustalili, ruszył za Gumą najciszej, jak umiał, to jednak nie wystarczyło. Kandydat uchylił się przed wyprawdzanym od tyłu dźgnięciem strzałą, a właściwie samym jej promieniem, ponieważ łucznik zdjął grot na wyraźną prośbę Pamiętającego. Nie chodziło przecież o to, by kogoś zranić...

– Dość! – Nauczyciel powstrzymał byłego mistrza areny od kontrataku.

– Co to za wygłup? – warknął Guma.

– Sprawdziłem twoją czujność – odparł Pamiętający.

– Masz mnie za jakiegoś niedojebka?

– Zamknij się – zgasił go Pamiętający. – Od tej pory ja zadaję pytania, a ty odpowiadasz. Najlepiej zwięźle, tak albo nie. Jeśli będę potrzebował dodatkowych wyjaśnień, sam o nie poproszę. Zrozumiano?

– Tak

Zero marudzenia, konkretna szybka reakcja.

Same plusy.

– Pochodzisz z Miasta?

– Tak

– Jaką broń preferujesz? – Nauczyciel wskazał na rozłożone u jego stóp przedmioty.

Guma pochylił się, przyjrzał uważnie połykającemu w półmroku metalowi.

– Własne ręce.

– A gdybyś musiał wybrać?

– Nóż i maczeta.

– Dlaczego?

– Ta kombinacja daje walczącemu cały wachlarz możliwości. W każdym terenie i na każdą sensowną odległość.

– Rozumiem. Zabiłeś już człowieka?

– Nie... – Tym razem w głosie odpowiadającego dało się wyczuć wahanie.

– Nie zamierzam cię oceniać – zastrzegł Pamiętający. – Możesz powiedzieć prawdę. I nie musisz się wdawać w szczegóły.

– Zabiłem dwukrotnie, ale nie celowo – odparł po chwili zastanowienia kandydat.

– Na arenie?

– Tak

– Zabiłbyś znowu, gdybyś musiał?

– Gdybym musiał...

– Tak czy nie?

– Tak

– Tam, gdzie idziemy, trzeba będzie zabijać... Nie swoich – dodał, widząc minę Gumi – tylko skurwieli, którzy nie zasługują na przeżycie.

– Zero problemu.

– Możesz iść.

* * *

Drugi był Kiszka. Też zawodnik ze stajni Kosy. Według notatek Frei mały sadysta, ale jego brak skrupułów mógł się okazać atutem podczas wyprawy na terytoria lekterytów, zwłaszcza gdyby trzeba było zasięgnąć języka.

Niestety tak się nie stanie, ponieważ ten dobrze zapowiadający się kandydat oblał kompletnie test strzały – podobnie jak następny z przysłanych, niejaki Woda. Obaj zardzewieli, stoczyli się po zejściu z areny i nie przedstawiali już sobą takiej wartości jak niegdyś. Pamiętający odesłał ich więc bez dalszego przepytania.

Czwarty kandydat okazał się bardziej obiecujący.

Szary wyczuł obecność Farciarza, ledwie wszedł do kabiny. Spojrzał prosto na ukrytego w mroku łucznika, jakby ciemność nie stanowiła dla niego żadnej przeszkody.

– Capiasz, chłopie, jak nieprane gacie przyszczała – załpiał z łucznika.

Był najmłodszy z kandydatów, miał dopiero piętnaście lat, ale zdążył już sobie wyrobić niezłą renomę w środowisku łowców i stalkerów. W odróżnieniu od pozostałych nie walczył nigdy w Rotundzie, jego areną była bowiem powierzchnia, a przeciwnikami mutki. Dostarczał Freiszaricze mięso, i to systematycznie, co musiało budzić respekt nawet w kimś tak oblatanym jak Pamiętający.

Był niski, nabity, jasnowłosy, chyba piegowaty, choć te plamy na policzkach mogły być także śladami po przebytej dawno temu, nieznannej, nowej chorobie. W kanałach, gdy zabrakło już lekarzy i pigulek, ludzie zaczęli łapać świństwa, w których nikt nigdy nie słyszał albo nie pamiętał.

– Ja pytam, ty odpowiadasz. Krótko i zwięźle. Tylko szczerze. Cokolwiek powiesz, zostaje między nami. Zrozumiano?

– Tak

– Pochodzisz z Miasta?

– Nie.

– Coś więcej na ten temat?

– Do dwunastego roku życia mieszkałem na terytoriach Dresów. Potem uciekliśmy tutaj, ja, moja matka i brat.

– Rozumiem. Jaką broń preferujesz?

Chwila wahania.

– Z tych, co masz łuk, ale wolę swoje pułapki.

Ciekawa odpowiedź, w dodatku rzucająca pewne światło na jego metody działania.

– Zabiłeś kiedyś człowieka?

– Tak

– Raz?

– Nie.

– Ilu ludzi zginęło z twojej ręki?

– Kilko.

Proszę, zabijał nie tylko mężczyzn.

– Nie liczyłeś?

– A po co?

– Niektórzy liczą.

– Ja nie.

Pamiętający przyjrzał mu się uważniej. Miał przed sobą bezwzględnego zabójcę, kogoś, kto robi, co trzeba, gdy dotrą do Wieży... Mimo to wciąż się zastanawiał, czy powinien go włączyć do oddziału. Ten chłopak jak na jego gust był zbyt bezduszny. Nauczyciel nie mógł jednak wybrzydzać, lista kandydatów była dość krótka.

– To wszystko.

Śliski usłoczył. Wprawdzie dopiero w ostatniej chwili, ale i tak zdołał uniknąć trafienia. Był najniższy z dotychczas sprawdzonych kandydatów, drobniutki, poruszał się jednak z wielką gracją, jak kot albo dziewczyna. Z twarzy też wyglądał na cherubinka, choć lekko niedożywionego. Tylko te rude, kręcone włosy psuły nieco sielski wizerunek. Freja wytypowała go ze względu na doskonały wzrok i umiejętności tropienia. Z początku wyglądał na zaskoczonego atakiem Farciarza, ale zaśmiał się, gdy tylko zobaczył tępo zakończony koniec promienia strzały drgający w powietrzu tuż obok jego głowy.

– Sprawdzamy refleksik, co? – zapytał z kąpiącym uśmiechem na twarzy, odwracając się do Nauczyciela.

– Ano sprawdzamy. – Pamiętający poinstruował go, jak wszystkich poprzedników, a potem przeszedł do pytań. – Jesteś tutejszy?

– Tak

– Jaką broń preferujesz?

– Lubię napierdzieć z kuszy.

– Z tych, które tu widzisz. – Nauczyciel wskazał rozłożony przed nim arsenał.

– W takim razie nóż.

– Dlaczego?

– Dziwne pytanie.

– Odpowiadaj.

– Bo... jest poręczny?

– To było stwierdzenie?

– W sumie tak

– Zabiłeś kiedyś człowieka?

– Zabiłem.

– Jednego?

– Jednego.

– Zabiłbyś jeszcze raz?

– Nie wiem.

– Co znaczy: nie wiem?

– To znaczy, że nie jestem pewien.

– Przecież już zabiłeś.

– Tak. Ale to był śmieć.

– Wyjaśnij.

Śliski przełknął ślinę, zanim otworzył ponownie usta.

– Mój stary pił, odkąd pamiętam, lał nas, mnie i siostrę, katował matkę. Któregoś razu nie wytrzymałem. Kiedy gnój zasnął po tym, jak nas skopał, wziąłem nóż i poszerzyłem mu

uśmiech.

– Rozumiem.

– Gówno tam rozumiesz – prychnął Śliski.

– Skąd wiesz? – Pamiętający spojrział mu hardo w oczy.

Chłopak spuścił wzrok. Miał czternaście, może piętnaście lat i więcej życiowego bagażu na plecach niż niejeden starzec przed Atakiem. Był dobry w tym, co robił, tak przynajmniej twierdziła Freja, choć z drugiej strony okiełznanie go może wymagać sporo wysiłku. Pół na pół, uznał Nauczyciel, odwlekając ostateczną decyzję.

* * *

Trzej kolejni kandydaci, dwaj faceci i dziewczyna, nie spełnili pokładanych w nich nadziei. Dwoje poległo na teście strzały, trzeci okazał się totalnym nieporozumieniem. Na pytanie, jaką broń preferuje, odpowiedział, że nigdy jeszcze nie słyszał, aby ludzie robili dziury w nożach, toporkach czy maczetach. I wcale przy tym nie żartował. Potem było jeszcze gorzej. Koniec końców został skreślony, ponieważ to nie była wyprawa po deski na opał, tylko misja wymagająca choć odrobiny decyzyjności i inteligencji, a ten tłuł nadawał się tylko do jednego. Do lania ludzi po mordzie, co robił z bardzo dobrym skutkiem na arenie Rotundy, dopóki nie znudził się publice.

Następna na liście była Karbala. Chuda, jak prawie każda dziewczyna z kanałów, ale wyższa od większości nastolatek, z jakimi Pamiętający kiedykolwiek rozmawiał. Miała krótkie, kasztanowe, bardzo czyste włosy, małe piersi i trójkątną, owadzią twarz. Tak przynajmniej kojarzyła się Pamiętającemu, gdy zwinnym unikiem zesła z linii ataku Farciarza i jako jedyna z testowanych kandydatów przywaliła mu okrężnym kopynięciem, wytrącając strzałę z dłoni, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

– Zostaw! – Nauczyciel podniósł głos, widząc po jej ustawieniu nóg, że zamierza kopnąć po raz drugi, tym razem mierząc w głowę.

Zamarła, odwróciła głowę, ale nie zmieniła postawy.

– Co tu się wyprawia? – zapytała.

– Sprawdzamy twój refleks i czujność.

– Ta z dupy wyjęta lampucera zepsuła mi strzałę – poskarżył się Farciarz, podnosząc z posadzki złamany promień.

– Kupię ci trzy nowe, tylko nie płacz – obiecał Pamiętający. Zwracając się do dziewczyny, dodał: – A ty odpowiesz mi teraz na kilka pytań.

Karbala rozluźniła się, podeszła do wanny i obrzuciła siedzącego za nią człowieka pogardliwym spojrzeniem.

– A ty kto?

– Ten, kto płaci.

– To mi wystarczy – stwierdziła, stając w nonszalanckiej pozycji.

Nie patrzyła na Nauczyciela. Przyłożywszy dłoń do ust, zaczęła skubać zębami skórki przy paznokciach. Przy jej przydomku Freja napisała tylko jedno krótkie zdanie: „Jest dobra”. Na razie nic nie wskazywało, aby się myliła.

– Skąd wziął się twój nick? – zapytał, łamiąc ustaloną rutynę.

– Ojciec odbył dwie tury w Iraku, cokolwiek to znaczy.

– Facet miał poczucie humoru, jak widzę.

– Raczej traumę. Nazwał mnie tak, bo mój płacz w dzieciństwie kojarzył mu się z wyciem pocisków mózdzierzowych, czykolwiek one są.

– Chyba że tak... – mruknął rozbawiony Pamiętający. – On cię uczył karate?

– Tak – Przyjrzała mu się uważnie, gdy usłyszała to mało znane w kanałach słowo. – Skąd wiesz...?

– Tutaj ja zadaję pytania – wpadł jej w słowo. – Jesteś z Miasta?

– Tak

– Zabiłaś już kiedyś?

– Wolę bić.

– Nie pytam, co lubisz, tylko czy kogoś zabiłaś.

– Jednego albo dwóch... – rzuciła to takim tonem, jakby nie była pewna.

– Nie wiesz?

– Nie sprawdzam, czy delikwent przeżył rozmowę.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem tłumaczem.

Nauczyciel oderwał wzrok od leżącej przed nim broni, do której miał zamiar teraz przejść.

– Tłumaczem?

– Myślisz, że to nie robota dla dziewczyny?

– W moim języku „tłumacz” znaczy chyba coś innego niż w twoim.

Zaśmiała się.

– Ty jesteś pewnie ten kościelny... No więc słuchaj, Kosa wysłała mnie, żebyś tłumaczyła dłużnikom, że zaciągnięte u niego pożyczki należy spłacać w terminie.

– Dobra. To mi wystarczy. Jaką broń preferujesz?

– Moje ciało.

– Z tych, które tu leżą.

– Toporek

– Dlaczego?

– Musimy odwalić ten cyrk? – obruszyła się.

– Jeśli chcesz ze mną iść, masz odpowiadać na pytania.

– Dobra. Bo można nim przypieprzyć na odlew albo pociąć delikwenta.

– To wszystko. Możesz iść.

Wzruszyła ramionami i bez słowa pożegnania zniknęła w tunelu. Czarne ciuchy sprawiły, że

mrok pochłonął ją całkowicie w okamgnieniu.

– I co teraz? – zapytał wkurzony Farciarz, pokazując Nauczycielowi złamaną strzałę.

– Rozmontuj drugą.

– A jak i tę mi zniszczy jakiś z dupy wyję...

– To ci kupię dwie za jedną, tylko zamilcz.

Czekali w ciszy przez dłuższą chwilę, ale nikt się nie pojawiał, chociaż na liście było jeszcze jedno imię: Kuśtyk Freja zaznaczyła, że to zawodnik z areny, ponoć dobry i bardzo wszechstronny. Przy domkiem kazała się nie przejmować, więc Pamiętający uwierzył jej na słowo. Gdy minęło kolejne pięć minut i z mrocznego tunelu nadal nikt nie wyszedł, Nauczyciel zaczął się irtować. Kandydaci powinni czekać w pobliżu w różnych miejscach Bazaru, na tyle jednak daleko od łaźni, żeby nie mieli możliwości kontaktu i wzajemnego ostrzegania się o teście.

– Skocz na zewnątrz i sprawdź, czy nie ma tam tego małego.

– Tego tam, Sraj gona, z dupy ...

– Tak, jego.

Chwilę później w kabinie numer trzy pojawił się przewodnik

– Gdzie jest Kuśtyk? – zapytał go Nauczyciel.

– No... problem z nim taki wyszedł, szefie... – kręcił Sajgon.

– Jaki problem?

– Wczoraj na arenie występował i szariki mu nogę poszarpały.

– Czemu mi tego od razu nie powiedziałaś?

– Szef zabronił wchodzić, więc czekałem na zewnątrz.

– Spadaj.

– Już się robi! – Sajgon ruszył w kierunku łącznika.

– Czekaj – zatrzymał go Pamiętający. – O tym, co się tutaj działo, nie mówisz nikomu, nawet Iskrze. Zrozumiano? To ma być niespodzianka. Jeśli się wygadasz, Farciarz zrobi ci kozikiem taki piercing, że będziesz mógł jeść, nie otwierając ust.

Stalker zarechotał oblesnie, jakby spodobał mu się ten pomysł. On też nie polubił małego posłańca.

29 | Zwiad

Rekrutacja nie zakończyła się tak pomyślnym wynikiem, jakby sobie tego Pamiętający życzył. Druga grupa kandydatów, z którą spotkał się w tym samym miejscu, ale już następnego dnia, nie spełniła jego wymagań. Na tym poprzestał.

Jeśli chciał działać w sekrecie i nie ujawnić akcji przed czasem, musiał zachować daleko idącą dyskrecję, a to niestety zawężyło krąg potencjalnych uczestników wyprawy. Freja zastanawiała się więc, czyby nie zagadnąć obecnych mistrzów i przybocznych Kosy albo Bosego, jednakże Pamiętający odradził jej to posunięcie, zdając sobie sprawę, komu ci ludzie zawdzięczają swoją pozycję i komu niezwłocznie o wszystkim meldują. Pozostawali mu więc tylko ci zawodnicy, którzy już wypadli bądź dopiero wypadali z obiegu – bojownicy gorszego sortu oraz wszelkiej maści outsiderzy.

Koniec końców wybrał piątkę sprawdzonych kandydatów z pierwszej listy, wliczając w to rzecz jasna Farciarza. Z tak niewielkim oddziałem nie odważyłby się przeprowadzić otwartego uderzenia na zwykłą enklawę, a co dopiero mówić o dobrze bronionym ośrodku władzy, jakim była Wieża. W tej sytuacji frontalny atak wydawał się posunięciem z góry skazanym na porażkę. Pamiętający wiedział bowiem dobrze, że nawet gdyby mu się udało nauczyć te dzieciaki podstaw strzelania – a jak tego dokonać, skoro nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie choćby jednej kuli? – to i tak posłałby wszystkich na pewną śmierć.

Freja potrzebowała więcej czasu na stworzenie nowej listy, ponieważ tym razem zamierzała szukać kandydatów wśród zaufanych stalkerów współpracujących z jej odleglejszymi znajomymi i klientami. Obiecywała, że dostarczy mu spis za tydzień, góra dwa. Zaproponowała też, by sam zajął się gruntownym szkoleniem już pozyskanych członków oddziału, ale on widział to inaczej – ta piątka nie potrzebowała ciężkiego treningu, jedyne, czego jej brakowało, to zgranie, zatem zamiast czekać na ludzi z nowego naboru, uznał, że najlepszym sposobem integracji będzie przeprowadzenie prawdziwego zwiadu. Aby się upewnić, czy kanały, których mapę sprzedał Dresom człowiek z magistratu, naprawdę istnieją. I czy są drożne.

Właśnie dlatego znajdowali się teraz daleko za granicą Miasta, w głębi terytorium Dresów, przemierzając kanały ciągnące się w kierunku dawnego lotniska.

Wyszli z Bazaru, udając tragarzy pracujących na zlecenie jednego z watazków Nowego Dworu. Prowadził ich Szary, jedyny w oddziale człowiek, który spędził młodość na terytorium Wszechwrocławia. Pozostali potulnie dźwigali paki ze szmatami, wśród których ukryto całą dodatkową broń i wyposażenie. Kontrola dzięki niemałej łapówce w filtrach okazała się pobieżna, tak więc w niecały kwadrans od wyruszenia z Bazaru znaleźli się po drugiej stronie, w brudnych i znacznie gorzej cuchnących kanałach prowadzących w kierunku Małego, a potem Dużego Muchoboru.

Ale to nie wszechobecny brud i smród uderzył Pamiętającego najbardziej. Szli już ponad godzinę głównymi, szerokimi tunelami, od pewnego czasu nie napotykając po drodze żywej duszy; grupki ponurych, milczących handlarzy, wracających tą samą drogą z Bazaru, zniknęły już dawno, skręcając w kolejne odnogi i przepusty. Po kwadransie marszu zrobiło się wokół oddziału luźno, a po kolejnych piętnastu minutach i minięciu rozwidlenia prowadzącego na Nowy Dwór został na szlaku sam.

I to właśnie wydało się Nauczycielowi zaskakujące.

W pierwszych latach po Ataku oba Muchobory były przecież gęsto zaludnione. Pamiętający wiedział o tym choćby od kupców ze swojej enklawy, którzy – zwłaszcza gdy zakosztowali lokalnego bimbrowy – wylewali gorzkie żale za straconymi na rzecz konkurencji osiedlami. Tymczasem teraz w głównym kanale odwodnieniowym na najkrótszej drodze wiodącej do Miasta, w prostym jak lot strzały tunelu tuż za skrzyżowaniem na bliższy Muchobór Mały, nie widział ani przed sobą, ani za sobą choćby jednego światła. Było to na tyle zastanawiające, że dogonił idącego na czele kolumny Szarego.

– Kiedy przeniosłeś się do Miasta? – zapytał, zrównując się ze stalkerkem.

– Sześć, może siedem lat temu.

– A gdzie wcześniej mieszkaliście?

– Tam, niedaleko stąd, na tak zwanym Przytorzu... – Chłopak wskazał głową na gęstniejący stopniowo mrok, w którym tunel nikał od strony Muchoboru Wielkiego.

– Zawsze tu było takpusto?

– Niby nie – odparł Szary.

– Nie dziwi cię ten brak ruchu?

– Trochę to niepokojące – przyznał stalker. – Chociaż po upadku Republiki przyszła bieda, bo to jednak straszne zadupie.

– Ale też główna, jeśli nie jedyna droga na Bazar.

– Niby tak Ale pamiętaj, że idziemy teraz pograniczem. Po tej stronie, nad nami – wskazał na południe – są tylko dawne ogródki działkowe, pod którymi nikt nigdy nie mieszkał, bo tam nie ma nawet sensownych kanałów, tylko same przepusty odpływowe. Zaraz za nimi ciągnie się linia kolejowa, dawna granica z Republiką. Odkąd została zamknięta na amen, ludzie mogli się wynieść z tej okolicy, zupełnie jak moja rodzina.

– Wszyscy?

Szary wzruszył ramionami.

– Ja tam w bajdurzenia nie wierzę – mruknął.

– Jakie bajdurzenia?

– Takie tam głupoty o duchach... – Stalker przyśpieszył, jakby nie chciał drążyć tego tematu.

Szli jeszcze przez dłuższą chwilę, nie trafiając na nikogo, a potem Nauczyciel zarządził postój na samym środku długiego, prostego odcinka burzowca. Mimo że spędzili na popasie ponad dwadzieścia minut, nadal nikt ich nie minął ani nie wyprzedził.

Teraz już w oczach prowadzącego ich byłego Dresza zagościł pogłębiający się z każdą chwilą niepokój. To nie było normalne nawet jak na to miejsce i czas – a specjalnie, aby się jak najlepiej wtopić w tłum, wybrali dzień, w którym ruch powinien być największy.

Gdy doszli do rozwidlenia i skręcili w burzowiec prowadzący przez sam środek Muchoboru Wielkiego, zrobiło się jeszcze dziwniej. Jeśli ludzie z Przytorza, jak Szary nazwał osiedle przylegające do ogródków działkowych i linii kolejowej, gdzie się wynieśli, to powinni być właśnie tutaj. Problem jednak w tym, że okoliczne tunele wyglądały tak samo jak te, które mijali po drodze. Puste, wymarłe, tylko śmieci było w nich o wiele więcej. I smród stał się bardziej nieznośny, jakby w okolicy nie pracowała żadna rowerownia. Maszerując pod osiedlem, tylko dwa albo trzy razy dostrzegli w oddali bladą lunę niesionych lamp, jednakże ich właściciele szybko znikali z pola widzenia, jakby obawiali się kontaktu z obcymi. Do tego Pamiętający coraz częściej czuł nieprzyjemne mrowienie, jakby ktoś niewidzialny wbijał mu wzrok w plecy.

– Coś tu jest mocno nie tak – wymamrotał Szary, zwalniając, by zrównać się z idącym o krok za nim Nauczycielem. – To prawie centrum Muchoboru. Bywałem tu z matką, może tutejsze jarmarki nie umywały się do Bazaru, ale to... – wskazał głową otaczającą ich ciemność – to jakaś trupiarnia, nie dzielnica.

Przewodnik także przyznał, że wyczuwa obecność miejscowych, którzy obserwują ich od pewnego czasu, zawsze z bezpiecznego dystansu, ukryci, przyczajeni i jego zdaniem przerażeni. Tak właśnie powiedział: „Wyczuwam bijący z bocznych odnóg kwaśny odór strachu”.

Na jednym z większych rozwidleń przystanęli na moment, by przyjrzeć się jeszcze raz mapie. Idąc na północny zachód, dotarliby bezpośrednio pod lotnisko, natomiast droga na południe prowadziła do pobliskiej granicy. Wybór wydawał się prosty, ale że czasu im nie brakowało, zaciekawiony i zaniepokojony stalker zaproponował, by najpierw zbadać tę drugą odnogę. Wyjaśnił, że tam właśnie, całkiem niedaleko, znajduje się jego enklawa.

– Może dzięki temu, że nie będę całkiem obcy, uda mi się zasięgnąć języka – przekonywał.

Jego matka była znaną w okolicy akuszerką, dlatego mieszkańcy enklawy powinni ją jeszcze pamiętać. A jeśli nawet nie zdołają pozyskać zaufania miejscowych, może sami znajdą jakieś ślady albo informacje dotyczące przyczyn tajemniczego exodusu.

Pamiętający przystał na propozycję Szarego, ponieważ po pierwsze nie musieli się śpieszyć, a po drugie sam był ciekaw, co takiego się tu wydarzyło, że ocaleni, twardzi jak skała ludzie, woleli opuścić własne „domy” i udać się na poniewierkę.

30 | Prздепт

– Stać... – syknął Szary.

Przeszli pustym tunelem niespełna dwieście metrów. Właśnie minęli zakratowany wylot wąskiego przepustu, jedną z wielu bocznych odnog, na jakie trafiali co rusz pod dawnym osiedlem domków jednorodzinnych.

– O co chodzi? – zapytał szeptem Nauczyciel.

– Tam ktoś jest. – Stalker wskazał głową na ledwie widoczną w ciemności kratę, od której dzieliło ich kilkanaście kroków, odległość wystarczająca, by nie zostali podsłuchani.

Gdy wszyscy zbili się w ciasną grupkę i stanęli wokół nich, Pamiętający sięgnął po mapę. Farciarz przytrzymał lampę, w której światło obejrzeli rozkład kanałów.

– To tylko ślepy zbiornik osadowy... – Szary wyszczerzył zęby, stukając palcem w niewielki krąg. – Z niego nie ma innego wyjścia.

– Co chcesz zrobić?

– Zagadam człowieka, sprawdzę jego reakcję, a jeśli drań nie będzie chciał wyleźć po dobroci, zrobimy mu wjazd na kwadrat.

– Raczej na kółko – mruknęła Karbala.

– Mordy w kubeł – ostrzegł Nauczyciel, nie podnosząc głosu. – Mówimy krótko i tylko na temat. Zrozumiano?

Skinęli kolejno głowami. Ich także zaczynała niepokoić zastana na Muchoborze pustka i coraz bardziej nieznośna cisza, choć nie znali tego miejsca tak dobrze jak Szary i nie patrzyli na problem z tak szerokiej perspektywy jak Pamiętający.

– W takim razie działaj. My zostaniemy tutaj, żeby go nie spłoszyć. – Nauczyciel złożył mapę, a potem dał znak Farciarzowi i Karbali, by wrócili tunelem i zajęli pozycje z przeciwnej strony przepustu na wypadek, gdyby jego lokator spróbował uciec. – Tylko mierz w nogi – poinstruował łucznika – a ty uderzaj tak, żeby mógł gadać, a nie związał się przez godzinę z bólu – dodał, przenosząc wzrok na dziewczynę.

– Nie ucz matki dzieci rodzic – prychnęła, ruszając za wyznaczonym partnerem.

Szary poszedł za nimi, ale zatrzymał się pod obłą ścianą tuż przy kracie, tak by siedzący za

nią człowiek nie mógł go widzieć.

– Siemka, sąsiedzie – rzucił podniesionym głosem, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi. W przepuście nadal panowała idealna cisza. – Nie musisz się nas bać, przyjacielu – dodał. – Jestem Szary, syn Dobrej, mieszkała kiedyś tu obok, w podziemiach pod bazą transportową. Jeśli masz więcej niż siedem lat, to pewnie przyszedłeś na świat z jej pomocą. – Nadal cisza. – Szedliśmy z Miasta na Starachowice, ale poprosiłem szefa, żeby pozwolił mi zajrzeć na stare śmieci, no i, jak matkę kocham, nie poznaję tego miejsca. Wszyscy uciekają na nasz widok, jakbyśmy roznosili szarą zarazę albo inne świństwo... – poskarżył się na koniec.

– Ty jesteś synem Dobrej? – zza kraty dobiegł chrapliwy głos.

– Tak Tym młodszym. A ty kto?

– Mówią na mnie Przedept.

– Przedept? Nie pamiętam nikogo o takim przydomku, a chyba powinienem.

– Może dlatego mnie nie kojarzysz, że jestem od ciebie trzy razy starszy, raczej więc nie mieliśmy przyjemności się poznać. Poza tym do niedawna mieszkałem na przeciwległym końcu enklawy... – Zamilkł na chwilę. – Zwaliście stąd, jak byłeś jeszcze smarkiem, z tego co pamiętam.

Dobry znak, pomyślał Nauczyciel, facet zaczyna się rozgadywać. Skinął dłonią zerkającemu w jego kierunku Szaremu, dając sygnał, by spróbował wywabić rozmówcę.

– Wyjdź, chłopie, pogadamy jak ludzie.

– Nie ma mowy.

– Czego się boisz? Daję słowo, że nie zrobimy ci krzywdy, a za każdą informację zostaniesz sowicie wynagrodzony przez mojego szefa. – Znowu zerknął na Pamiętającego. – Mamy suszone mięso szarika, trochę szczurzyny, a i jakiś słoiczek larw też się znajdzie, jeśli będziesz naprawdę pomocny.

– Ciebie znam, ich nie – rzucił Przedept.

– To dobrzy ludzie, razem pracujemy. Widziałeś te paki? Niesiemy ubrania z Bazaru dla kupca spod lotniska...

Z mroku dobiegł rechot.

– Akurat.

– Co cię tak rozbawiło?

– Masz mnie za durnia, synku? – W głosie miejscowego nadal było słychać rozbawienie. – Na Starachowicach nie ma żadnych kupców.

– Skąd wiesz?

– Tam nikogo już nie ma, i to chyba od roku. – Znowu usłyszeli rechot, który szybko zmienił się w mokry kaszel.

Skoro podstęp nie zadziałał, trzeba tę sprawę załatwić inaczej, uznał Nauczyciel.

– Masz rację, przyjacielu – odezwał się, ruszając w stronę krat. – Nie jesteśmy karawaną wynajętą przez kupca ze Starachowic. Tak naprawdę szukamy przejścia na terytorium Republiki.

– Co ty wyprawiasz? – syknął Szary, gdy Pamiętający minął go i ustawił się naprzeciw

wylotu. – Jeśli ma kuszę albo nóż, może cię załatwić.

– Gdyby to zrobił – odparł spokojnie Pamiętający – tobyście wyłamali tę kratę i pod osłoną tarcz weszli do zbiornika, skąd, jak wszyscy dobrze wiemy, nie ma innego wyjścia. Ten człowiek i jego rodzina nie mają jak uciec. W takiej sytuacji musiałby być skończonym idiotą, by zaatakować kogoś z nas. Tymczasem ze sposobu, w jaki cię załatwił, można wnosić, że rozmawiamy z łębskim gościem...

– Gdyby był mądry, już dawno by stąd spieprzył – zaśmiał się Guma, ale zaraz dostał opieprz i od Szarego, i Nauczyciela.

– To mój dom. Mam tu wszystko, czego mi trzeba – zawtórował im hardo Prздеpt.

– Nasz przyjaciel ma niewyparzoną gębę, ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Powiedz nam, co się tutaj wydarzyło? Dlaczego wszyscy stąd uciekli?

– Wy naprawdę nic nie wiecie?

– Nie. Dlatego dobrze ci zapłacimy za każdą informację.

– Mogę opowiedzieć, ale kraty nie otworzę – zastrzegł się miejscowy.

– Jak sobie ży czysz. – Pamiętający przysiadł pod przeciwległą ścianą.

– To zaczęło się niedługo po tym, jak upadła Republika – zaczął opowiadać Prздеpt, pozostając poza polem widzenia w spowijającym go mroku. – Granice zamknięto na amen, prawie wszędzie, tylko nie tutaj. Nie było potrzeby, bo po drugiej stronie torów znajdują się enklawy wybite lata temu przez szarą zarazę.

Nauczyciel spojrzał na stalkera.

– Prawdę gada. Trzy albo cztery lata po Ataku epidemia spustoszyła kilka enklaw przy torach, na szczęście od tamtej strony. Odcieśliśmy się oczywiście...

– ...ale to było dawno i nieprawda – wpadł mu w słowo miejscowy. – Barykada od naszej strony zniknęła na długo przed upadkiem Republiki. Szłoda było marnować tyle dobrej stali i cegieł, skoro Republika też się odcieła od tamtych miejsc, a myśmy wiedzieli, gdzie nie chodzić. – Sądząc po nucie żalu w jego głosie, sam też pewnie się przyczynił do rozbiórki.

Stalker przytaknął jego słowom.

– Tak było.

– Mów dalej.

– Przez miesiąc albo dwa mieliśmy święty spokój. Nic się nie działo, więc powoli zapominaliśmy o sprawie, ale... – zawahał się – ...ale potem zaczęli znikać ludzie. Masowo, rodzinami. Czasem pustoszały całe ciągi boksów.

– Pieprzenie – warknął Guma.

– Słowo daję. – Prздеpt musiał się właśnie walnąć pięścią w pierś, sądząc z głuchego łomotu, jaki dobiegł z ciemności. – Zasyrialiśmy wieczorem, a kiedy budziliśmy się następnego ranka, było po wszystkim. Zaglądasz do boks, a tam kłamoty leżą w idealnym porządku, tylko ludzi nie ma. Jakby wyparowali...

– Akurat – warknęła Karbala. – Zwycię miejskie legendy. Opowieści o wprowadzeniach krążą od lat po Bazarze.

- Prawdę gadam.
- Widziałeś coś takiego na własne oczy?
- Tak – Miejscowy nawet się nie zająknął. – Dwa razy nas to spotkało.
- Kłamca.

W przepuszczenie coś zaszurzało. Pamiętający drgnął, gdy na prętach zacisnęły się brudne kościste paluchy. Twarz, którą pomiędzy nimi zobaczył, należała do starszego, zniszczonego ciężką harówką i biedą mężczyzny. Tylko oczy były w niej wciąż żywe.

- Patrzysz na te opustoszałe tunele i nadal mi nie wierzysz?
- Pusto tu, bo wszyscy się wynieśli – odwarknęła dziewczyna.
- Dokąd?

- Nie wiem. Choćby do Miasta. Pełno was tam przyłąziło, prosząc o azyl.
- Tak Ludzie narażali się na gniew Rasy, byle uciec przed tym koszmarem.

Rasa – to słowo przywołało wiele wspomnień. Prości Dresowie, nawet w gniewie i złości, wciąż używali oficjalnej nazwy kasty przy wódców i ich pomagierów. Lata terroru zrobiły swoje.

– Po mojemu, to ci z dupy wyjęci przywódcy ich porywali – wtrącił nagle Farciarz, przeżuwający do tej pory w milczeniu kawałek suszonego mięsa.

– Na cholere miałoby to robić, skoro i tak mają całą biedotę na własność? – zakpił z jego teorii Śliski.

– Jeden drugiemu podbierał – doprecyzował przemysłnik, chichocząc jak dziecko na widok miny rudzielca.

Reszcie nie było jednak do śmiechu.

– Nie zwracaj na nich uwagi, przyjacielu – poprosił Nauczyciel, odwracając się do kraty. – Mów dalej.

– Też z początku myśleliśmy, że to sprawa Rasy – przyznał Prздеpt – ale takie rzeczy działy się wszędzie, na Małym i Dużym, czasem nawet w samym Nowym. – Używał skrótowych nazw, jak mieli to w zwyczaju miejscowi. – Rzadko, bo rzadko, ale ludzie wszędzie znikali, a u nas, na ten przykład, nigdy nie pojawił się nikt nowy, więc gadanie, że jeden z Rasy drugiemu ludzi podbierał, to zwykłe pieprzenie i nic więcej.

– Nikt się u was nie pojawił, bo gnali całe to towarzyscho na drugi koniec swoich z dupy wyjętych włóści. Na przykład na Przyodrze, gdzie po szarej zarazie takie same pustki im zostały.

– Ciekawe, jak ich tam zagnali... – zakpił z niego Guma. – Ktoś by zauważył takie procesje idące przez pół Wrocławia.

– Właśnie – poparł go Prздеpt, łypiąc gniewnie zza kraty.

– Jak? A choćby takim z dupy wyjętym burzowcem, jakim nas do Miasta sprowadzono. Tunel jak marzenie, a nikt o jego istnieniu u nas nie wiedział, dopóki ktoś paluchem wejścia nie pokazał.

– Też prawda – poparli go; jedni pomrukami aprobaty, inni płytkimi skinieniami.

– Dajcie człowiekowi mówić. – Pamiętający musiał nakierować rozmowę na właściwe tory.

– Próbowaliśmy się bronić – podjęł miejscowy. – Stawialiśmy strażę w tunelach, zrobiliśmy

nową barykadę, ale to nic nie zmieniło. Ludzie nadal znikali, jakby porywały ich duchy.

– Ech... – Karbala pokręciła głową. – I ci wasi strażnicy niczego nie widzieli?

– I to jest właśnie najciekawsze – ożywił się Przedept. – Chłopcy stojący na posterunku twierdzili, że nie byli wcale senni, ale padali na miejscu jak muchy, wszyscy naraz, jakby ich ktoś otruił albo co. Śmiałem się z nich, ale mnie też to spotkało, bo wszyscy na ochotnika służyliśmy w tej straży i staliśmy w tunelu na zmianę.

– Czekaj. – Pamiętający pochylił się w kierunku kraty. – Twierdzisz, że ktoś was usypiał?

– Ktoś albo coś. Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że ludzie budzili się nad ranem, wkurwieni jak glizda, której na żywcia dupę odgryziesz – prychnął Przedept.

– Jak długo to trwało?

– Z pół roku. Zgłaszaliśmy sprawę naszej Rasie, od samego początku, ale nikt nam nie wierzył. Buzdygan twierdził nawet, że zdrajcy wiejący do Miasta sami rozsiewają pogłoski o uprowadzeniach, żeby nikt ich nie ścigał. Mógł tak myśleć, bo jego szlachty nikt nie ruszał, tylko nas, biedotę, brali... – Znów zamilkł na moment. – Problem jednak nie zniknął, bo ludzi wciąż ubywało. W końcu Rasa przysłała tu swoich zakapiorów do pilnowania i wymuszania danin. A kiedy okazało się, że oni też zawiedli, zaczął się prawdziwy ekobus.

– Exodus – poprawił go automatycznie Nauczyciel.

– Tak. Ten sam. Nikt nie był w stanie powstrzymać takiej masy ludzi, tym bardziej że wielu przydupasów Rasy zrozumiało, że nikt nie jest bezpieczny. Jakies pół roku po pierwszym porwaniu miarka się przebrała. Część ocalonych poszła za Rasą na Nowy Dwór, gdzie do tej pory było najbezpieczniej, reszta, korzystając z okazji, zwała do Miasta. Zostaliśmy tylko my, paru niedobitków, i tak sobie żyjemy od tamtego czasu, nieniekajeni przez nikogo.

– Chcesz powiedzieć, że uprowadzenia ustały?

– Nie inaczej. Od chwili, gdy wybuchła panika, nikt już nie zniknął. Przy najmniej u nas.

– Krążą słuchy, że teraz ludzie znikają gdzie indziej – dźwięcząca w uszach ciszę przerwał po dłuższej chwili Guma.

– Fakt – poparła go Karbala. – Słyszałam, że coś takiego wydarzyło się niedawno na Pilczycach.

– Pierdzielenie – mruknął Śliski.

– W to tutaj też nikt nie wierzył – przypomniał im Szary.

– I nadal trudno przyjąć takie opowieści na wiarę – rzucił rudowłosy. – Ludzie rozplywający się w mroku, zasypiające w okamgnieniu straże. Wiecie, jak jest. Strach ma wielkie oczy.

– Nie widziałeś, to nie gadaj – obruszył się Przedept. – Z tym snem to naprawdę niesamowita sprawa. Ludzie usypiali na stojąco. Niejeden zęba stracił albo wstał z limem, po tym jak wyrznął ryjem o cegły, ale ciękawostka, nawet taki ból nie był ich w stanie obudzić.

– Teraz to już przeginasz! – Karbala pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Na życie swoich się knę, że tak było – nie odpuszczał miejscowy.

Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, udowadniając swoje racje.

– Mordy w kube! – wrzasnął Pamiętający, zrywając się na równe nogi. – Co to jest, kolejka

do burdelu, czy oddział? Zapomnieliście, po co tutaj przyszlismy? – Stalkerzy zamilkli jak jeden mąż, nawet Prздеpt zniknął w mroku wypełniającym przepust. – Guma, połów przy kracie dziesięć racji żywnościowych.

– Aż dziesięć?

– Zapłaciłeś za nie, że ci tak źal? Mamy trzy razy więcej żarcia, niż nam trzeba.

Były zawodnik wruszył ramionami, a potem sięgnął do plecaka, by wyjąć z niego szczyrzonę i słoik tłuszczu larw. Wszystko to zniknęło z ceglanej podłogi, pochwycone kościstymi rękami.

– Dziękuję – wymamrotał speszony awanturą informator.

Nauczyciel podszedł do przepustu.

– To my dziękujemy. Pomogłeś nam, i to bardzo, ale mam jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Czy wiesz coś o tunelach, którymi można przejść z lotniska na terytorium Republiki?

– Niby był tam taki jeden... – zaczął Prздеpt.

– Ale?

– ...ale ostatnio doszły mnie słuchy, że się zawalił.

– Od kolegów z sąsiednich nor to usłyszałeś? – zakpił z niego Śliski.

Zza kraty dobiegło głośne prychnięcie.

– Daj człowiekowi spokój – poprosił Pamiętający.

– Przecież łyże w żywe oczy – upierał się rudzielec. – Od kogo miałby to słyszeć, skoro nikt tu nie zagląda?

– Też prawda... – Nauczyciel spojrział na ledwie widoczny obrys ludzkiej sylwetki. – Możesz mi to wytłumaczyć?

– Dwa tygodnie temu – odparł z pewnym ociąganiem Prздеpt – przyszli tu tacy jak wy. Czterech ich było, naszych, z Rasy. Też mieli mapę i też szukali przejścia na terytorium Republiki. Jeden mówił, że skoro Starachowice są zablokowane, bo tunel tranzytowy się zapadł, to droga pod torami może być ostatnią deską ratunku.

Czterej ludzie z mapą. To mogli być Dresowie, o których wspominała Freja, pomyślał Pamiętający.

– Mieli taką mapę jak my? – Pokazał informatorowi trzymany w ręku płat wyprawionej skóry, na który właścicielka Klatki wniosła szczegółowy plan kanałów z tej dzielnicy.

– Tak jakby. Nie widziałem dobrze, bo zatrzymali się kilka metrów od kraty, ale słyszałem wszystko, każde słowo i przekleństwo.

– Mówili coś jeszcze?

– Ano mówili. Ten drugi twierdził, że nasz kanał także mógł zostać pominięty przy blokowaniu granicy, z powodu kwarantanny po szarej zarazie. I miał rację, drzyzg jeden, bo tej drogi naprawdę nikt na dobre nie zamknął. Wiem o tym, bo nasi nieraz chodzili tam na szaber.

– Czekał – wpadł mu w słowo Nauczyciel. – Mówisz, że tędy wejdziemy na terytorium Republiki?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Przedept.

– Dlaczego?

– Jeśli tam pójdziecie, skończycie jak ci z Rasy, rozplywając się w uściskach syren.

Gdy padło ostatnie słowo, wszyscy zamarli. Mutanty zwane syrenami niewiele miały wspólnego z mitologicznymi stworzeniami, a już na pewno nie przypominały ich z wyglądu, ponieważ – jak większość mięsożernych drapieżników – należały do świata postnuklearnej flory. Obrazową nazwę zawdzięczały wyłącznie sposobowi, w jaki wabiły ofiary, a przywoływały je do siebie czymś, co od biedy można było uznać za syreni śpiew. Człowiek albo inne zwierzę czy mutek, każdy, kto go usłyszał, tracił momentalnie zmysły i lał przed siebie jak zombie, dopóki nie trafił między grube, liczące nawet kilka metrów pnącza. Z ich splotów nie mógł się już uwolnić.

– Skąd tutaj syreny? – zdziwił się Pamiętający.

– Mnie nie pytajcie. Pojawiły się niedawno, będzie kilka miesięcy temu. Najpierw żerowały po tamtej stronie torów w enklawach, ale potem przylaży tutaj i teraz siedzą za zakrętem kanału. Wybrały sobie miejsce, gadziny, jakby własny rozum miały. Najbliższa przywarła nie dalej jak dziesięć metrów za załomem ściany. Człowiek idzie spokojnie...

Nie musiał kończyć. Wszyscy wiedzieli, że śpiew omamia ludzi z trzy razy większej odległości, nie było więc sposobu, by wykurzyć stamtąd podstępnych zabójców. Rzucanie mołotowami w stronę zakrętu też niewiele da. Gęsty łój, nawet zmieszany z bimbrem, nie rozprysnie się tak daleko, by sięgnąć krwiożerczych mutków, a bliżej nikt nie podejdzie.

– Skąd wiesz, że są dziesięć metrów od zakrętu? – zapytał podejrzliwy jak zawsze Guma.

– Wystarczy spojrzeć, gdzie leży porzucona broń i inne rzeczy – odparł spokojnie Przedept.

Stalkerzy z oddziału spojrzeli odruchowo w głąb tunelu. Jednym z pierwszych objawów otumanienia był całkowity bezwład rąk. Ludzie, którzy usłyszeli śpiew, zamierali na moment, a potem upuszczali wszystko, co trzymali w dłoniach. Jeśli te przedmioty leżą w odległości piętnastu, dwudziestu kroków od zakrętu, łatwo wyliczyć, gdzie kryją się drapieżcy.

– Dlaczego ich nie ostrzegłeś? – zapytał Nauczyciel, gdy przetrwał tę wiadomość.

– Z Rasą nie gadam.

To krótkie zdanie padło wypowiedziane z taką pogardą i z takim jadem, że gdyby słowa mogły zabijać, Wszechwrocław zostałby momentalnie oczyszczony z każdego przywódcy, jego rodziny i przydupasów.

– To co robimy? – zainteresował się Śliski.

– A co tu robić? – Farciarz splunął z odrazą. – Z dupy wyjęte syreny...

– Nie ma co gadać. Innej drogi nie ma, a ta jest zablokowana na amen – podsumowała Karbala.

– Na amen! – potaknął żywiłowo Przedept.

– Może niezupełnie... – mruknął Nauczyciel.

– Masz jakiś pomysł? – Szary oderwał plecy od ściany.

– Owszem – odparł nieobecny tonem Pamiętający. – Chyba wiem, jak pozbędziemy się tego draństwa.

– Mówisz o syrenach czy o szarej zarazie? – zapytał Śliski, nie odrywając spojrzenia od zakrętu.

Skupiając całą uwagę na mutantach, zapomnieli o wcześniejszej wzmiance. Za torami znajdowały się enklawy dotknięte najbardziej przerażającą i śmiertelnością zarazą, jaką znał świat. Nawet dżuma w średniowiecznym wydaniu wydawała się przy niej prostą dolegliwością. Każdy, kto miał bezpośredni kontakt z zarażonymi... Granicy nie zamykano, ponieważ kordon sanitarny skutecznie odizolował skażone tereny od reszty Republiki.

Pamiętający poczuł zimny dreszcz pnący się po kręgosłupie od okolic krzyża, gdy wspomniął widok zastany po powrocie do kolonii byłych żołnierzy. Zdeformowane w potworny sposób ciała, ścięgnięta i mięśnie zamieniające się w zastraszającym tempie w litą kość. Ludzie konający w niewysłowionych mękach, po tym jak ich ciała zastygały, odmawiając posłuszeństwa. Nic dziwnego, że tereny, na których wystąpiła zaraza, zostały otoczone kordonem i że jego naruszenie karano tylko w jeden sposób: natychmiastową śmiercią i spaleniem.

– Nie wiemy, jak jest po tamtej stronie – zaczął ostrożnie, wiedząc, jak wielki strach budzi w jego ludziach każda wzmianka o wejściu do skażonych enklaw. – Może są tam jakieś przepusty, którymi można ominąć najbardziej zagrożone.

– Na mnie nie liczyć – pierwsza zaprotestowała Karbala. – Wypad na obcy teren, walka, nawet z liczniejszym przeciwnikiem, to rozumiem, ale ani myślę zdechnąć jak ci nieszczęśnicy. Nie ma mowy!

– Ja też tam nie idę – poparł ją Guma. – Zaraza wciąż może być groźna. U nas po dziesięciu latach znaleźli się tacy, co zapragnęli bogactwa i poszli rabować tereny objęte kwarantanną. Rozmontowali jedną zaporę i tyleśmy o nich słyszeli. Po dziesięciu latach izolacji! – powtórzył dobitniej, żeby wszystkim wryło się to w pamięć.

– No to po zabawie – dodał Śliski, odwracając się do Nauczyciela. – Bo ja popieram przedmówców.

– Z dupy wyjęta zaraza to nie moja bajka – dodał Farciarz, nie przerywając żucia wysuszonego na wiór mięsa.

– Z tą zarazą to nie jest aż tak źle – wtrącił Prздеpt, gdy znów zapadła cisza.

Skulił się, gdy wszyscy wbili w niego wzrok.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Nauczyciel.

– Tylko tyle, że nasi chodzą od pewnego czasu na drugą stronę – rzucił informator, a gdy zrozumiał, że wszyscy czekają na rozwinięcie myśli, dodał jeszcze: – Zaczęło się od tego, że jakieś dwa lata temu sąsiad, wychodząc ode mnie po pijaku, zmylił drogę. Był tak nawalony, że zamiast skręcić w lewo, do siebie, poszedł w prawo i lał tak, dopóki go nie zaćmiło i nie padł na ryj. Opowiadał potem, że jak się obudził i zapalił lampę, to takie przerażenie go zdjęło, że momentalnie zesrał się w gacie. Siedział w jakimś rozpadającym się boksie między trupami, które tylko po części wyglądały jak ludzkie szkielety. Zrozumiał wtedy, że to już koniec, że zaraz sam zacznie sztywnieć, szarzeć i będzie po nim, ale czas mijał i nic takiego się nie stało, więc po kilku godzinach zdecydował, że wróci pod tory. Ale że nie chciał nikogo zarazić, stanął na zakręcie

i zaczął się drzeć. Nie zawarł mordy, dopóki nie zwrócił na siebie czyjejś uwagi, a jak już zebraliśmy się tu wszyscy, opowiedział nam, co zaszło. Trzy tygodnie trzymaliśmy go tam, w tunelu, zanim...

– Nie wierzę – przerwała mu Karbala, potrząsając coraz szybciej głową. – Po prostu ci nie wierzę. Ściemniasz, żebyśmy tam poszli i pozdychali.

– A co by mi to dało? – obruszył się Prздеpt. – Jeśli chcecie, mogę go tu przywołać, niech sam wam opowie, jak było.

– To on jeszcze żyje? – zainteresował się Guma.

– Nie tylko on – zapewnił go informator. – Wielu innych łąziło tam potem. Ja też byłem parę razy. Prawdę mówiąc, najporządniejsze meble i inne dobra mamy dzięki szabrowi wymarłych enklaw... – Spojrzał po sobie. – O, ta koszula też stamtąd przyniesiona, noszę ją na grzbiecie od dawna i nic mi nie jest.

Stalkerzy odskoczyli od niego jak oparzeni.

– Kiedy ją przyniosłeś? – zapytał Nauczyciel.

– Z rok temu będzie – odparł Prздеpt.

– A kiedy miała miejsce ta epidemia?

– No, już ze czternaście, jeśli nie piętnaście lat mija od chwili, gdy zamykaliśmy granicę...

Szary potwierdził prawdziwość tych słów.

– Może nawet więcej – dodał. – Matka opowiadała, że strasznie się o mnie bała, bo jakos wtedy się urodziłem.

31 | Syreny

Pamiętający wrócił po trzech godzinach, prowadząc ze sobą krępego, lekko zgarbionego chłopaka. Członkowie oddziału dostrzegli ich z daleka. Kanał był na tym odcinku prościutki jak strzała, więc blask ledowej latarki, odzyskanej za naboje od Messiego, zdradził nadchodzących na kwadrans przed tym, zanim dotarli do przepustu, w którym wcześniej ukrywał się Prздеpt.

– Pogieło cię, chłopie? – jęknął Farciarz, gdy obaj przybyłe stanęli w kręgu światła lampy. – Z dupy wyjętego niedojebła przy prowadził?

– Dobieraj ostrożniej słowa, dobrze ci radzę – ostrzegł go Nauczyciel.

– Ale czy ja źle mówię? – obruszył się łucznik – Chcesz go wysłać na zjedzenie? Ja się na coś takiego nie piszę.

Pozostali, którzy nie widzieli wcześniej Niemoty, przyłączyli się do zgodnego protestu.

– Ludzie, wyluzujcie! – Pamiętający musiał podnieść głos, by ich uciszyć. – To mój syn, jestem ostatnim człowiekiem, który naraziłby go na niebezpieczeństwo – dodał, gdy zamilkli w końcu.

– Skoro tak, po coś go tu przy prowadził? – zapytała Karbala.

– Mamy problem z syrenami? – odparł Nauczyciel i zaraz sam sobie odpowiedział. – Mamy. A on jest jego rozwiązaniem.

– Czy li jednak chcesz im rzucić niedojebła na pożarcie – Farciarz znów nie wytrzymał.

– Ja z wami oszaleje, naprawdę. – Pamiętający złapał się obiema dłońmi za głowę, żeby nie eksplodować. – Niemota, bo tak macie go od tej chwili nazywać, jest głuchoniemy od urodzenia. – To było maleńkie kłamstewko służące temu, żeby któryś ponownie nie zaczął drążyć nie tego tematu, co trzeba. – A skoro nie słyzy żadnych dźwięków, może mieć spore szanse na dotarcie do tego zakrętu – wskazał tunel od strony torów.

– Problem w tym, że on już jest tak śnięty, jakby go jakaś syrena przywabiła – odezwał się Guma, obserwując twarz chłopaka z niewielkiej odległości. – Jakby zebrał centralnie przez łeb.

– Odsuń się. – Nauczyciel stanął między nimi, zasłaniając syna. – Zrobimy tak.. Obwiążemy go linką w pasie i pošemy do tunelu. Na razie do miejsca, w którym leży broń. Poproszę, żeby ją pobierał.

– Jesteś pewien, że on skuma, o co chodzi? – dopytywał Śliski.

– Upośledzenie słuchu i mowy nie jest równoznaczne z brakiem mózgu, podobnie jak rude włosy niekoniecznie oznaczają fakt posiadania tyciego przyrodzenia.

Pozostali roześmiali się z kwaśnej miny kusznika. Niemota także wyszczerzył zęby.

– Skoro tak mówisz... – Śliski wycofał się rakiem.

Przygotowali wszystko, troje z nich chwyciło za linę, by jak najszybciej wyciągnąć chłopaka, pozostali ustawili się pod ścianami. Nawet Prздеpt zapomniał o wrodzonej ostrożności i wylał zza kraty, by na własne oczy zobaczyć ten cud. Nikt nie zwracał jednak na niego uwagi, spojrzenia wszystkich skierowane były na Pamiętającego, który machał spokojnie rękami, robiąc przy tym głupie miny.

Idź tam, wskazał synowi tunel. Przynies mi broń i narzędzia, wszystko, co znajdziesz.

Niemota popatrzył na oświetlany latarką kanał i skinął głową.

Obiecywałeś, że to będzie przygoda, odpowiedział.

Bo jest, zripostował Nauczyciel, to prawdziwe zadanie. Coś jak ten wyścig, który oglądaliśmy.

Zauważył błysk w oku syna. Grymas znany mu jako uśmiech też był znajomy.

Naprawdę?

Słowo. Zobacz, jaką masz publiczność, pokazał wpatrzonych w nich stalkerów. To dodatkowo podbudowało jego syna. I pamiętaj, dodał na koniec, gdy szarpnę dwa razy, zawracasz i uciekasz.

Poklepany po ramieniu chłopak ruszył w głąb tunelu. Liny mieli wystarczająco dużo, by zjechać ze szczytu Wieży, gdyby zaszła taka konieczność, nie obawiali się więc, że może jej teraz zabraknąć. Narzędzia i broń leżały kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym stali. Farciarz i Szary przygotowali łuki na wypadek, gdyby okazało się, że Prздеpt nie powiedział im całej prawdy. Śliski też naciągnął kuszę z resora. Potężną broń, która mogła powstrzymać dorosłego szarika albo nawet zmieść go w trakcie skoku.

Niemota szedł środkiem tunelu, jak mu kazano, przyświecając sobie lampą. Był już kilka kroków od celu, gdy nagle przystanął. Nauczyciel mocniej chwycił linę, czekając na pierwszy znak opętania syna, na przykład na rozwarcie placów i upuszczenie lampy. Kilka sekund syreniego śpiewu nie zrobi Niemocie krzywdy, to wszyscy wiedzieli, ponieważ głównym zagrożeniem wynikającym z takiego zauroczenia było wejście prosto w pułapkę, a do tego dzięki linie nie mogło dzisiaj dojść.

Jedno lekkie szarpnięcie. *Idź.* Niemota otrząsnął się, jakby polano go zimną wodą, i ruszył dalej. Był już przy zawiniątkach, pozbierał je, powtykał maczety pod pachy – i spokojnie zawrócił. Pamiętający wyszedł mu naprzeciw. Zaskoczony chłopak promieniał, gdy oddawał ojcu zdobyte rzeczy, a jeszcze bardziej się ucieszył, gdy ludzie z oddziału zaczęli go klepać po plecach i gratulować mu sukcesu.

Widzisz? Jesteś bohaterem, zamigał Pamiętający.

Jak ten pan ze ścian?

Tak, dokładnie jak on, ale zaraz będziesz jeszcze większym. Idź tam, Nauczyciel wskazał miejsce, w którym leżał jego plecak. Usiądź, odpocznij. Zaraz do ciebie przyjdę.

– Widzieliście? – zapytał, odwracając się do milczących stalkerów, gdy jego syn poczłapał dalej.

– To połowa sukcesu, a nawet mniej – skontrolował Guma.

– Owszem, dlatego teraz pójdziemy dalej. Damy mu młotowa i pošlemy na zakręt...

– Człowieku, czyś ty oszalał? – Tym razem nie wytrzymała Karbala. – A jak się potknie albo źle rzuci?

– Spokojnie, bez nerwów – poprosił Nauczyciel. – Zaniesie niepodpalonego młotowa albo jeszcze lepiej dwa. Gdy znajdzie się w miejscu, z którego widać tamten odcinek tunelu, wydam mu polecenie, szarpiąc za linkę. Na mój znak ciśnie obie butelki między syreny najdalej, jak zdoła. Potem wróci i weźmie... pochodnię.

– Kumam! – rozpromienił się Śliski. – Świetny plan.

– Dobra. Poćwiczę z nim teraz, czymś o podobnych rozmiarach i wadze, żeby nabrał większej pewności i wprawy.

– Mam parę flaszek u siebie, jakby co – poinformował ich Prздеpt. – Mogę wam je dać za jeszcze trochę żarcia.

– Dostaniesz dwie tuszki za trzy flaszki.

– Mam ich z dziesięć – zaferował informator, nieomal wchodząc Pamiętającemu w słowo.

– Resztę sobie zostaw, wystarczą mi trzy. Guma! Przyńś szczurzynę i butelkę wody.

– A wodę za co dostanę? – zainteresował się miejscowy.

– Wodą wypełnimy butelki – wyjaśnił Nauczyciel ku rozczarowaniu Prздеpta.

Kilka minut później Niemota ćwiczył wymachy od dołu, najpierw z bidonem ojca, potem, gdy już opanował koordynację ruchów, dostał do ręki prawdziwe, wypełnione wodą butelki. Wszystkie poszybowwały łagodnym łukiem, pokonując około ośmiu, dziesięciu metrów. To powinno wystarczyć, wszyscy się z tym zgadzali.

Pamiętający zaproponował, by tym razem podeszli znacznie bliżej zakrętu i wystartowali jakieś dziesięć metrów od miejsca, w którym leżały porzucone przedmioty. Dzięki temu posunięciu Niemota będzie miał do pokonania znacznie krótszą drogę, co zminimalizuje czas potrzebny na wykonanie zadania. Wbrew temu, co mówił wcześniej, jego syn miał poważne problemy nie tylko z mową i słuchem, ale też z pamięcią i koncentracją. Tamten moment bezruchu, uznany przez pozostałych za wahanie, stanowił przejaw typowego dla niego rozkojarzenia. *Lepiej, żeby nie spotkało go coś podobnego, gdy będzie miał w ręku flaszkę wypełnioną alkoholem zmieszany z palnym lojem*, pomyślał Pamiętający.

Teraz zostaniesz jeszcze większym bohaterem, zamigał do syna.

Naprawdę?

Tak. Weź tę butelkę. Pamiętaj, jak uczyłem cię rzucać? Chwyć ją od dołu, o tak, i weź zamach, ale nie teraz, dodał, chwytając Niemotę za ramię, gdy ten spróbował rzucić butelką. *Pójdiesz na zakręt i popatrzysz w głąb tamtego tunelu. Jeśli zobaczysz przy ścianach dziwne stwory, rzucisz w nie butelkami. Zrozumiałeś? Zakręt, stwory, rzut.*

Syn potwierdził skinieniem głowy.

Moment później ruszył we wskazanym kierunku. Pokonał dziesięć metrów w kilka sekund, potem zatrzymał się, wychylił, jakby wyglądał zza węgła i... zaczął wracać, trzymając wciąż oba molotowy w dłoniach.

Co się stało? – zapytał Pamietający. *Nie widziałeś stworów?*

Widziałem, odparł Niemota, gdy tylko odebrano od niego butelki.

Dlaczego więc nie zrobiłeś tego, o co prosiłem?

Bo one są takie ładne jak kwiatki, a to je zaboli.

Odpowiedź zdziwiła Nauczyciela. Nie wiedział, jak wybrnąć z tego impasu.

Nie zaboli, zapewnił syna. *To ogniste kwiaty. One chciałyby się zapalić, ale nie mają jak, bo usychają w kanale, gdzie nie ma słońca ani ciepła*, skłamał, wymyślając na poczekaniu absurdalną historyjkę, nie miał jednak pewności, czy nawet tak ograniczona osoba jak jego syn kupi tę piramidalną bzdurę. Na szczęście chłopakuśmiechnął się.

To im pomożę, zapewnił ojca.

Zuch, idź.

Znów asekurowali Niemotę, dopóki nie dotarł do zakrętu i nie wychylił się jak poprzednio. Tym razem jednak zrobił dokładnie to, co mu kazano. Najpierw jedna flaszka zniknęła za załomem ściany i rozprysła się z głośnym brzękiem, chwilę później druga podzieliła jej los. Teraz pozostała ostatnia część zadania. Guma odpalił najmniejszą z pochodni. Pamietający podał ją synowi, a potem zamigał. *Te stwory zaczynają tańczyć z płomieniami, kiedy się palą*, brnął dalej, żeby Niemota nie przeżywał potem widoku skręcających się i czerniejących w płomieniach mutantów.

Super!

Tak, super...

Obserwowali ostatni akt tego dramatu z jeszcze większą uwagą. Nauczyciel zerknął przez ramię na stojącą za nim Karbałę. Dziewczyna przygryzła sobie wargę do krwi, ale nie zwracała na to uwagi. Koncentrowała się na migoczącym płomieniu, a gdy pochodnia zniknęła z pola widzenia, wstrzymała oddech. Rozbłysk był oślepiająco jasny. Jedno uderzenie serca później wszyscy usłyszeli tak przeraźliwy pisk, jakby gdzieś tuż obok szariki rozszarpywały całą bandę dzieci.

Nikt nie myślał w tym momencie o osłanianiu Niemoty. Stalkerzy rzucili broń, puścili linę i padając na kolana, przyciskali dłonie do uszu, by choć w minimalnym stopniu złagodzić ból, powodowany przez niecichnący, upiorny dźwięk. Chwilę później hałas ustał tak nagle, jak się rozległ. Znów zapadła względna cisza, w której słychać było tylko szum płonącego ognia i jęki podnoszących się z ziemi ludzi.

Nauczyciel też się zerwał, przerażony tym, że stracił kontrolę nad synem, którego miał przecież błyskawicznie odciągnąć od eksplozji i ognia. Gdy przeniósł wzrok na tunel, zmartwiał. Niemoty nie było na zakręcie, a biała łuna bijąca z niewidocznej dla nich części tunelu nie pozostawiała żadnych złudzeń...

– Musimy wiać! – Guma szarpnął go za rękaw. – Zaraz zabraknie tu tlenu!

– Ale...

– Bierz syna i spieprzamy stąd! – Karbala wepchnęła mu w objęcia promieniejącego, rozgrzanego Niemotę.

Biegąc w głąb tunelu, minęli Prздепта, który poganiał szturchnięciami niziutką żonę i dwójkę nieletnich dzieci. Kilka minut później opadli na cegły w pobliżu rozwidlenia, śmiejąc się i poklepując po plecach. Czuli na policzkach chłodny wiatr, zjawisko nieczęste w kanałach. Powietrze wciągane do prostego tunelu przez buzujący ogień tworzyło mocny cug jak w kominie. Na szczęście miejscowi, poinstruowani przez Prздепта, uchylali właśnie okoliczne studzienki, dzięki czemu nasycony ogień wypali się szybciej.

Pamiętający pogłaskał syna po osmalonej twarzy.

Wiesz, jak się cieszyły? Tak pięknie tańczyły, jakby chciały mi podziękować za ogień, migał rozentuzjasmowany Niemota.

32 | Szara zaraza

Nauczyciel wrócił po południu. Nie posłuchał ich próśb i odprowadził Niemotę do Miasta, zabierając tam – niejako przy okazji – Prздепта i jego rodzinę. Przeprowadził czwórkę onieśmielonych Dresów przez punkt kontrolny, dołączając do tłumu kupców i klientów zmierzających jak co dzień na Bazar. Potem powiódł ich bocznymi kanałami pod bunkier Tesli i wskazał studzienkę prowadzącą do wejścia. Poprosił tylko, by Prздепт nie wspominał pod żadnym pozorem o tym, że to on był ich przewodnikiem. Nie chciał, by kókolwiek wiedział, że przebywał dzisiaj tak daleko od granic Miasta. Kazał więc informatorowi skłamać, że jego rodzina została odeskortowana z granicy przez niejakiego Szwejka, który miał dostarczyć pilną wiadomość do magistratu, zatem zostawił ich tutaj, a sam pognał dalej. To było bardzo naiwne, ale też prawdopodobne wyjaśnienie, które roztrzępany profesor powinien kupić.

Pozbywszy się z głowy rodziny Dresy, Pamiętający zajął się organizowaniem własnego alibi. Zabierając syna z Otchłani, powiedział jego opiekunce, że idą do swoich, by Niemota zobaczył parę znajomych twarzy, ponieważ bardzo mu tego brakuje. Aby nie przyłapano go na tak prostym kłamstwie, musiał wpaść na moment na pogranicze i zabrać stamtąd kilka fantów, którymi potwierdzi oficjalną wersję zdarzeń. Zobowiązał też chłopaka, by „trzymał język za zębami” i nie zdradził swojego tajnego szkolenia na bohatera, bo ma to być niespodzianka dla wszystkich. Miał nadzieję, że tyle zabiegów wystarczy, a gdyby nawet Niemota zaczął jednak paplać, cała jego gadka o szkoleniu i wyczynach wyda się ludziom zwykłym fantazjowaniem.

Do bunkra wrócili niespełna godzinę później. Poczekali na windę obok wartowni i tam właśnie Nauczyciel przekazał Niemotę w ręce opiekunki, tej samej dziewczyny, która zajmowała się nim od początku pobytu na dole. Dał jej też wszystkie prezenty zebrane u Innych i poprosił, by przekazała Katarzynie, że on sam może wrócić dopiero późnym wieczorem, a niewykłuczone, że spędzi całą noc poza Otchłanią. Oceniał, że do rana jego oddział powinien sprawdzić sytuację w Wieży i znaleźć się ponownie w Mieście.

– To był błąd, mówię wam – narzekał Guma, gdy Pamiętający kazał wszystkim zbierać graty i ruszać pod tory. – Ten, jak mu tam, głuchoniemy przydałby się nam na wypadek, gdybyśmy trafili na kolejne syreny.

– Zrobisz sobie dzieciaka, będziesz nim ryzykował – zgasił go Nauczyciel. – Nie potrzebujemy Niemoty. Obowiązemy się wszyscy liną i będziemy szli gęsiego, pięć metrów jedno za drugim. Ten, który stanie na czele, będzie trzymał w wyciągniętych rękach lampę i maczetę, żebyśmy mieli czas na reakcję, gdy znajdzie się w zasięgu głosu syreny. – Kiwali głowami, przyjmując do wiadomości jego plan. – Zmieniamy prowadzącego co pięćset kroków. Śliski, ty prowadzisz pierwszy. Zakładać maski i ruchy na sprzęcie! – ponaglił, sięgając po najcieńszą z nylonowych linek

Ruszyli z początku ostrożnie, nieufnie, ale odwaga i animusz zaczęły im wracać, gdy tylko minęli zakręt i znajdujący się kilka metrów za nim cuchnący nieludźko, osmalony fragment kanału. Przeszępowali kolejno nad zwęglonymi szczątkami czterech wielkich syren, w których rozsypujących się przy każdym dotknięciu, poczerwiałych odwłokach pobłyskiwały żółtawe, na wpół rozpuszczone kości, ostatnie ślady po tych, co kupili od Frei mapę. Tę samą, którą stalkerzy znaleźli, przeszukując porzucone w tunelu bagaże Rasy.

Pamiętający nie wnikał, co jeszcze znajdowało się w zawiniątkach i niewielkim plecaku. Niech zdobyte tak łatwo łupy będą dodatkową zachętą do wykonania tej misji. Odbieranie im fantów teraz, gdy każda forma odstresowania będzie im potrzebna jak tlen, byłoby najgłupszym z możliwych pomysłów. Za moment wejdą na teren enklaw spustoszonych przez szarą zarazę, gdzie ujrzą na własne oczy coś, co zapadnie im w pamięć po wsze czasy. *Kto wie, czy nawet po latach nie będą się budzić z krzykiem na każde wspomnienie tego, co czeka ich kilkadziesiąt metrów dalej...*

Pamiętający widział tylko kilkoro żywych jeszcze zarażonych, których ciała zestały się w zastraszającym tempie, zamieniając wszystkie miękkie tkanki w coś, co przypominało kość. Mimo upływu lat te wspomnienia były w nim wciąż żywe, a przecież dzieciaki, które przyszły tu za nim, trafią za moment w sam środek niewyobrażalnego nawet dla niego surrealistycznego piekła...

Dwadzieścia metrów dalej minęli miejsce, w którym stała niegdyś barykada. Nauczyciel nie mylił się wiele co do widoku, jaki za nią zastali, natomiast przestrzelił, i to mocno, jeśli chodzi o ocenę reakcji swoich ludzi. Widział wprawdzie, że wszyscy członkowie oddziału zmarkotnieli, gdy tylko znaleźli się w pokrytych grubą warstwą kurzu i pyłu kanałach, pomiędzy rozpadającymi się boksami, zbutwiały mi szmatami i dziesiątkami szkieletów przypominających potwory z najgorszych sennych koszmarów, ale wciąż nie dostrzegał w ich zachowaniu żadnych oznak paniki. Obawa, tak może nawet strach, ale to wszystko, co dało się zauważyć. Jakby życie w kanałach – jedyne, jakie znali – uodporniło ich na każdą potworność nowego świata. Zdumiała go hardość tych młodych ludzi, choć im dalej brnęli w to cmentarzysko, tym pancerze ich obojętności stawały się cieńsze i bardziej kruche, aż w końcu zaczęły pękać.

Po kwadransie wędrówki w kompletnej ciszy Pamiętający zauważył, że tam, gdzie droga jest

w miarę prosta, a widoczność dobra, jego ludzie natychmiast zbijają się w ciaśniejszą grupkę, na co pozwalał, nie interweniując, ponieważ rozumiał, że w takich momentach potrzeba obcowania z towarzyszami niedoli jest jak najbardziej naturalna.

Wszędzie wokół dostrzegali ślady bytności outsiderów z Muchoboru: porozwalane zamki w skrzyaniach, porozrzucane wokół boków rzeczy, puste miejsca po wyniesionych meblach i zgarnięte na stopy kości przekonały ich ostatecznie, że Prздеpt nie kłamał, ale nawet to nie skłoniło nikogo do zdjęcia maski czy sięgnięcia po jakiś przedmiot.

– Niewyobrażalne krewstwo – odezwał się w końcu Guma, którego widok ofiar zarazy poruszył chyba najbardziej, choć i tak po wielokroć słabiej, niż się tego spodziewał Nauczyciel.

– Co powiedziałaś? – zapytała Karbala. – Musisz mówić głośniej, bo ledwie cię słyszę!

Sama nieomal krzyczała. To także świadczyło o tym, że za jej maską obojętności kryje się ogromne zdenerwowanie. *Może nie jest z nimi aż tak źle, jak do tej pory sądziłem*, pomyślał Nauczyciel, dostrzegając pogłębiające się wciąż rysy na pancierzach, którymi odgradzali się przez ostatni kwadrans od otaczającego ich koszmaru.

– Tak sobie pieprzę bez sensu – odparł zgroźliwie Guma, by le się od niego odczepiła.

Nie chciał być tym, który pęknie pierwszy.

– Nie pieprzysz, chłopcze – zaoponował Nauczyciel, spoglądając na leżące w tunelu przed nimi zwłoki matki tulącej do piersi dziecko. Oba potwornie zniekształcone szkielety zwały się po śmierci w zbitą masę, jakby były kiedyś częściami jednego, przedziwnego i odrażającego organizmu. – To chyba najgorsze z gówien, jakie powstały z powodu zwiększonej radiacji – dodał, przestępując ostrożnie nad pożółkły mi kośćmi.

– Nie do końca – wtrącił idący dwa kroki za nimi Szary.

– Co przez to rozumiesz? – zainteresowała się natychmiast Karbala, dla której rozmowa wydawała się jedynym lekarstwem na odegnanie lęku.

– Tylko to, że podobna choroba była znana także w starym świecie.

– Skąd to wiesz? – zapytał Nauczyciel.

Sam nigdy nie słyszał o niczym podobnym. Lekarze, których poznał w kanałach, też nie mieli pojęcia, co mogło powodować szarą zarazę.

– Moja matka była przed wojną pielęgniarką – wyjaśnił Szary. – Dawno temu, gdy ludzie z naszej enklawy zaczęli przy jakiejś okazji wspominać czasy epidemii, powiedziała, że kilka miesięcy przed Atakiem do jej szpitala trafiło dziecko dotknięte czymś, co wyglądało niemal dokładnie jak szara zaraza. Jego mięśnie twardniały, choć dużo wolniej niż u tych ludzi... – wskazała głową na poskręcane, poprzerastane szkielety, które tylko z grubsza przypominały układ kostny człowieka. – Ale jednego była pewna: tkanki chorego z czasem zamieniały się w coś, co przypominało kości. Podobno to była jakaś wada genotypiczna czy jakoś tak... Bardzo rzadka. Tak rzadka, że nie pracowano nawet nad lekami, którymi można by to leczyć. Jeden przypadek na kilka milionów ludzi. Tak mówiła... – Zamilkła na moment, ale zaraz pojaśniał mu wzrok – O, przypomniałem sobie, ten dzieciak chorował na FOP.

– Fop? Serio? – Karbala postukała się palcem w czoło. – U mamuśki pod beretem chyba nie

wszystko by było równo poukładane.

– To w sumie nie nazwa, tylko coś, wiesz, jak SARS – wyjaśnił pokrętnie Szary, lecz to niewiele powiedziało reszcie.

Tylko Pamiętający pokiwiał ze zrozumieniem głową.

– Dobrze mówisz. Takich akronimów używano w przedwojennej medycynie.

– Co to jest akronim? – zapytał Guma.

– Skrót składający się z pierwszych liter słów.

– A wiecie, że mieliśmy w naszej enklawie Sarsa? – wtrącił Śliski. – Gnój mieszkał kilka boksów ode mnie. Mówię wam, kawał zarazy, nie człowiek.. – Zarechotał, a pozostali natychmiast poszli w jego ślady.

Trzymali fason, choć Pamiętający widział wyraźnie, że zzerają ich nerwy. Na szczęście dawny kordon sanitarny znajdował się tylko trzysta metrów od torów, powinni więc dotrzeć do najdalszego posterunku po kilku minutach marszu przez to przygnębiające, podziemne cmentarzyisko. *Aczkołwiek tam możemy trafić na kolejny, kto wie, czy nie poważniejszy, problem...*

Nauczyciel zdawał sobie sprawę z tego, że wszystkie wyjścia ze skażonych szarą zarazą enklaw zostały zabarykadowane, i to od zewnątrz, aby nikt nie mógł się wydostać z objętego kwarantanną obszaru. Liczył jednak na to, że tutaj – tak daleko od głównych skupisk ocalonych, w dodatku po niemal piętnastu latach – ludzie, którzy powstrzymali w ten sposób zarazę, a potem sami zostali odizolowani od reszty miasta, poszli z czasem po rozum do głowy i zdemontowali część zabezpieczeń, szabrując najsolidniejsze elementy i pożyczając je na własne potrzeby. Miał też nadzieję, że najazd lekterytów pogorszył sytuację ocalonych jeszcze bardziej, do tego stopnia, że nikt nie zwracał sobie głowy tym, czy barykady na jakimś zadupiu nadal stoją.

Jak jest naprawdę, miało się okazać już za chwilę. Jeśli wierzyć mapie, burzowiec powinien doprowadzić zwiadowców do posterunku, za którym ciągnęły się kanały odwodnieniowe biegnące skrajem cmentarza na Grabiszynku. Tam nikt nigdy nie mieszkał, jeśli więc mieli się gdziekolwiek przebijać z enklaw zajmujących podziemia dawnego centrum handlowego, to tylko tutaj.

– Jest posterunek! – zameldował idący na czele grupy Śliski.

Nauczyciel oświetlił latarką ścianę strzegącą wyjścia z enklawy. Jak słusznie się domyślał, nie miał przed sobą fortecy – umocnieniem daleko było nawet do strażnic wznoszonych w biednych Wolnych Enklawach. Mimo to stalkerzy zatrzymali się niepewnie kilkanaście kroków od zardzewiałego rusztowania, na którym wsparto stalowe przedpiersie z jednym tylko otworem strzelniczym i szeroką na metr kłapą otwartą na oścież wazu.

Kurwa mać, pomyślał Nauczyciel, wodząc snopem nienaturalnie białego światła po wewnętrznej stronie posterunku. Właśnie sobie uświadomił, że nie przewidział najgorszego scenariusza.

Wyjście z enklawy zablokowano natychmiast po ogłoszeniu alarmu. Dosłownie chwilę po tym, jak ludzie z sąsiednich sadyb dowiedzieli się o wybuchu zarazy. To była konieczność, w takich przypadkach nie liczyły się żadne sentymenty. Kto nie zrobił wszystkiego, by ocalić swoich, ten ginął razem z ludźmi, nad którymi się litował. Gwardziści i ochotnicy z sąsiednich

sadyb, osłonięci stałą tarcz szturmowych, zablokowali tunele prowadzące do skażonych miejsc, a potem bezpardonowo zepchnęli przerażonych, lecz wciąż żywych i zapewne w dużej części jeszcze zdrowych mieszkańców pustoszonej enklawy z powrotem w okolice posterunków, a w każdym razie za ostatnie rozwidlenia tuneli, by ani jeden chory – często spokrewniony z oprawcami – nie mógł się wy dostać z matni.

Ciała tych, których zdeptano podczas panicznej ucieczki, leżały tuż za włazem, pomiędzy tarczą, z której dwadzieścia metrów dalej powstało czoło właściwej barykady, a zewnętrzną ścianą posterunku. Na nich natomiast spoczywały piętrzące się stosy zwłok ludzi, którzy własnymi paznokciami próbowali rozedrzeć grubą na kilka milimetrów stal i ginęli zaduszeni, zmiażdżeni albo zabici przez kolejnych desperatów. Szara zaraza, niesiona przez następne fale uciekinierów składające się niemal w całości z zarażonych spanikowanych ludzi, dokończyła dzieła zniszczenia.

Wyjście na terytorium Republiki tarasowały dziesiątki złanych w jedną makabryczną bryłę szkieletów. Wielka góra skamieniałych, powykręcanych kończyn, zdeformowanych czaszek i żeber pokrytych biegnącymi w różnych kierunkach pasami szarej masy sięgała prawie do kamiennego nieba.

– I co teraz? – zapytała Karbala.

– Ja nie tknę tego sy fu nawet kijem.

– Na mnie też nie macie co liczyć.

– Z dupy wyjęta zaraza... tfu!

– Wracajmy.

Młodzi stalkerzy cofali się powoli, krok po kroku, mocno wystraszeni, żeby nie powiedzieć: przerażeni. Co innego przejść między leżącymi wokół szkieletami ludzi, którzy zmarli, zanim najstarsze z nich się urodziło, a co innego rozdzierać własnymi rękami zasuszone zwłoki, by oczyścić drogę do barykady.

– Sprawdźmy inne przejścia – zaproponował bez przekonania Nauczyciel.

– To jest najdalsze – odpowiedział Śliski, nie odrywając wzroku od kości połyskujących między bellkami rusztowania. – Jeśli tutaj sytuacja wygląda tak źle, tam może być tylko gorzej.

Karbala i Farciarz poparli go natychmiast. Guma dołączył do nich chwilę później.

– Moim zdaniem nie ma się co oszukiwać – stwierdził. – Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy.

– Może nie do końca. – Szary stanął w samym środku grupy. – Moi ziomkowie oczyścili jakąś drogę od swojej strony – przypomniał.

– To niech i tutaj zrobią porządek – zaproponowała nie bez sarkazmu Karbala.

– O tym właśnie mówię. – Dostawca szariczego mięsa spojrział na Pamiętającego. – Za darmo tego nie zrobią, ale...

– Idź do nich – usłyszał w odpowiedzi. – Jesteś dla nich prawie jak swój. Pogadaj, potarguj się, może odwalą za nas najgorszą robotę.

– To może drogo kosztować – zauważył Śliski.

– Dlaczego?

– Przecież to zwykłe ścierwojady. Jeśli wyczują, że bez ich pomocy sobie nie poradzimy, puszczą nas z gołymi dupami.

– Odblokowaliśmy dla nich przejście, wypalając syreny – rzekł Szary. – Mają u nas dług wdzięczności, więc nie powinno być tak źle.

Nauczyciel zastanawiał się tylko chwilę.

– Powiedz im – zaproponował – że jeśli nam nie pomogą, to jutro ściągniemy tutaj ludzi z Miasta, którzy wykonają tę robotę w zamian za możliwość ograbienia do czysta wymarłych enklaw.

– Akurat uwierzą, że ktoś z naszych to zrobi... – Szary się uśmiechnął. – Powiem im, że pogadamy o tym z Rasą, dodam też, że chytry dwa razy traci.

– Znasz ich lepiej, więc rób, jak uważasz, ale podpowiedz przy okazji, że otwarcie granicy bez niepotrzebnego rozgłosu da im możliwość rozszabrowania kawałka Republiki, zanim pojawią się tutaj inni – dodała całkiem rozsądnie Karbala.

– Tylko nie wspominaj, że otwierają tym sposobem drzwi przed armią wygłodzonych kanibali – zaśmiał się Guma.

Miał wiele racji. Tutejsi byli takimi outsiderami, że mogli nie wiedzieć o pladze lektry znu.

– Zdecydowanie nie poruszaj tego tematu. – Pamiętający poparł Gumę.

– Chwila. – Farciarz wszedł między rozmawiających. – Skoro wszystkie z dupy wyjęte przejścia są pozamykane, niech mi ktoś wytłumaczy, skąd wzięły się tutaj syreny...

Umilkli wszyscy. Nauczyciel nie słyszał nawet jednego szmeru czy pomruku. Stalker z Nowego Watykanu poruszył ważny temat. Mutanty nie wykiełkowały w kanałach, musiały jakoś do nich wleźć.

– Lepiej sprawdźmy naocznie, jak wygląda sytuacja, zanim podejmiemy ostateczną decyzję – zaproponował Guma, przerywając ciszę.

– Jak chcesz to zrobić? – zainteresowała się Karbala.

– Podzielmy się na pary – rzucił brodac. – Każda sprawdzi jedną enklawę i wróci tutaj.

– A jeśli trafimy na syreny?

– Pójdziemy z linami. Jeśli twój partner będzie trzymał dystans, nie przytuli cię żaden piszczący mutek

– Akurat... – zaczęła.

– Cisz! – wtrącił się Nauczyciel. – Guma dobrze gada. Wystarczy, że zachowacie należyłą ostrożność, a nikomu nic się nie stanie. Farciarz i Śliski biorą mapę Rasy, Karbala i Szary dostaną moją kopię, a ja i Guma obejdziemy najbliższe korytarze. Po wykonaniu zadania spotykamy się tutaj. Wykonać!

* * *

Czterdzieści minut później wróciła ostatnia para. Mimo dokładnego sprawdzenia wszystkich tuneli

i studzienek nie znalaziono żadnej drogi, którą wielkie mutanty mogły się przedostać za barykady. Wszystkie posterunki wyglądały podobnie jak ten, pod którym stali, a studzienki co do jednej były zaryglowane. To ich zdziwiło, chociaż Szary przedstawił im po chwili teorię, która w naciągany, lecz zarazem logiczny sposób tłumaczyła, jak doszło do takiej sytuacji.

– Mogły przeleźć którymś z wąskich przepustów odprowadzających wodę spod cmentarza – powiedział. – Jest ich tu parę, ale są tak wąskie, że nawet Śliski miałby ogromny problem, by się nimi przecisnąć.

Jego teoria miała kilka dziur, ale że nie mieli lepszej, po krótkiej dyskusji zgodzili się co do jednego – może to nie idealne, ale na pewno najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Nie pozostało im więc nic innego, jak wrócić do pierwotnego planu.

33 | Tarcza

Szary załatwił sprawę, jak trzeba. Kilkunastu ostatnich mieszkańców tej części Muchoboru poprzemieniło kości ofiar zarazy do bocznych odnóg głównego kanału. Zrobili to w pół godziny za dwa woreczki suszonego zielska używanego przez ocalonych w zastępstwie tytoniu, jeden egzemplarz poźółkłej ze starości gazety i obietnicę, że stalkerzy przez najbliższy tydzień nikomu nie wygadają, gdzie znajduje się jedy na droga wiodąca w głąb Republiki.

Wbrew pozorom nie była to niska cena, lecz Nauczyciel przy stał na te warunki bez większych oporów, zdając sobie sprawę, że bez oddania połowy dóbr, jakie miały posłużyć jego ludziom za łapówkę, będzie musiał zakończyć ten zwiad tutaj i teraz, przed ostatnią przeszkodą dzielącą go od sukcesu. Poczł się jak Kuśtyk który spadł z przeszkody, ale dzięki temu wypadkowi mógł zwycięsko zakończyć wyścig z szarikami.

Rozmontowanie zapory zajęło stalkerom kolejne pół godziny. Obliczona na powstrzymanie tłumy konstrukcja miała bowiem jedną, ale za to kardynalną wadę. Żaden z jej twórców nie pomyślał o tym, że zbudowane przez nich zabezpieczenie może zostać rozmontowane w kilka chwil, jeśli ktoś będzie wiedział, jak się do tego zabrać. A Pamiętający przyjrzał się kilku takim konstrukcjom wystarczająco dobrze, aby poznać ich tajniki. Na jego szczęście ludzie w tej części Republiki korzystali z tej samej wiedzy, jaką dysponowali inżynierowie Wolnych Enklaw, lecz gdyby nawet wysilili się bardziej, Nauczyciel i tak dałby sobie radę, choć zapewne straciłby więcej czasu na przebicie się przez stalową płytę.

Na czym polegała słabość barykady? Ponieważ trzeba ją było zmontować i postawić w wielkim pośpiechu, zastosowano najprostsze metody łączeń. Każda enklawa posiadała na stanie kilka tarcz szturmowych, prymitywnych, ale też bardzo skutecznych narzędzi współczesnego pola walki. Cztery zaoblone stalowe płyty, połączone centralnym trzpieniem, po rozłożeniu tworzyły okrągłą ścianę ze stali, za pomocą której można było zablokować niemal cały przekrój kanału. Konstrukcja ważyła ponad dwieście kilogramów, ale dzięki systemowi rozkładanych podpór pochylona pod bardzo niewielkim kątem bariera była nie do pokonania, a rozmieszczone na niej otwory, zabezpieczone od wewnętrznej strony specjalnymi osłonami, pozwalały razić wroga każdym rodzajem broni. Klingi długich mieczy wysuwano szerszymi od nich o milimetry

szczelinami, Strzały posyłano z dwóch otworów strzelniczych, a wólciami o wąskich grotach dźgano przeciwnika przez okrągłe dziury.

Krótko mówiąc, tarcze były kanałowym odpowiednikiem czołgu, jednakże człowiek, jak to człowiek, na każdą broń znajdzie skuteczną odpowiedź – w tym wypadku były to mołotowy i rozlewany przez wroga olej, który podpalano, gdy szturmujący przeciwnik stawał pośrodku kałuży. Tarcza nie mogła przylegać ściśle do ścian (gdyby tak było, niosący ją ludzie mieliby spore problemy z przemieszczaniem do przodu), tak więc zaproszony ogień wcisnął się natychmiast w każdą szczelinę, rozgrzewając też sam metal, i co było chyba najgorsze, wysysał skąpe zapasy tlenu z kanałów.

Gdy kilka ekip szturmowych skończyło uduszonych, spalonych bądź poparzonych, strona ofensywna także sięgnęła po środki zaradcze, jakimi były najzwyczajniejsze wiadra wypełnione piaskiem służącym do zasypywania wszelkich ciecży. Losy wojny znów uległy zmianie, po czym obrońcy zaczęli stosować gęstszy od oleju łój, którym opryskiwali ściany i stropy kanałów, czyli te miejsca, w których nie dało się stosować piasku. Takiego ognia atakujący nie mogli już łatwo ugasić.

Zabawa trwałaby pewnie do dzisiaj, gdyby walczące o strefy wpływów frakcje nie poszły w końcu po rozum do głowy. A może raczej gdyby nie zabrakło im mięsa armatniego. Pięć lat po Ataku dogadano się ponad podziałami, wyznaczono granice, podzielono wszystko, co nadawało się do podzielenia. Od tamtej pory wojny należały do rzadkości i choć stoczono ich jeszcze parę, były już tylko pozbawionymi większego znaczenia konfliktami lokalnymi.

Tarcze szturmowe przestały być więc potrzebne, reszta bogatsze enklawy miały ich czasem aż za wiele, dlatego gdy zaszła potrzeba szybkiej izolacji od sąsiadów, zaczęto je wykorzystywać na masową skalę. Na tym zadupiu postąpiono bardzo podobnie, wytaskując złom z magazynów i zapominając o nim po pewnym czasie.

– I co teraz? – zapytał Guma, gdy miejscowi skasowali zapłatę i rozeszli się po bocznych kanałach, by wyszabrować przy okazji coś jeszcze. – Tego cholerstwa i w dwa dni nie przetniemy. – Postukał maczetą w żelazne, lekko tylko pordzewiałe płyty, które dawno temu służyły za osłony kanałów technicznych w jakiejś fabrycznej hali.

– Nie musimy niczego przecinać – odparł Pamiętający, zdejmując plecak – W dawnych czasach, gdy walczyliśmy, stosując takie tarcze, najgroźniejsze dla nas było co?

– Ogień! – odpowiedział natychmiast Śliski.

– I tu cię zadziwię, ale wcale nie ogień – odparł Nauczyciel, uśmiechając się zagadkowo. – Najczęściej stosowaną techniką były próby wywrócenia tarczy. Zanim nauczyliśmy się temu przeciwdziałać, straciliśmy wielu dobrych żołnierzy. A teraz najlepsze... Na pewno widzieliście, jak wyglądają barykady na pograniczu Miasta, bo ja obejrzałem je równie dokładnie jak te, które znajdowały się w Wolnych Enklawach. W żadnej z nich nie ma już elementu, który pomagał nam stabilizować tarcze i chronić je przed wywróceniem. Mówię o tych rurach wsuwanych w górną część rusztowania – wyjaśnił, gdy zaczęli robić wielkie oczy. – Jeśli kiedyś tam były, po latach je wymontowano, ponieważ z drugiej strony nie było już nikogo, kto mógłby próbować

otworzyć taką barykadę. Idę więc o zakład, że tutaj jest podobnie, i dlatego przygotowałem to... – Wyjął z plecaka kilka płaskich haków zakończonych otworami, przez które można przewlec linę.

– Damy radę przewrócić takiego potwora w szóstkę? – zdziwiła się Karbala.

– Jeśli wiesz, co robisz, to nie siła, ale rozum stanowi o sukcesie – zaśmiał się Pamiętający. – Poza tym nie musimy niczego przewracać, wystarczy, że ją przechylimy na tyle, by przejść górą.

– A jaksię za nami zamknie?

– Żaden problem – zapewnił ją Nauczyciel. – Od tamtej strony przechylenie jej będzie jeszcze łatwiejsze, wystarczy tylko pozbyć się resztek balastu, bo większość betonowych bloków, którymi dociążono konstrukcję, zrzucimy już przy pierwszym przechyle... jeśli zastosowano tutaj podobne rozwiązania jak u nas i u was.

Przewlekli najgrubszą linę przez trzy haki, które wcześniej zostały wsunięte w szparę pomiędzy sklepieniem tunelu a krawędzią tarczy, potem ustawili się w rzędzie i na komendę pociągnęli z całych sił. Przez moment nic się nie działo, w końcu jednak stalowa ściana drgnęła, ale zaraz wróciła na miejsce.

– Idzie! – wysapał Pamiętający. – Nie odpuszczajcie!

Pociągnęli raz jeszcze, ze zdwojoną energią, zatem tym razem wahnięcie było większe. Z drugiej strony rozległ się głuchy łomot i nagle barykada sama zaczęła chylić się prosto na nich. Karbala zapiszczała, Guma wtulił głowę w ramiona, pozostali stalkerzy cofnęli się z obawą. Tylko jedna osoba nie ruszyła się z miejsca, a był nią Nauczyciel, który stał spokojnie, czekając, aż dolne podpory zaczepią o obłe ściany tunelu, do czego doszło, zanim wielka tarcza pochyliła się o trzydzieści stopni.

Między sklepieniem kanału a jej krawędzią ziała niemal półmetrowa dziura.

– Witajcie w Republice – rzucił uśmiechnięty od ucha do ucha Pamiętający, na co odpowiedzieli gromkimi wiwatami.

34 | Republika

Nie tego się spodziewali. Nie tego.

Gdy minęli cmentarz, idąc jego skrajem, i dotarli do pierwszej enklawy za kordonem, nie zdziwił ich widok opuszczonych dawno kanałów, które różniły się od podziemi Muchoboru tylko tym, że tutaj prócz brudu trafili na zbiorową mogiłę urządzoną w bocznej, ślepej odnodze burzowca. Oczywiście symboliczną. Ciał zmarłych w niej nie było – wszystkie zgodnie z panującym w całym Wrocławiu obyczajem zostały wyniesione na powierzchnię i tam spalone albo porzucone na pastwę mutantów. W kanale cmentarnym pozostały jedynie węzłki zawierające ulubione przedmioty zmarłych, a na deskach, którymi równie symbolicznie zabezpieczono wylot tunelu, ktoś wrył nożem listę ofiar. Sądząc po jej długości, dawna epidemia zdiesiątkowała tę społeczność w znacznie większym stopniu niż dżuma średniowieczną Europę.

Pamiętający zaczął przeliczyć posłania znajdujące się w okolicznych boksach. Z prostego rachunku wynikało, że enklawę przed zarazą zamieszkiwało nie mniej niż sto trzydzieści sześć osób. Imion wrytych w poszarzałym drewnie było dokładnie osiemdziesiąt siedem. Zatem gorączka kwotoczna uśmierciła co najmniej sześćdziesiąt procent ludzi. Co najmniej, ponieważ nie wiadomo, czy pozostali mieszkańcy, być może także już zarażeni, nie odeszli stąd po pochowaniu bliskich w bocznym tunelu i nie pomarli niedługo później, ale już na obcym terenie.

Wizyta w kolejnej enklawie potwierdziła te obawy. Tu także panowała cisza jak makiem zasiał i też znajdowały się cmentarze. Nie jeden, ale trzy, które choć mniejsze, w sumie upamiętniały ponad dwieście dwadzieścia ofiar.

Przygnębienie towarzyszące oddziałowi od granicy nie słabło ani na moment. Wędrówka przez kolejne wymarłe tereny pogłębiała je dodatkowo, a nic nie wskazywało, by miało się to szybko zmienić. Po godzinie wolnego marszu w dalszym ciągu nie trafili na żywą duszę, podobnie jak to było podczas sprawdzania kanałów pod Muchoborem, z tą jednak różnicą, że w tej okolicy nawet Szary nie zdołał wyczuć ukrytych w mroku obserwatorów. Stalkerzy nie napotkali też żadnych śladów świadczących o niedawnej bytności ludzi. Wszystko, co znajdowało się w tych tunelach, zostało pokryte grubą warstwą pyłu, w którym prócz ich tropów nie odcisnął się ani jeden świeży ślad. To prowadziło do prostej konstatacji – noga człowieka nie powstała w tych

kanalach od co najmniej kilku lat.

To wydało się Pamiętającemu nie tylko dziwne, ale też niepokojące. Jego zdaniem kanibale nie przybyli tutaj z dalekich przedmieść, a w każdym razie ich migracja nie mogła być główną przyczyną zmian w zachowaniu lokalnych społeczności. Wyćienzeni i zdziśiatkowani epidemią ludzie przyjęli po prostu jedyne rozwiązanie, które pozwalało im przetrwać najgorsze chwile. Zrobili to samo, co inni cywilizowani ludzie, na przykład sportowcy cudem ocaleni z katastrofy samolotowej w Andach i żołnierze pozostawieni w czasie drugiej wojny światowej w nieprzebranych dżunglach Azji – gdy w oczy zajrzało im widmo śmierci głosowej, sięgnęli po ludzkie mięso.

Gdy wracający z Szariczego Pola kupcy przekazali po raz pierwszy wieści o szerzącym się tam kanibalizmie, wyrażali się jasno: ich karawany nie miały do czynienia z dzikusami, wręcz przeciwnie, wszyscy przewodnicy i tragarze zgodnie twierdzili, że lektery ci zachowują się wobec nich przyjaźnie jak wszyscy pozostali ocaleni, których napotykali w czasie długiej wędrówki, a pytani o powody tak diametralnej zmiany sposobu żywienia twierdzą, że jeśli ich sytuacja ulegnie poprawie, chętnie wrócą do bardziej cywilizowanych obyczajów – o ile połykanie żywych larw i zagryzanie bimbru pieczonymi karaluchami można nazwać wyższą formą człowieczeństwa.

Tutaj powinno więc być podobnie. Lokalne społeczności, przymuszone głodem, poświęcałyby od czasu do czasu najsłabszego osobnika, aby wzmocnić pozostałych i przetrwać, ale na pewno nie wyniszczyłyby się do szczytu, tym bardziej że na powierzchni wciąż kryło się wiele dóbr, z których ci ludzie mogli korzystać. Pamiętający nie rozumiał więc, dlaczego pod dużym osiedlem, zaledwie dwa kilometry od Wieży, nie ma ani jednej żywej duszy.

Kwadrans później, gdy minęli kolejny nasyp kolejowy i znaleźli się w burzowcu biegnącym wzdłuż ulicy Kruczej, będącym przed laty jedną z pięciu głównych arterii Republiki, Nauczyciel kazał zrobić krótki postój.

To już nie było zadupie, tylko tereny znajdujące się w ścisłym centrum dzielnicy zajmowanej niegdyś przez kupców. Ulica biegnąca górą prowadziła prosto do serca Republiki, od ruin Wieży dzieliło ich około półtora kilometra, a mimo to w perspektywie szerokiego, niemal prostego tunelu widzieli wyłącznie mrok. Wszędzie tam, gdzie sięgał snop światła nakręcanej latarki, powierzchnia pokrywającego wszystko kurzu wydawała się gładka i dziewicza, jak pierwszy – choć w tym wypadku szary – śnieg.

– Coś mi tu śmierdzi – rzucił Śliski.

– Gdyby śmierdziało, czułbym się pewnie – skłontował Guma, i słusznie.

Zapach, nawet mało przyjemny, świadczyłby o obecności życia, a tutaj nie dało się wyczuć nic, nawet ten ulotny śwąd dymu, który pomimo doskonałej wentylacji zawsze snuł się w tunelach Wolnych Enklaw i Miasta, tutaj był niewyczuwalny.

– Zanim pójdziemy dalej, musimy dokładniej sprawdzić tę okolicę – zdecydował Pamiętający. – Dzielimy się na pary, jak poprzednio. Karbala i Guma idą na północ – wskazał jedną z odnóg. – Śliski i Szary na południe – jego palec powędrował w kierunku przeciwnego

tunelu. – Farciarz i ja zrobimy wypad w kierunku dawnego placu Powstańców Śląskich.

– Jak daleko mamy iść? – zapytała dziewczyna.

– W połowie drogi do torów skręćcie w lewo i zbadajcie dwie, trzy najbliższe enklawy. Wy – spojrzal na obwiązujących się liną chłopaków – zawróćcie przy obwodnicy. Jeśli nie będzie mnie tutaj po waszym powrocie, cofnijcie się za poprzednie rozwidlenie i tam poczekajcie. Gdyby coś poszło nie tak, zostawiacie większość rupieci i wiejecie na Muchobór. Zrozumiano?

– Tajest! – Śliski zasalutował sprężysto, nie tą ręką i przytykając palce do policzka, ale Nauczyciel nie zwrócił na to większej uwagi. *Nie pora na poprawianie*, pomyślał, *teraz mają się skupić wyłącznie na zadaniu.*

– Zachowajcie najwyższą ostrożność – dodał. – Nie wiem, co tu się dzieje, ale na pewno nie jest to nic dobrego.

Rozeszli się każde w swoją stronę, oświetlając drogę przykręconymi do minimum lampami wystającymi do połowy ze specjalnych futerałów, dzięki którym mogli się błyskawicznie rozplnąć w mroku, nie gasząc płomienia. Pół godziny później, kiedy ostatnia para wróciła na skrzyżowanie, nie byli wiele mądrzejsi. Wszędzie, gdzie dotarli, zastawali ten sam widok Gruba warstwa nietkniętego kurzu, symboliczne cmentarze i ani najmniejszego życia.

– Wszyscy nie mogli zniknąć – upierał się Guma, gdy Karbala jako ostatnia zdała krótki, choć szczegółowy raport.

– Może wynieśli się dalej, na przedmieścia? – podpowiedział Szary.

– Po jaką cholere? – zirytował się brodac. – Czego im tutaj brakowało? Miejsca?

– Zapominasz o prostym fakcie – zgasiła go Karbala. – Żarcie skończyło się po kilku tygodniach, a ludzie mogli być wyčerpani chorobą.

– Mieli tu całkiem przyzwoite fermy szczurów – wtrącił Śliski. – Widzieliśmy co najmniej trzy. Pełno w nich kości padłych zwierząt.

– Może też się pochorowały i wyzdychały – wy paliła dziewczyna, nie zamierzając ustąpić.

– Sami nie dojdziemy do tego, co tu się wydarzyło. – Pamiętający zakończył ich spór, wstając. – Jest, jak jest, i musimy się z tym pogodzić.

– Wracamy? – Guma też się poderwał na równe nogi.

– Nie.

– Dlaczego? – nie odpuszczał brodac. – Wyruszając na zwiad, nie zakładaliśmy, że zajdziemy tak daleko...

– Owszem – przyznał Nauczyciel – ale spójrzcie na to z drugiej strony: nadal nie wiemy, z kim albo z czym mamy do czynienia, a przyszliśmy tutaj przede wszystkim, by uzyskać odpowiedzi na te pytania. – Siedzieli wokół niego z wrokiem wbitym w ziemię i milczeli jak zakłeci. – Skoro tak dobrze nam idzie i dotarliśmy bez problemów aż w pobliże Wieży, moglibyśmy przynajmniej sprawdzić, kto w niej siedzi. Nie interesuje was, co się tutaj wydarzyło i gdzie są ci wszyscy ludzie? – Byli ciekawi, wyczuwał to, ale nadal widział ich niepewne miny. – To by nam oszczędziło kolejnej wyprawy – dodał. – A jeśli trafimy na lekerytów, poobserwujemy ich z ukrycia i znikniemy, zanim ktoś nas zauważy. Macie na to moje

słowo.

35 | Wieża

– Pusto – zameldował Szary, opuszczając delikatnie pokrywę studzienki kanalizacyjnej – i ciemno jak w grobie. Totalna cisza. Jedzie wyłącznie stęchlizną.

Siedzieli w wąskim przepuście pod parkingiem centrum handlowego, które przed Atakiem należało do tego samego kompleksu co Wieża. Z tego, co dawno temu mówili kupcy, a powtórzyła wczoraj Freja, wynikało, że w tych podziemiach mieszkali najbogatsi i najznacniejsi przedstawiciele Republiki. Wstęp tutaj mieli więc tylko nieliczni, zaufani ludzie, a kanałów wylotowych podobnych do tego, w którym przyczaili się stalkerzy, strzeżono z obu stron dzień i noc.

Dzisiaj jednak zwiadowcy Pamiętającego nie mieli żadnego problemu z dostaniem się do zabezpieczonej uchylną kratą rury, której jedynym zadaniem było odprowadzenie nadmiaru wody w razie ewentualnego zalania albo powodzi. Burzowiec, w którym się kończyła, był bowiem taksamo martwy i pusty jak cała reszta odizolowanej siedem lat wcześniej dzielnicy.

Na centymetrowej warstwie kurzu stalkerzy nie dostrzegli choćby jednego odcisku buta czy nawet tropu gryzonia, przez co im bardziej się zbliżali do gigantycznej budowli, tym większy czuli niepokój i... zaciekawienie.

W tym miejscu wydarzyło się coś dziwnego – tragedia, która zmusiła tysiące ludzi do odejścia w siną dal – ale jedno było pewne: w żadnym razie nie chodziło o dawno wygasłą epidemię. Gorączka krwotoczna zebrała ogromne żniwo, zmarło na nią prawie trzy czwarte mieszkańców Republiki Kupieckiej, ale ci, którzy przetrwali, poradzili sobie potem i z utylizacją ciała, i z oczyszczeniem enklaw, w których jeszcze przez kilka lat mieszkali, zanim zostali zmuszeni do odejścia bądź... zniknęli.

Nauczyciel coraz częściej myślał o tej drugiej ewentualności. Z początku odrzucił teorię, że powodem tej pustki są wprowadzenia podobne do tych, które przyczyniły się do wyludnienia Muchoboru, jednakże im dłużej wiódł stalkerów kanałami opustoszałej Republiki, tym bardziej skłaniał się ku przekonaniu, że wszystko, co odkryli w trakcie tego zwiadu, łączy się w spójną, logiczną całość. Niestety – choć rozwiązanie miał tuż przed oczami – wciąż nie potrafił scalić elementów tej układanki, ponieważ brakowało w niej najważniejszej, centralnej części. Właśnie

z tego powodu namawiał towarzyszących mu młodych ludzi, by poszli za nim dalej, nawet na szczyt Wieży, gdzie jaksądził, poznają w końcu całą prawdę.

Ktoś przecież musiał pilnować ognia, który od kilku lat płonął noc w noc na szczycie tego budynku. A nie ma na tym świecie człowieka, którego nie da się złamać, o czym nie tak dawno temu Nauczyciel sam boleśnie się przekonał. Tak, Zadra był bardzo bliski sukcesu... Jeszcze kilka godzin, obcięcie paru kolejnych palców albo zastosowanie innych, równie okrutnych tortur i Pamiętający stałby się kolejną bezwolną ofiarą watażki Dresów. Jego duma prysłaby jak bańka mydlana. Błagałby o litość, skamlał o śmierć, zrobiłby wszystko, byle zakończyć ten koszmar.

– Co robimy? – leżąca za nim Karbala zaczęła się niecierpliwić.

Potrzebował kilku uderzeń serca, by wrócić do rzeczy wistoci. Wieża, zwiad.

– Wy chodzimy.

Szary podnosił żeliwną kratę studzienki bardzo wolno, z kilkoma przerwami, by zgrzyt trącego o siebie metalu nie zdradził przedwcześnie ich obecności. Chwilę później, podpierany przez stojącego o dwa szczeble niżej Śliskiego, wysunął się z wąskiej studzienki i położył na plecach, składając dźwigany ciężar na klatce piersiowej. Gdy podciągnął nogi, pozostali stalkerzy wypelzli na parking, zachowując niemal kompletną ciszę, i natychmiast zniknęli w otaczającym ich mroku, by zająć najdogodniejsze pozycje obronne. Na sam koniec kratka spoczęła na kilku kawałkach przyniesionej specjalnie w tym celu sparciałej opony.

Nauczyciel uśmiechnął się pod nosem. Tutaj cichy szmer, tam ledwie słyszalny chrobot, tylko takie dźwięki dobiegały z ciemności. Poruszając się w obcym terenie, na którym panuje w dodatku grobowa cisza, stalkerzy nie mieli szans na bezszelestne opuszczenie kanałów, ale w normalnych warunkach weszliby do obozu wroga niezauważeni, jak najlepsi zawodowcy z czerwonych beretów albo GROM-u.

Po dotarciu na wyznaczoną pozycję Nauczyciel odczekał dłuższą chwilę, wytężając tylko słuch, ponieważ wypatrzenie czegokolwiek w egipskich ciemnościach nie wchodziło w grę.

Z mroku nie dobiegał żaden dźwięk, za to od tej ciszy zaczynało mu już dzwonić w uszach. Policzył wolno do dziesięciu i kliknął dwukrotnie językiem. Gdzieś daleko po prawej zrobiło się jaśniej. Śliski, na dany mu znak, wysunął lampę z futerału. Pozostali członkowie oddziału przywarli natychmiast do osłon, za którymi się ukrywali, zaciskając dłonie na rękojęściach noży i maczet lub napinając cięciwy łuków.

Ich kompan celowo oddalił się na odległość kilkunastu metrów. Jeśli to pułapka, przeciwnik uderzy nie tam, gdzie trzeba, dzięki czemu przy wyrównanej liczebności stalkerzy mogliby wygrać to starcie, a gdyby okazało się, że stoją na z góry przegranej pozycji, zyskaliby chwilę na wycofanie się do przepustu. Przetrenowali ten manewr w jednej z opuszczonych enklaw, za trzecim razem osiągając całkiem zadowalające wyniki.

Na razie jednak nic się nie działo. W raniącej uszy ciszy słychać było wyłącznie cichnące kroki Śliskiego. Blask niesionej przez niego lampy przy gasał z wolna, by po chwili zacząć jaśnieć, ale już po drugiej stronie, za nimi, gdzie także znajdowało się przejście.

– Czysto – zameldował moment później konusowaty wabik. Wybrali go do tej roli głównie ze

względu na głąbkość i wymiary. Kto, jeśli nie on, miał szansę na najszybsze wślizgnięcie się do wąskiej studzienki? – Wszystkie boksy wyglądają na dawno opuszczone – dodał, kucając obok pozostałych członków oddziału. – W przejściach i przy drzwiach widziałem tylko nietknięty kurz. A resztę sami musicie zobaczyć... – zawiesił głos.

– To się kupy nie trzyma – Karbala wpadła mu w słowo, nie zwracając uwagi na ten zabieg oratorski. – Wieża jest ostatnim miejscem, w którym powinny się schronić niedobitki republikanów.

– Niekoniecznie – mruknął zamyślony Nauczyciel, który także niezbyt uważnie słuchał Śliskiego. – Przysliby tutaj, gdyby zamierzała zostać, ale mogli przecież wybrać inne rozwiązanie i wycofać się na przedmieścia.

– Od chwili Ataku ludzie przesiedlali się raczej w przeciwnym kierunku – zauważyła przytomnie dziewczyna.

– Owszem – przyznał – ale tutaj wydarzyło się coś, co mogło zmienić ich sposób myślenia.

– Na przykład co? – zainteresował się Guma.

– Na przykład uprowadzenia... – odpowiedział bezwiednie Pamiętający, zanim ugryzł się w język

Spodziewał się bardziej żywiłowej reakcji, protestów, śmiechu, kpiny, jednakże na twarzach otaczających go młodych ludzi widział tylko niepewność i... strach.

– To, co ich... pochłonęło, polazło potem na Muchobór – wymamrotał w końcu Szary.

– Czyści – szepnęła Karbala. – Mówię wam, to ich robota.

Nauczyciel spojrział na nią spode łba. Już otwierał usta, by rzucić jakąś kąśliwą uwagę, gdy nagle dotarło do niego, że zrzucenie winy na wcale nie tak mityczną społeczność, jak by się mogło wydawać, jest mu w tym momencie na rękę. Czyści to mimo wszystko nie demony, które pożerają ludzi i znikają bez śladu.

– Ktoś ci chyba za dużo bajek naopowiadał – zakpił z dziewczyny Szary, ale jakoś bez przekonania.

– Jeśli nie oni, to kto? – zapytała buńczucznie, wyzywając, że tym razem nie napotka oporu.

– Z dupy wyjęci lektry ci? – podrzucił milczący do tej pory Farciarz.

– I co, zjedli wszystkich razem z kośćmi? – zarechotał Guma.

– Nie, zabrali ich w pizdu, na z dupy wyjęte Bielany albo i dalej, skąd tam przyleźli – dodał stalker z Nowego Watykanu.

– Niegłupio gadasz – poparł go Szary. – Może poza miastem da się mimo wszystko żyć? – Przeniósł pytające spojrzenie na Pamiętającego.

– Nie sądzę. Wiem o co najmniej pięciu próbach wysłania ludzi poza Wrocław. Żadna z nich nie skończyła się szczęśliwie. W czterech przypadkach słuch po śmiałkach zaginął, z piątej wyprawy wrócił tylko jeden stalker...

– I co?

– I nic. Ocalał tylko dlatego, że miał cholerne szczęście. Jego ekipa dotarła do Psar, po drodze odnajdując rzeczy i szczątki chłopaków z dwu poprzednich grup. Tutaj, w ruinach w pobliżu

krateru, mutków jest niewiele, ale tam, na otwartej przestrzeni, rządzą od wielu lat.

– Wiesz, przyjacielu, ja może młoda jestem i głupia, ale jedno zrozumiałam z tego, co mi ojciec mówił. Strefa największego skażenia ciągnie się od centrum Wrocław na północ, na południu sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej.

– Masz rację – stwierdził Nauczyciel – sytuacja na południu mogłaby wyglądać inaczej, gdyby nie prosty fakt... – Urwał. – Słyszałeś o opadzie globalnym? – Sądząc po minie, nie słyszała. – Radioaktywny syf uniesiony innymi eksplozjami rozlał się wszędzie. Myślisz, że kupcy nie organizowali wypraw od swojej strony? Z tego, co wiem, wszystkie zakończyły się podobnie. Ludzie, którzy wyszli za miasto, albo zdychali na chorobę popromienną, albo... gdy poziom radioaktywności opadł już na tyle, by na powierzchni dało się wytrzymać kilka godzin z rzędu... padali ofiarami zmutowanych zwierząt i roślin. We Wrocławiu walczyliśmy z nimi, jak możemy, ale tam, gdzie ludzie wyginęli, bo nie było gdzie się ukryć, mutki rozpleniły się jak ta zaraza – wskazał głową studzienkę.

– Czyli wyjście z miasta odpada? – uściślił Guma.

– Moim zdaniem tak

– A więc to musi być robota Czystych – obwieściła tryumfalnie Karbala.

Tym razem nikt nie zaprotestował.

– Przeszukajcie cały parking – rozkazał Pamiętający, korzystając z chwili milczenia. – Może znajdziemy coś w bolsach... jakieś stare zapiski albo listy, z których dowiemy się czegoś więcej o przyczynach zniknięcia reszty kupców.

36 | Schody

Przeszukanie nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Mieszkańcy kanałów rzadko prowadzili zapiski, głównie z braku materiałów piśmiennych, które skończyły się bezpowrotnie w pierwszych latach nowej ery. Tutaj, w Republice, kultywowano za to do samego końca księgowość, ponieważ bez niej nie było szans na połapanie się w interesach, które opierano głównie na barterze; ty potrzebujesz filtra, ja noża, wymieniamy się więc jeden do jednego, dwa do jednego albo trzy do dwóch i wszyscy są zadowoleni. Karawany zносиły do najodleglejszych części Wrocławia najpotrzebniejsze towary, sprowadzając do dzielnic leżących w centrum to, czego z kolei brakowało tutaj.

Nadwyżki z tej wymiany pozwoliły Republice na szybkie wzbogacenie. O tym, jak wielkim majątkiem dysponowali najlepsi kupcy, stalkerzy przekonali się, chodząc od... chaty do chaty, bowiem bolsami tych posiadłości nie można było nazwać.

Z dalekich przedmieść, gdzie eksplozja głowicy nuklearnej nie spowodowała tak wielkich zniszczeń, sprowadzono na ten podziemny parking kilkanaście strzelistych domków typu Brda i najzwyklejszych kempingów, ale murowanym – dosłownie i w przenośni – hitem tej enklawy okazał się dom. Normalny budynek z pustaków, nieotynkowany rzecz jasna, ale za to z prawdziwymi drzwiami i oknami, w których wszystkie szyby były całe i nieporysowane.

We wnętrzach tych rezydencji także było bogato. Właściwie nie różniły się one niczym od skromnych przedwojennych mieszkań. W kuchniach stały wprawdzie piece na węgiel, lecz było to chyba jedyne poważne odstępstwo. Elita Republiki miała własne bojery do podgrzewania oczyszczonej w porządnym sprzęcie wody, zbiorniki grawitacyjne umieszczone nad dachami, turystyczne instalacje sanitarne i każdą inną wygodę, która nie wymagała użycia elektroniki.

Onieśmieleni tymi cudami stalkerzy myszkowali po parkingu ponad godzinę, a potem, po krótkiej odprawie, podczas której zameldowali Pamiętającemu o braku wyników, zebrali się przy drzwiach prowadzących na wyższy poziom.

Od wyjścia z Bazaru upłynęło pół doby. Zbliżała się osiemnasta, zatem do zmierzchu pozostało niewiele czasu, a Pamiętający chciał choć przez krótką chwilę przyjrzeć się okolicy. Z górnych piętér zrujnowanego wieżowca miałyby doskonały widok nie tylko na krater, ale

i tereny leżące już poza aglomeracją. Z perspektywy czterdziestego albo wyższego piętra powinien zobaczyć kawał ziemi. Najpierw jednak musieli dotrzeć do Wieży.

Z parkingu podziemnego wydostali się na parter galerii handlowej. Fale, uderzeniowa i termiczna, nie oszczędziły tej budowli. Wszystko to, czego nie zmiotł potężny podmuch, zostało osmalone i zniekształcone. Niegdyś srebrzyste filary wyrwało z posad. Z podłóża wystawała jedynie płatanina poskręcanych, przeżartych rdzą prętów zbrojeniowych.

Wspierane kolumnami piętro galerii wytrzymało jakimś cudem, mimo że po eksplozji musiało sprostać kolejnemu, kto wie, czy nie poważniejszemu zagrożeniu. Spadające z wysokości kilkudziesięciu pięter elementy konstrukcyjne przebiły się przez przeszkłony niegdyś dach, miażdżąc wszystko na swojej drodze. Wielotonowe bryły betonu wyryły w gustownie zdobionych ścianach głębokie bruzdy, zanim roztrzaskały się o kamienne posadzki, zasypując całą galerię gradem odłamków.

Wychodząc z ciemnej klatki schodowej, Pamiętający zmużył oczy, ale gdy tylko jego wzrok przywykł do blasku dnia, zadarł głowę i przez nieistniejące od lat zadaszanie spojrzął na majestatyczną wciąż budowlę.

Wieża, jak każdy nowocześnie budynek, miała dwa oblicza: to piękne i uładzone, stworzone iluzją szklanej elewacji, i drugie, surowe, ukryte pod chromem i tafłami barwionego szkła. Teraz po blitrze nie pozostał nawet ślad. Nieposkromiona siła eksplozji nuklearnej odarła budynek ze wszystkich zdobień z taką łatwością, jak jesienny wichur obrywa uschnięte liście z drzew. Potworne uderzenie sprasowanego na kamień powietrza strzaskało wielowarstwowe hartowane szkło, wtłaczając je do wnętrza, porywając meble i resztę wyposażenia i wydmuchując wszystko przeciwległą stronę, by rozrzucić szczątki po połowie dzielnicy. Obecnie z morza ruin sterczał w niebo pokruszony betonowy walec przypominający, i to bardzo, pewien krakowski gmach zwany nie bez przyczyny Szkieletorem. Szaro-czarny kręgosłup, podzielony żebrami pięter, na którym przed dwudziestu laty opierała się konstrukcja najwyższego budynku we Wrocławiu.

– Jest moc, nie? – Szary także zadarł głowę. – Ile to cudo miało pięter?

– Nie pamiętam – odparł Nauczyciel – ale na pewno ponad czterdzieści.

– Wysocki jak komin elektrociepłowni – mruknął z nieklamany podziwem Guma.

– Wyższy – poprawiła go Karbala. – Tak przy najmniej słyślałam.

– A może by tak który zainteresował się tym, co na dole, zamiast ślepić w niebo? – opieprzył ich Śliski.

– Z dupy wyjęte ślady – zawtórował mu Farciarz, ściągając pośpiesznie łuk

To zdanie otrzeźwiło pozostałych stalkerów. Rozbiegli się i przycupnęli za osłonami, by jak najszybciej zejść z pola rażenia. Pamiętający podczołgał się do chłopaka, który wszczął alarm.

– Gdzie? – zapytał.

– Tam – Śliski wskazał kierunek brodą.

Po prawej stronie galerii, pod ścianą, w miejscu, gdzie gruzu było najmniej, rzuciła się w oczy wyraźnie wydeptana i częściowo oczyszczona ścieżka, którą poruszali się ludzie. Ślady prowadziły od wejścia, które stalkerzy mieli za plecami, wzdłuż całego holu i kończyły się przy

gigantycznym zwałowisku, na które trzeba było się wspiąć, by wyjść na ulicę po przeciwnej stronie.

– Więc jednak ktoś tu mieszka – skwitowała leżąca za ułamkiem filara dziewczyna.

– Mieszkał – odparł Pamiętający, zrywając się z ziemi i otrzepując brud z kurtki. – Te ślady nie są nowe – dodał, żeby wszyscy mieli pełną jasność. – Zebrało się w nich sporo kurzu.

Teraz, gdy przyjrzeni się tropom uważniej, zauważyli, że nawet tam, gdzie odcisnięte są najświeższe ślady, szary pył ma grubość milimetra albo dwóch.

– Stare też nie są – ocenił Szary, zbadawszy kilka odcisków. – Ktoś tędy przechodził wielokrotnie, ostatni raz jakieś dwa tygodnie temu. Czterech mężczyzn, wszyscy rośli albo mocno obciążeni, sądząc po głębokości śladów. Szli gęsiego, szybko, nie czając się i nie rozglądając, jakby znali teren i nie obawiali się, że wpadną w zasadzkę.

– Sprawdźmy, dokąd prowadzą... – zaproponował Nauczyciel, wyciągając maczetę z pochwy.

Ruszyli tym samym szlakiem, z którego korzystali ich poprzednicy. Dotarli raz-dwa do przeciwległego wyjścia, lustrując wzrokiem każdy zakamarek. Gdy wspinali się kolejno na przymę gruzu, łucznicy osłaniali ich, mierząc w kierunku górnego poziomu galerii. Na polecenie Nauczyciela zatrzymali się przed szczytem i przypadli do ułamków betonu. Pamiętający przywołał do siebie zamykającego stawkę Farciarza, położył mu rękę na ramieniu i poprosił:

– Zrób tę sztuczkę z wodą.

– Nie ma problemu. – Były przemytnik bimbru schował strzałę do kołczanu, sięgnął do chlebaka, wyjął cynową miseczkę, ułożył ją ostrożnie na ziemi, a potem napenił wodą.

– Niech nikt nie waży się ruszyć – ostrzegł, pochylając się mocno.

Stał tak przez pół minuty, zastygł w niewygodnej pozycji z wstrzymanym oddechem. Pozostali członkowie oddziału przyglądali mu się zdziwieni – wszyscy oprócz Szarego, który musiał teraz pilnować dwu stron galerii.

– Czy sto – oznajmił w końcu Farciarz, sięgając po miseczkę.

Upił łyk i podsunął naczynie Karbali, która – wciąż patrząc na niego dziwnie – przyjęła poczęstunek i przekazała go dalej.

– Co to za czary-mary? – zapytała, odwracając się do Nauczyciela.

– Tak w naszej okolicy sprawdzamy, czy w pobliżu nie ma większych mutków – wyjaśnił, nie zagłębiając się w szczegóły.

– Ale jak to działa? – nie odpuszczała dziewczyna.

– On ci to później wyjaśni – zbył ją. – Idziemy dalej! – rozkazał, wspinając się na stertę gruzu.

Na otwartej przestrzeni, gdzie szalał wiatr, ślady się urywały, nie dla wszystkich jednak Szary rozejrzał się uważnie, przycupnął w kilku miejscach, rozgarnął resztki pyłu palcami, pomamrotał pod nosem, a następnie przywołał resztę pod zielone i niegdyś przeszkłone drzwi, które ktoś wznocnił przy śrubowanym stalowym mi płytami.

– Tam weszli – zameldował, pokazując ledwie widoczny obrys podeszwy znajdujący się

przy samej ścianie. – Trzej osłaniali, czwarty zajmował się otwieraniem zamka – wskazywał palcem domniemane pozycje poprzedników.

– Korzy stali z kluczy ... – mruknął Nauczyciel, przyglądając się drzwiom, a potem nacisnął klamkę.

Nic. Nawet nie drgnęły.

– Co za nimi jest? – zapytała Karbala.

– Coś okowatego – odpowiedział jej Śliski.

– Co?

– Tyle zostało z napisu. – Cherubinek wzruszył ramionami.

Nauczyciel odszedł od ściany, żeby spojrzeć na słupek informacyjny. Zdobiąca go płyta z kilkoma skośnymi kreskami była od góry strzaskana, zachował się więc tylko początek i koniec napisu.

– Tara... Taras widokowy – odszyfrował po chwili.

Stali przed osobnym wejściem na jedno z ostatnich pięter, gdzie – jeśli Pamiętający niczego nie mylił – miał się znajdować najwyższy punkt widokowy w mieście. Miał, ponieważ do chwili Ataku nie został udostępniony zwiedzającym.

– Taras? – zdziwił się Szary.

– W drapaczach chmur robiono takie galeryjki, z których ludzie mogli oglądać panoramę miasta – wyjaśnił Nauczyciel. – U nas, widać, ktoś też chciał mieć coś podobnego.

– To pewnie tam pali się ten z dupy wyjęty ogień. – Farciarz zadarł głowę, ale zaraz zaczął gniewnie syzczeć, bo coś wpadło mu do oka.

Pamiętający także popatrzył do góry, mrużąc powieki. Od tej strony nie ostała się ani jedna cała szyba, tylko metalowa konstrukcja i sterzące w równych odstępach płyty z wietrzącego, kruszącego się betonu.

– Jakis ruch widzę – zameldował Guma, który ubezpieczał ich od tyłu.

Przypadli do ziemi, łapiąc za broń.

– Gdzie? – zapytał Nauczyciel, sięgając po niewielką lornetkę teatralną.

– Tam, między budynkami – wskazał stalker.

– Nic nie widzę – rzucił Pamiętający, przeczesawszy wzrokiem okolicę.

– Moment... – odpowiedział Guma. – Teraz!

Po przeciwnej stronie ulicy za budynkami widać było dwa domy i to właśnie przy nich, w wąskim przejściu między ścianami, pojawił się wężący szarik. Stał przez dłuższą chwilę z wysoko uniesionym łbem, ale na szczęście z wiatrem, nie mógł ich więc wyczuć. Musiał jednak usłyszeć echa ostatniej rozmowy, choć nie był w stanie wychwycić, z której strony dobiegały. W końcu zawiedziony zniknięciem tropu otrząsnął się energicznie i potruchtał gdzieś w lewo, znikając z pola widzenia.

– Od tej chwili zero gadania bez potrzeby – ostrzegł pozostałych Nauczyciel, zniżając głos do szeptu. – Ktoś zna się na otwieraniu zamków? – zapytał.

Pokręcili głowami. Szłoda. Wyłamanie drzwi nie wchodziło w grę. Hałas z pewnością

przy ciągnąłby mutanty, a uszkodzonego skrzydła nie dałoby się z powrotem zamknąć, zatem...

– Psst – syknął Szary, przy wołując do siebie Pamiętającego.

– Co się dzieje?

– Tak się zastanawiam... Oni tu przychodzili regularnie, sądząc po odciskach butów, nie zawsze w tym samym składzie.

– I co z tego?

– Taka wyprawa przez kawał miasta do najbezpieczniejszych nie należy, nie?

– To wszyscy wiemy. Mógłbyś się streszczać? Bo nie chcę stać się przekąską dla jakiegoś zaropiałego mutka.

– Ja bym nie nosił przy sobie klucza – zakończył stalker – tylko ukrył go gdzieś tutaj, żeby w przypadku komplikacji moi kompani mogli wykonać zadanie.

– Tak mówisz?

Szary mógł mieć rację. Gdyby ekipa straciła człowieka, który niósł klucz, jej wyprawa skończyłaby się pod tymi drzwiami. Być może bardzo tragicznie. Co szkodziło poszukać? Jeśli klucz ukryto, to na pewno w pobliżu. Musiał być pod ręką, tak na wszelki wypadek. Problem jednak w tym, że potencjalnych kryjówek były wokół setki, od co większych bryłek gruzu, pod które można wsunąć coś płaskiego, po rumowisko za wybitymi oknami i znajdujący się na wprost wyjścia z galerii wielki gazon.

– Daj mi powęszyć – poprosił tropiciel.

– Czuj się jak u siebie na powierzchni – odparł Pamiętający i zaraz przeszedł do Gumy.

– Wrócił?

– Nie.

– Miej na niego oko...

– Psst...

Szary znów go przyzywał.

– Co jest?

– Patrz... – Stalker odwrócił niczym się niewyróżniającą bryłkę gruzu, po czym rozłożył ręce w tryumfalnym geście. W zagłębieniu wybitym przez spadające elementy konstrukcji leżał lekko porzdewiały, prymitywnie wypiłowany klucz.

– Jak go wypatrzyłeś?

– Spójrz! – Chłopak wskazał na płyty chodnika.

– Nic nie widzę.

– Przyjrzyj się uważniej.

Teraz zebrali się wokół nich wszyscy prócz obu wartowników.

Pamiętający przykłęknął, spojrzał pod ostry młotem na gładki nigdyś kamień i zobaczył... ledwie widoczny ślad, a raczej jego część, jakby do tej płyty przylegała tylko przednia część podeszwy buta.

– Już widzę. Ktoś tutaj przykucnął.

– Właśnie.

– Niezły jesteś.

– Dlatego mnie wybrałeś.

– Widzę ruch – zameldował znowu Guma.

– Do roboty... – Nauczyciel popchnął tropiciela w kierunku drzwi, a sam podniósł głowę, by sprawdzić, z czym mają do czynienia tym razem.

Tam, gdzie przedtem stał jeden szarik, teraz kręciły się trzy wypasione basiory: stare, wielkie, podekscytowane. Cholerstwa były tak wyczulone, zapewne przez tę ciszę, że wychwytywały każdy, najlżejszy nawet szmer. Za moment zaczną krążyć, przeczesując okolicę, a gdy któryś zauważy człowieka...

Nienaoliwione zawiasy zapiszczały przeraźliwie.

– Do środka! – Pamiętający zerwał się momentalnie. – Farciarz, strzel w tamtą ścianę – dodał, wskazując palcem kierunek.

Łucznik wykonał rozkaz bez zadawania pytań. Strzała odbiła się od muru tuż nad łbami mutantów, odwracając na mgnienie oka ich uwagę. W tej samej chwili członkowie oddziału zerwali się do biegu. Od drzwi dzieliło ich tylko kilka metrów, szariki miały do przebiegnięcia dziesięć razy więcej.

Byli bezpieczni...

37 | Dragon

Czterdzieści dziewięć pięter. Morderczy dystans, zwłaszcza dla ludzi, którzy prawie nigdy nie musieli korzystać ze schodów. Możesz być silny i pokonywać wiele kilometrów bez zadyszki, ale to w niczym nie przygotowuje cię do mordęgi, jaką przeżyjesz, wspinając się mozolnie stopień po stopniu. Przy tym ruchu pracują zupełnie inne partie mięśni niż przy normalnym chodzeniu. Nauczyciel dobrze o tym wiedział, zdawał więc sobie sprawę, jakie zakwasy będą mieli następnego dnia jego młodzi towarzysze.

Nie wspominał im o tym, ale zadbał, by nie forsowali się zbyt mocno. Pierwszy postój zrobili na dwudziestym czwartym piętrze, tam, gdzie odpoczywali ludzie, którzy wspinali się na Wieżę przed nimi. Stalkerzy rozsiedli się na półpiętrze wąskiej klatki schodowej, na której prócz wszechobecnego kurzu nie było widać nawet śladu dawnej wojny. Jasna farba, którą pomalowano ściany, łuszczyła się wprawdzie ze starości, ale metalowe poręcze wciąż były gładkie i lśniące. Śliski oparł się o nie łokciami i zapatrzył w dół, a potem splunął. Wielka kropla gęstej śliny zwisała z jego ust, rozciągnęła się mocno, jakby zrobiono ją z gumy, i wreszcie zerwała się z uwięzi, by pomknąć w mrok.

– Czuję się jak po całej zmianie w rowerowni – wyśapała Karbala, osuwając się plecami po ścianie.

– A to dopiero połowa drogi – zaśmiał się chrypliwie Szary. – Ta łatwiejsza.

– Żeby cię tak pilak wymamlał, paciuloku – odburknęła dziewczyna, ocierając czoło.

Jej czarne włosy nie przypominały już w niczym ułożonej fryzury, z jaką przyszła na pierwsze spotkanie. Były przepoczone, splątane, przyprószone siwizną wszechobecnego pyłu. Pamiętający potoczył wzrokiem po reszcie. Wszyscy wyglądali podobnie, byli brudni, wymęczeni, ale i zadowoleni. Zafundował im wyprawę życia, weszli na tereny uznawane za niedostępne i odkryli sekret wymarłej dzielnicy, dzięki któremu staną się sławni. Jego cieszyło co innego. Wojny z lekerytami nie będzie, a ludzie z Miasta znów przejmą we władanie najbogatszą i najmniej skażoną dzielnicę.

Pytanie tylko, czy i oni nie zaczną znikać... Ta myśl go zmroziła.

– Koniec tego dobrego. Zasuwamy dalej. Następnym popas na trzydziestym szóstym piętrze.

Mamrotali pod nosami niezadowoleni, ale wykonali jego polecenie. Pokonanie kilkunastu kolejnych kondygnacji zajęło im mniej więcej tyle czasu co pierwszych dwudziestu czterech, a pięć minut przeznaczonych na odpoczynek spędzili w milczeniu, dysząc ciężko jak po wyczerpującym biegu. Ostatni etap, zgodnie z logiką Szarego, był największą mordęgą, nic więc dziwnego, że dosłownie padali z nóg, gdy dotarli w końcu do właściwych drzwi.

Nauczycielowi też serce waliło, jakby miało zamiar wyłamać żebra, a krew łomotała w uszach tak, że ledwie słyszał narzekania Karbali. Nikt już nie myślał o tajemnicy, o ludziach, którzy tu przychodzili, najważniejsze było zacerpnięcie kolejnego tchu i dotarcie do miejsca, gdzie będzie można zwalić się na beton, by naprawdę dać odpocząć miękkim nogom.

Pamiętający chwycił Śliskiego za kołnierz, ściągnął go z kolejnego ciągu schodów. Stalker był tak oszołomiony wspinaczką, że chciał iść dalej, na dach.

– Te, leming, to już koniec – mruknął rozbawiony Pamiętający, nawet nie przewidując, jak prorocze są te słowa.

W tym samym momencie Karbala pociągała za metalowe drzwi znajdujące się na końcu krótkiego korytarzyka. Za nimi...

Tego, co wydarzyło się мгніenie oka później, nikt chyba nie zdołałby opisać. Dziewczyna nie zdążyła nawet pisnąć, gdy jakaś siła oderwała ją od ziemi i cisnęła w głąb blasku bijącego zza drzwi prowadzących na zrujnowany taras. Stojący krok za nią Szary i Guma odbili się z głuchym łomotem od ścian. Otwierający usta Farciarz śmignął w tył, przewinął się z głuchym jękiem przez barierkę i poleciał w mrok.

Dopiero wtedy oślepiony dotąd Nauczyciel dostrzegł sprawcę całego zamieszania. Za drzwiami czaił się niemal dwumetrowy olbrzym o posturze niedźwiedzia – tylko tyle dało się zauważyć pod światło, ale to wystarczyło, by Pamiętający upuścił plecak i obiema rękami pchnął zdezorientowanego Śliskiego w kierunku napastnika, aby kupić sobie choć sekundę dodatkowego czasu. Potem, nie oglądając się, pognął pędem przez kolejne ciągi schodów, goniony głośnym śmiechem. Obaj, i on, i przeciwnik, zdawali sobie sprawę z tego, że to nie droga ucieczki, że te stopnie prowadzą na bardzo bliski dach wieżowca...

Wspomagany dawką adrenaliny Nauczyciel zapomniał o zmęczeniu i skróconym oddechu. Teraz liczyło się tylko jedno: musiał zyskać na czasie, by zdążyć przygotować się do obrony. Na wąskich i stromych schodach nie miał specjalnych szans z tym wielkoludem, ale gdy znajdzie się na otwartej przestrzeni...

Wypadł przez służę na dach budynku, mrużąc oczy, by moment oślepienia trwał jak najkrócej. Odbiegł kilka kroków od domykających się wolno drzwi i wyhamował ostro, sięgając jednocześnie po maczetę. Stał na szeroko rozstawionych nogach na najniższym z trzech poziomów dachu, dwa kroki od krawędzi tarasu, za którą znajdowały się już tylko powyginane elementy stalowego rusztowania.

Czekał, ale napastnika wciąż nie było. Mijały kolejne sekundy, odmierzane rytmem szamoczącego się serca. Pięć, dziesięć, piętnaście. W końcu drzwi drgnęły, olbrzym wyszedł na dach, pochylając się mocno, by nie zawadzić głową o futrynę.

Facet byłby prawdziwym gigantem nawet wśród pokoleń zamieszkujących ten świat przed Atakiem. Gdy wyprostował się dumnie, górował nad Pamiętającym o co najmniej dwie głowy. Był barczysty, wyżyłowany, ruchy miał skoordynowane, płynne, jak ktoś, kto w pełni kontroluje swoje ciało, a to w przypadku większości bardzo wysokich ludzi wcale nie jest normą.

Nauczyciel przyglądał mu się spod na wpół przymkniętych powiek, wciąż jeszcze walcząc o odzyskanie pełnej ostrości widzenia. Na szczęście przeciwnik nie śpieszył się, wchodził na dach wolnym krokiem, jakby chciał się nacieszyć tą chwilą. Stał parę metrów od drzwi i zamiast sięgnąć po metrową maczetę, zaczął metodycznie odwijać poszarzałą i sprutą w kilku miejscach arafatkę, którą osłaniał twarz.

Nauczyciel postanowił wykorzystać tę chwilę, by ocenić sytuację. Wbrew jego oczekiwaniom na dachu nie było zbyt wiele miejsca. Sporą część powierzchni zajmowały ustawione kaskadowo przybudówki, ale że lepszej areny na tę walkę nie będą mieli...

– Kim jesteś? – zapytał, skupiając ponownie uwagę na wielkoludzie.

Tamten nie odpowiedział. Nie musiał. Gdy ostatni zwój materiału opadł, wszystko stało się jasne. Łuszcząca się płatami szarawa skóra, gigantyczny wzrost i masywna postura, wszystko to pasowało jak ulał do mistrza areny z opowieści Iskry.

Ale co ten Dres robi na szczycie Wieży?

Dragon zaśmiał się, dostrzegłszy minę Nauczyciela.

– Widzę, że moja sława sięga dalej, niż myślałem – rzucił.

Głos miał głęboki i całkiem przyjemny jakna mordercę.

– Nie schlebiaj sobie. Usłyszałem o tobie kilka dni temu, czystym przypadkiem.

– Może to prawda, Duchu, a może nie – odparł wielkolud, mierząc Nauczyciela wzrokiem. – Mnie się wydaje, że znamy się od bardzo dawna.

– Zapamiętałbym cię. Takie schaby jakty rzucają się w oczy.

– Nie powiedziałem, że mnie widziałeś, tylko że się znamy – poprawił go Dragon. – Wtedy nosiłem inny przydomek i robiłem z wami to, co ty z moimi ziomkami. Zabijałem każdego Skorpiona, na jakiego trafiłem. Baliście się mnie, sraliście w gacie na sam dźwięk mojego imienia... – zawiesił głos.

– Wybacz, nadal nic mi to nie mówi. Nie pamiętam, aby ktokolwiek w kolonii opowiadał o wielkim jakgóra gówna i do tego groźnym Dresie. Nie słyszałem też nigdy o kimś, kto masowo zabijał naszych.

– Ciekawe.

– Naprawdę? Ktoś, kto zarzyna własną rodzinę, myśląc, że walczy z mutkami, musi mieć nieźle nasrane pod beretem. Nie zdziwiłbym się, gdyby legenda o twojej waleczności powstała w ten sam sposób.

Celowo uderzał w czuły punkt Dragona. Jedyłą szansą na wygranie tego starcia było wyprowadzenie wielkoluda z równowagi. Wściekłość zaślepia, czasem do tego stopnia, że człowiek staje się nierozważny. Pamiętający kłamał więc jak najęty. W rzeczywistości słyszał wiele opowieści o młodym poruczniku z Kozanowa, na którego mówiono Kruk. Skurwiel dawał się

żołnierzom we znaki. Był sprytny, bezwzględny i dobrze wyszkolony, rzecz jasna jak na bandziora. Po pewnym czasie zniknął jednak z radaru, czego nikt w kolonii specjalnie nie żałował.

– Wmawiaj to sobie, Duchu. – W głosie wielkiego Dresy nie dało się wychwycić nawet cienia gniewu. – Dzisiaj rozliczę się z przeszłością. Dokonam zemsty za to, co zrobiliście mojej rodzinie.

– A co ja mam z tym wspólnego? Jeszcze tydzień temu nie wiedziałem nawet, że istnieje ktoś taki jak ty. Gdyby pewnej porypanej Andzi nie zebrało się na wspomnienia, byłbyś dla mnie kolejnym anonimowym zębem, któremu mózg wyżarły prochy.

– Co masz z tym wspólnego, pytasz? – Dragon się zaśmiał. – Naprawdę?

– Nie, tak sobie tylko zagaduję, dla jaj. Pomagam ci w zanudzeniu mnie na śmierć.

Kolejna próba, równie nieudana jak poprzednia.

– Myślałem, że masz więcej klasy i przynajmniej w obliczu śmierci przyznasz się do wszystkiego.

– Ciebie naprawdę pojebało, synku. Nie wiem nawet, o czym mówisz.

– Biedny niewinny staruszek – zakpił Dres. – Pozwól w takim razie, że ci wyjaśnię, dlaczego musisz zginąć. To wy, pierdolone Czarne Skorpiony, sprzedaliście mojemu dilerowi narkotyki, po których dostałem takiego szału i sparszywałem – wskazał palcem łuszczącą się skórę. – Ale nie zdechłem od tego gówna, choć niewiele brakowało, a potem poprzysiągłem, że zabiję każdego z was, choćbym miał na to stracić resztę życia. I spojrz – rozłożył ręce – gdzie mnie to zaprowadziło. Szesnaście lat zajęło mi oczyszczenie kanałów z waszego ściernia, a dzisiaj zakończę misję tutaj, w tym zajebiście epickim miejscu. Zostaniesz zagryziony jak moje dzieci, rozszarpany na strzępy jak żona, wypatroszony jak wszyscy pomocnicy i zostawiony mutkom na pożarcie. Zabiję cię po zażyciu tego samego narkotyku, który wtedy zmienił mnie w bezrozumną bestię. Zachowałem go sobie na specjalne okazje... – Wyjął z kieszeni niewielki woreczek wypełniony w jednej trzeciej szarym proszkiem. – To już ostatnia działka, ale tak się śmiesznie składa, że posłuży do zemsty na najgorszym wrogu.

Nauczyciel wysłuchał go do końca, nie wierząc własnym uszom.

– My nie działaliśmy w taki sposób – tylko tyle zdołał wymamrotać.

Zdumiało go to wyznanie Dragona. Naprawdę nie wiedział nic o tym, by w kolonii produkowano narkotyki, a należał przecież do sztabu. Gdyby ktoś zaplanował taką akcję, musiałyby przyjść po zatwierdzeniu do niego i kilku innych oficerów, tymczasem nikt nigdy nie zaproponował podrzucania wrogom skażonych prochów.

– Nie, skądże. Nie zabijaliście też naszych kobiet i dzieci, żeby dać nauczkę mężczyznom, którzy nie chcieli złożyć broni. Nie spaliliście całej enklawy razem z mieszkańcami tylko dlatego, że wypowiedzieli wam posłuszeństwo. Nie...

– To wszystko prawda – przerwał mu Pamiętający. – Popelniliśmy wiele odrażających czynów podczas tamtej wojny, podobnie jak wy, ale masz moje słowo, że nikt z naszych nie podrzucił ci tych narkotyków.

– Zawiodłem się na tobie, serio. – Dragon spojrzał na niego z takim wyrzutem, jakby te słowa

płynęły prosto z serca.

Nic dziwnego; przez tyle lat wierzył święcie w brednie, których ktoś mu nakładł do łba, że stały się dla niego prawdą objawioną. Gdyby nawet postawić przed nim człowieka, który był źródłem tej informacji, i gdyby ów przyznał bez bicia, że kłamał, Dragon i tak nie zmieniłby zdania. Na to było już o wiele za późno.

– Nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem, tylko dlatego, żeby jakiś ćpun mógł się zesrać w gacie z radości, że jego rojenia okazały się prawdziwe. Chcesz mnie zabić, przestań mleć ozorem i wciągaj to gównem, bo zaczyna się zmierzchać, a ja chcę zobaczyć za dnia, jak naprawdę wygląda to miasto.

– Z nieba sobie nie popatrzysz – zaśmiał się Dragon, wysypując proszek na zagłębienie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Wciągnął go dwoma szybkimi pociągnięciami przez nos.

– Mam nadzieję, że to szybko działa. – Nauczyciel rozciągnął mięśnie karku, przyjmując na powrót pozycję obronną.

– Mmm – odpowiedział wielkolud, mrużąc oczy.

Pamiętający wyczuł moment, skoczył przed siebie, unosząc rękę, ale drań był szybszy od błyskawicy. Wykonał głęboki unik, a gdy znów wyprostował plecy, na jego wargach pojawiły się bąbelki piany. Oczy miał otwarte, ale to nie było spojrzenie człowieka. Na sam widok tych źrenic można było stracić ochotę do walki.

Pieprzony berserker nakręcał się z każdą sekundą. Ryczał, charczał, rzucał się jak drapieźnik w klatce, a każdy jego ruch był szybszy od poprzedniego. Syf, który sobie właśnie zaaplikował, podkręcał go bardziej od adrenaliny. Na trzeźwo może dałoby się go ograć, zwieść jakąś wymyślną fintą, ale w tym stanie... Jeśli nawet zostanie ranny, poczuje to dopiero za wiele godzin.

Czas pożegnać się z życiem, pomyślał Pamiętający, żałując, że tak bardzo naciskał na stalkerów, aby ściągnąć ich w to miejsce...

Nagle zamarł. Zamiast skupić całą uwagę na przeciwniku, uczerpił się zupełnie innej myśli:

Skąd ten skurwiel wiedział, gdzie mnie znaleźć?

38 | Iskra nadziei

Sekundy dzieliły ich od starcia, którego koniec wydawał się z góry przesądzony. Pamiętający splunął z rezygnacją pod nogi. Wątpił, by techniki aikido pomogły mu pokonać wielkiego, nagrzanego jak piec Dresę, który po zażyciu prochów poruszał się jeszcze szybciej w bardzo nieskoordynowany sposób, co uniemożliwiało przewidzenie jego zachowań, a przez to czyniło każdy kontakt bardzo ryzykownym. Wbrew temu, co wszyscy sądzą o sportach walki, to nie magia, tylko koordynacja i szybkość decydują o sukcesie. Zastosowanie odpowiedniego chwytu na czysty, techniczny atak jest fraszką, jak jednak wykonać prawidłowe przejście, gdy przeciwnik uderza w sposób nieprzewidywalny, niezgodny z wszelkimi regułami? Nie, w tym pojedynku Nauczyciel musiał polegać wyłącznie na stali. To była jego jedyna szansa – zejście z linii ataku, szybkie cięcie, uskok.

Gdy robił krok w lewo, by znaleźć dodatkową osłonę za rozwalonym wywietrznikiem, jego wzrok spoczął na drzwiach, które właśnie znowu zaczynały się otwierać...

Ktoś tam jest? Czyżby któryś z pobitych przed momentem stalkerów odzyskał przytomność? Pytania mnożyły się w głowie Pamiętającego, nadzieja zaczęła w nim odżywać, ale gdy zobaczył, kto staje w progu, zdębiał.

Iskra.

Z mroku korytarza wyszła Iskra!

Szybko wziął się w garść. Zamknął rozdziawione usta, zmrużył też mocniej oczy, żeby idący właśnie na niego Dres nie zauważył rzuconych ponad jego ramieniem spojrzeń. Nie miał pewności, czy narkotyk faktycznie zmienia Dragona w szalejącą bestię, a jeśli nawet tak było, to i tak nie wiedział, jak szybko nastąpi kompletny odjazd. Cofał się więc nadal, by dać szansę dziewczynie, choć sam niewiele mógł zyskać. Dolny poziom dachu nie oferował żadnej drogi ucieczki. Jedynym rozwiązaniem było kluczenie między pozostałościami rozwalonej podczas Ataku najwyższej przybudówki i pogiętymi wylotami wywietrzników, które na pewno nie powstrzymają zbliżającego się coraz szybciej przeciwnika.

Poza tymi krótkimi chwilami, gdy wyszukiwał kolejne miejsce, w które może przebiec, starał się nie spuszczać wzroku z dziewczyny, a ta ukryła się właśnie za wywietrznikiem i obserwowała

uważnie każdy ruch Dragona, jakby wciąż nie wiedziała, co zrobić. Ruszyła z miejsca dopiero wtedy, gdy naćpany Dres szykował się do kopnięcia zagrządzającej mu drogę aluminiowej blachy, ostatniej przeszkody, która dzieliła go od Pamiętającego. To była też chwila, w której Nauczyciel zamarkował atak, aby dodatkowo przykuć uwagę drania.

Mgnienie oka później wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Iskra skoczyła, bez wybicia, płasko, obracając się w locie wokół własnej osi. Wielkolud wyczuł jakimś cudem jej obecność, ale stojąc na jednej nodze, niewiele mógł zrobić prócz osłonięcia się ręką, lecz i to wystarczyło, by trafiona w tors dziewczyna odbiła się od jego gigantycznej pięści jak od ściany. Pamiętający opuszczał w tym samym momencie maczetę, uderzając na ślepo, w pośpiechu, byle coś zrobić. Niestety stał odrobinę za daleko, ostrze wbiło się więc tylko w powyginane resztki wylotu wywietrznika. Ułamek sekundy później rękojeść maczety została wyszarpnięta z jego dłoni i broń poleciała hen daleko, poza krawędź dachu, zakleszczona w resztkach kopniętej konstrukcji.

Dragon nie rzucił się na Nauczyciela, choć miał go w zasięgu rąk Zaryczał za to wściekle jak zwierzę, odwracając się błyskawicznie w kierunku Iskry, która leżała tam, gdzie upadła, jakby straciła przytomność albo już nie żyła. Olbrzym podszedł do niej i znów uniósł nogę, by kolejnym kopniakiem zmiażdżyć głowę dziewczyny, która śmiała go zaatakować.

To ten moment... Pamiętający wyszarpnął dwa shurikeny i cisnął nimi w stronę przeciwnika. Znowu uderzał na ślepo, bez zastanowienia, ale tylko tyle był w stanie zrobić, by powstrzymać zabójczy atak Z tak niewielkiego dystansu nie mógł jednak nie trafić. Pierwsza gwiazdka wbiła się w plecy giganta; jedno z jej ostrzy przeszło skórzaną płaszcz, moro, koszulę i co tam jeszcze Dragon miał na sobie i utknęło dopiero pomiędzy żebrami. Niestety nie była to zbyt bolesna ani poważna rana. Drugi shuriken utkwił za to w tylnej części ramienia wielkoluda, mijając o włos kość i wchodząc niemal do połowy w mięśnie, co Dres poczuł, i to mocno, jeśli sędzić po słowycie, jaki wy dobył się z jego ust.

Na nieszczęście to było wszystko, co mógł zrobić Nauczyciel. Akula nadawała się tylko do walki wręcz, nie do rzucania. Dobył więc noża i ruszył do desperackiego ataku, rycząc równie głośno jak zraniony Dres. Miał nadzieję, że odwróci do reszty uwagę naćpanego przeciwnika i ten zostawi w spokoju nieprzytomną dziewczynę.

Stało się jednak inaczej.

Iskra była wciąż w pełni świadoma i – gdy rozwścieczony Dragon zrezygnował z ataku i odwrócił się na pięcie, by powstrzymać Nauczyciela – wykorzystala moment nieuwagi, zerwała się błyskawicznie i przemykając między szeroko rozstawionymi nogami wielkoluda, zniknęła z pola rażenia, wołając:

– Więj, dziadzia, wiej!

Pamiętający usłyszał ją w ostatniej chwili, gdy już sunął w powietrzu prosto na przechylony wywietrznik, by odbić się od niego i wpaść na szalejącego z wściekłości Dres. Zareagował instynktownie, posłuchał jej, choć sam nie wiedział dlaczego, i moment później, zamiast zderzyć się z przeciwnikiem, minął go z prawej, lądując na zasłanym warstwą gruzu tarasie. Musiał wykonać przewrót, żeby wyhamować. Gdy wstawał jakieś trzy kroki od odwracającego się

pośpiesznie wielkoluda, Iskra zawołała po raz drugi:

– Nie daj się złapać, za minutę będzie po wszystkim!

Nie rozumiał, o co jej chodzi, ale przekonanie, z jakim wypowiadała kolejne słowa, i tym razem kazało mu zrobić, co kazała. Dragon parł już w jego kierunku, tocząc jeszcze więcej piany z ust i rycząc, jakby go przypiekano żywym ogniem. Uniknięcie jego kopnięć i ciosów nie było łatwe, mimo że ledwie ruszał zranioną lewą ręką. Za trzecim wymachem wielka jakbochen pięść musnęła bark Nauczyciela, posyłając go aż pod murek okalający dach.

– Schody! – wydarła się dziewczyna, ciskając kawałkami gruzu w niezwracającego na nią uwagi Dresę. – Wiej na schody!

Oszołomiony siłą uderzenia Pamiętający przetoczył się, zanim but atakującego przeciwnika przyszpilił go do tarasu. Zerwał się najszybciej, jak umiał, ale i tak znowu dostał, tym razem na odlew, w plecy. Wylądował na przechylonej obudowie wentylatora, odbił się od niej, zrobił kilka kroków na miękkich nogach, jednakże nie upadł. Ból go paraliżował, brakowało mu powietrza w obolałych płucach, żeby odetchnąć, wiedział więc, że nie zdoła dobiec do oddalonych o ponad dziesięć metrów drzwi. Musiał znaleźć inne rozwiązanie.

Zamarkował wypad w prawo, a potem odbił się w przeciwnym kierunku i przeskoczywszy tygrysiem nad inny wywietrznikiem, zyskał sekundę na zastanowienie.

Spoglądając na Dresę z tej perspektywy, zrozumiał w końcu, o co chodziło dziewczynie. Załatwiła go na amen, teraz widział to dokładnie. Cała wewnętrzna strona lewej nogawki Dragona była czarna od krwi. Drań zostawiał też za sobą wyraźny ślad. Dziabnęła go podczas niedawnej ucieczki. Przecięła tętnicę udową tym swoim bezużytecznym nożykiem: cienkim, krótkim, choć ostrym jak pieprzona brzytwa. Pewnie nawet tego nie poczuł, ale przy tak poważnej ranie lada chwila powinien paść na ryj z upływu krwi.

Teraz już Nauczyciel wiedział, co ma robić. Zaśmiał się w duchu i odbiegł w kolejne miejsce, z którego będzie mógł uciec, gdy tylko szarżujący przeciwnik zbliży się na trzy, cztery kroki. *A skoro gramy na czas, pomyślał, sprawmy, że kolejny punkt tej zabawy będzie jeszcze ciekawszy...*

Dragon nacierał nieprzerwanie, choć był już o wiele bledszy i nie takszybki jak jeszcze przed chwilą. Pamiętający uciekł w pobliże przybudówki, skąd trzema susami wskoczył na skrzynek rozdzielczą, z której po mocniejszym wybiciu mógł się dostać na wyższy poziom dachu. Miał nadzieję, że ten manewr kupił mu więcej czasu, niż trzeba.

Pokazał Iskrze uniesiony kciuk na znak, że panuje już nad sytuacją, i zaczął drwić z wielkoluda, ostrzegając, by ten nie próbował powtórzyć jego wyczynu. Był pewny swego. Dres stracił już tyle krwi, że zaczął słabnąć w oczach, a spowolnić tego procesu ani go powstrzymać nie mógł żaden narkotyk.

Dragon zatrzymał się w końcu pod przybudówką, dysząc ciężko i nie spuszczać wzroku z Nauczyciela. Nie ruszał się przez kilka długich sekund, a potem sięgnął nagle do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyszarpnął z niej pistolet.

W panującej nad miastem grobowej ciszy huk wystrzałów wydawał się głośniejszy od

gromów, szczególnie że ledwie przytomny Dres oddał ich w krótkim czasie kilkanaście, frenetycznie naciskając na spust, dopóki nie opróżnił magazynka.

Większość kul posłał w niebo i ściany, ale wystarczyła jedna, by pod Pamiętającym osunęły się nogi. Klęcząc na skraju przybudówki, patrzył mętnym wzrokiem na wielkoluda, który zdał sobie w końcu sprawę z tego, dlaczego traci siły, i także wylądował na kolanach, nie opuszczając jednak ręki, w której trzymał rozładowaną broń. Naciskał spust, dopóki Iskra nie zakradła się do niego od tyłu i nie poderżnęła mu gardła jednym szybkim ruchem.

Nie patrzyła, jak konał, choć chwilę to trwało, tylko wzięła rozbieg i odbijając się od tej samej skrzynki, wskoczyła na wyższy poziom.

– Gdzie oberwałeś, dumny oblechu? – zapytała, przyglądając się dokładnie Nauczycielowi.

Nie odpowiedział. Gdyby go nie podtrzymała, zwałiby się jak kłoda na dolny poziom dachu i skonał przed charczącym wciąż Dresem.

* * *

Ocknął się, czując odrażający smród.

Szarpnął się i od razu tego pożałował – we łbie mu zadzwoniło, jakby ktoś dzielił go właśnie maczugą w skroń. Oczy łzaawiły z bólu, ale też w reakcji na dziwny odór.

– Wreszcie się ocknąłeś! – rzuciła Iskra, a moment później jakiś cień przesłonił jasną plamę, którą Nauczyciel miał przed oczami. – Chyba z kwadrans łałam cię po pysku, a ty nic. Na twoim miejscu unikałabym gwałtowniejszych ruchów – ostrzegła, gdy znów próbował się podnieść.

– Co się stało? – wycharczał, opadając potylicą na coś miękkiego.

– W sumie to nic – odparła, rechocząc jak to ona. – Zaliczyłeś kulkę w bianiak, ale sam wiesz, jak to jest z wami, bezmózgami. Masz tam takie pustki, że nawet przewietrzenie czaszki nie mogło ci zaszkodzić.

– Skończ pieprzyć – mruknął, podnosząc ręce, by obmacać głowę. Skroń była opuchnięta i piekała go nadal, jakby ktoś polał ją wrzątkiem, lecz oprócz tego nie znalazł żadnej rany.

– Drasnął cię tylko – uspokoiła go. – Masz zdartą i poparzoną skórę, ale to nic poważnego, do wesela się zagoi.

– Blisko było... – jęknął.

Widział już nieco wyraźniej. Po bładoniebieskiej płaszczyźnie sunął dziwny, zmieniający się powoli szary kształt. Chmura? Rozejrzał się uważnie. Wciąż leżał na dachu Wieży, tam, gdzie upadł. Dziewczy na siedziała obok niego z podciągniętymi mi pod brodę nogami.

– Zwykle dziękuję wystarczy – stwierdziła.

– Za co?

– Za uratowanie dupska od przerobienia na kotlet siekany. Nie słyszałeś, co pan powiedział? – wskazała głową gdzieś na prawo. – Miałeś zostać porwany na strzępy. Tyle dobrego, że nie za młodu.

– Dałbym sobie radę – odpowiedział po chwili potrzebnej na zebranie myśli.

– Dlaczego musisz być takim zarozumiałym fiutem? – parsknęła z irytacją, zbierając się do wstania. – To jakaś oznaka starszego zgrzybienia?

Sam się nad tym zastanawiał. Dlaczego, u licha, nie chciał przyznać jej racji? Uratowała mu życie, nie pierwszy już raz, wiedział o tym, a mimo to nadal miał ogromne opory przed tym, aby jej podziękować.

– Nie wiem – przyznał w końcu. – Sam tego nie rozumiem.

– Jeśli tak wygląda koniec każdej legendy, to wolę pozostać nikim – rzekła po chwili kpiącym tonem, stając ponownie nad nim.

– Tak kończysz – odpowiedział szczerze – jeśli nie masz na tyle rozumu we łbie, żeby wiedzieć, kiedy zejść ze sceny.

– Z jakiej sceny? Co ty pieprzysz?

– Wy, młodzi... – zaczął i nagle umilkł.

Stalkerzy!

– Jeśli te wytrzeszczone gały oznaczają, że przypomniałeś sobie właśnie o przydupasach, to mam dla ciebie naprawdę niewesołe wieści. – Zrozumiała w lot, o czym mógł pomyśleć. – Dziewczyna i blondyn jeszcze dychają, ale brodacze, rudy i Farciarz nie żyją.

– Zabił ich skurwiel?

– Zależy, jak na to patrzeć – odparła, spuszczając wzrok.

– Zabił ich – powtórzył dobitnie.

Nawet jeśli musiała ich odesłać, w tych śmierciach nie było jej winy. Oszczędziła im jedynie niepotrzebnej męki.

– Możesz mi powiedzieć, po co tu przyleżście? – zapytała, gdy przymknął oczy, by zmówić krótką modlitwę w intencji tych, którzy nie wrócą już do Miasta.

– A ty?

– Ja zapytałam pierwsza – zachnęła się. – Poza tym jesteś mi coś winien, durny oblechu. Gadaj!

– Chciałem znaleźć drogę na teren Republiki. Słyszałem od ludzi z Bazaru, że podobno na przedmieściach jest kanał, którego nie zamknięto, zebrałem więc oddział i poszliśmy to sprawdzić. Teraz twoja kolej.

– Sajgon.

I wszystko jasne. Nie musiała mówić nic więcej. Durny pokurcz wygadał wszystko. Patrząc na krzywy uśmiech Iskry, przypomniał sobie jej własne słowa wypowiedziane podczas niedawnej rozmowy w knajpie. Miała swoje metody na takich pryszczaków. Owijała ich sobie wokół palca jak... jego.

– Polazłaś za nami?

– Tak Śledzenie ludzi w kanałach jest takie proste. Widziałam was jak na dłoni, choć wy nie mieliście pojęcia, że jestem tuż za wami, a trzymałam się cały czas więcej niż kilkadziesiąt kroków za Farciarzem.

Łucznicz zamylała kolumbę, na wypadek gdyby zagrożenie pojawiło się od tyłu. Jak widać, nie był aż tak spostrzegawczy, jak mu się wydawało.

– Niezła jesteś, skoro cię nie zauważyłam... – Zamilkła, zdawszy sobie sprawę z czegoś jeszcze. – Wracalem, i to dwukrotnie – dodała.

– Wiem, za drugim razem o mało mnie nie nadeptałaś na Małym – zachichotała.

– Wszystko rozumiem, kanały, mrok, ale jak dostałaś się na górę, przecież zamknęliśmy za sobą drzwi.

– Takie prymitywne zamki, dziadzia, to wiesz, czym ja otwieram?

– Domyślałam się, że nie kluczem...

– Takich rzeczy uczono mnie podczas szkoleń w Otchłani. Między innymi.

Milczeli przez chwilę.

– Wiedziałaś o tym? – zapytał w końcu.

– O czym?

– O zniknięciu ludzi, którzy przetrwali epidemię.

– Nie – pokręciła głową, poważniejąc momentalnie. – To dla mnie taka sama zagadka jak dla ciebie.

Powiedziała to tak szczerze, że jej uwierzył. Nie zawahała się nawet na moment, nie uciekała wzrokiem w bok.

Spróbował się podnieść. Głowa rozbolała go natychmiast, ale już nie tak mocno jak jeszcze przed chwilą. Iskra pomogła mu wstać, a gdy zakołysał się na miękkich nogach, zapytała z czytelną obawą:

– Chcesz jeszcze raz niuchnąć wyciąg ze strzykawy?

Skrzywił się.

– To był ten odrażający smród, który mnie obudził?

– Mocny, nie? Używamy go zamiast soli trzeźwiących.

39 | Ogień

Zeszli po schodach niezdarnie, jak para wzajemnie eskortujących się kalek. Ona też nie czuła się najlepiej, zwłaszcza że teraz, kiedy poziom adrenaliny już opadł, musiał jej doskwierać potworny ból w obitych żebrach. Otarta skóra na przedramieniu też pewnie piekła nielicho, ale Iskra trzymała fason, udając, że nic się nie stało. Była pod tym względem jeszcze gorsza niż on.

Najpierw trafili na Śliskiego. Leżał przed korytarzykiem, tam, gdzie... wpadł na Dragona. Głowę miał nienaturalnie przekrzywioną, jakby kręgosłup łączący ją z resztą ciała zrobiony był z gumy. Guma... Leżącemu trzy kroki dalej filigranowemu cherubinkowi Dres zmiażdżył czaszkę. Pchnięcie na ścianę okazało się tak silne, że chłopak nie miał najmniejszych szans na przeżycie. Idący obok niego Szary oberwał w tym samym czasie, ale lewą ręką wielkoluda, która musiała być słabsza albo na tyle mniej precyzyjna, że nie pozbawiła ofiary życia, choć sądząc po widoku, niewiele brakowało. Łowca siedział teraz pod ścianą, naprzeciw zwłok kolegi, z usztywnionym kawałkami drewna ramieniem i obandażowaną głową. Gdy przechodzili, odprowadził ich mocno otępiełym wzrokiem.

Lewa strona twarzy Karbali wyglądała tak, jakby ktoś próbował ją obedrzeć ze skóry. Rzucona w głąb tarasu dziewczyna wyładowała na pokrytej tłuczonym szkłem podłodze. Sunąc kilka metrów po zapieczonej atomowym ogniem tarce, poraniła sobie wszystko: głowę, ręce, brzuch, nogi. Na szczęście rany – poza okiem, które straciła bezpowrotnie – nie były zbyt głębokie. Zdaniem Iskry powinna przeżyć, jeśli ktoś się nią szybko zajmie.

Farciarza nie mogli zobaczyć, ponieważ leżał na schodach pół piętra niżej, tam, gdzie spadł.

Pamiętający podkuśtykał do krawędzi betonowej podłogi, za którą zaczynała się niemal dwustumetrowa przepaść. Zrobił to, po co tu przyszedł. Spojrzał na panoramę Wrocławia z perspektywy, jakiej żaden znany mu ocalony nie widział od wielu lat.

Po prawej miał ściśle centrum miasta. W promieniach opadającego dopiero letniego słońca widział bardzo wyraźnie czarną bliznę krateru, który pochłonął pół starówki, od placu Piłsudskiego po Solny, od koryta Odry po fosę na Podwalu. Otaczająca go strefa największych zniszczeń przypominała zeszlony pierścień skalny. Wszystko, co w niej żyło przed Atakiem, wyparowało. Wielkie kościoły, hotele i domy zostały zredukowane do stosów spieczonego w połyskujące bryły

radioaktywnego żużlu. Reszta centrum, od Dworca Głównego po Nadodrże, wyglądała tak, jakby czas cofnął się o niemal dziewięć dekad. Morze ruin...

Leżące dalej osiedla i przedmieścia miały więcej szczęścia. Kilka kilometrów od centrum Wrocławia zniszczenia były stosunkowo niewielkie, ale to, czego nie unicestwił nuklearny wybuch, musiało ulec innym, nie mniej niszczycielskim skutkom Ataku. Dopiero z tej perspektywy widać było, jak potwornym zagrożeniem dla ocalałych jest nowa natura. Otwarty, ropiejący klin blizny, jaką była Strefa Zakazana, ciągnął się kilometrami aż po odległy horyzont. Sinoszara narośl toczyła to miasto jak nowotwór, rozlewając się licznymi przerzutami na wszystkie dzielnice, skazując i przejmując w wyłączne władanie każde miejsce, w którym człowiek nie walczył do upadłego.

To jednak, co najbardziej przerażające, kryło się daleko za rogatkami. Niegdyś zielone tereny pomiędzy Wrocławiem i najbliższymi miejscowościami, które tego dnia dzięki dobrej pogodzie widać było jak na dłoni, wyglądały nie lepiej niż okolice krateru. Dwadzieścia lat agresywnej mutacji zamieniło je w niekończącą się dżunglę – królestwo postapokaliptycznej fauny i flory, w którym nie ma już miejsca dla człowieka. Niewiele lepiej było na zachodzie i wschodzie, gdzie także dominowały zmutowane gatunki; nawet południe, oszczędzone w pierwszych dniach po Ataku kierunkiem wiatrów, poddawało się z wolna jadowitej, trującej przyrodzie. Tylko tam, daleko na horyzoncie, Pamiętający dostrzegał ciemniejsze polacie brudnej zieleni, ale nawet przez lornetkę nie potrafił wypatrzeć zbyt wielu szczegółów. Poza tym, by dotrzeć do tamtych oaz – o ile nie były to po prostu nieco inne formy równie zabójczych dla człowieka mutacji – ocaleni musieliby się przebić przez kilometry najbardziej śmiertelnościowego środowiska, jakie istniało na tej planecie od powstania tlenu.

– Chuj, dupa i kamieni kupa... – mruknął załamany implikacjami wynikającymi z tych obserwacji.

– W sensie, ty, ja i te ruiny? – zachichotała Iskra. – Nie wiedziałam, dziadzia, że jesteś poetą.

Spojrzał na nią z politowaniem, jak ojciec na niezbyt rozzgniętą córkę.

– Nie. To tylko taka niewesoła konstatacja dotycząca naszej przeszłości.

– Sam to wymyśliłeś?

– Nie. Cytuję faceta, którego poznałem dzięki mojemu szefowi kilka miesięcy przed Atakiem.

Wracając do przejścia, w którym leżeli stalkerzy, rozglądał się wokół. Gdzieś tutaj musiało być ognisko, rozpalane noc w noc, jednakże nie widział niczego niezwykłego, dopóki na skraju pokruszonego betonu nie zauważył zagiętego pręta zbrojeniowego, do którego przywiązano nikiącą w przepaści linę. Podeszedł do krawędzi, zerknął ostrożnie w dół.

Niższe piętro wieżowca było w tym miejscu nieco mniej zniszczone, a dzięki alpinistycznej dziesięciomilimetrówce, na której powiązano w równych odstępach węzły, człowiek mógł bez trudu zejść tam i wrócić. *Skoro tutaj nie ma tego, czego szukam, może tam to znajdę*, pomyślał, przyśiadając na pokruszonej krawędzi podłogi.

– Zdurniałeś? – zapytała Iskra, która dopiero teraz zauważyła, że nie poszedł za nią, tylko się zatrzymał. – Po to się męczysz tam z tym drągalem, żebyś teraz popełnił samobójstwo?

– Widziałeś ogień palący się na szczycie Wieży? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Tak

– Nie zastanawia cię, kto go rozpała każdej nocy?

– Pewnie ten, którego zachłastałam... – odparła, ale już znacznie mniej pewnym tonem.

– Serio? Największy mistrz obu aren dorabia sobie jako palacz? – zaśmiał się Nauczyciel.

– Jeśli nie on, to kto? – zapytała całkiem rozsądnie.

– To właśnie chcę sprawdzić.

– Czekaj – powstrzymała go. – Jeśli tam ktoś jest...

Puścił linę i odsunął się od krawędzi. Miała rację, jeśli był tu ktoś jeszcze, zejście po tej linie mogło skończyć się dla niego tragicznie. Tym bardziej że nie miał już żadnej broni prócz noża. Musiał wymyślić coś innego.

– Wy tam, na dole! – zawołał, ale odpowiedziało mu tylko echo.

– Zabiliśmy Dragona – zawtórowała mu Iskra. – Na śmierć!

Postukał się palcem w czoło.

– Dajemy wam ostatnią szansę na poddanie się. Jeśli zejdziemy na dół, podzielicie jego los.

Nadal cisza.

– Chyba nam nie wierzą – szepnęła.

– W takim razie pokażmy im, że nie żartujemy – zaproponował.

– Jak?

– Przytargamy tu tego skurwiela i zrzucimy go na niższe piętro.

– Ty wiesz, ile waży ta kupa mięcha? – Aż ją zatchnęło.

– Bez krwi sześć kilo mniej – odparł, ruszając w kierunku schodów.

– Ale to i tako wiele za dużo jak na nas dwoje.

– Jeśli okaże się za ciężki w całości – odparł, zatrzymując się pomiędzy rannymi stalkerami – obetniemy mu nogi.

Okazało się, że nie musieli ćwiartować ciała. Martwy Dres ważył wprawdzie ponad sto kilogramów, ale nikt nie łązał im go podnosić, a że na schodach mieli z górki, już chwilę później zwłoki leżały na betonie piętro pod tarasem widokowym.

– To ostatnie wezwanie! – zagrzniał Pamiętający, wychylając się ostrożnie.

Nadal żadnej reakcji.

– Mam pomysł – szepnęła Iskra, zamiatając posadzkę butami, jakby chciała oczyścić ją z gruzu i szkła.

Nie było to łatwe, ponieważ siła eksplozji nuklearnej powtapiiała odłamki grubego, udaroodpornego szkła w beton. Po chwili dziewczyna poddała się, ale tylko na moment. Podniosła znacząco palec, uśmiechnęła się i zniknęła w przedsionku. Wróciła dwie minuty później, niosąc okrycia zabitych stalkerów i łuk Farciarza.

– Co ty wyprawiasz? – syknął.

Nie podobało mu się takie bezceremonialne traktowanie zwłok ludzi, których tutaj przy prowadził.

– Wolisz zejść tam po linie i dać się naspikować strzałami albo innym żelastwem? – rzuciła, rozkładając płaszcz i kurtki przy krawędzi.

– Chcesz tam zajrzeć?

– Tak złapię cię za nogi i opuścisz. Jeśli krzyknę, wciągaj mnie natychmiast z powrotem.

– Czekał. Zabezpieczę cię liną.

– Po kiego wora? – Zaśmiała się. – Nie mamy czasu na kombinowanie. Zaraz zrobi się ciemno, a nie będę tu siedzieć do rana. Poza tym dasz radę i bez liny.

Miała rację. Była od niego dwukrotnie lżejsza, wiedział więc, że utrzymanie jej w tej pozycji nie będzie trudne. Asekurował ją, trzymając za kostki do chwili, gdy głowa znalazła się poniżej stropu.

– I co? – zapytał kilka uderzeń serca później, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

– Sam musisz to zobaczyć – odparła bardzo niepewnym tonem.

* * *

Chwilę później Nauczyciel poznał największy sekret Wieży. Zrozumiał też, dlaczego ślady, na które trafili na dole, były tak stare. Pomieszczenie znajdujące się pod tarasem widokowym zostało odcięte od reszty budynku, jedyne drzwi zamurowano, podobnie jak wyrwę w bocznej ścianie, zatem dostać się tam można było wyłącznie od strony czterdziestego dziewiątego piętra po linie.

Gdy Pamiętający opuścił się do całkiem sporego, ogołoconego do czysta pokoju, który przed wojną mógł być częścią luksusowego apartamentu, zobaczył przed sobą coś, co dało mu do myślenia.

Pośrodku podłogi stało urządzenie, coś w rodzaju wykonanego ze stali palnika, który połączono cienką rurą ze stojącymi pod ścianą butlami.

– Co to za cudo? – Iskra przykucnęła przy niewielkiej, wypalanej dyszy, obwąchując ją podejrzliwie jak kot albo pies.

– Cud dzisiejszej inżynierii – usłyszała w odpowiedzi.

Nauczyciel bardziej interesował się rozdzielnią wiszącą obok smukłych pojemników na gaz. Za metalowymi drzwiczkami znalazł prosty mechanizm, oparty na bebeczach zwykłego zegara ściennego. Długie łańcuchy, na których wisały obciążniki, pozwalały temu cudeńku chodzić przez kilka tygodni, mniej więcej tyle, na ile wystarczało gazu zasilającego płomień zapalany automatycznie po zmierzchu i gaszony późną nocą.

Znał tylko jednego człowieka, który mógł znajstrować coś takiego... Całkowitą pewność zyskał, gdy znalazł niewielki znaczek zdobiący narożnik metalowej płytki, za którą znajdowały się kółka zębate. Widział taki sam na stacji uzdatniania wody na zapleczu Klatki Pełnej Cieniaków. Prostokąt podzielony dwiema liniami na trzy równe pola albo litera T wpisana w ramkę.

– Tesla... – mruknął.

– Co?

– Nic. Tak sobie podziwiam to чудо.

– Jak to działa?

– Zegar chodzi dzięki tym obciążnikom – wskazał palcem – a ten mechanizm najpierw otwiera dopływ gazu do palnika, a potem go odcina. Dzięki temu ogień pali się przez kilka godzin, mimo że ludzie pojawiają się tutaj raz na dwa, trzy tygodnie tylko po to, by wymienić te butle na pełne.

Teraz już wiedział, dlaczego stalkerzy mówili, że czasami szczyt Wieży pozostaje ciemny, rozumiał też, dlaczego ślady, na które trafili w galerii, były takie głębokie, jakby zostawiali je bardzo ciężcy ludzie.

Najważniejsze jednak, że znalazł wskazówkę, dzięki której będzie mógł poznać największą tajemnicę Republiki. Sekret, za którego odkrycie miał zapłacić życiem.

Oszołomiony stoczoną walką nie myślał trzeźwo, zatem dopiero teraz, gdy przyglądał się martwemu Dresowi, dotarło do niego coś jeszcze. *Oprócz moich ludzi i Iskry o tej wyprawie musiał wiedzieć jeszcze ktoś... Ktoś, kto miał wiele wspólnego ze zniknięciem mieszkańców dawnej Republiki.*

– Powiedziałś komuś o swoim odkryciu? – zapytał, przyglądając się zwłokom Dragona.

– Nie miałam kiedy – odpowiedziała bez zastanowienia, wciąż podziwiając palnik – A powinnam była.

– Jak bardzo ufasz Sajgonowi?

– A co?

– Odpowiedz.

– To zwykły dureń. Wysługuję się nim, kiedy trzeba, i tyle.

– Dla kogo jeszcze może pracować?

Spojrzała na niego dziwnie.

– Dlaczego pytasz?

– To ścierwo czekało na mnie tutaj – wskazał zwłoki. – Nie wiem, jak ten fiut tutaj wlaź, bo na pewno nie szedł tymi samymi schodami co my, ale raczej nie siedział na Wieży od kilku tygodni, pilnując palnika. Tak więc ktoś musiał mu zdradzić, kiedy i gdzie mnie znajdzie. A o tym wiedziało tylko kilka osób. Ciebie i Freję wykluczam... Zostaje więc ta franca z łaźni i Sajgon.

– Oraz wszyscy odrzuceni kandydaci – podpowiedziała.

– Tamci myśleli, że szykujemy się na spuszczenie łomotu Dresom, którzy tak mnie załatwili – pokazał jej okaleczoną dłoń. – Łazienką też mogę chyba wykluczyć, bo jej powiedziałem jeszcze mniej. Zostaje więc twój pokurcz.

– Wybadam sprawę, jeśli chcesz.

– Byłoby miło – odparł, ruszając w kierunku liny.

– Zbieramy się? – zapytała z nadzieją w głosie.

Siedzieli na powierzchni już dość długo i choć założyli maski zaraz po zejściu z dachu i dotarciu do porzuconych rzeczy, i tak czuła się nieswojo. Dla kogoś żyjącego niemal wyłącznie

pod kamiennym niebem ta przestrzeń i te widoki musiały wydawać się przytłaczające.

– Tak – odpowiedział, przykłękając obok Dragona. – Idź przodem, sprawdź, co z Karbalą i Szarym. Ja zaraz do ciebie dołączę, tylko pozbędę się stąd tego ścierwa.

– Co z nim zrobisz? – zainteresowała się, łapiąc linę.

– Zrzucę fiuta na dół, tam, gdzie mnie chciał posłać. Przy okazji odwróci uwagę mutków od drzwi.

– Pomogę ci – zaproponowała.

– Idź. Wystarczająco mi dzisiaj pomogłaś. To chcę załatwić sam.

– Twoja wola.

Gdy zniknęła mu z pola widzenia, przeszukał szybko i sprawnie kieszenie Dresy, układając znalezione przedmioty na podłodze obok rozdziawionej gęby trupa. Niewiele tego było: narkotyki, trochę suszonego mięsa, woreczek zielska do palenia, strona poźółkłej gazety, zapasowy magazynek, oczywiście pełen, i... Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął złożoną w czworo kartkę papieru. Gdy ją rozłożył, zrozumiał, że nie musi już nikogo o nic pytać.

Właśnie się dowiedział, kto nasłał na niego tego skurwiela.

40 | Na dole

Nauczyciel siedział w swojej kwaterze z przymkniętymi oczami, po raz ostatni powtarzając w myślach wszystkie punkty planu. Czekał już tylko na cichy brzęczyk interkomu, po którym wstanie z pryczy, zabierze plecak i razem z synem uda się na najniższy poziom kompleksu do centrum dowodzenia, gdzie powinna czekać na niego cała śmietanka Otchłani. Nie tylko triumwirat, z którym miał wcześniej do czynienia, ale też pozostali szefowie działów, kierownictwo tego projektu albo – jak wolał on sam – wszystkie głowy tej pieprzonej hydry.

Tak, to określenie jest bardziej odpowiednie. To nie są ludzie, nie po tym, co uczynili temu miastu i jego mieszkańcom...

Wrócił na dół sam wczesnym rankiem, zostawiając parę rannych stalkerów pod opieką outsiderów z Muchoboru. Iskra pojawiła się w Otchłani kilka godzin wcześniej, by nikt nawet przypadkiem nie powiązał jej wcześniejszej nieobecności z jego wypadem do Wieży. Dziewczyna nie wiedziała, co się szykuje – nie dlatego, że jej nie ufał (choć nadal nie wiedział, co myśleć o jej nagłym pojawieniu się na dachu wieżowca), ale przez wzgląd na jej bezpieczeństwo.

Uratowała mu wprawdzie życie, i to nie po raz pierwszy, ale jednak należała do tego świata od tak dawna, że nie mógł mieć pewności, jak zareaguje, gdy dowie się o jego radykalnym planie. To wystarczyło, by wykluczyć ją z udziału w zemście. Tym razem nie pisał o swych zamierzeniach nikomu, nawet Frei, chociaż zaczynało to powoli zakrawać na paranoję... Z drugiej strony, dopóki nie odkryje, skąd Dragon wiedział o jego wyprawie na Wieżę, nie może być nikogo pewien.

Spojrzał ponownie na zdjęcie znalezione przy ciele martwego Dresy. Bardzo wyraźne ujęcie twarzy, zrobione tutaj, na dole, w głównym tunelu kompleksu, sądząc po elementach tła, najprawdopodobniej podczas niedawnej przechadzki w towarzystwie Bondarczuk i pamiętnej rozmowy o historii.

Gdy minionego wieczora usiadł na skraju podłogi tarasu widokowego obok Iskry i spojrzał po raz ostatni na dogorywające w dole miasto, zaczął się zastanawiać, czy nie pokazać jej tej fotografii. Po długim wahaniu doszedł jednak do wniosku, że chwilowo zatai istnienie zdjęcia. Bał

się tego, jak dziewczyna może zareagować na przedstawienie niezaprzeczalnych dowodów rzucających bardzo niekorzystne światło na ludzi, dla których pracowała od kilku lat i którym tak wiele zawdzięczała. Nie była głupia, zatem we właściwym czasie sama zrozumie, dlaczego jest absolutnie pewien, że to właśnie Bondarczuk i jej banda stoją za zniknięciem ocalonych z terytorium Republiki, a potem obu Muchoborów.

We właściwym czasie, ale jeszcze nie teraz.

Interkom zabręczał, wyrywając go z zamyślenia.

– Porucznik Remer, słucham – odezwał się, naciskając klawisz odbioru.

– Szefostwo już na pana czeka – odpowiedziała uprzejmym tonem dyżurna z centrali.

– Proszę przekazać pani Bondarczuk, że będę na miejscu za dwie minuty.

Rozłączył się, przywołał syna i raz jeszcze zapytał, czy ten wie, co ma robić. To kolejny test na bohatera, tak to przedstawił Niemocie, by zapalić go do pomysłu. Nic tak go nie pobudzało, jak myśli o zawodnikach ścigających się z mutantami. Przebywając tutaj, na dole, w ciszy i spokoju, chłopak bardzo szybko popadał w apatię, zupełnie jak w enklawie Innego. Potrafił siedzieć całymi godzinami nieruchomo jak wygrzewający się na słońcu gad, spoglądać niewidzącymi oczyma w ścianę i nie reagować na toczące się wokół niego życie, ale wystarczyła jedna wzmianka o zadaniu, by zachodziła w nim ogromna przemiana.

Zapamiętałeś wszystko? – zamigał Nauczyciel.

Tak. Liczę do dwudziestu.

Dobrze.

A potem zaczynam walczyć z potworem.

Dobrze.

Poklepał syna po ramieniu i poprowadził go w kierunku wyjścia. Rozstali się w szerokim korytarzu przy wejściu do centrum dowodzenia. Niemota przystanął kilka kroków od posterunku, na którym wartę trzymało dwóch młodych, nieznanego Pamiętającemu z imienia chłopaków. Mijając strażników, Nauczyciel poprosił:

– Mieście na niego oko, ostatnio nie wiecie czemu zrobił się bardzo nerwowy.

Skinęli głowami, po tym jak odpowiedzieli na jego salut. Do nich nic nie miał – jeśli zachowają się, jak trzeba, pozwoli im żyć. Zanim przekroczył próg, odwrócił się do syna i pokazał mu uniesiony kciuk. To był umówiony znak. Chłopak natychmiast przykląknął oczy. Tak robił, gdy powtarzali liczenie. Nauczyciel uśmiechnął się pod nosem, wymacał przełącznik przez nylon plecaka, nacisnął go, po czym wkroczył szybkim krokiem do centrum dowodzenia. Musiał się śpieszyć, została mu już tylko minuta.

W szklanym pomieszczeniu na wyższym poziomie centrum dowodzenia tym razem nie było wolnych miejsc. Wokół białego stołu siedziało dziesięć osób, części nie znał nawet z imienia, zaledwie pięcioro widział wcześniej podczas odpraw albo przy innych oficjalnych okazjach. Nie przejmował się tym, gdyż obecnie liczyło się tylko jedno: skoro należeli do kierownictwa Otchłani, nie różnili się niczym od Bondarczuk. A głowy hydry należało ściąć wszystkie za jednym zamachem, aby nie mogły odrosnąć. Tak to chyba załatwił Herkules w którejś ze swoich

dwunastu prac.

Spojrzał w kierunku Katarzyny, jakby chciał zapytać, co powinien teraz zrobić.

– Wybaczy pan, poruczniku – odpowiedziała, dobrze odczytując jego intencje – ale mamy tyle miejsc, ilu jest członków zarządu. Musi pan więc stać.

– Nie ma problemu. – Pamiętający uśmiechnął się, choć czuł, że zżerają go nerwy. Odłożył plecak na betonową podłogę, by mieć wolne ręce, i zaczął mówić, gestykulując żywo. – Poprosiłem o zwołanie tego spotkania, ponieważ odkryłem coś, co może nam pomóc w rozwiązaniu obecnego kryzysu, i to bez rozpętania kolejnej wojny.

Spoglądał prosto w oczy Bondarczuk, chcąc wiedzieć, jak zareaguje na jego rewelacje, ale srodze się zawiódł. Przywódczyni tej bandy zachowała kamienną twarz.

– Domyślam się, że pańskie informacje dotyczą Republiki – odezwał się za to Wydrzycki.

– Tak – Nauczyciel przeniósł wzrok na majora i od razu poprawił mu się humor. Na twarzy tytułarnego przełożonego dostrzegł źle maskowany strach. – Przyznam, że podjąłem pewne działania na własną rękę i udało mi się... – Zamilkł, gdy zauważył poruszenie przy stole.

Zerknąwszy przez ramię, zobaczył za szklanymi drzwiami jednego z wartowników. Chłopak wyglądał na przerażonego. Tego, co krzyczał, nie było słychać, nie na darmo nazywano to pomieszczenie dźwiękoszczelnym.

– Co tam się dzieje? – Katarzyna na skinięła na kobietę siedzącą najbliżej wejścia. – Sprawdź to.

– O co chodzi? – wyniosła blondynka, która jeśli Nauczyciel dobrze pamiętał, kierowała działem analiz, otworzyła drzwi, by odprawić natręta.

– Mamy problem przy wejściu, pani Natalio – zameldował młody żołnierz. – Ten głuchoniemy chłopak... – przeniósł wzrok na Pamiętającego. – Coś mu się chyba stało. Najpierw zaczął się dziwnie zachowywać, potem przewrócił...

– Państwo wybaczą na moment... – Udając zaniepokojenie, Nauczyciel ruszył w kierunku drzwi. – Niemota dostał ataku – rzucił przez ramię – ale wiem, co robić. To nie pierwszy raz, za moment wrócę.

Zbiegł po schodach, nie czekając na reakcję zgromadzonych. Albo jego syn źle policzył, albo wartownicy za późno zareagowali. Rzut oka na zegarek uświadomił mu, że ma tylko dziesięć sekund na opuszczenie tego miejsca. Na szczęście drzwi były tuż-tuż, zdążył je więc zamknąć za sobą i podbiec do tarzającego się w wyimaginowanej walce z szarikiem albo innym mutantem Niemoty.

Zanim przykłęknął nad synem, za jego plecami rozległ się potworny huk. Bunkier zadrżał w posadach, z betonowego sklepienia posypał się pył. Mglenie oka później grube stalowe drzwi centrum dowodzenia wyleciały z zawiasów, jakby ładunek eksplodował tuż za nimi, nie w odległej o wiele metrów ekranowanej sali. Stojący przy nich żołnierz został zmiażdżony, a fala uderzeniowa rozlała się wokół, sięgając także Pamiętającego i przestraszonego chłopaka.

Coś poszło nie tak

Zapalnik skonstruowany naprędce ze skradzionego Tesli mechanicznego budzika i nakręcanej latarki, zadziałał bezbłędnie. Ładunek, zrobiony z kilku ręcznych granatów, nie mógł mieć jednak

tak niszczy cielskiej siły. Co więc...?

W asyście zawodzących syren, spośród kłębow gęstego dymu bijącego z otwartego przejścia między centrum dowodzenia a korytarzem zaczęły się wyłaniać zakrwawione postacie. Jedna, druga, wkrótce Nauczyciel naliczył ich pięć, a nie był to jeszcze koniec. Kaszlący, poranieni ludzie ślaniai się na nogach, niektórzy padali jak kłody, ale to nie miało już znaczenia. Oszołomiony i na wpół ogłuszony Nauczyciel zrozumiał, że zawiódł, gdy zobaczył idącą w jego kierunku Bondarczuk. Krok za nią człapał pokiereszowany odłamkami Wydrzycki z odbezpieczonym pistoletem w dłoni. Najgorsze głowy hydry ocalały...

– Ty skurwysynu – syknęła Katarzyna, która jakimś cudem najmniej ucierpiała podczas wybuchu. – Teraz dowiesz się, co znaczy zadzierać z Czystymi.

Od strony kompleksu przez wyście alarmu przebiegał się tupot wielu par podkutych butów.

41 | Wyrok

Pamiętający spoglądał na kraty, zza których sączyło się blade światło jedynej lampy, jaka paliła się w areszcie przez cały dzień i całą noc. Cella, w gdzie go osadzono, miała dwa na trzy metry, w sam raz tyle, by zmieścił się cienki, cuchnący potem siennik i brudny stalowy kibel. Przez ostatnie dwie, a może nawet trzy doby to był cały jego świat. Nie miał pojęcia, ile dokładnie czasu upłynęło od chwili wybuchu, nie wiedział też, ilu z tych drani udało mu się zlikwidować i czy w ogóle zdołał zabić kogokolwiek.

Tylko jedno było pewne: coś poszło nie tak.. bardzo nie tak.

Gdzieś w oddali rozległo się skrzypienie dawno nie oliwionych zawiasów. Chwilę później usłyszał łomot podkutych butów. Tym razem nie był to samotny strażnik, ten, który przynosił mu posiłki w nieregularnych odstępach czasu. Sądząc po odgłosach, do celi zbliżało się trzech, a może nawet więcej ludzi. Czyżby nadszedł moment ostatecznego rozliczenia?

Wstał i podreptał w kierunku krat drobnym krokiem, takim, na jaki pozwalały kajdany, którymi skuto mu ręce i nogi. Nie zamierzał przedłużać tego cyrku ani stawiać oporu. Jeśli ma umrzeć, zrobi to na swoich zasadach. Niech gnoje wiedzą, że nie jest ich kolejną bezwolną ofiarą.

Przyszło ich czterech. Wyprowadzili go bez słowa, truchtał między nimi przez kompletnie pusty areszt, spoglądając dumnie przed siebie, na wzmocnione drzwi, za którymi znajdowała się część mieszkalna kompleksu.

Zgodnie z jego przypuszczeniami w głównym tunelu zebrał się spory tłum. Pod tym względem Czyści nie różnili się od pozostałych ocalonych. Lżyli go teraz i obrzucali śmieciami, zupełnie jak mieszkańcy enklawy Innego skazywany ch dawno temu przestępców, choć to oni byli dzisiaj tymi złymi. Wykrzyczał im to prosto w nienawistne twarze, nie zwracając uwagi na lecące w jego kierunku brudy. Choć zawiódł, i tak czuł się moralnym zwycięzcą.

Przy nieoznakowanym łączniku prowadzącym do kopułowanej komnaty eskortujący go żołnierze zatrzymali się na moment, a potem na znak dany przez pokrytą opatrunkami kobietę został wepchnięty w mrok. Zaciągnięto go za drugie stalowe drzwi i rzucono na ziemię opodal otwartej już bezdennej studni.

W końcu zapanowała cisza. Prócz eskorty i skazańca w mrocznej jaskini nie było nikogo, ale

Pamiętający nie musiał długo czekać. Kilkanaście sekund później w oświetlonym kilkoma reflektorami kręgu pojawiła się Bondarczuk. Na jej twarzy dostrzegł kilka zadrapań i dwie opatrzone plastrami poważniejsze ranki. Z zamachu wyszła niemal bez szwanku, jakby naprawdę chroniły ją złe moce. Spoglądając na niego, uśmiechała się wrednie jak sadystka, która wie, że zaraz zacznie znęcać się nad bezbronną ofiarą. Postanowił sobie, że zrobi wszystko, aby zepsuć to przedstawienie, choć zdawał sobie sprawę, że może być gorzej niż na Przyodrze.

Tuż za nią pojawiło się jeszcze dwóch żołnierzy, którzy wnieśli sporą metalową skrzynię przymocowaną do długich nosideł.

– Wiesz, przyjacielu, dlaczego ci się nie powiodło? – zagaiła Katarzyna, stając przed nim, oczywiście w bezpiecznej odległości.

– Wali mnie to – odpowiedział, patrząc jej hardo w oczy.

– Ojciec wpoił mi zamiłowanie do historii, a że jestem osobą o nieco paranoicznej osobowości, twoje niedawne zachowanie skojarzyło mi się z czynem von Stauffenberga. Kojarzysz człowieka? – Skinął głową. Tak, teraz, gdy wspomniała o oficerze, który próbował zlikwidować Hitlera, z równie marnym skutkiem zresztą, dostrzegł analogię, nadal jednak nie wiedział, do czego kobieta zmierza. – Świetnie. Wyobraź sobie, że kiedy nagle wybiegłeś, coś mnie tknęło i kazałam wartownikowi wynieść plecak, który zostawiłeś w centrum dowodzenia. Biedny chłopak... – pokręciła głową. – Ładunek eksplodował, gdy Tomek chwycił za kławkę. Gdybym zorientowała się sekundę wcześniej... Wiesz, że był synem mojej dalekiej kuzynki?

– Wali mnie to – powtórzył.

– Taki z ciebie twardziel? – zaśmiała się.

– Kończ ten cyrk, zdiro, bo mnie łańcuchy uwierają – rzucił kpiącym tonem. – Gdyby mnie twoje zbiry nie trzymały, sam bym skoczył do tej przepaści, byle nie oglądać dłużej twojej wrednej mordy.

– Na wszystko przyjdzie pora – zapewniła go, nie tracąc humoru. – Najpierw jednak pokażę ci, czym kończy się podnoszenie na mnie ręki.

Skinęła na towarzyszących jej żołnierzy, a ci bez słowa otworzyli skrzynię i wyciągnęli z niej... ledwo przytomnego Niemotę. Pamiętający szarpnął się, ale strażnicy byli przygotowani na jego reakcję. Został błyskawicznie obezwładniony. Jeden przysiadł mu na łydkach i przy cisnął pałką do krtani. Dwaj inni unieruchomili mu ramiona. Czwarty czekał z boku, dwa kroki od pozostałych, z odbezpieczonym pistoletem w dłoni.

Nauczyciel mógł więc tylko patrzeć przez łzy na to, jak oprawcy wleką jego syna w kierunku bezdennego szybu. Niemota nie stawiał oporu, sądząc po wyrazie twarzy, nie rozumiał nawet, dlaczego zamknięto go w klatce, nie mówiąc już o tym, co ci ludzie chcą z nim teraz zrobić.

– Zostaw go... – wycharczał Pamiętający, desperacko walcząc o wydostanie się z żelaznego chwytu trójki żołnierzy. – Jeśli tkniesz go choćby... – Słowa zamarły mu w krtani, gdy zobaczył, że Bondarczuk podchodzi do chwiejącego się na skraju otchłani chłopaka i... trąca go wyprostowanym palcem.

Zaskoczony Niemota zatoczył się, potem niezdarnie obrócił, by zobaczyć, kto go popycha.

Gdy stanął twarzą do Katarzyny, ta wyciągnęła rękę ponownie. Przytknęła ten sam palec do klatki piersiowej chłopaka i popchnęła go raz jeszcze, mocniej, zmuszając do zrobienia kroku w tył.

– Nieee!... – zawył Pamiętający.

Chłopak nie mógł usłyszeć ojca, nie widział go też, ponieważ reflektory ustawiono tak, że świeciły mu prosto w oczy. Mrużąc powieki, wysunął nogę do tyłu po raz drugi, ale tym razem nie znalazł podpory i zamachawszy skutymi rękami, przewalił się w tył, znikając bezgłośnie w studni. W tym samym momencie Bondarczuk dała znak, by uruchomiono starą wyciągarkę. Stalowe płyty zaczęły wolno opadać, zamykając bezdenne grobowiec, w którym spoczęły ciała tysięcy jeńców, chyba nie tylko z czasu drugiej wojny światowej.

– Dlaczego go zabiłaś, suko? – wysyczał Nauczyciel, gdy rozbawiona szefowa Otchłani stanęła ponownie kilka kroków od niego.

Strażnicy nadal go trzymali, ale nie miał już pałki pod brodą, mógł więc mówić swobodniej.

– To ty go zabiłaś, przyjacielu – odpowiedziała spokojnie, upajając się widokiem jego cierpienia. – Ty wmieszałaś go w ten durny plan, ty kazałaś mu odegrać cyrk z atakiem, żeby móc wyjść ze spotkania. To – wskazała na domykającą się pokrywę – wyłącznie twoja wina. Nie tknęłabym go palcem – zakpiła – gdybyś miał więcej oleju w głowie.

– Lepiej każ mnie zabić na miejscu, bo knę się na wszystko, co mi drogie, że będziesz długo cierpieła, zanim zdechniesz – zaczął ostrym tonem, ale im dłużej mówił, tym większy spływał na niego spokój.

Nagle wszystko, cały ten świat, jego zgnilizna i zepsucie, a także ludzie gnieźdzący się w kanałach i tunelach Otchłani, wszystko i wszyscy stali mu się obojętni. Miał też gdzieś, co się z nim stanie. Umarł tutaj i teraz, patrząc na śmierć dziecka, chłopaka, mężczyzny, którego losy były splecione z jego własnymi bardziej, niżby mógłby się tego spodziewać. Wrzucając Niemość w przepaść, Bondarczuk przerwała ostatnią nić, jaka łączyła go z życiem. Choć nadal oddychał i myślał, stał się niczym więcej niż duchem, zjawą, ale na pewno nie był już człowiekiem.

– Masz nosa, poruczniku – zaśmiała się głośno. – A skoro o torturach mowa, może zaciekawia cię fakt, że bracia niejakiego Zadry wystosowali kilka dni temu list gończy za człowiekiem, który zamordował ich ukochanego krewniaka i jego przybocznych, profanując potem zwłoki, a obcięte głowy ofiar powystawiał na widok publiczny. To nie było zbyt rozsądne posunięcie, poruczniku...

– Zacmokła z udawanym zatroskaniem. – Z twojego punktu widzenia, oczywiście, ponieważ nam to pasuje, nie wiesz nawet jak bardzo. Teraz, po tym jak sprowadziłeś uciekinierów z Nowego Watykanu, a przy okazji całkiem sporą bandę prymitywów z Wolnych Enklaw, pozwolisz nam nawiązać dobre układy z Rasą. To już ostatni punkt mojego planu...

– Żebyś się nie zdziwiła, durna pizdo – wycharczał.

– W zamian za ciebie, żywego i przytomnego, wynegocjowałam bardzo dobry układ, na mocy którego, gdy nadejdzie pora, panowie na Przyodrze staną się naszymi sprzymierzeńcami w wojnie z Ligą. Myślisz, że trzymaliśmy cię w celi tak długo, bo nie mogłam się zdecydować, co włożyć na twoją egzekucję? – Znowu usłyszał jej tryumfalny śmiech.

– Wyдай mnie Dresom – w jego głosie także nie dało się wychwycić nuty przygnębienia ani zawodu – a powiem im wszystko, co wiem o Otchłani. Zobaczmy, jak będziesz śpiewać, gdy falangi Rasy złożą ci wizytę tutaj, na dole.

Rozbawił ją tym oświadczeniem jeszcze bardziej.

– Co tam bełkoczą, drogi Jurandzie? – zapytała, nadstawiając ucha.

Tym razem śmiali się wszyscy.

42 | Operacja

Trafił do bunkra Tesli. Czyści zamknęli go w tej samej skrzyni, w której przynieśli Niemotę, nie widział więc, do kąd i kórędy go transportują. Wyczuł jednak, że po chwili trafił do windy, a na górze, zaraz po wyjściu z niej, wyciągnięto go bezceremonialnie ze skrzyni i zawleczono do tej części schronu, której nigdy wcześniej nie odwiedził. Wylądował w pomieszczeniu przypominającym salę operacyjną. Strażnicy położyli go na prostym stalowym stole, przywiązując ręce i nogi do uchwytów w rogach, a korpus i głowę unieruchomili dodatkowo grubymi skórzany mi pasami.

Gdy wyszli, w drzwiach pojawiła się znajoma, przygarbiona lekko sylwetka Znachora. Ktoś taki jak on mógł dysponować specjalistycznym sprzętem wyniesionym z jakiegoś szpitala, a kto wie, czy nie podarowanym przez Otchłań.

– To nic osobistego – zaznaczył medyk, pochylając się nad stołem operacyjnym. Miał na sobie zielonkawy fartuch, podarty, ale mimo wszystko czysty. – Robię, co mi każą – dodał tonem usprawiedliwienia.

– Jak strażnicy w Oświęcimiu? – wychrypiał Nauczyciel.

– Oni mieli wybór – skłontrował Znachor.

– A pan go nie ma? – nie odpuszczał Pamiętający.

– Widzę tylko dwa wyjścia z tej sytuacji. Zrobię, co mi każą, i pożyję kilka lat we względnym spokoju albo trafię jutro na powierzchnię w formie karmy dla mutantów. Co pan by wybrał na moim miejscu? – zapytał, przygotowując jakieś narzędzia.

– Na pewno nie służbę opravcom.

– Czyżby? O ile mnie pamięć nie myli, do dzisiaj obaj pracowaliśmy dla tych samych ludzi.

– Różnica polega na tym, że ja przestałem, gdy tylko zrozumiałem, kim naprawdę są zleceniodawcy, a pan pomaga im nadal...

– Niestety nie jestem bohaterem jak pan, kapitanie Duch – poinformował go ze spokojem Znachor, podchodząc do stołu z napełnioną mętnym płynem strzykawką. – Robię, co muszę, żeby przeżyć. To nie jest już nasz świat, jeśli pan tego jeszcze nie zauważył. Liczy się tylko siła i bezwzględność. Słabi ludzie, tacy jak ja, muszą się wysługiwać innym, chcąc mieć choć cień

szansy na przetrwanie.

Stary durniu, a na cholere ci żyć w takim upodleniu? – chciał zapytać Pamiętający, ale ugryzł się w język. Rozmowa z tym kunktatorem nie miała najmniejszego sensu. Gardził nim, choć podskórnie czuł, że w kanałach nie znalazłby wielu ludzi wyznających inną filozofię niż Znachor. Dziadyga miał też w jednym absolutną rację. To nie był świat, w którym warto żyć.

– Skoro ma mi pan obciąć język, niech pan to zrobi. Dość mam słuchania tych żalonych usprawiedliwień.

– Obciąć język? – zachnął się urażony medyk – Kto panu nagadał takich głupot? Przecież nie jestem barbarzyńcą. Zrobię to co zawsze, nadetnę panu struny głosowe. I to, rzecz jasna, pod narkozą – dodał, akcentując ostatnie słowo, ale zaraz się zmitygował. – To znaczy w pewnym sensie. Nie mam już dostępu do anestetyków, zatem uspię pana wyciągamiem z kołczowatki. W innej sytuacji powiedziałbym, że skutki uboczne ustąpią po kilku dniach, ale w pańskim przypadku to raczej nie ma większego znaczenia.

– Zapamiętaj sobie moje słowa, szmaciarzu. Choćbyś nie wiem komu rowa liżał, i tak nie zdechniesz ze starości w swoim barłogu. Twoje dni są już policzone... – Pamiętający zamilkł, przy mknął też powieki, nie chcąc dłużej patrzeć na to indywiduum.

Moment później usłyszał wypowiedziane ostrym tonem słowa:

– Ani się waż!

Znał ten głos. Otworzył oczy i zobaczył cofającego się Znachora.

– Co ty wyprawiasz, Aniu? – wymamrotał medyk.

– Odlóż to! – Iskra pojawiła się na skraju pola widzenia unieruchomionego Nauczyciela. W rękach trzymała łuk Farciarza, z którego mierzyła do medyka. Szeroki ząbkowany grot połykiwał w trupim blasku ledowych żarówek.

– Zastrzel skurwysyna, zanim zacznie się drzeć! – warknął Pamiętający. – Albo rozwiąż mnie, sam go zabiję.

– Rób, co powiedziałam! – Dziewczyna napięła mocniej cięciwę, nie zwracając uwagi na polecenia więźnia. – Nie mam zbyt silnych rąk, więc...

Strzykawka wylądowała z trzaskiem na stoliku, między przygotowanymi narzędziami chirurgicznymi, a sam Znachor podniósł wysoko ręce.

– Zrobię, co każesz, tylko nie strzelaj.

– Klękaj! – wrzasnęła. – Ryjem do ściany! Już!

– Nie zabijaj mnie, ja tylko wykonywałem polecenia Bondarczuk... – bełkotał medyk, próbując niezdarnie wykonać jej rozkaz.

– Łapy za głowę i ani drgnij – ostrzegła, luzując cięciwę, gdy zamarł w kacie.

– Rozwiążesz mnie czy nie? – zapytał zniecierpliwiony Nauczyciel, gdy na moment zapadła cisza.

– To zależy – odpowiedziała.

– Od czego?

– Od tego, co zaraz usłyszę. – Zdjęła strzałę, schowała ją do kołczanu, a sam łuk przewiesiła

przez ramię.

– Nie rozumiem. – Pamiętający spojrział na nią uważnie.

– Musisz dać słowo, a raczej przysiąc na wszystko, co jest ci najświętsze, że tej mendzie włos z głowy nie spadnie.

– To jakiś żart?

– Mówię serio. Jeśli nie przysięgniesz, zostaniesz na tym stole do samego końca.

– Przecież ten skurwiel jest jednym z nich. Jak tylko stąd wyjdziemy, powiadomi dół.

– Nic nie powiem – zaskamlał Znachor.

– Powiesz, śmieciu, bo chcesz żyć, a oni zabiją cię prędzej i chętniej niż ona – wypalił Pamiętający w kierunku niewidocznego dla niego medyka.

– Możecie mnie związać albo zamknąć w celi z... – Starzec zamilkł w pół słowa, jakby nagle dotarło do niego, że za dużo powiedział.

– Odwiąż mnie, Iskra! – Nauczyciel podniósł głos.

– Najpierw przysięgnij.

– Dlaczego mam mu darować?

– To jedyny prawdziwy lekarz, jakiego mamy w Mieście – odpowiedziała spokojnie. – Jeśli go zabijesz, wydasz wyrok śmierci na wielu porządnym ludzi.

– I tylko z tego powodu ma mu się upiec?

– Tak Nie – zapłatała się. – Zapłaci za to, co robił, masz na to moje słowo, ale nie tak, jak ty tego chcesz. – Przez chwilę w sali panowała idealna cisza. – Radzę ci się pośpieszyć, dziadzia, nie mamy całego dnia na przekomarzania.

– Dobrze. Daję ci słowo honoru, że skurwielowi włos z głowy nie spadnie, jeśli mi nie pozwolisz...

– Przysięgnij, że mnie palcem nie tkniesz – wyskamlał Znachor.

Nauczyciel posiniał na twarzy. W jego oczach zakręciły się łzy. Medyk, nieświadomy ukrytego znaczenia tego zwrotu, rozjątrzył najbardziej dotkliwą ranę. Iskra zauważyła reakcję Pamiętającego. Nie mogła wiedzieć, co jest jej przyczyną, ale zrozumiała w lot, że za tym nagłym przejawem wściekłości czai się coś potwornego.

– Zamknij ryj! – rzuciła w kierunku kłęczącego mężczyzny, zanim podeszła do stołu. – A ty, dziadzia, wyluzuj, bo ci żyłka pęknie. Daleś słowo, pamiętaj – dodała, sięgając do sprzączki pierwszego pasa.

Nauczyciel oddy chał szybko, jakby miał zaraz zanurkować. Zacisnął też powieki, wycisnął spod nich łzy.

– Pamiętam – rzucił chrapliwie.

– Jeśli tkniesz... – Zamilkła, zdając sobie sprawę z tego, jak mało brakowało, by powtórzyła słowa Znachora. – Jeśli mu coś zrobisz, nikt z moich ludzi ci nie pomoże – dokończyła, spoglądając na niego groźnie.

– Raz powiedziałem i wystarczy!

Przyjrzała się ponownie jego twarzy. Policzki wciąż mu płonęły, podobnie jak czoło i nos, ale

nie wyglądał już tak strasznie jak jeszcze przed chwilą. Uwolniła go więc szybko, a potem cofnęła się o krok, stając pomiędzy stołem a kłęczącym w kącie medykiem, ale tak by nie tracić ich obu z oczu.

– Dzięki – mruknął Pamiętający, rozcierając zdrętviałe nadgarstki. – Gdyby nie ty... – Umiłkł, spojrzał na nią podejrzliwie. – Wiesz, co ta kurwa zrobiła z Niemotą?

Iskra zaprzeczyła ruchem głowy.

– Na moich oczach zepchnęła go do tej bezdennej studni.

– Co?

– Zabiła go... – Głos mu się załamał. – Zamordowała ot tak, po prostu...

Iskra zaniemówiła.

– Nie wiedziałam... – wydukała w końcu, z trudem biorąc się w garść. – Nie sądziłam...

– A oni śmiali się, gdy kąpała potem ze mnie w żywe oczy... – Pamiętający spuścił głowę. –

Wiesz, po co mnie tutaj przywieźli? – zapytał po chwili.

– Tak

Spojrzał na nią dziwnie.

– Chyba nie rozumiałaś, o czym...

– Wiem – wpadła mu w słowo. – Znachor miał cię zoperować, żebyś nie wyśpiewał Dresom, jak zejść do Otchłani.

– Skąd ty... to...

Uśmiechnęła się.

– Ty mnie jednak nie doceniasz, dziadzia.

– Jak to?

– Rzekł mi krewni Zadry to ludzie wynajęci przez Freję. Gdy odpieprzyłeś ten cyrk z zamachem, poszłam do Klatki i powiedziałam, jak się sprawy mają.

– Opowiedziałaś jej o wszy stłkam? O dole też?

– Tak. Choć nie od razu, żebyśmy się dobrze zrozumieli... Ta baba jest starsza od ruin, ale łeb ma nie od parady. To ona wykombinowała numer z rodziną Zadry. Wszy ścusięńko, od początku do końca. Ja tylko musiałam znaleźć pośrednika, który szepnął komu trzeba kilka słów.

Przyglądał się jej z rozdziawioną gębą. Wciąż miał przed oczami pierwsze spotkanie, gdy natknęli się na siebie w przepuście, także niby przypadkiem. Dał się jej wtedy omotać jak pierwszy lepszy szmondak, dlatego po dziś dzień, mimo ogromnego długu wdzięczności za kilkakrotne uratowanie życia, wciąż czuł wielką nieufność i niepewność, gdy miał z nią do czynienia.

– Mogę wiedzieć, dlaczego mi pomagasz? – zapytał w końcu.

– A jak sądzisz? – W jej spojrzeniu dostrzegł cień złości.

– Gdybym wiedział, tobym nie pytał.

– Czy ja wyglądam na kompletną idiotkę? – Spojrzała na niego kąpiąco.

– Nie, ale co to ma do rzeczy?

– Tego też nie wiesz? – Widząc, że jest zbyt skołowany, aby mieć ochotę na dalsze

przekomarzanie, spoważniała momentalnie. – Jeśli myślisz, że nie dotarło do mnie, kto jest odpowiedzialny za zniknięcie ludzi z Republiki, grubo się mylisz. Czyści jedyńmi mieli bezpośredni dostęp do terenów objętych kwarantanną i tylko oni dysponowali technologią pozwalającą na usypianie całych enklaw. Dodaj dwa do dwóch i dostaniesz prostą odpowiedź, kto stał za czystkami.

– To nadal nie jest odpowiedź na moje pytanie – zauważył.

– A ja myślę, że wyraziłam się wystarczająco jasno. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Urodziłam się w kanałach, nie w Otchłani. To, że Czyści mi płacą, nie znaczy, że stałam się ich własnością.

– Najbliższa rodzina sprzedała cię do burdelu – przypomniał. – Ja bym nie czuł żadnego powinowactwa z takimi ścierwami.

– A Bondarczuk stręczyła mnie od lat każdemu oblechowi, którego chciała omotać. Bez względu na to, jak bardzo był posrany. Tobie, dziadzia, też musiałabym dogadzać w każdy możliwy sposób, gdybyś tylko zechciał. Nawet o tym nie myśl! – warknęła, odwracając się do Znachora.

– Ja nic nie kombinuję – zaskomlał medyk, podnosząc szybko ręce. – Nogi mi zaczynają drętwieć.

– Wolisz to czy znieczulenie za pomocą maczety? – zapytała.

– Podobno zależało ci na tym, żeby mnie nie zabił... – Próbował zerknąć na nią przez ramię, ale z rękami na głowie niespecjalnie mu to wychodziło.

– Giczołów do leczenia nie będziesz potrzebował – burknęła, wzruszając ramionami. – Ręce i głowa ci wystarczą.

– Powiedz tylko słowo – wtrącił Nauczyciel – a przytnę gnojka jak trawnik przed urzędem skarbowym.

– Dałeś słowo – przypomniała mu.

– Obiecałem, że go nie tknę, jeśli na to nie pozwolił.

– Racja.

Pamiętający spojrzął groźnie na Znachora.

– Masz pewność, że przeżyjesz tę awanturę, ale na twoim miejscu nie przyzwyczajałbym się do myśli o zachowaniu wszystkich członków.

– Dobra, dziadzia – Iskra pociągnęła go za ramię. – pożartowaliśmy, ale pora wracać do tematu, bo niewiele nam zostało czasu. Ty też, jak rozumiem, rozgryzłeś już sprawę czystek

– Nie do końca – przyznał po chwili wahania.

– W takim razie dlaczego podłożyłeś tę pieprzoną bombę? – spojrzała na niego podejrzliwie.

Zamiast odpowiedzieć, pogrzebał w tylnej kieszeni spodni. Żołnierze przeszukali go pod kątem posiadanej broni, cała reszta ich nie interesowała. Podał Iskrze złożone na czworo zdjęcie.

– Dragon miał to przy sobie.

Nie wyglądała na zaskoczoną.

– To by pasowało do mojej teorii – mruknęła.

– Jakiej znowu teorii?

– Na temat tego wszystkiego – odparła, zataczając szeroki łuk ręką. – Po powrocie długo się zastanawiałam, dlaczego Bondarczuk miałaby likwidować ocalałych mieszkańców Republiki.

– Ja też się nad tym zastanawiałem, ale nie doszedłem do niczego sensownego.

– A ja wręcz przeciwnie. Może dlatego, że znam Czystych znacznie lepiej i dłużej niż ty. Moim zdaniem Otchłań się kończy. Ten kompleks miał służyć ludziom za schronienie przez pięć, maksymalnie sześć lat. Na tyle był obliczony, więc teraz, dwie dekady po Ataku, wszystko się tam sypie. Połowa pomp i generatorów nie pracuje, zapasy są na wyczerpaniu. Jeszcze rok albo dwa i Czysci będą musieli wypieprzać ze swoich wygodnych bunkrów. Tylko gdzie mieliby pójść, skoro kanały są już zasiedlone?

Dobre pytanie, pomyślał i nagle go olśniło.

– Republika to był tylko poligon doświadczalny.

– Dobrze kombinujesz, dziadzia.

– Tam, na dole, przy studni, Bondarczuk powiedziała coś, czego do końca nie rozumiałem, ale... – Zamilkł. – To jeszcze nie koniec. Kazali nam ściągnąć uciekinierów z Nowego Watykanu i Wolnych Enklaw, żeby...

– Tak Pomogliśmy im zgromadzić większość ocalałych tam, gdzie najłatwiej będzie ich wybić. Dlatego Freja była pewna, że wystarczy zaproponować Czystym możliwość dotarcia do Rasy i rozpętania kolejnej wojny z Ligą, by wydali cię bez zbędnych pytań. Wiesz, ona w sumie mogłaby być jedną z nich...

Nie zwrócił uwagi na tę kłśliwą uwagę.

– Dziwka liczy na napływ kolejnej fali uciekinierów – mamrotał. – Powiedziała mi to prosto w oczy. Oni chcą zabić nas wszystkich...

Znachor zaśmiał się albo zakrzuszył, trudno było powiedzieć, w każdym razie zabrzmiało to dziwnie.

– Gównu wiecie o tym, co tu się naprawdę dzieje – rzucił moment później niby zadziornie, ale łamiącym się głosem.

– Ty jesteś ten lepiej zorientowany, tak? – Iskra spojrzała na niego kąpiąco.

– Tak Powiem wam wszystko jak na spowiedzi, ale dopiero jak oboje dacie mi słowo, że nikt mnie nie okaleczy.

– A może wyśpiewasz wszystko, jak przy stało na torturowanego jeńca? Uwierz mi, mogę cię potraktować z równą serdecznością jak Zadra mnie – skłontrował Pamiętający, pokazując okaleczoną dłoń.

– Przy moim słabym sercu długo się nie pobawisz – zapewnił go medyk

– Dziad gównu wie – ucięła dyskusję Iskra. – Nie miał nawet wstępu na dół.

– Wystarczy mi to, co widziałem tutaj – odciął się natychmiast Znachor.

– Czyli co?

– Przy sięgnijcie.

– Masz moje słowo – mruknął Nauczyciel.

– Że co?

– Że będziesz traktowany jak jeden z nas, jeśli dowiemy się od ciebie czegoś użytecznego.

W przeciwnym razie... – pokazał raz jeszcze poharataną rękę.

Znachor przeniósł wzrok na dziewczynę, a ta pokręciła najpierw głową, a potem uniosła dwa palce jak harcerka.

– Słowo.

– Nie pożałujecie.

Medyk zaczął się gramolić z betonowej podłogi. Potrzebował dłuższej chwili, by stanąć niepewnie na nogach, ale żadne z nich nie pofatygowało się, by mu pomóc.

– Gadaj! – Pamiętający stanął dwa kroki od podpierającego się o szafkę Znachora. Ten spojrzął mu prosto w oczy.

– Czyści nie zabili tych wszystkich ludzi. Tylko starców i dzieci. Reszta trafiła na dół.

– Łże dziadyga – rzuciła Iskra zza pleców Nauczyciela. – Znam Otchłani jak własną kieszeń.

Tam nie ma jak ani gdzie przetrzymać wielkiej liczby więźniów.

– Nie wiem, co zrobiono z ludźmi uprowadzonymi z Republiki, ale jestem pewien, że trafili w to samo miejsce co wszyscy Dresowie i Pasowie, których my odstawiamy na dół.

– Kto: my?

– Ja i Tesla.

Dziewczyna stanęła obok Pamiętającego.

– Łżesz.

– Mówię prawdę i mogę to udowodnić – zarzekł się medyk.

– Jak?

– Pokażę wam, co kázano mi robić tym ludziom.

Nauczyciel przypomniał sobie słowa wypowiedziane przed kilkoma minutami, gdy medyk stał nad nim ze strzykawką. „Nie jestem barbarzyńcą. Zrobię to co zawsze, natnę panu struny głosowe”, rzekł z oburzeniem w głosie, a potem dodał jeszcze: „Możecie mnie związać albo zamknąć w celi z...” czy jakoś tak. Wtedy Pamiętający nie zwrócił na nie szczególnej uwagi, ale teraz zabrzmiały wyjątkowo złowrogo, zwłaszcza jeśli rozpatrywać je w kontekście prowadzonej rozmowy. Poza tym...

– Chwila moment. Kilka dni temu przysłałem tutaj Dresę, który pomógł nam na Muchoborze. Nazywał się Prздеpt. Przyszedł z żoną i dwójką dzieci.

– To był jakiś twój znajomek? – Znachor zbladł. – Nie wiedziałem. Mówił, że Szwejk ich zostawił przed bunkrem.

– Zgadza się. Kazałem mu skłamać.

– Ja tylko robiłem, co mi kázano. – Przerażony medyk zaczął się cofać, ale po dwóch krokach dotarł do narożnika.

43 | Niewolnicy

– Zaraz – Pamiętający chwycił Znachora za ramię – nie tak szybko, gnido.

Medyk wzdygnął się, ale nie wyszedł do środkowego pierścienia.

– Dziadzia! – Iskra podniosła głos. – Obiecałeś!

Nauczyciel natychmiast cofnął rękę.

– Strażnicy – rzucił, spoglądając z nienawiścią na starszego mężczyznę. – On prowadzi nas prosto na nich.

– Bez obaw. – Dziewczyna na minęła ich obojętnie. – Zajęłam się nimi, zanim tu przyszedłam.

– To znaczy?

– Poczęstowałam ich zupą Tesli doprawioną według receptury Achai – wyjaśniła. – Jemu już była niepotrzebna, a tak ładnie pachniała... – Zaśmiała się oblesnie.

Zdezorientowany Znachor słuchał jej, niczego nie rozumiejąc.

– Ale ja nie próbowałam nawet... – zaczął się tłumaczyć.

– Zamknij ryj i prowadź! – Pamiętający szturchnął go otwartą dłonią.

Przeszli do środkowego pierścienia bunkra, gdzie medyk poprowadził ich po okręgu na drugą stronę, do pomieszczeń zabezpieczonych metalowymi drzwiami. Otworzył pierwsze z nich i odsunął się na bok, by mogli zajrzeć do pogrążonej w egipskich ciemnościach sali.

– Ja... – jęknęła Iskra, przyświecając sobie lampą.

W środku pogrążonego w mroku pomieszczenia na wąskich pryzkach leżało czterech mężczyzn i tyle samo kobiet. Z oddali wszyscy wyglądali normalnie, ale jedno uważniejsze spojrzenie wystarczyło, by dostrzec kilka bardzo niepokojących szczegółów. Przywiązano ich do posłań podobnymi pasami, jakimi jeszcze przed momentem był skrupowany Nauczyciel, ale nie to stanowiło największy szok.

Ich powieki zostały zszyte czarną, grubą nicią. Gałki oczne poruszały się frenetycznie pod cienką skórą, podobnie jak usta, jednakże w pomieszczeniu panowała idealna cisza.

– Co wyście im zrobili? – wyszeptała przerażona Iskra.

– Tylko to, co kazała Bondarczuk – odparł Znachor, kuląc się pod spojrzeniem Pamiętającego.

– Czy li?

– Zostali oślepieni i pozbawieni mowy, ale każda operacja odbywała się pod narkozą, ja naprawdę nie jestem...

– Jesteś, tylko boisz się do tego przyznać – przerwał mu Nauczyciel. – Żaden porządny człowiek nie odebrałby tym biedakom wzroku i mowy.

– Dlaczego im to zrobiliście? – zapytała Iskra. Była blada, jakby to jej ktoś upuścił dzisiaj krwi.

– Nie wiem.

– Kłamiesz.

– Naprawdę nigdy nie pytałem. – Medyk popatrzył na nich błagalnie.

– Powiedzmy, że ci wierzę. – Nauczyciel stanął o krok od wystraszonego mężczyzny. – A teraz wyjaśnij mi, zwięźle i po kolei, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jakieś trzy lata temu przysłała do nas cała delegacja z dołu. Po krótkiej kurtuazyjnej rozmowie Bondarczuk powiedziała wprost, że oczekuje od nas bezwzględnej posłuszeństwa, jeśli chcemy zachować przywileje, to znaczy ten bunkier i wszystko, co od niej dostajemy, a dawała nam wiele, także dla szpitala, który prowadzę w Mieście. Na koniec dodała, że jej ludzie dostarczą nam w najbliższych dniach wyposażenie potrzebne do przeprowadzania pewnych operacji...

– Chwila – przerwał mu Pamiętający. – Rozumiem, że ty byłeś jej potrzebny, ale po cholere mieszała do tego Tesle?

– Ja zajmowałem się nacinaniem strun głosowych i uszkadzaniem nerwów wzrokowych, on nadzorował pranie mózgow – wyjaśnił Znachor.

– Jakże znowu pranie?

– Jak mam wam wyjaśnić, co tutaj robiliśmy, jeśli nie dajecie mi dojść do głosu? – obruszył się medyk

– Dobrze, gadaj, byle krótko i na temat.

– Wyglądało to tak, że przekupieni strażnicy prowadzili na granicy wstępną selekcję. Jeśli proszący o azyl ludzie spełniali kryteria Bondarczuk, wysyłano ich tutaj. A warunek był jeden, to musiały być całe rodziny, wiecie, rodzice z co najmniej jednym dzieckiem.

Pamiętający znów nabrał powietrza, by zadać pytanie, ale zanim zdążył to zrobić, Iskra warknęła ostrzegawczo:

– Dziadzia!

Znachor podziękował jej skinieniem głowy.

– Po przyjęciu wyselekcjonowanych kandydatów w bunkrze przeprowadzaliśmy wstępne oględziny, żeby wykluczyć słabe ogniwa, rozumiecie, ukryte choroby, takie tam sprawy. Po badaniach Tesla zapraszał wszystkich do siebie na skromny posiłek Oczywiście odpowiednio zaprawiony. Uśpieni rodzice trafiali na mój stół, a dzieci... – zawałała się i zbłądł. – A dzieci od razu odsyłaliśmy – wydukał w końcu.

– Dokąd? – zdziwił się Nauczyciel.

Iskra westchnęła ciężko. Gdy przeniósł na nią wzrok, od razu zrozumiał, o jakie odsyłanie chodzi. Medyk obserwował ich jeszcze przez chwilę, jakby obawiał się, że złamią dane mu

przyrzeczenie. Wzmianka o zabijaniu dzieci tak ich jednak zaszokowała, że nie myśleli teraz o niczym innym.

– Na tym kończyła się moja rola – wyznał z ogromną ulgą Znachor. – Zoperowani ludzie trafiali do tych cel – wskazał głową stalowe drzwi. – Tesla dzień w dzień fundował im kilkugodzinne seanse, podczas których przy dźwiękach kojącej muzyki powtarzał mantrę, że jeśli będą służyć nowym panom przez tysiąc dni, odzyskają wolność, przywrócimy im też wzrok oraz mowę i oddamy dzieci.

– I oni w to wierzyli? – zapytała wstrząśnięta Iskra.

– Wybierali najsilniejszych, ale prostych ludzi... – Nauczyciel odpowiedział za Znachora. – Takim w mówisz wszystko.

– Nigdy nie byłem prostym człowiekiem, więc nie wiem, jak głupi może być ktoś taki, ale nie miści mi się w głowie, że ludzie, którym odbierasz wszystko, będą ci służyć.

– Perfidia tego planu polegała na tym, że te mendy zostawiały ludziom nadzieję. Mówię o dzieciach, bo wiara w uzdrowienie to zupełnie inna bajka. Idę o zakład, że Tesla powtarzał im w kółko nie tylko obietnice, ale i groźby, że jeśli zawiodą, ich synowie i córki zostaną natychmiast straceni. A ci biedacy zrobiliby dla swojego potomstwa wszystko, a nawet więcej...

– Tak Tesla wbijał im do głowy takie właśnie rzeczy. – Medyk wszedł mu w słowo. – Karmił ich regularnie, przyzwyczajał do życia w wiecznej ciszy i mroku, a gdy uznawał, że są gotowi, dzwoniliśmy na dół i ludzie Bondarczuk odbierali od nas kolejną partię niewolników.

– Jak często i ilu?

– Dziesięć par tygodniowo. Czasami więcej.

Wpatrywali się w niego przez naprawdę długą chwilę, milcząc. W końcu Iskra nie wytrzymała.

– Chcesz powiedzieć, że przez trzy lata wysłaliście na dół... – Zaczęła gorączkowo liczyć.

– Jakieś trzy tysiące osób – pomógł jej Pamiętający.

– Tak by wychodziło – przyznał medyk

– Trzy tysiące? – Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Nie licząc dzieci – dodał Nauczyciel.

– Taka masa luda... – Kręciła głową, nie próbując nawet ukryć zaskoczenia. – Ale co oni z nimi zrobili? Bondarczuk nie każałaby przecież urządzać takiego cyrku, żeby ich potem po prostu zabijać.

– Może wysyłali ich gdzieś dalej, do drążenia tuneli albo na te słynne stacje końcowe, wiesz, do Leśnicy czy Sobótki? – usiłował zgadywać Pamiętający.

– Nie. Na pewno nie. Byłam tam kiedyś z czystej ciekawości. To tylko niewielkie bunkry, z których można wyjść na powierzchnię.

– Może jest jeszcze jakaś część Otchłani, o której nie wiesz?

– Uwierz mi, że nie ma – odparła stanowczym tonem. – Zadałam sobie naprawdę wiele trudu, by zajrzeć za wszystkie drzwi.

– A ten tunel za komnatą z bezdenną studnią?

– Ślepy. Byłam, widziałam. Zawał blokuje go kilkaset metrów od wejścia.

– Przecież ci ludzie nie mogli rozpląnąć się w powietrzu...

– Ja wiem tylko tyle – wtrącił Znachor, wykorzystując moment ciszy – że czasem, jak coś nie szło zgodnie z harmonogramem, Bondarczuk groziła nam strasznymi konsekwencjami. Tesla zwykł mawiać, że zachowywała się w takich momentach jak ktoś, kto dostał porządny opieprz od kogoś ważniejszego.

Nad Katarzyną ktoś jest? Iskra i Nauczyciel spojrzeli po sobie znacząco. To nie trzymało się kupy.

– Kiedy mieliście odesłać kolejną grupę? – zainteresowała się nagle dziewczyna.

– Dzisiaj wieczorem, a co? – odpowiedział medyk

– Jak to wygląda od strony technicznej? – zapytał Nauczyciel. – Jakie są procedury i tak dalej?

– My dzwonimy, a oni dokładnie o dwudziestej pierwszej przysyłają z dołu winde. Przyjeżdża nią sześciu ludzi w kombinezonach ochronnych. Pakujemy niewolników do klatki, raz, potem drugi, kasujemy należność, i tyle.

– O dziewiątej, powiadasz? – upewniła się dziewczyna.

– Tak

Pamiętający zerknął na zegarek. Mieli jeszcze prawie sześć godzin.

– Idziemy! – Iskra machnęła ręką, poganiając Znachora.

– Dokąd? – zdziwił się Nauczyciel.

– Na górę, do profesorka – odparła zwięźle.

Przeszli do wewnętrznego kręgu, mijając leżących pod ścianą otrutych żołnierzy, wspięli się po schodach na najwyższy poziom, gdzie także trafili na zabitego wartownika, choć ten dla odmiany został zarąbany maczetą. Znachor przeżegnał się na widok jego rozplątanej głowy, a gdy zobaczył Tesłę siedzącego w ulubionym fotelu, z flakami wylewającymi się z wielkiej rany na brzuchu, zbladł do reszty.

Iskra prychnęła głośno, a potem z półobrotu przyłożyła medykowi pięścią w brzuch. Zawył z bólu, zgął się wpół i tak już został, dopóki nie padł w kałużę własnej krwi i wymiocin. Pamiętający nawet się nie ruszył, patrzył tylko z nieskrywanym zdziwieniem na Iskłę, która przykucnęła właśnie obok zdekapitowanych zwłok, żeby wytrzeć ostrze maczety o zielonkawy fartuch.

– Czy to nie ty mówiłaś przypadkiem... – zaczął, ale pozwoliła mu dokończyć.

– Myliłam się – burknęła, chowając broń do pochwy. – Nie zasługiwał na oddychanie tym samym powietrzem co my.

Miał podobne zdanie na ten temat, więc nie drążył tematu.

– Co teraz?

– Ja załatwię ludzi – odparła – a ty wymyślisz plan.

44 | Szturm

Plan był prosty, co wcale nie znaczy, że łatwy do wykonania, na drodze do zwycięstwa stały bowiem trzy bardzo poważne przeszkody.

Atak można było przeprowadzić tylko z jednego punktu, przez szyb windy – pozostałe wejścia do Otchłani znajdowały się zbyt daleko od głównego kompleksu podziemnych bunkrów, a czas naglił. Uderzenie musiało nastąpić tuż po dziewiątej, gdy winda przewożąca niewolników zjedzie po raz pierwszy w dół.

Przeciwnik dysponował ogromną przewagą liczebną – Pamiętający wiedział dzięki informacjom pozyskanym od Iskry, że na dole przebywa w tym momencie około trzystu pięćdziesięciu dorosłych osób – licząc według starych standardów – z których większość może w bardzo krótkim czasie uzyskać dostęp do broni palnej. Nauczyciel mógł wystawić przeciw nim jedynie pięćdziesięciu pięciu bojowników rekrutujących się spośród ludzi Frei i mieszkańców Wolnych Enklaw, uzbrojonych głównie w noże i maczety. Tylko piętnastu ochotników w miarę dobrze posługujących się łukami albo kuszami, w związku z czym atakujący nie mieli co marzyć o walce na dystans.

Dodatkowym utrudnieniem był też środek transportu – do klatki zjeżdżającej na dno sześćdziesięciometrowego szybu mogło wejść na raz tylko piętnaście osób, a jazda w jedną stronę trwała około trzech minut, co oznaczało, że zwiezenie do Otchłani całego oddziału może potrwać prawie pół godziny. Za długo.

Każdy, kto ma jakieś takie pojęcie o wojaczce, stwierdziłby więc, że w takich warunkach lepiej odpuścić, niż dać się znasakrować, ponieważ ta misja to po prostu zbiorowe samobójstwo.

Każdy, ale nie Nauczyciel, a raczej Duch, ponieważ patrząc na śmierć syna, stał się na powrót bezwzględny Czarnym Skorpionem. Zrzucił z barków piętnastoletni balast życia w spokoju, pozbył się sumienia jak wąż skóry. Nie myślał już kategoriami kompromisu i łagodzenia konfliktów, jak miał to w zwyczaju podczas pobytu w enklawie Innego. Znowu stał się żołnierzem. Oficerem, który w trakcie krótkiej, lecz naprawdę burzliwej kariery dowódcy Czarnych Skorpionów zajął dla kolonii kilka niezdobytych – jak się wszystkim wydawało – enklaw wroga (a ocaleni byli przecież wtedy znacznie czujniejsi i bardziej się przykładali do obrony niż

gnuśniejący od lat Czyści).

Właśnie na zgnuśnienie przeciwnika liczył, referując liderom czterech oddziałów wymyślony naprędce, bardzo prosty plan.

Mieszana grupa uderzeniowa, składająca się z luczników i strzelców – dzięki otruciu strażników bojownicy zdobyli cztery pistolety, a kilka dalszych sztuk broni mieli nadzieję odebrać Czystym, którzy przyjadą po więźniów Znachora i Tesli – pojawi się na dole w przebraniu, by przeprowadzić szybki atak na znajdującą się poziom niżej zbrojownię.

W tym samym czasie drugi oddział, najmniej liczny, zablokuje specjalnie przygotowanymi palami wejścia do pomieszczeń mieszkalnych na wszystkich poziomach kompleksu, uniemożliwiając przebywającym tam Czystym dołączenie do akcji, co powinno znacząco zmniejszyć przewagę liczebną przeciwnika. Trzecie zgrupowanie, po przejęciu pistoletów i karabinów ze zbrojowni, razem z pierwszym zacznie oczyszczać kompleks, zaczynając od najniższego, technicznego poziomu, by odciąć znajdującym się wyżej ludziom dostęp do prądu i całej reszty udogodnień. Ostatnia, kilkuosobowa grupa kurierów dozbroi w tym czasie oddziały pilnujące kwater, by można było rozpocząć eksterminację tych spośród Czystych, którzy nie pełnili akurat żadnej służby, jak również rodzin pozostałych.

Jak sprawić, by wszyscy znaleźli się na dole mniej więcej w tym samym czasie? Duch rozwiązał ten problem w bardzo prosty, a zarazem skuteczny sposób. Gdy winda zacznie zjeżdżać, reszta bojowników, zamiast czekać, ruszy za nią, schodząc po kilku linach, które przygotowano w Mieście i ściągnięto już do bunkra Tesli. Idący na końcu kurierzy powinni trafić na dół niespełna dziewięćdziesiąt sekund po ruszeniu windy.

Duch udzielił dowódcom szczegółowych instrukcji. W tej bitwie nikt nie będzie brał jeńców, z jednym małym wyjątkiem. Oddział zajmujący pomieszczenia środkowego poziomu Otchłani i znajdującego się tam szpitala otrzymał kategoryczny zakaz zabijania ludzi w białych kombinezonach. Pacjenci, nawet jeśli będą to dzieci, personel pomocniczy, sprzętaczkli, ochroniarze, wszyscy ci ludzie byli zbędni i tak właśnie mieli zostać potraktowani. Tylko lekarze mogli przeżyć tę masakrę. Ktoś bowiem musiał zająć miejsce Znachora ściętego przez Iskrę. Drugi wyjątek zrobił dla techników pracujących na najniższym poziomie, w elektrowniach i warsztatach. Bez wiedzy tych ludzi Otchłań szybko stałaby się jednym wielkim grobowcem.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, akcja powinna się zakończyć w ciągu kwadransa. Zaskoczeni Czyści, pomimo doskonałego uzbrojenia i przewagi liczebnej, pójdą w rozsypkę, gdy tylko padną pierwsze strzały, tego Duch był pewien i to powiedział zgromadzonym w bunkrze Tesli bojownikom. Strzelać trzeba umieć, a trafienie w ruchomy cel, nawet z kilku metrów, nie jest wcale takie proste, jak to się niektórym wydaje. Zwłaszcza gdy mowa o ludziach, którzy potrafią rozłożyć posiadaną broń z zamkniętymi oczami, ale strzelali z niej tylko raz na rok, zużywając przy tym maksymalnie trzy naboje. Mimo że będzie ich trzech na jednego, a licząc lufy, nawet dwu- albo trzykrotnie więcej, muszą przegrać tę bitwę, ponieważ nikt nie będzie koordynował ich działań, a panika szybko zrobi swoje.

Tak to przynajmniej wyglądało w teorii. O tym, ile zwycięstw i porażek jest sumą

przy padków, wolał nie myśleć.

– Jadą – zameldował zwiadowca nasłuchujący przy drzwiach.

Duch wydał kilka migowych komend, nakazując ludziom zniknąć z pola widzenia. Na korytarzu zostali tylko dwaj brodacze przebrani w mundury otruty ch przez Iskrę strażników. Tesla i Znachor nie mogli, niestety, uczestniczyć osobiście w tej maskaradzie.

Ktoś zastukał w drzwi od wewnętrznej strony. Głośno, dźwięcznie, jakby walił w nie młotkiem. Obaj przebierańcy natychmiast złapali za uchwyty i odciągnęli ciężkie skrzydła, odsłaniając szyb, wiszącą w nim klatkę i sześciu mężczyzn w kombinezonach ochronnych. Ukryty w mroku Duch uśmiechnął się na ich widok. Trzej mieli na ramionach kałasznikowy, przy pasach wszystkich widział też kabury z pistoletami. Jeśli je przejmą, będą dysponowali trzynastoma sztukami broni palnej. Oddział szturmujący zbrojownię weźmie wszystkie karabiny i cztery pistolety. Pozostałych sześć Glocków zostanie podzielonych między grupy blokujące wyjścia z kwater.

Czyści wyszli z windy, ale zatrzymali się po zrobieniu kilku kroków. Zdziwiła ich nieobecność obu gospodarzy. Najniższy z przybyłych odwrócił się w stronę przebranych strażników.

– Gdzie Tesla? – zapytał.

– Zaraz zjedzie – odpowiedział jeden z brodaczy, powtarzając wyuczony na pamięć tekst. – Był mały problem z tymi waszymi cudakami. Doprowadzają ich teraz do porządku.

– Jaki problem?

– Jeden ześwirował, jak ich chłopcy wiązali. Pociągnął za sobą paru innych, a na ślepo to wiecie, jak jest... Musieliśmy ich potem z deczką zgruzować.

– Ściągnijcie tutaj Tesłę albo tego tam, Znachora. Natychmiast!

– Ale jak? – zatroskał się przebrany strażnik – Nie wolno nam opuszczać posterunku...

– Jak mówię, że masz iść, to idziesz, a nie pyskujesz, rozumiano?! – Kurdupel podszedł do wyższego o głowę brodacza.

Teraz, pomyślał Duch, nabierając tchu. Ostry gwizd odbił się echem od betonowych ścian. Zanim zaskoczeni Czyści zdążyli zareagować, ich przywódca leżał już na ziemi ze skrzyżnym karkiem, a reszta znalazła się na celowniku tuzina strzelców. Brutalność i szybkość tego ataku zrobiły swoje. Żaden przeciwnik nie stawiał oporu, gdy byli kolejno rozbrajani, a potem odzierani z kombinezonów. Na koniec związano ich i ustawiono w szeregu.

– Na kolana – rozkazał Duch, stając za ich plecami, a gdy udknęli, podniesionym głosem dodał: – Zadam wam teraz proste pytanie. Kto nie odpowie, pójdzie pod nóż... – Zamilkł na moment, by przyjrzeć się Karbali, która wyszła właśnie zza ściany, trzymając na ramieniu mocno zakrwawioną maczetę. Wyglądała okropnie z pokrytą jednym wielkim, czarnym strupem połową twarzy i pustym oczodołem. Ściągnął ją tutaj, gdy tylko się dowiedział, że Iskra zadbała o to, by stalkerka trafiła do Miasta. – Ty – szturchnął pierwszego z kłęczących – gadaj, ilu waszych zostało na dole.

– Gówno ci... – tyle Czysty zdążył powiedzieć, zanim dziewczyna rozplatała mu głowę.

Duch odczekał chwilę, pozwalając jej wyszarpnąć ciężką broń z głębokiej rany. Musiała

sobie pomóc nogą, by zaklinowane ostrze wyszło ze strzaskanej kości.

– Ty! – Duch trącił butem następnego jeńca. – To samo pytanie.

– Przy wagonach jest jeszcze czterech naszych i maszynista. – Krótko ostrzyżony blondyn odpowiedział natychmiast, wypływając kolejne słowa z szybkością karabinu maszynowego.

O tym, czy powiedział prawdę, przekonają się dopiero po dotarciu na dół, ale po pokazie Karbali przerażony jeńca nie powinien kłamać. Zwłaszcza że miał na twarzy nie tylko krew kolegi, ale i jego mózgowie.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć – rzucił Duch, dając znak łącznikom.

Czterej kolejni Czyści padli z przestrzelonymi sercami. Blondasa oszczędzono, bo tak brzmiał rozkaz. Skoro facet został już złamany, może przydać się także na dole.

– Pierwszy oddział! – Duch przywołał bojowników, którzy zdążyli się już przebrać w szare kombinezony, i tych udających eskortowanych niewolników.

Blondasa zapakowano do klatki razem z pierwszym rzutem. Jeśli kłamał, posłuży komuś za żywą tarczę, jeśli mówił prawdę, zginie później w mniej bolesny sposób.

Duch ustawił się na samym końcu pomiędzy dwoma w szarych kombinezonach. Miał na sobie takie same lachmany, w jakie ubierano wysyłanych do Otcłani niewolników. Nie chciał się wyróżniać z tłumu, przynajmniej w pierwszym momencie, by nie zepsuć elementu zaskoczenia.

Ktoś pokręcił korbką, dając znak tym na dole, by ściągnęli windę, i klatka ruszyła chwiejnie szybem. Trzy minuty jazdy, które nawet normalnie wlewały się niemiłosiernie, dzisiaj wydawały się wiecznością. Duch spojrział w górę – nad jego głową pełgały poruszające się rytmicznie światelka. Schodzący po linach ludzie przyświecali sobie, jak mogli, ten szyb miał w końcu wysokość dwudziestu pięter, a jego ściany nie były wcale tak równe, jak można by się tego spodziewać po niemieckiej robocie.

Ostatnie szarpnięcie i winda z hukiem dotknęła dna. Tutaj nie trzeba było stukać. Strażnicy natychmiast rozsunęli drzwi. Było ich dwóch, kolejna para stała przy wąskich rampach prowadzących do wagonów kolejki wąskotorowej. Poza nimi w ciemnym tunelu nie było widać nikogo.

Przebrani w kombinezony bojownicy pognali grupę udającą niewolników, by zrobić miejsce znajdującym się na końcu łącznikom.

Gdy Duch gwizdnął, wychodzący z windy ludzie przypadli natychmiast do ziemi, mgnienie oka później nad ich głowami przemknęły ze świstem cztery strzały. Strażnicy otwierający drzwi windy zostali równocześnie zlikwidowani za pomocą noży. Nikt nie krzyknął, jedyny hałas towarzyszył upadkowi zastrzelonych.

– Zabierzcie im broń i pędźcie do zbrojowni – rozkazał Duch. – Ty i ty – wskazał przebiegających obok niego bojowników, pierwszych z grupy opuszczającej się po linie – zdejmijcie maszynistę, ale na razie go nie zabijajcie. Ten pociąg może nam się jeszcze do czegoś przydać.

Sknęli głowami i bez słowa pobiegli w przeciwnym kierunku, odłączając się od oddziału. Tymczasem z windy wysypywali się kolejni ludzie, nieprzerwanie, jeden za drugim, jakby to był

wylot tunelu prowadzącego na Bazar.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem, ale to był przecież dopiero pierwszy z wielu etapów tej operacji. Duch miał nadzieję, że Iskra także wykona na medal swoją część zadania. Posłał ją na dół pół godziny wcześniej, by miała czas na wrócenie się do centrum monitoringu i zneutralizowanie oficera dyżurnego z popołudniowej zmiany. Twierdziła, że to nie będzie problem, i chyba nie przesadzała. Gdyby ten człowiek patrzył teraz na ekrany, nie byłoby tu tak cicho.

Ostatni bojownicy opuścili szyb windy. Duch zerknął na zegarek. Dwie minuty – byli dużo szybsi, niż zakładał. To kolejny dobry znak. Być może już ostatni. Nie spodziewał się jak kiedyś, przed laty, gdy był u szczytu sławy, że każda jego akcja musi się zakończyć powodzeniem. Ból fantomowy, który nawet teraz odczuwał w czubkach obciętych palców, zakwasy przypominające fatalnie zakończoną wspinaczkę na szczyt Wieży, klucie w żebrach, o wiele słabsze niż podczas przeprawy nad Odrą, wszystko to były czytelne dowody, że przypisany mu gdzieś tam, w niebie lub piekle, limit szczęścia uległ już albo ulegał właśnie wyczerpaniu.

Choć nikt go o to nie podejrzewał, drżał nieustannie z obawy, że lada moment rozlegnie się wycie syren alarmowych, z głębi tunelu dobiegną odgłosy narastającej strzelaniny i cała operacja zakończy się totalnym fiaskiem, jakniemał wszystkie jego działania ostatnimi czasy...

– Co mam z nim zrobić? – z zamyślenia wyrwał go głos Karbali.

Stalkerka trzymała związanego blondasa za kark, jej zakrwawiona maczeta spoczywała na jego szyi.

Wystarczy jedno moje słowo, pomyślał.

– Za... – Nie dołączył rozkazu, a po chwili zastanowienia zmienił zdanie. – Przywiąż go porządnie do któregoś wagonu. Może nam się jeszcze przydać.

Zerknął ponownie na zegarek. Mijała piąta minuta od chwili, gdy winda zatrzymała się na dnie szybu. Nadal nie słyszał palby, wciąż nie zawyły syreny. Jeśli jedyńka wykonała powierzone jej zadanie, kurierzy lada moment pojawią się znowu, niosąc broń dla oddziałów pilnujących kwater.

Zobaczył ich. Wyłonili się z mroku jak na zawołanie. Każdy niósł na ramieniu naręczce automatów i taszczył pod pachą pudło amunicji. To był punkt zwrotny. Jeszcze kilkadziesiąt sekund i szanse się wyrównają. Jeśli dobrze to sobie wyliczył, dwie trzecie mieszkańców tego kompleksu przebywało we własnych kwaterach, gdzie zostanie wybite do nogi przez trzydziestu uzbrojonych po zęby ocalałych. Pozostali Czyści, obsługujący całą infrastrukturę Otchłani, byli rozproszeni i podzieleni na niewielkie, co najwyżej kilkuosobowe grupki. Zanim zrozumieją, co się dzieje i kto ich atakuje, może być już po walce.

Odczekał jeszcze dwie minuty. W tunelu nieprzerwanie panowała niczym niezmaczona cisza. Nie miał już czego koordynować. Od tej pory wydarzenia potoczą się własnym torem bez względu na to, gdzie będzie i co robi. Spojrzał więc na stojącą przy drzwiach windy upiorną dziewczynę.

– Jeśli pojawi się tutaj Iskra, powiedz jej, że poszedłem odwiedzić Bondarczuk – rzucił,

wyciągając z kabury zdobyczny pistolet.

45 | Bolesna prawda

Duch przemycił pusty mi korytarzami Otchłani, kierując się do oddalonego od centrum sektora, w którym Bondarczuk – jak większość tutejszych oficjeli – miała swój gabinet. Przebrał się w szary kombinezon zabrany jednemu z zaszlachtowanych przy windzie strażników; starł krew z wierzchu gumowanego materiału, nie przejmując się tym, że wewnątrz jest jej jeszcze więcej. Gdyby ktoś ogłosił alarm, w tym przebraniu miałby większe szanse na dotarcie do celu.

Wokół panował niczym niezamącony spokój. Bojownicy wykonali zadanie, eliminując kolejnych przeciwników, by odebrać im nie tylko broń, ale i ubrania, dzięki którym wyglądali z daleka jak rasowi Czyści. To też była część planu, który Duch wymyślił, siedząc przy stole obok cuchnącego okrutnie trupa Tesli. Odór śmierci wbrew pozorom pomagał w koncentracji. Jego obecność pozwalała byłemu żołnierzowi dostrzec zagrożenia, o jakich w normalnych warunkach nawet by nie pomyślał.

Ostatni zakręt i... Cofnął się szybko. Przed drzwiami gabinetu zobaczył strażnika. To był jeden z chłopaków Wydrzyciego, wypłosz, który pierwszy albo drugi odpadał na każdej musztrze. Na pewno nie stanowił fizycznego zagrożenia, ale znał jego twarz, mógł więc narobić rabanu, jeśli go rozpozna. Zastrzelenie chłystka z dystansu nie wchodziło w grę z podobnego powodu. Katarzyna bez wątplenia miała zapasowe, ukryte wyjście, a skoro zrobiła się na tyle ostrożna, by trzymać ochroniarza przed drzwiami, z pewnością zniknie przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Czasu było mało, zatem Duch musiał wybierać. Nałożył maskę na twarz, potem dodatkowo przykrył głowę kapturem. Raz jeszcze wyszedł zza rogu, tym razem chwiejnym krokiem, trzymając się lewą ręką za bok jakby go coś bolało. Siedzący na krześle wartownik zerwał się na równe nogi, ale nie sięgnął po broń.

– Muszę się widzieć z Bondarczuk – wychrypiał Duch, gdy znalazł się wystarczająco blisko wejścia.

– Zabroniła przesładzać...

– Mamy problem z transportem – improwizował dalej, nie przestając się zbliżać. Dzieliły ich już tylko trzy kroki. – Winda się oberwała...

– O w mordę! – Chłopak odwrócił się i zaczął łomotać do drzwi.

Przybył tylko na to czekał. Doskoczył do niespodziewającego się ataku młodzika, przytykając mu do szyi klingę ukrywaną w dłoni akui.

– Tylko spokojnie, synku – wyszczał mu prosto w ucho – bo ci uśmiech poszerzę.

– Czego? – Głos, który usłyszeli, na pewno nie należał do kobiety, ale był znajomy.

Wydrzycki? Tutaj? O tej porze? To może być ciekawe...

– Powiedz mu o windzie – rzucił szepem Duch, przyciskając nóż mocniej i nie bacząc na to, że nacina skórę młodego żołnierza.

– Jest tu jeden z ludzi od transportu – pisnął wystraszony wartownik – Mówi, że winda się urwała.

Po drugiej stronie natychmiast się zakotłowało. Usłyszeli słowa wypowiedane równocześnie przez dwie osoby. Tą drugą z pewnością była Bondarczuk

– Sekundę!

Ktoś zaczął majstrować przy zamku. Moment później ujrzeni pomiędzy skrzydłem a futryną pobladał twarz majora. Widząc nóż na gardle swojego człowieka, Wydrzycki zrobił wielkie oczy, a stały się one jeszcze większe, gdy Duch rozplątał krtań chłopaka od ucha do ucha, popychając go następnie w kierunku zaskoczonych dowódcy wojsk Otchłani. Rozchełstany major odruchowo chwycił najpierw rżącego głośno podwładnego, a potem – zrozumiałwszy, jak wielki błąd popełnił – spróbował się uwolnić od tego ciężaru, żeby oswobodzić dłonie. Niestety było już za późno. Napastnik w masce wykorzystał chwilę wahania i szybkim ruchem poderżnął mu gardło.

Kopnięte drzwi odsłoniły wnętrze gabinetu przerobionego teraz na przytulne gniazdko. Na podłodze za szerokim biurkiem leżało legowisko, przy którym stała na wpół roznegliżowana Bondarczuk. Miała na sobie tylko rozpiętą koszulę – chyba tę samą co podczas egzekucji Niemoty – która odsłaniała spore, ale mocno już obwisłe piersi i trzy fałdy tłuszczu na wydatnym brzuchu. W rękach trzymała wciągniętą na jedną nogę majtki. Zamarła w niewygodnej pozycji z rozdziawionymi ustami, po tym jak przeniosła już wzrok z zamordowanego kochanka i jego pomagiera na człowieka, który właśnie ściągał maskę z twarzy. Choć wydawało się to niemożliwe, zbliżała jeszcze bardziej, gdy zobaczyła, kto kryje się pod tym przebraniem.

– Ty? – szepnęła, wypuszczając bieliznę z drętwiejących dłoni.

– Ja – odparł, odciągając ciało chłopaka od drzwi, by zamknąć je za sobą. Leżący na plecach major konał, podrygując, jakby go ktoś podłączył do prądu. Krew z rozciętych arterii nie tryskała już tak mocno jak jeszcze przed momentem, a niemal czarną kałużę wypełniającą szeroką ranę na szyi mąciły drobniutkie bąbelki uwalnianego wciąż z płuc powietrza. – Mam dla ciebie dwie wiadomości, szmato. Jedną złą, a drugą bardzo bolesną. Która ma być pierwsza?

Bondarczuk otrzeźwiała wreszcie. W pierwszym odruchu irracjonalnie próbowała osłonić części intymne przed wzrokiem napastnika, ale szybko dotarło do niej, że powinna się bardziej obawiać śmierci niż gwałtu. Wyciągając przed siebie obie ręce, pognąła więc do biurka, aby nacisnąć ukryty pod blatem przełącznik wzywający ochronę. Iskra poinformowała Ducha o jego istnieniu, dlatego zareagował od razu, wyszarpując zza pasa pistolet i strzelając półnagiej kobiecie w brzuch. Kula weszła bokiem nad biodrem, przeszła jelita, by utknąć ostatecznie w kości

miednicy.

Katarzy na zaskrzeczała jak konająca wrona. Siła uderzenia zatrzymanego przez kość pocisku zbiła ją z nóg i posłała pod ścianę. Tam kobieta znieruchomiała, skamłac i dysząc ciężko.

– Mogłaś wybierać, głupia kurwo, ale nie chciałaś, więc zrobiłem to za ciebie. – Duch ustawił krzesło naprzeciw półleżącej kobiety i rozsiadł się na nim wygodnie. – A teraz zła wiadomość. Moi ludzie szturmują właśnie Otchłań, a raczej, sądząc z idealnej czysty i braku alarmów, kończą wyrzynać stado baranów, którym dowodziłaś.

Chciała posłać mu nienawistne spojrzenie, ale w tym stanie wypadło to bardzo żałośnie.

– Nie wiesz nawet, na co się porywasz... – wycharczała.

– Zgadza się – przyznał. – Dlatego mam propozycję. Możesz zdychać długo i boleśnie, jak Zadra, który konał... niech sobie przypomnę, ile byłem nieprzytomny... jakieś trzynaście godzin... Zatem możesz cierpieć niewysłowione katusze przez pół doby albo odpowiesz mi szczerze na kilka pytań i odeślę cię, jak nakazuje nasze prawo.

Kłamał. Przy tak rozległych obrażeniach mogła równie dobrze umrzeć za godzinę albo i szybciej. Postanowił jednak skorzystać z metody Tesli i dać jej nadzieję, której Bondarczuk chwyci się tak mocno, że opowie mu o wszystkim, nie próbując nawet kłamać.

– Idź w... – nie dokończyła, spazm bólu jej na to nie pozwolił.

Duch rozejrzał się po gabinecie. Bardzo szybko dostrzegł otwarty barek, a w nim kilka opróżnionych do połowy butelek

– Pozwolisz, że się poczęstuję? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, nalał sobie pół szklanki whisky, która spędziła mniej czasu w tej fiaszce niż w beczce. – Nie musisz się śpieszyć – dodał, rozkoszując się dawno zapomnianym luksusowym smakiem. – Im dłużej będziesz cierpieć, tym więcej radości mi sprawisz. Wiesz, że po tym co zrobiłaś, mogę cię żywcem obedrzeć ze skóry i nawet nie mrugnę okiem?

Zaczęło to do niej powoli docierać. Lubiła sprawiać ból innym, ale sama nie potrafiła go znieść. Widział to po minie i strachu bijącym z jej spojrzenia.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała, spuszczać głowę.

– Wszystko.

– Czyli co? – Spojrzała mu jeszcze raz w twarz, oczy miała jednak tak zażawione, że wątpił, aby cokolwiek widziała.

– Zacznijmy od tego, co stało się z ludźmi, którzy przeżyli epidemię w Republice.

– Trafili w ręce Pułkownika.

Słyszał już o tym człowieku, gdy był w tym gabinecie poprzednio...

– Czyli gdzie?

– Tam, gdzie takie zera jak wy nigdy nie dotrą.

– To się jeszcze okaże.

– Człowieku, porwał się z motyką na słońce – zaczęła mówić nieco żywszym tonem, jakby nagle przybyło jej sił. Poczwała, że może choć na moment odzyskać inicjatywę, a on, mając nadzieję, że to rozwiąże jej język, nie reagował. – Nie masz bladego pojęcia, o co w tym

wszystkim chodzi.

– To mnie uświadom – rzucił obojętnym tonem, upijając kolejny łyk whisky.

– Po co?

– Choćby dla czystej satysfakcji, żebym pojął rozmiary kłęski, jaką poniosłem, rozpieńdając ten burdel – zakpił.

– Dzisiaj tryumfujesz, Nauczycielu, jutro zaś...

– Nauczyciel umarł – wpadł jej w słowo, poważniejąc. – Zabiłaś go w chwili wykonania wyroku na Niemocie.

– Kim zatem jesteś? Mścicielem bez imienia?

– Wróciłem do korzeni.

– Niech ci będzie. Tryumfujesz dzisiaj, Remer...

– Nie do tych korzeni. – Tą uwagą zbił ją do reszty z tropu. – Skup się, szmato, na temacie. Ból z kładą chwilą będzie narastał, a ja nie zadam ciosu łaski, dopóki nie opowiesz mi o wszystkim.

To akurat była czysta prawda. Ból będzie coraz mocniejszy, Duch zdawał sobie z tego sprawę, dlatego zawnazas poprosił Iskrę o „sole trzeźwiące”. Wziął je wprawdzie tylko na wszelki wypadek, ale teraz wszystko wskazywało na to, że przydadzą mu się, i to nie raz.

– Co chcesz wiedzieć? – wymamrotała zrezygnowanym tonem Katarzyna.

– Kim jest ten cały Pułkownik?

– To człowiek, dla którego pracujemy.

– My, czyli kto?

– Wszyscy Czyści.

– Gdzie go znajduję?

– Sto kilometrów stąd...

– Przestań pieprzyć! – ostrzegł ją, kąpiąc w nogę, by spotęgować kolejny spazm bólu.

– Mówię prawdę! – jęknęła, gdy już przebrzmiał wyjątkowo przenikliwy skowyt. – Otchłań to tylko... jeden z elementów... większej układanki... – zaczęła odpywać.

Odstawił szklankę na blat, odkorkował fiolkę i podetknął ją Katarzynie pod nos. Kiedy nie zareagowała, zrobił to po raz drugi. Tym razem zaczerpnęła głęboko tchu, co poskutkowało kolejnym atakiem bólu. Wewnątrz otrzewnej zbierały się brudy wypływające z poszatkowanych pociskiem jelit. Nie mieli wiele czasu, ale na razie była półprzytomna.

– Mów dalej.

– O czym?

– Co to znaczy, że Otchłań jest częścią większej układanki?

– Takich schronów jak nasz było na Dolnym Śląsku kilka, w większości jeszcze poniemieckich. Te pod miastami nie miały szansy na przetrwanie, więc stworzono coś jeszcze... z dala od cywilizacji, tam, gdzie było pewne, że nie eksploduje żadna głowica. Niestety nie zdążono ukończyć wszystkich prac przed Atakiem, kontynuujemy je cały czas...

– Wysyłacie tych ludzi poza Wrocław? – zdumiał się Duch. – Jak?

– Nie my. Pułkownik. On to wszystko organizuje, my tylko mamy dostarczać kontyngent siły

roboczej.

– Czy li niewolników.

– Tak – Głowa znów zaczęła jej się chwiać.

– Jednego tylko nie rozumiem... – Spojrzał na nią uważnie. – Dlaczego ich okaleczacie?

– Kilka lat temu doszło do masowych buntów, w których wyniku Pułkownik musiał zlikwidować setki podludzi...

Mamrotała, tracąc powoli przytomność, ale nie ingerował, wiedząc, że w tym stanie powie więcej, niżby chciała i powinna. Właśnie zrozumiał, dlaczego Czyści nie mają żadnych skrupułów. Ocaleni byli dla nich podludźmi, zupełnie jak rosyjscy jeńcy dla poprzednich właścicieli tych bunkrów.

Skoro ta rozmowa nareszcie zaczyna być szczerą, podgrźmy temat.

– Akcja z pieczonym arcybiskupem to też wasza robota? Chcieliście sprowokować Tomasza II do wypowiedzenia świętej wojny, żeby sprowadzić tutaj więcej ludzi z terenów, do których nie macie dobrego dostępu?

– Tak – przyznała. – Później posłużyliśmy się tobą, tylko do tego byłeś nam potrzebny.

– A po tym jak zrobiłem swoje, wynajęliście Dragona, żeby m zniknął na dobre?

– Nie. Kazałam cię zlikwidować, ponieważ zacząłeś nam zagrażać. Znalazłeś drogę do Republiki. Gdybyś robił, co kazałam, pożyłbyś jeszcze rok albo dwa. Ty i ten twój nie...

Kopnięcie, tym razem mocniejsze, wywołało prawdziwą agonię. Bondarczuk wyla się przed Duchem z bólu, krzy cząc, piszcząc i skłowy cząc, a on spokojnie popijał whisky i czekał, aż kobieta się uspokoi. W tym czasie zastanawiał się, jakby tu się dobrać do Pułkownika.

– Nie wspominaj o moim synu, szmato – ostrzegł, gdy w końcu umilkła i znieruchomiała.

Ledwie dostrzegalne skinienie głowy było jedyną odpowiedzią.

– Wróćmy do tematu. Kto ci powiedział?

– O czym? – Chyba naprawdę straciła wątek.

– O moich planach i wyprawie na Muchobór.

– Nikt.

Zaśmiał się.

– I tak się dowiem, kto mnie wsypał, a ty pocierpisz dłużej...

– Tesla uprzedzał mnie od samego początku, że nie zdołamy nad tobą zapanować, dlatego kazałam cię obserwować. Gdy odsypiałeś, wszyliśmy ci w kołnierz moro pluskwę. Wiesz, ile radochy mieliśmy, słuchając twoich rozmów z Freją?

Zaklął pod nosem. Stąd wiedzieli, gdzie go szukać.

– Jak przetrzuciliście tego wielkiego skurwiela do Wieży?

– Starymi łańkami. Tymi, o których tacy jak wy nie wiedzą. Tylko moi najbardziej zaufani pomocnicy mają do nich dostęp. Dałam mu też klucz do głównych schodów, żeby dostał się na szczyt inną drogą niż kurierzy z gazem. Niepostrzeżenie... Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zawiódł.

– Nie podsłuchaliście jego rzęzenia? – zakpił. – Zasięg wam się zgubił?

– Nie... – Głowa opadła Katarzynie na piersi, powoli, jakby ktoś spuszczał z niej powietrze. Znowu musiał użyć soli trzeźwiących, ale tym razem zaaplikował je ostrożniej. Kałuża krwi wypływającej spod bioder Bondarczuk była coraz większa, ranna oddychała też bardzo płytko i chrapliwie. Gdy otworzyła oczy, powtórzył ostatnie pytanie w nieco bardziej rozwiniętej formie, żeby przypomniała sobie, o czym mówią.

– W trakcie walki musieliście uszkodzić nadajnik... – odpowiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Czyżby wtedy, gdy Dragon wałnął go w bark? A może chwilę później, gdy wylądował plecami na wywietrzniku? Nieważne. Teraz liczyło się tylko to, że nie miała pojęcia o niczym, co wydarzyło się po spotkaniu na tarasie widokowym. Z tego też powodu zachowała wzmogoną czujność, kiedy poprosił o zwołanie nadzwyczajnego spotkania. Chciała go wy badać przed podjęciem kolejnej decyzji. Pewnie była mocno zdziwiona, gdy zaczął przyznawać się do wyprawy za kordon sanitarny... ale i tak wy czuła pismo nosem.

– Wróćmy do tego Pułkownika. – Szturchnął ją, ale delikatniej, żeby znów nie odplynęła. – Gdzie go znaj dę?

– W sztolniach Riese...

Riese? Ta nazwa była mu znajoma, ale nie umiał jej umiejscowić.

– Czy li gdzie?

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłam.

– On jest twoim przełożonym?

– Tak To przywódca Nowej Polski.

– Czy li nasz też?

Pokręciła głową.

– Nie. Dla niego jesteście nikim. Skażeni, brudni barbarzyńcy, niegodni miana człowieka.

– Podludzie – przy pomniał jej użyte wcześniej określenie.

– Tak

– Dlaczego tak bardzo nami gardzicie? – To pytanie od dłuższej chwili cisnęło mu się na usta.

– Dlaczego? – Chciała prychnąć, ale nabranie powietrza do płuc zbyt nio bołało. – Jesteście zdegenerowani, odrażający, źli. Życie w kanałach jaskzczury, taplacie się w odchodach, żrecie robactwo, większość z was nie umie nawet czytać i pisać...

– Przy ganiał kocioł garnkowi.

– My robimy, co trzeba, żeby rodzaj ludzki przetrwał. Żeby można było odbudować Polskę.

– Naprawdę uważasz, że czymś się różnimy? – Zaśmiał się, dolewając whisky do szklanki.

Ten temat ją ożywił.

– Tak Wy jesteście postapokaliptycznym odpadem, my ostoją dawnej cywilizacji. Jej ostatnią nadzieją. Wy tylko egzystujecie, mając nadzieję na dożycie trzydziestki, ale ta sztuka udaje się tylko nielicznym. Toczą was choroby genetyczne, degenerujecie się fizycznie i umysłowo. Być może wyświadczy wam ogromną przysługę, wysyłając na roboty, bo tutaj czekałby was jeszcze gorszy koniec... – Zamilkła, przełknęła z trudem ślinę. – Dużo masz jeszcze

tych pytań? – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie – odparł, sięgając po szklanę. – W zasadzie już nie.

– Więc zlituj się w końcu... To tak okropnie boli...

Pił wolno, delektując się każdym łyżkiem, w końcu otarł usta i uśmiechnął się szeroko.

– Teraz, mając pełną kontrolę nad Otchłanią i waszą bronią, zjednoczę ocalonych i choć tego nie zobaczysz, gwarantuję ci, że przetrwamy.

– Dwadzieścia lat robiliśmy wszystko, żebyście byli podzieleni i słabi – wymamrotała, a w jej oczach znowu pojawiły się łzy: tym razem żalu, nie bólu. – A ty, takie zero, zniweczyłeś wysiłki Pułkownika, mojego ojca i nawet moje... – Umilkła na dłuższą chwilę, a gdy odezwała się ponownie, miał wrażenie, że mówi już tylko do siebie. – Kontrolowaliśmy sytuację w kanałach... Decydowaliśmy o tym, kto przetrwa, a kto zginie... Tak niewiele brakowało, abyśmy mogli odejść z tego przekłętą miasta i zacząć nowe życie...

– Co to znaczy, że decydowaliście, kto przetrwa? – Ta kwestia zainteresowała go najbardziej.

– Najpierw stosowaliśmy skrytobójstwo, ale gdy zrozumieliśmy, że na miejsce zabitego watażki natychmiast pojawia się dwóch nowych, sięgnęliśmy po bardziej radykalne środki, takie jak szara zaraza, neonówki, gorączka krwotoczna... – wyliczała monotonicznie. – Likwidowaliśmy każdy ośrodek władzy, który mógł zdominować inne frakcje...

Zaskoczyła go tym wyznaniem, i to bardzo.

– To wy staliście za tymi wszystkim okropieństwami?

– Tak

– Kłamiesz. W Otchłani nie macie laboratoriów, w których moglibyście pracować nad wirusami.

– Nie musieliśmy nad niczym pracować. Gotowe mikroby dostawaliśmy od Pułkownika... – Spojrzała na niego błagalnie. – Dobij mnie wreszcie... – poprosiła.

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– Powiedziałaś mi wszystko, co wiem.

– Być może, ale ja nie zadałem ci jeszcze wszystkich pytań...

Ktoś załomotał w drzwi.

– Jesteś tam? – rozpoznał głos Iskry.

– Jestem.

Przeszedł do wejścia z pistoletem w dłoni i uchylił stalowe skrzydło. Była sama, ręce miała upaprane w krwi, ubranie też.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał.

– Operacja zakończona. Chłopaki wyprowadzili przed chwilą ostatnich dekonników z kwater – odpowiedziała. – Miałeś rację, Czyści to zwykłe cipy, nie żołnierze. Większość porzuciła broń na nasz widok. Żadnej radochy z takiego zabijania, powiem ci, niektóre szczury w hodowlach bardziej się stawiały niż oni. Wątpię, aby w całym kompleksie padło więcej niż dziesięć strzałów. – Przeszła na środek gabinetu i spojrzała na konającą Bondarczuk. Następnie rzuciła przez ramię

do Ducha: – A co słyhać u ciebie?

– Same cielawe rzeczy. Nie uwierzyłabyś w to, co przed chwilą usłyszałem.

– Sprawdź mnie.

– Ta kurwa i jej tatuś zafundowali nam szarą zarazę i pozostałe epidemie. Wyobrażasz to sobie? Żebyśmy się przypadkiem nie zjednoczyli i nie przestali ze sobą wojować.

Zaśmiał się, widząc jej minę. Rzadko dawała po sobie poznać, że jest zaszokowana. Gdy domknęła w końcu szczękę, sama sięgnęła po flaszkę i pociągnęła spory łyk z gwinta.

– Co to jest? – skrzywiła się.

– Trzydziestoletnia whisky, która przeleżała kolejne dwadzieścia lat w zamkniętej flasce – wyjaśnił. – Jak dla mnie niebo w gębie.

– Ty to byś szczyzny mutantu łyknął i jeszcze się cieszył – mruknęła, ale pociągnęła drugi, jeszcze solidniejszy łyk.

– Nie znasz się.

– Mogę ją sobie zabić? – zapytała, otarłszy usta.

Bondarczuk spojrzała na nią z nadzieją.

– Nie. – Zastąpił Iskrze drogę. – Ty zabawiłaś się z Teslą i Znachorem. Ona jest moja. Ale możesz posiedzieć tu ze mną, jeśli chcesz, i popatrzeć, jak będzie zdychała, błagając o litość.

– Obiecałeś... – szepnęła Katarzyna.

– Kłamałem! – Ze śmiechem podszedł do barku, aby wybrać następną butelkę. Tym razem padło na rum. Także trzydziestoletni, dominikański. – Uwierzyłaś na słowo zwyktemu podczłowiekowi?

Usiedli obok siebie naprzeciw skamlącej Bondarczuk. Duch zreferował Iskrze większość tego, czego sam się przed chwilą dowiedział, nie zważając na coraz cichsze błagania konającej kobiety. Nie przerwał rozmowy nawet wtedy, gdy w końcu ucichła. Zasużyła sobie na wszystko, co ją spotkało, podobnie jak reszta mieszkańców Otchłani. Nie cieszyło go jednak to zwycięstwo; zdawał sobie sprawę, że prawda, którą poznał, oznacza nowe zagrożenie. Może nie tak bezpośrednio, ale wciąż istniejące. Kto mu zagwarantuje, że ludzie wspomnianego Pułkownika nie pojawią się we Wrocławiu i nie dokończą dzieła, tym razem zsyłając na ocalonych syf po stokroć gorszy od wszystkich zaraz, z jakimi mieli do tej pory do czynienia.

Iskra podzielała jego zdanie. Niczego nie mogli być teraz pewni. Ledwie skończyła to mówić, grobową ciszę przerwało natrętne terkotanie telefonu. Oboje spojrzeli na stary czerwony aparat, który pamiętał jeszcze czasy głębokiej komuny.

Popatrzyli sobie w oczy, a potem Duch dopił jednym haustem rum i sięgnął po słuchawkę.

Epilog

– Karbala!

Duch wybiegł z za wagonu, drąc się ile sił w płucach.

– Tu jestem. – Jednooka stalkerka wyszła z mrocznego szybu windy.

Z daleka widział, że jest wściekła. Ominęło ją tyle zabijania, i to ludzi, którzy – choć pośrednio – odpowiadali za jej okaleczenie.

– Gdzie blondas? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Tam, przy tym czymś... – wskazała małeńki elektrowóz. – Razem z tym drugim.

– Twoje szczęście, że go nie zadźgałaś – odetchnął z ulgą.

– Raczej niepowetowana strata – mruknęła, nie kryjąc zawodu.

– Obaj będą twoi – obiecał – jak tylko zrobią to, do czego są mi potrzebni.

Za jego plecami w głębi tunelu ktoś krzyknął, moment później usłyszeli głośny tupot wielu par nóg. Karbala chwyciła za maczetę, ale Duch nie wyglądał na zaniepokojonego.

– Spokojnie, to nasi – rzucił, odwracając się twarzą do nadbiegających. Zanim minęli koniec krótkiego składu, już wydawał im rozkazy. – Zapieprzajcie na górę. Chcę tu mieć każdego niewolnika, jakiego znajdziecie na dolnym poziomie bunkra Tesli. Natychmiast! – dodał, gdy zobaczył, że zwalniają. – Pakujcie ich do klatki nawet po dwudziestu. Nie mamy czasu.

Wtedy właśnie przy pociągu pojawiła się zdyszana Iskra.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała, gdy klatka z bojownikami ruszyła w górę.

– Wyślę tych biednych drani tam, gdzie mieli trafić – odpowiedział Duch, podchodząc do rampy, po której strażnicy chcieli wprowadzić transportowanych więźniów do wagonu.

– Dlaczego?

– Żeby zyskać na czasie – odparł. – Chcę też przeprowadzić zwiad, a wysłanie transportu do Sobótki to jedyna możliwość, żeby sprawdzić, z kim mamy do czynienia.

– Ale oni...

– Dziewczyno. Jedyne, co moglibyśmy uczynić dla tych nieszczęśników, to odesłać ich. Tego, co im zrobiono, nie da się odkręcić. Okaleczeni nie odzyskają wzroku ani mowy, nie mówiąc już o dzieciach. Ale jeśli mój plan wypali, damy im przed śmiercią choć tę jedną

satysfakcję, jałą sami mieliśmy, przyglądając się zdychaniu Bondarczuk – Podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i spojrzął jej prosto w oczy. – Żał mi ich, może nawet bardziej niż tobie, ale nie ma innego wyjścia.

Nie spuściła wzroku. Miała zaróżowione alkoholem policzki, ale na pewno nie była pijana.

– Jak chcesz to rozegrać? – zapytała.

Przysłuchiwała się rozmowie pomiędzy Duchem i Pułkownikiem, aczkolwiek tylko jednostronnie, i nie dowiedziała się wiele więcej, ponieważ po odłożeniu słuchawki Duch zbył ją, twierdząc, że nie ma czasu na gadanie. Dostała dwa rozkazy. Raz: zebrać ludzi w szarych kombinezonach i sprowadzić ich pod windę. Dwa: przywieść w to samo miejsce kogoś z tutejszego szpitala. Zrobiła, co jej kazał, ale teraz oczekiwała konkretnych odpowiedzi.

– Mamy maszynistę i tego blondasa, który gada. Z ich pomocą zaaranżujemy transport. Pułkownik wie, że doszło do uszkodzenia windy – w rozmowie telefonicznej Duch trzymał się tej wersji, którą wymyślił na użytek wartownika – i że będzie spore opóźnienie. Mimo to nalega, by niewolników dostarczono jak najszybciej do terminalu w Sobótce, gdzie będą czekali jego ludzie. Wydając im niewolników, spróbujemy się rozejrzeć, może nawet zdołamy zasięgnąć języka...

Dostrzegł w jej oczach niedowierzenie.

– Jaki to sobie wyobrażasz, dziadzia?

– Bardzo prosto – odrzekł, zaczynając zdejmować kombinezon. – Będę udawał jednego z niewolników. Gdy nasi odwrócą uwagę tamtych, spróbuję zgarnąć jednego przeciwnika. Jeśli coś pójdzie nie tak, wycofamy się razem z naszymi strażnikami. Szczegóły dogramy na miejscu, jak już zobaczymy, z kim i z czym mamy do czynienia.

– Marnie to widzę... – mruknęła nieprzekonana. – Ale idę z tobą, dziadzia.

– Wybij to sobie z głowy, dziadzia.

Dwaj bojownicy wysłani na najniższy poziom pojawili się właśnie za pociągami, prowadząc niską, szczupłą blondynkę w zakrwawionym kitlu. Miała podbite oko, rozkwazszone usta i trochę zaschniętej krwi spływającej spod linii włosów, ale nie wyglądała na poważnie ranną. Związali jej ręce za plecami, przez co gdy została mocniej popchnięta, padła na twarz.

– Ostrożniej! – ryknął Duch, kiedy jeden z eskortujących lekarzkę ludzi przymierzył się do kopnięcia. – I rozwiążcie ją, będzie nam potrzebna.

– Nie pomogę wam! – krzyknęła, gdy ją podnosił.

– Pomożesz – zaśmiał się Duch – albo pošlemy do piachu wszystkich jeńców, jakich przetrzymujemy w kwaterach. Łącznie z dziećmi.

Mówiąc te oczywiste kłamstwa, patrzył jej prosto w oczy i dlatego zobaczył w nich coś, co dało mu pewność, że nie będzie sprawiała więcej kłopotów. Moment później kobieta spuściła głowę.

– Kogo mam opatrzyć? – zapytała, ledwie przecięto linkę, która krępowała jej nadgarstki.

– Nikogo – burknął Duch, podchodząc do wciąż otwartych drzwi windy.

Czekał tam kilka minut, milcząc, dopóki dobiegające z góry łomoty nie przybrały na sile. Wkrótce kabina wypełniona wystraszonymi ślepcami zatrzymała się na dole szybu.

Bojownicy, którzy sprowadzili lekarkę, na polecenie Ducha zaczęli przeprowadzać niewolników do pierwszego wagonu.

Robili to sprawnie, dopóki Duch nie wyłuskał z kabiny niskiego mężczyzny. Iskra natychmiast pociągnęła za sobą stojącą obok niego kobietę. Oboje stanęli przed lekarką.

– Za chwilę zrobisz mnie... – zaczął, a gdy dziewczyna na chrząknęła znacząco, dodał jeszcze: – ...i jej takie szwy. – Wskazał na zsyte powieki przerażonego tą szarpaniną Przedepta.

Ocaleniec z Muchoboru nie był jeszcze gotowy, podobnie jak kilkoro innych niewolników, którym Tesla nie zdążył wyprać mózgów, ale Duch nie zamierzał się nimi przejmować. Tylko temu człowiekowi był coś winien i zamierzał spłacić zaciągnięty dług. Zwłaszcza że sam, choć nieświadomie, zgotował mu ten los.

Odciągnął osłepionego mężczyznę kilkanaście kroków od pociągu, pochylił się do jego ucha i zniżając głos, by nikt inny go nie usłyszał, powiedział:

– Te skurwysyny kłamały od samego początku. Twoje dzieci zabito, a tego kalectwa nie da się cofnąć. – Przedept się szarpnęła. Milczał jak grób, ale Duch doskonale wiedział, że gdzieś tam w głębi duszy drze się teraz wniebogłosy. – Posłuchaj mnie uważnie... Za to, co ci zrobiono, zabijemy wszystkich Czystych, do ostatniego. Zapłacą za to, co zrobili tobie i twojej żonie. Chcę, żebyś to wiedział, zanim cię odeślę.

Ślepiec znieruchomiał. Podniósł dłoń, przesunął opuszkami drżących palców po twarzy Ducha, jakby dodatkowo chciał się upewnić, do kogo należy ten głos. Potem wyciągnął prawą rękę i zaczął poruszać nią po omacku. Duch skinął na Iskrę. Dziewczyna przyprowadziła żonę Przedepta, ustawiła ją obok męża, a gdy oboje chwycili się mocno za ręce, wyciągnęła nóż, podobnie jak stojący krok dalej Duch.

Zrobili to, jak należy, szybko i zdecydowanie, wbijając klingi prosto w serca ofiar i przytrzymując ciała, by spoczęły na ziemi w możliwie najłagodniejszy sposób.

– Karbala! – zawołał Duch. – Dopilnuj, by zostali spaleni, jak nakazują ich obyczaje, a ty – wskazał na przerażoną lekarkę – zajmuj się takim sznurówkami na oczy, ale luźne, żebyś mógł rozchylić powieki. Jeśli coś spieprzysz, chłopcy sprowadzą tutaj pięcioro waszych dzieci... – zakończył kolejną niemożliwą do spełnienia groźbą.

* * *

Półtorej godziny telepalili się w wagonie kolejki przemierzającej najdłuższy tunel Otchłani. Iskra – która wiedziała, ile może potwać ta podróż, ponieważ kiedyś już ją odbyła – uspokajała Ducha kilkakrotnie. Referowała mu także po raz kolejny, jak wygląda okolica terminala w Sobótce, łącznie z przylegającą do studzienki powierzchnią.

Uchylnie wyjście znajdowało się w ceglanej posadzce lokalnego i bardzo starego burzowca. Było tak przemysłnie ukryte, że nawet ludzie, którzy doskonale znali te tunele, nigdy nie trafili na jego trop. Z szerokiego kanału zwykłą studzienką wychodziło się na placyk obok jakiejś starej

fabryczki z wysokim ceglany m kominem, który z nieznanego jej powodu wzmocniono przed wojn stalowymi pasami. Za rozwalonym murkiem i uliczk znajdowało się torowisko prowadzce do pobliskiej stacji. Wokół rosło troc karłowatej roslinnoœci, zielonej, przedwojennej, ale trafiały się te¿ zmutowane cholerstwa, tyle że nie było ich zbyt wiele. Nic wicej nie zapamitała.

Duch nie miał jednak wtpliwoœci. Skoro były tam tory, ludzie Pułkownika, mieszkajcy rzekomo kilkadziesit, a nawet sto kilometrów od Wrocława, musieli korzystac z czegoœ w rodzaju pocigu. Prowadzenie tradycyjnych parowozów nie wymagało u¿ywania elektroniki, stawał wic na nie i niewiele się pomylił.

Przebrani strażnicy mieli wyprowadzi niewolników do burzowca, potem jeden z nich, zgodnie z instrukcjami przekazany mi przez blondasa, powinien wyjc na powierzchnię, gdzie będa na niego czeka ludzie Pułkownika. Tak to przynajmniej wygldało w czasie normalnych akcji, a tych młodziak zaliczył ju¿ kilka w swoim niedługim i koñczcym się właœnie Źyciu.

Gdy uchylnie przejcie zostało otwarte, okazało się jednak, że tym razem sprawy przybior nieco inny obrót. Opóźnienie było tak du¿e, że ludzie Pułkownika musieli ukry się pod ziemi i czeka na transport w kanale. Było ich tam ze dwudziestu, ubranych w podobne, tylko oliwkowe kombinezony i uzbrojonych bez wyjątku w karabiny szturmowe. Obok trzech z nich stały spore przenoœne miotacze ognia.

Nie doszło do żadnej wymiany zdañ, wiodcy kolumnę niewolników „strażnik” został brutalnie odepchnięty. Wyrwano mu z rki linę, do której zostali przywizani wszyscy okaleczeni, i zaczęto ich wywleka do kanału. Czterech bojowników, bo tylu ludzi mogło eskortowa parę zwiadowców, nie miało nic do gadania. Zostali potraktowani równie ostro jak ich kolega z czoła kolumny. O walce nie było nawet mowy, ludzie Pułkownika mierzyli z kałachów do ka¿dego, kto tylko ruszał w ich kierunku.

– Co jest grane? – zapytał Krzywy, robicy za dowódcę eskorty, gdy wicej jak połowa ślepców została ju¿ przejęta.

– Ty się jeszcze pytasz, baranie? – odwrkn stojcy najbli¿ej wejœcia dryblas. – Załatwialiœmy takie przejcia w dziesięc minut od przyjazdu, zanim zbiegło się tutaj wszystko, co zmutowało w okolicy, a wy pojawiacie się jak paniska godzinę po czasie i jeszcze macie czelnoœć drzec ryja?

– Nie wiem jakty, ale ja odpadam – mruknęła Iskra, wypłtujc nadgarstek z liny, by zniknc w mroku, zanim koœ zwróci na ni uwagę.

– Spokojnie – odparł półgłosem. – Wiem, co robię.

– Tak jak poprzednim razem i jeszcze wcześniejsz, kiedy musiałam ci ratowa dupsk? – syknęła rozeźlona jego pozornym spokojem. – Ogarnij się, stary durniu, nic tutaj nie działasz. Jeœli cię przejm, ju¿ po tobie.

Wiedziało o tym, ale wciąż nie chciał się podda. Nie tak blisko sukcesu.

– Dobra... – Szarpnięty po raz kolejny odpuścił w koñcu. – Spadajmy, zanim nas zauważ.

Od wyjœcia dzieliło ich ju¿ tylko szeœć par. Jeszcze sekunda i musieliby w wejc na pierwszy

stopień schodów prowadzących do burzowca.

– Co jest, kurwa! – ryknął ktoś z góry. Moment później oślepił ich snop jasnego światła. – Wyskrobki wam pitają, a wy co? Banda pojebów, normalnie. Nawet uwarunkować ich nie umiecie porządnie.

– W tym pośpiechu zgarnęliśmy nie tychm, co trzeba – któryś z chłopaków nie stracił głowy. – Dostaniecie ich następnym razem.

– Trudno – zawyrokował dryblas. – Najwyżej użyją się szybciej, jak będą filali.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Wiązać skurwieli!

Iskra zakłęła pod nosem, stojący najbliżej bojownik chwycił ją, a jego kolega, trzymający za ramiona Ducha, wyszeptał:

– Co teraz?

– Nic – odparł Duch, nie otwierając ust. – Pojedziemy z nimi. Wybadamy sprawę na miejscu i jakoś damy znać albo wrócimy. Dyżurujcie przy telefonie – dodał na koniec.

– Jeśli oni cię nie zajebią, kretynie, ja to zrobię – wysapała dziewczyna, zanim zaczęła się wspinać po schodach.

Tutaj musiała zamilknąć, by mistyfikacja nie wyszła na jaw.

Ludzie Pułownika doprowadzili ich do studzienki, o której mówił blondas. Szesnaście kamer wyżej Duch zobaczył pomiędzy ledwie rozchylającymi się powiekami, że obcy ciągną go w głąb tunelu zabezpieczonego kratami, takiego samego, jakim otoczono przeszkody na torze w Rotundzie. Koniec tego przejścia nikał w mroku, ale gdy przeszli nie więcej niż trzydzieści kroków, dostrzegł w ciemności zarysy czegoś wielkiego, z czego buchały kłęby dymu i pary. Nie była to jednak zwykła lokomotywa, tylko... pociąg pancerny.

